

Claretie Juljusz

NORIS

Romans współczesny

Z francuzkiego przełożył
Bolesław Londyński

Część pierwsza.

I.

Na placu Dauphine, nieopodal pałacu sprawiedliwości,
którego potężny biały
korpus jasno zarysowywa się na tle nieba, pewnego wieczoru
w lutym, w porze, gdy
ten trójkąt wysokich gmachów pokrywa się szarością
zmierzchu, wsparta o framugę
jednego z okien, otwartych na oścież, wprost schodów pałacu
— siedzi kobieta.

Kobieta jest młodą, nadzwyczaj bladą, drży pod futrem, które
ją przykrywa, i od
czasu do czasu, wychylając się do połowy z okna, bada w
oddali oczyma,
zaognionemi gorączką, stopnie kamienne, po których zejdzie
oczekiwana przez nią
stara sługa, Wiktoryna, mająca jej donieść, co orzekli
przysięgli i jaki wyrok
wydali sędziowie...

Sędziowie!

Któżby powiedział kiedykolwiek, że biedna Wiktoryna będzie zmuszoną udać się do pałacu sprawiedliwości, gdzie jej pan pod sądem i że ciężkimi krokami będzie

zmuszoną powracać, ażeby powiadomić o rezultacie pannę Noris, znajdującą się tam w jednym z hotelowych, pokojów, wynajętych umyślnie na ten dzień okropny, ażeby się ukryć i czekać, tłumiąc łkania?

Tak, któżby powiedział, ktoby jej śmiał w oczy to powiedzieć, jej wiernej słudze?

Pan był przecie tak słodki, tak dobry! jak ciasteczko... A panienska, którą

Wiktoryna wychowywała sama! Ach, panienska... To anioł prawdziwy!...

Noris czekała już od bardzo dawna. Przed chwilą, opuściła ten pokój, to okno

otwarte, przebyła plac, weszła na stopnie schodów, popchnęła drzwi oszklone i

zaczęła się przechadzać po wielkich salach, sąsiadujących z salą "Poprawczą",

gdzie sądzą — gdzie sądzą jego, jej ojca! badając ludzi, którzy wychodzili,

przysłuchując się rozmowom, studyując uśmiechy, starając się odgadnąć

przypuszczalny wyrok na tych uśmiechniętych, albo zimnych twarzach adwokatów,

których oczy pragnęły się przedostać po za woal tej
przystojnej młodej kobiety,
spacerującej z powagą w sukni żałobnej.
Nic, nic się nie dowiedziała!
Ciężki upał z galeryi des Pas-Perdu dusił ją. Głuchy stuk
podeszew o kamienne
tablice, obwiedzione dokoła czarnymi linjami, jak żałobne
klepsydry, ogłuszały
ją.
Pociągana upartym magnetyzmem, stawała mimowoli przed
zagłębieniami w ścianie,
gdzie na wielkich białych afiszach pod tragicznym tytułem:
Więzienie Sądu
przysięgłych, można było wyczytać z poza drucianych kratki
imiona i nazwiska
skazanych...
Wyciągi z akt więziennych!

Odczytywała je machinalnie, sylabizowała listę przestępstw:
kradzież, nadużycie
zaufania, szukała cyfry lat kary, poczem odchodziła ze zgrozą
od tego pręgierza,
gdzie zdało jej się, że czyta, że może czytać będzie,
nieszczęśliwa, nazwisko
swego ojca!..
Sprawa kopalni Sierra-Fuente.
Dzienniki tyle piszą o niej od kilku miesięcy!
Musi być mnóstwo osób tam na górze w sali Nr. .
Tak, tyle osób, jak wówczas, gdy po raz pierwszy była w
sądzie z ojcem,

Eugenjuszem Féraud. On szczyił się wtedy swoją piękną Noris, ona szczęśliwą była, że może się pokazać publicznie z tym szlachetnym i ukochanym człowiekiem, posiadającym talent, wielki talent, w jego starych zapomnianych romansach; tyle albo i więcej talentu niż mają, współcześni z ich dziwacznymi założeniami, prowadzonymi gadatliwie, z ich nieskończonymi określeniami i opisami!...

Noris powtarzała mu to często, a literat, niegdyś słynny, dziś opuszczony, pocieszał się po stracie czytelników poczciwym uśmiechem podziwienia swej wiernej, jedynej czytelniczki...

— Faktem jest, moja córeńko mawiał poczciwiec — że wszystko, co ja piszę, ty możesz czytać! Niech sobie co chcą mówią o mnie, ale jestem uczciwym człowiekiem.

Ach, wistocie zaczęto znowu mówić o nim, — o nim, o którym nie mówiono już tak dawno; — Eugenjusz Féraud był w modzie od czasu owej sprawy.

Dzienniczki, nieznające go nawet ze słyszenia, cytowały jego biografię, zarzucając mu jako zbrodnię, że "po-

rzucił literaturę dla finansów" i "twórczość" swoją obrócił na to, ażeby zostać

głównym sekretarzem — sprawozdawcą Towarzystwa kopalni
Sierra-Fuente,

Twórczość!

A jednak oddawna już nie dawała mu ona środków do życia!

Dziś, cały Paryż spoglądał na starca Féraud, siedzącego na
ławie oskarżonych,

pomiędzy dwoma narwanymi spekulantami, którzy go
wciągnęli do sprawy.

I Noris, jak gdyby jej spojrzenia przebiły ścianę, uczuła na
swem czole ogień

oczu, przeszywających Eugenjusza Féraud.

Nie mogła długo wytrzymać w pałacu.

Zdawało jej się, że ironiczna ciekawość i szepty oraz
lornetowanie adwokatów

prześladuje ją na każdym kroku.

Wróciła tedy na drugie piętro hotelu Henryka IV, i tam w
otwartym oknie,

rozdrażniona tak, że gryząc rękawiczki odrywała zębami po
kawałku skóry, a

przytem niespokojna i zalękniona, czekała na ukazanie się
postaci swej starej

służącej, która miała się ukazać, zgarbiona we dwoje, tam na
tych schodach.

Pomimo, że mrok zapadał, Noris widziała wszystko,
ogarniając czarnymi

błyszczącymi oczyma ten olbrzymi budynek pokryty
dachówką, na której wznosiła

się wieżyczka ze złoconą chorągiewką.

Spostrzegła na białych schodach ciemne sylwetki prawników
albo procesowiczów,

którzy wchodzili i schodzili, przetwierając co chwila ciężkie
drzwi, z głuchym

trzaskiem, rozlegającym się dokoła.

Za kratą żołnierz z karabinem chodził miarowym po-

wolnym krokiem w jedną i w drugą stronę, w grubej szarej sukiennej szyneli.

Wtedy, Noris, śledząc go oczyma liczyła jego kroki, wmawiając w siebie, że jeśli za pięć minut — cyfra nieparzysta — przejdzie tyle a tyle razy w jedną i drugą stronę, to Eugenjusza Féraud uznają za niewinnego i uwolnią. I zapalając się w rachubie, i nie dopuszczając uwięzienia, zaczynała liczyć na nowo.

Olbrzymie statuy kamienne, wyobrażające Prawo i Sprawiedliwość i stojące wprost pałacu, przerażały ją, dzięki swej obojętności katowskiej. Odwracała głowę, jakby chciała zapomnieć o pałacu; badała plac: na dole handel korzenny, szyld wytarty anonsujący hotel; w którym sama zamieszkała tego poranku, dalej skwer z kasztanami ogołoconymi z liści, z nawpół żywymi szkieletami drzew, tak były zaniedbane. Przechodziły dzieci. Osób w ogóle mało; zajmowała ją gra cieni na pobielonym bruku.

Nareszcie, pulsa gorączkowo zaczęły jej bić w skroniach, i Noris powróciła do pokoju, obejrzała obicie zdobne w dziwaczne rysunki wyblakłych kwiatów, całą nędzę zajezdnego domu, a potem znowu spojrzała na te smutne gmachy, wyglądające

z za okna, na tych odźwiernych sterczących przed nimi, na te
stare mieszkania,
czujące z oddali pleśń kompromitujących papierów sądowych,
i nagle stanęła,
przejęta do głębi, prawie zahypnotyzowana, szyldem
redakcyjnym, wyrytym złotymi
literami na tle zielonem: — Prawo, gazeta sądowa.
I dziewczę znowu zadrżało i znowu łkanie ścisnęło jej gardło,
jak przed chwilą,
tam, przed wykazem więziennym,

przyklepionym do ściany, i zdawało jej się, że nazajutrz czytać
będzie mokry
jeszcze, jakby zwilżony łzami, numer Prawa, w którym pod
tytułem Sprawa kopalni
Sierra-Fuente, posiedzenie z dnia lutego roku, wyczyta
badanie
Eugenjusza Féraud; zeznania tego skromnego i bojaźliwego
starca, jego obawę
wobec sędziów i prokuratorów, którzy ściskają sumienie jak
palce gąbkę, i — jako
następstwo badań, zgrozę jeszcze większą — potępienie ojca...
Więzienie!...
Czytała, czytała to wszystko!...
I odgadywała ich, słyszała tych komentatorów, szykany tych
wszystkich, co będą
czytali to sprawozdanie jutro, w biurach redakcyi, w
kawiarniach, wszędzie, ten
numer, ten przeklęty numer Prawa, gazety sądowej.
Noris często ulegała takim widzeniom, strasznym snom,
tamującym jej oddech, były

to jednak tylko widzenia i sny chorobliwe. Ale teraz!...
Krzyknęła nagle i pierwszą jej myślą było rzucić się do drzwi i
biedz szybko.
Tam, na schodach; w coraz zwiększającej się ciemności,
sposzregła właśnie
dobrze znaną sobie postać kobiety zgarbionej i drżącej.
Wiktoryna! Wiktoryna wraca! Wszystko skończone.
Uwolniono go!
Ale siły jej odmówiły posłuszeństwa i Noris wsparła się o
okno, wlepiając
źrenice w tę postać, idącą tak wolno, tak wolno!...
Zdawało jej się, że stara kobieta opiera się o poręcz kamienną,
ażeby nie upaść.

Poza nią, Noris szukała ojca.
Gdzież jest ojciec?
Ludzie opuszczali pałac, wszyscy ciekawi już wyszli. Konie
ruszały z rogu ulicy
de Harlay, powozy zabierały widzów, jak przy wyjściu z
teatru.
Jego — nie było!
Dlaczego nie ma jej ojca?
A więc skazany?... Ale nie, uwolniony przez Boga
uwolniony!...
Nie mógł jeszcze tylko załatwić wszystkich formalności — ale
przyjdzie niebawem.
A ona, jego córka, jakże szczerze zawiesi mu się na szyi, jak
go serdecznie
powita!
Ach, temi ustami spalonemi gorączką pocałować tę siwą
brodę, to pocziwe oblicze

ojcowskie!

Stara już jest na placu, idzie wolno, dźwigając z ciężarem lat,
ciężar tajemnicy

o rezultacie sprawy.

— Prędzej, prędzej!

Noris miała chęć krzyknąć na wiatr z jednego końca placu na
drugi.

Ale cóż, Wiktoryna nie usłyszałaby przecie!

— Za chwilę, za parę sekund już będzie!...

Serce młodej kobiety doznawało uczucia, jakby było kłute
szpilkami.

Zdobyła się wreszcie na otworzenie drzwi, i wyprostowana,
sztywna, przygotowana

na wszystko, stanęła w nich, czekając na Wiktorynę, której
kroki słyszy już na

schodach, coraz wyżej, wyżej, już na progu.

Ale skoro spostrzegła ją wchodzącą do mizernej hote-

lowej stancyjki zmienioną, z twarzą, zazwyczaj ogorzałą, teraz
białą jak gips,

Noris uczuła pot śmiertelny na czole. Zdołała wyszeptać tylko:

— I cóż?

Wiedziała zawczasu, co odpowie Wiktoryna.

Ruina wszystkich nadziei, nawał przeróżnych wzruszeń
przekształciły tę biedną

staruszkę w idyotkę.

Skazany!...

Wiktoryna nie powiedziała tego wyrazu, ale panna Féraud
odgadła wszystko.

Powtórzyła raz jeszcze.

Po chwili, głosem drżącym i jakby dotkniętym dusznością, spytała:

— Na ile lat?

Stara nie śmiała odpowiedzieć, spoglądała na Noris, przesywała ją wejrzeniem psa wiernego.

Załamala ręce w rozpacz.

Nie płakała, głowa jej tylko jak bania pusta, spadała to w jedną to w drugą stronę na jej zgarbione ramiona.

— Na ile lat? — spytała Noris, u której z pod czarnego woalu stara mogła

dostrzedz tylko błyszczące oczy.

Służąca wahała się przez chwilę, nareszcie, po dwukrotnym wysiłku szepnęła:

— Pięć!

Na pięć lat! Mimowoli, gwałtownym ruchem córka

Eugenjusza Féraud zwróciła się ku

pałacowi, który z każdą chwilą coraz bardziej zaciemniał się w mgle wieczoru, i

rzuciła nań spojrzenie wściekłości.

To tam, w jego wnętrzu, tam spoliczkowano całą przeszłość jej ojca!...

I on jest jeszcze tam, on, skazany, zmiażdżony tym wyrokiem!...

Noris miała chęć zawołać do tych, co go osądzili:

"Bezwstydni! Bezwstydni albo źli! Nie odgadliście prawdy, nie odgadliście tego,

co jest w głębi duszy biednego ale uczciwego skazańca!"

Skazany, skazany na pięć lat! Chodźmy, chodźmy tam
jeszcze, Wiktoryna źle
słyszała. Najwyższa kara miałaby spaść na niego, Eugenjusza
Féraud, który nie
wiedział nawet o co idzie w całej tej sprawie Sierra-Euente, bo
wszak ona,
Noris, rozmawiała z nim o tej sprawie!... Największa kara dla
niewinnego!..
— Ach, panienko... biedna panienko — mruknęła z kolei
służąca, mnąc swą mokrą
chustkę... gdybyś słyszała, co mówił prokurator... gdybyś
słyszała, co oni
mówili do pana!... Co oni mu wymawiali!... Wszystko... A
czyja wiem, skąd im to
wszystko przyszło do głowy?... Wszystko... Chciałam zawołać
do nich, że kłamią,
że kłamią, że nie znają pana, że pan, to najlepszy z ludzi... Nie
śmiałam. Nie
mogłabym zresztą. Miałam duszność... Dlaczego mnie nie
wezwali na świadka? Jabym
im powiedziała dopiero, czym jest mój pani Jabym im to
powiedziała! Jak oni
śmieją zarzucać cokolwiekbądź takiemu szlachetnemu
człowiekowi, jak mój pani,..
Ci inni, zarówno Verignon, jak Paludet — to łotry! Ale pan...
I z kolei, ona teraz zbliżyła się do okna, przesywając
wzrokiem pałac
sprawiedliwości, podczas, gdy Noris wsparta o ścianę,
zgnębiona, powtarzała
tylko gorączkowo:
— Pięć lat!
Mimowoli spytała:

— A inni?

— Jacy inni?

— Vérignon....

— On?... Pięć lat!... Także pięć lat i pan Paludet!.... Wszyscy po pięć lat!..!

— Biedny mój ojciec! — rzekła Noris. Zrównany z temi łotrami i ukarany jak oni!... O nędzni, o podli!

I w tych wyrazach, rzuconych na wiatr, było tyle gniewu na sędziów, którzy nic nie odgadli, nic nie rozpatrzyli, nic nie zrozumieli, jak i na współników,

którzy oszukali Eugenjusza Féraud i pociągnęli go za sobą do tak haniebnego

upadku w grzązkie błoto!

Porwała szorstko rękę służącej, zdziwionej taką energią "panienki."

— Chodź, biedna Wiktoryno! Nie trzeba tracić ducha...

Trzeba się bronić!...

— O tak, tak, panienko!...

Stara odpowiadała sama nie wiedząc co mówi, trochę jednak zmęczona na widok

"panienki" tak nie tracącej energii.

— Taki wyrok można obalić!

— Naturalnie, panienko, i ja tak myślę...

Noris machinalnie opuściła woalkę i z poza niej spoglądała na ten wielki gmach,

w którym jej ojciec, potępiony, jęczący pewno z bólu, płakał może jak stare

dziecko, w jakim kącie. Łkanie, rozsadzające mu piersi, wystąpiło pod postacią

wyrazu bólu i goryczy na twarz Noris, i niezadługo, ze
smutkiem, pośród tego
zapadającego zmierzchu, w tej północy; gdyż zapalano już
latarnie i światła
zaczęły błysz-

czeń tu i owdzie, jak oczy — młoda dziewczyna posłała długi
pocałunek, czuły,
namiętny, dla tego, który był tam w tych murach, a może w
powozie, unoszącym go
przez całą długość Paryża, daleko, na przedmieście, gdzie
cmentarz graniczy z
więzieniem, w górę Roquettey do Mazas.
Następnie opuściwszy okno i wysławszy ten pocałunek, Noris
jeszcze raz zadrżała,
spozstrzegając widzialne pomimo cieniu, żółte litery szyldu:
Prawo... Sądowa...
— Jedźmy, jedźmy ztąd jaknaj prędzej!
Chciała spieszenie opuścić nędzny pokój hotelowy, w którym
ukryła niepokój córki,
tak jak inni — o czym nie wiedziała zapewne — ukrywali tu,
w pośród tych zimnych
i obdartych ścian rozkosze miłości.
Zdawało jej się, że w małym mieszkanku, dokąd się pragnęła
udać, czeka na nią
ojciec, ten drogi, niewinny biedny ojciec...
Dała adres woźnicy, na ulicę Brochant, tuż przy skwerze des
Batignolles, i
podczas, gdy siedząc w fiakrze tworzyła tysiące planów,
szukała w myślach deski

ratunku, musiała słuchać wyrzekań Wiktoryny skurczonej w drugim rogu fiakra.

— To oni, to oni — łotry, ale nie mój pan!...

I pytając siebie samej — siebie, córki bez matki, samotnej w tym wielkim Paryżu,
który jutro szyderstwem tylko napiętnuje nazwisko Féraud, —
pytając siebie, do
kogoby się udać, ażeby zakwestyonować słuszność wyroku,
ażeby zaapelować,
marzyła naturalnie o jedynej istocie, która po ojcu zajmowała jej umysł.

— Czy wiesz, Wiktoryno, gdzie mieszka pan de Chantenay?

— Książę? Wiem, panienko. Pan mnie kiedyś posełał odnieść książkę do hotelu

Chantenay, w parku Monceau. Czy panienka chciałaby żeby pan de Chantenay zajął się panem? Tak?

— Tak — odparła Noris. Odniesiesz do niego list dziś jeszcze.

II.

Zapomniane dzieła Eugenjusza Féraud miały powodzenie dawniej, w owych czasach,
kiedy romanse in octavo w żółtych okładkach zapępniały gabinety do czytania.

Bawił on pokolenia czytelników, dziś zestarzałych jak on sam, albo tych, których ślad dziś zaginał, bawił nie dla zysku, zadawalniając się drobną zapłatą; —

potrzeba im było łez i okropności, tworzył je też i produkował
z godnym podziwu
uporem, aż powoli, stopniowo, autor tych romansów uczuł się
opuszczonym przez
tłumy, wzgardzonym, podobnym do owej porzuconej na
brzegu łodzi, podczas gdy
statki nowe, kocieteryjne i szybsze w biegu, spuszczano na
morze.

Eugenjusz Féraud miał wówczas lat sześćdziesiąt; w
czterdziestym roku życia
przybył z Brest, dla ogłoszenia drukiem swych pierwszych
utworów.

Miał lat czterdzieści, które z wytrwałością murarza zasklepił
mnóstwem
jednobrzmiących romansów.

I koniec końcem, bez majątku, widząc, że zamykają się
skwapliwie przed nim drzwi
biur redakcyjnych, gdzie siwe włosy przerażają, jeśli nie zdoła
ich śnieżnego
połysku, jeden bodaj listek lazurowy, pytał siebie pewnego
poranku, co ma teraz
przedsięwziąć...

Ach, gdyby był sam jeden na świecie, cóż łatwiejszego?
Zakopać się można w jakim wiejskim zakątku i żyć po
chłopsku za owe cztery
grosiki, które pomimo wszelkich przeciwności, zdołało się
odłożyć w ciągu
długich lat pracy!

Ale czyż mógł skazać Noris na tę smutną egzystencję
małomiasteczkowiczów?

Ona stworzoną była dla Paryża. Tak cudnie piękna, w pełnym
rozwoju swych
czarownych wdzięków!
Szczupła i blada, cienka jak arabka, a przytem paryżanka aż
do szpiku kości,
Noris, paryżanka z kontrastem powagi i żywości, jak jej
matka, kreolka, córka
agenta marynarki, którą Eugenjusz Féraud poślubił,
dochodząc już do
czterdziestki, będąc naówczas panem swego losu i marząc o
świetnej przyszłości
nie tyle dla siebie ile dla swej małżonki!
Matka Noris odumarła ją zbyt wczesnie.
Eugenjusz mówił teraz do siebie:
— Straciłem dziesięć lat, najlepszych w mem życiu, na
opłakiwanie jej straty!
Dla niej jednej spodziewał się nagrody za swoje pra-

ce, sukcesów w teatrze, owacyi po przedstawieniach, gorączki
tłumów, szalonych
odgłosów braw i oklasków.
Ale ona znikła, i on skazał na zwiędnięcie własne projekty, jak
kwiaty bez
powietrza.
I po cóż zabiegać, jeżeli ona nie będzie przyklaskiwać temu?
Radość jest wtedy
prawdziwy, gdy ją podzielać z kim można.
Dopiero gdy Noris podrosła, biedny Féraud, uczuł się nieco
podniesionym na
duchu.

Całe życie stracone w ukochanej nieboszczce, odnalazł w tem
dziewczęciu, naturze
szlachetnej, pełnej ognia i namiętności, trochę zbyt
romantycznej może, ale czyż
to staremu romansopisarzowi wypadało robić wymówki córce,
że ukochała to, co
jest najlepszego na świecie — fantazyę? Czyż to nie on sam
upoważnił ją poniekąd
do tej romantyczności, dając jej imię Noris, które uważał za
harmonijne i które
mu przypominało jego pierwszy romans zatytułowany:
Dinorah albo Rozbójnicy
morscy.

Dinorah, z kąd przez skrócenie Nora; że jednak imię to
wydawało się zbyt smutnem
matce, zmieniono je więc na Noris, które miało w sobie słodki
odcień
starożytności.

— Dla czego nie nazwać jej tak jak mnie, Zuzanną? — spytała
matka.

A romansopisarz na to:

— Tak, Zuzanna, wiem... Zuzanna — bardzo ładne imię... Ale
nie gniawaj się — to
trochę mieszczkańskie imię, pospolite. Pomyśl tylko: Zuzanna
jako tytuł dzieła —
to nie uderza... Gdy tymczasem Dinorah... Sora... Noris...
Wiesz przecie; że ja
wierzę w wpływowość imienia, jak Stera... Otóż, Noris
powinno dać szczęście
naszej dro-

giej córce!.. Noris! Zdaje mi się, że widzę dużą dziewczynę,
prostą jak lilja, z
dumą i powagą starożytnych. Wierzaj mi to romantyczne,
bardzo romantyczne!

I wychowawszy córkę w ten sposób, czyż i on nie był także
fantastą, on, biedny
człowiek, i czy znał dokładnie części składowe niesfornego
mechanizmu

współczesnych obyczajów? Żył on w wymarzonych krajach
idealnego spokoju, w krajach
nieprawdopodobnych, wraz z rabusiami amerykańskimi lub
pariasami Indyi.

W pięćdziesiątym roku życia z uporem manjaka pisał dalszy
ciąg przygód z czasów,
kiedy miał lat trzydzieści.

Zaczynał i odkładał swe stare historye, nie chcąc mieć za nie
sławy nazajutrz,
jak niegdyś, ale chcąc mieć chleb powszedni, dochód na
edukację Noris, którą
chciał wykształcić i wychować bez zarzutu, jak księżniczkę.
Pragnął, ażeby córka nauczyła się wszystkiego: rysunków,
muzyki, malarstwa, i
ażeby jej wzorowa intelligencya rozwijała się we wszystkich
odcieniach, na
pełnym słońcu.

Wiedza i piękność Noris były jego dumą. Nieraz przerywał
sobie pracę nad grubym
romansem, pełnym morderstw, ażeby usiąść przy córce i
odtworzyć w swej myśli,
przy dźwiękach melodyi Mendelsohna, które ona grała,
melancholijne poezye z
dwudziestego roku życia.

Ten "głos domu" jak nazywał fortepian Noris, był także
głosem jego przeszłości,
czasów, gdy marzył o pisaniu wierszy, — "tak, wierszy Noris,
dramatów wierszem,
z bohaterami w purpurach, wierszy, które z komedyi fran-

cuzkiej zaprowadziłyby mnie do akademii... jak wielu
innych.... Ach! Piękne
zamki na lodzie budowało się w dwudziestym roku życia!"
I bez smutku, wobec zrujnowanych marzeń i zwichniętego
życia, zwichniętego lub
steranego, gdyż trzeba było żyć, — pocziwiec wracał do
swych foliałów i pisał
dalej swe banalne powieści: to samo porwanie młodej
dziewczyny, ten sam
pojedynek, to samo otrucie, odwieczna zbrodnia i morderstwo,
spór dziedziczny,
fałszywy testament, odnalezione dziecko, kłótnia dwóch
matek — podczas, gdy
przez uchylone drzwi, romans Mendelsohna, z pod palców
Noris; przynosił mu echo
zamarłych nadziei i zgasłych piosenek...
I to wystarczałoby do szczęścia staremu Féraud, gdyby nagle
te same historye nie
wydały się czytelnikom naiwnie kopjowane z dawnych i
gdyby dzienniki nie zostały
znużone temi pojedynekami, temi morderstwami, tym sporem
dziedzicznym i
testamentem dzielonym tyle razy!
Ta mierność literacka wystarczałaby mu. Mieszkanko
urządzili sobie przy ulicy

Brochant dosyć przyjemnie, a Noris tu i owdzie upiększała je wrodzonym sobie smakiem i gustem, tak, że nawet miało pozory zbytku. Tu wstążka, tam aksamit, na kominku jakieś złożone cacko postawione jakby od niechcienia, a przytem hafty Noris, kwiaty, które lubiła, odświeżały pogodnym uśmiechem ten mieszczański kącik, pełen książek i papierów, ale zwrócony ku słońcu i odbijający w sobie skoczne cienie drzewek, rosnących na skwerze. Tak, byłby szczęśliwy.

Ale, powoli, stopniowo, Eugenjusz Féraud dostrzegł, że zamykają się przed nim drzwi redakcyj. Wydawcy, do których pisywał, nie odpowiadali mu; gdy się chciał z nimi widzieć osobiście — starzec sześćdziesięcioletni, cierpliwszy niż dwudziestoletni młodzik — nie przyjmowali go, wymykali się tylnymi drzwiami, odmowę łagodzili, pozorem nieobecności. "Poźniej!... Ach! ileż mam gotowych rękopismów!... Zawalony jestem formalnie!... Ukłony pięknej córeczce!... Cały sezon mam zajęty przez romans Jouveneta". Noicy — Jouvenet! A on Féraud, już był stary, zużyty, niemodny, przepadł!... "A więc moje powieści już nie mają powodzenia!.. A przecie nie różnią się niczem

od pierwszych, które pobudzały do łez dawne czytelniczki!...

Ale — moda!... Na
modę nie ma ratunku!..."

I powracał na ulicę Brochant, głęboko dotknięty moralnie.
Spoglądał z boleścią na te zaczernione foliały, na te masy
papieru zapisanego,
którego dzisiaj nikt nie chciał kupić...

Nieraz miał chęć rzucić to wszystko w ogień...

Popiół!.. Tak wszystko popiołu tylko było warte!...

W jednej właśnie z takich chwil przygnębienia, Eugenjusz
Féraud spotkał

Vérignona, awanturnika, spiskowca, założyciela banków,
wślizgującego się, jak

wąż do miski z mlekiem, do wszystkich syndykatów i
osiadającego tam następnie

jak szczur w serze; wspólnik Rodillona i Moliny, raz
wierzyciel, to znowu

dłużnik, subtelnym węchem odkrywający drogę do tej
bezdennej Kalifornii, która

jest

niczem innym, jak łatwowiernością głupców, lub zaufaniem
nieopatrznych.

Vérignan szukał pomocników, znał Férauda. Nazwisko
starego pisarza było

szanowane; towarzystwo kopalni Sierra-Fuente potrzebowało
sekretarza, autor zaś

Pionerów z Kanady musiał znać sztukę oślepiania oczu
ludzkich, najdrobniejszymi

kawałkami miedzi, jak gdyby były bryłkami złota..

Ponieważ Féraud dbał bardzo o tytuł, zredagowany został przeto raport przez J. B. Paludeta inżyniera-technologa nowej sprawy, mocą którego Féraud przystępował do "Sierra-Fuente" na prawacli fundatora! Dość mu było powiedzieć tylko tak! Verignon w ten sposób wyłudził od niego, pod pozorem kaucyi, część skromnych oszczędności biedaka, który przyjął wszelkie propozycye, i przystąpił do dzieła z niezwykłym wybuchem wdzięczności. Ach, jakaż to radość była dla tego pogardzonego pisarza romansów, obudzić się pewnego poranku z pięknym tytułem "Sekretarza głównego" w przedsiębiorstwie finansowem, o którym tyle pisano w dziennikach!... Widział nazwisko swoje drukowane jak niegdyś w owych czasach, gdy ogłaszał drukiem Rycerzy z Nawai, a przez wybryk mózgowy dość zwykły u niego, czytając ogłoszenia Verignona opłacane przezeń tylko drobnymi zaliczkami albo akcyami towarzystwa, biedny literat wyobrażał sobie, że szło tam o jedno z jego dzieł w tej całej operacyi Sierra-Fuente, gdzie zamieszane jego nazwisko, dowodziło, że jest to tytuł jakiegoś zawikłanego dramatu albo pięknego romansu, który on miał opublikować,

a w dziennikach robiono mu tylko przedwstępne reklamy.

Czuł się podnieconym, pobudzonym, młodszym o całe lata,
dzięki tej sprawie.

Wygodny fotel, poważny i masywny, w kształcie małego
tronu, na którym siadywał
teraz w pięknym biurze przy ulicy Taitbout, zachwycał go tak,
jak ów inny fotel
niedościgniony, o którym tak długo marzył, mieszczący się
tam, przy moście Pont
des Arts, pod złoconą wieżą!... Sen to był złudny!...
Ale dziś, jakież słodkie przebudzenie: staranny strój, duża
wspaniała widna
sala, to wejście uroczyste do lokalu, zajmowanego przez
towarzystwo, w
asystencyi woźnych bardziej majestatycznych, aniżeli
ministrowie, chłopców w
zielonych mundurkach uczesanych jak generałowie, a
udekorowanych w świecidełka
jak dyplomaci, te ukłony urzędników i akcyonaryuszów,
dających biednemu i
zapomnianemu literatowi, wczoraj jeszcze mieszkającemu
przy ulicy Brochant jak
wyrobnik, tytuł uroczysty: Pan Sekretarz Główny; — całe to
nowe życie nieznane i
jakby urzędowe, napawało Eugenjusza Féraud dumą, radością
i niewypowiedzianą
rozkoszą!

Ten dobry Vérignon! Byłby go ucałował. Co to za mecenas,
ten Vérignon, jaki
protektor!

— Dziwna rzecz — mówił niekiedy do Noris. Ten Vérignon
nie podobał mi się wcale,
z tą swoją łysą głową, szaremi faworytami, z tym wyglądem
angielskiego pastora,

łączącego w sobie przymioty paryskiego klubowca. Znałem go dobrze, bo iluż ja ludzi znałem onego czasu (Féraud kładł zawsze melancholijny nacisk pod wpływem zruj-

nowanych nadziei na te wyrazy onego czasu), a przy spotkaniu unikałem go zawsze... Tak, unikałem.... jakże tyłem głupi! A przecie to on, ten drogi Vérignon, miał być przyczyną mojej fortuny i twojej, droga Noreczko, i twojej!... Czy jesteś zadowolona teraz? — O tak, jeżeli ty jesteś szczęśliwy, ojczulku — odpowiadała Noris, dając wolę także ze swej strony, fantazyi i sięgając swemi głębokimi oczyma bardzo daleko i bardzo wysoko. Co jednak nudziło trochę Eugenjusza Féraud, to to, że nie wymagano od niego wielkiej pracy przy ulicy Taitbout. Nie chciał mieć na starość łaskawego chleba, przeciwnie, pragnął rozwinąć całą energię. Kiedy więc Vérignon poprosił go o zredagowanie, dla poparcia sprawy i to na pierwszą sesję akcyonaryuszów, jednego ze sprawozdań o sławnych kopalniach Sierra-Fuente, które za jakąbądź cenę należało "eksploatować" pan sekretarz główny wydał westchnienie zadowolenia.

Nareszcie, nareszcie, przydał się na coś! Teraz dopiero pokaże, co może zrobić człowiek, który pisał jeszcze za czasów Soulie'go, Dumas'a i Sue'go.

Kopalnie Chili były zresztą jego żywiołem.

Chili! Ależ to w Chili przecie odbywał się jego znakomity niewydany dramat, pod tytułem: Wąż czerwony!..

Nie widział wprawdzie nigdy Chili, ale przysięgłby, że zna je lepiej od okolic

Paryża.

Kiedyś studyował stosunki hiszpańsko-chilijskie;

Encyklopedia ojca Febres

spoczywa dotąd jeszcze w jego bi-

bliotece. Znał florę i faunę, narzędzia artystyczne i rolnicze tego całego kraju na palcach!

— Chili!... Ależ to moja sprawa!.., Napiisałem trzy romanse, które się tam odbywają.

— Czytałem je — odpowiadał VÉRIGNON. — Właśnie dla tego zaproponowałem panu przyłączenie się do naszego towarzystwa.

Proszę, proszę! Co to jednak za człowiek, ten VÉRIGNON!

Oczytany, pamięć ma rozwiniętą!

Czytał romanse chilijskie Eugenjusza Féraud! Tem lepiej!

I dziwić się tutaj, gdy się widzi niektórych finansistów, dochodzących do

miljonów, jeśli umieją wszystko, jeśli wszystko czytali,
wszystko, aż do
romansów amerykańskich pisarza, którego znać nie chce nowe
pokolenie
czytelników. Niewdzięczni!
To też Féraud przekona wszystkich, jak powinny być
zredagowane te sprawozdania,
które mu powierzano!
Chce, żeby były arcydziełami i będą arcydziełami.
Ach! włożył się całkowicie, duszą i ciałem, w te stronnice, na
których dał wolę
romantyzmowi, dołączając do notatek technicznych Paludeta,
inżyniera kopalni,
mnóstwo świetnych opisów, które miały dać czytelnikom
pojęcie o całej
wspaniałości nowego Eldorado.
Pochylony nad swoim referatem, zapominając, że szło tu o
dokument finansowy,
stary Féraud wysiłał się, byleby tylko bardziej olśnić
czytelników kopalni
Sierra-Fuente, na wynajdywanie jaskrawych orzeczeń,
barwnych jak papugi,
skaczące tam, w lasach oliwnych i mirtowych.
Raj tak, nic innego, jak tylko raj opisywał z niewy-

powiedzianym zapalem apostoła dla olśnionych
akcyonaryuszów: ziemia urodzajna,
wyspy zielone, jabłka wielkości głów ludzkich, brzoskwinie
mające po funcie
wagi!...

Z jednego drzewa z lasów chilijskich, pewien misjonarz
zbudował kościół na
dwadzieścia metrów długości, przyczem wszystkie okna,
drzwi, ołtarze i
konfesyonały były wykładane drzewem z tej samej kłody lub z
jej gałęzi.

W Andach, srebro, miedź i żelazo aż do zbytku; bryłki złota,
błyszczące na
ziemi, jak kawałki szkła przy świetle gwiazd; srebro w
prowincjach Coguimbo i
Copiapo, dające się podbierać beczkami i wywozić z portu
Caldera!

Kopalnie złota w Petorce na terytoryum chilijskiem!
Lapis-lazuli, dające się wywozić całami mendlami!
Bogactwa chilijskie wychodzą z ziemi jako kwiaty
siarczane!...

I Eugenjusz Féraud upajał się temi ojrisami, ciągnął w nich
dalej życie pisarza,
a raczej znowu stał się autorem romansu, i zapominając o
Paryżu, rzucił się w
kraj fantazyi, w tę kraję nieznaną, która go przyciągała,
przypominała mu
opowiadania z dawnych czasów, fantazyjne wysoki
młodzieńczej imaginacyi: blade
bohaterki o hebanowych włosach, walki fantastyczne, spacery
po Kordylierach,
ściganie i ucieczka do miejsc ochronnych, strzelanina do krów
w lasach
dziewiczych; słowem, cała czczość i melodramat starego
romansu amerykańskiego,
który wyrastał w jego wyobraźni z realizmem tym
jaskrawszym, że. pobudzały go

cyfry Paludeta, powiększone przez VÉRIGNONA, a to wszystko,
ażebym tylko tak
niezwykle ubarwio-

ną statystyką olśnić członków towarzystwa kopalni Sierra-
Fuente!

Tak więc, doścignął swoich marzeń stary FÉRAUD!

Te nazwy egzotyczne brzmiały mu w uszach jak miłosa
harmonijna melodia; dla

opisania ich miał w ręku mnóstwo tytułów: "srebro z
Charnasillo, miedź w piasku

lub w bryłach z Tres-Picatas, wulkan San-Fernando, szkutnicy
z Rio-Claro";

wszystko to umieszczał jak w dramacie, odnajdując odgłos
radosnego dźwięku

białych monet w wyrazie, który powtarzał bez końca, z
głębokim zadowoleniem:

"Prowincye srebrne..." Srebrne!...

VÉRIGNON, po odczytaniu tego sprawozdania, był zachwycony.

Oświadczył, że nigdy, ale to nigdy, żaden ze zwykłych
finansowych dokumentów nie

miał takich świetnych zwrotów i doskonałości wykończenia.

Teraz dopiero można skaptować sobie tysiące
akcyonaryuszów.

Jak się to stało, że taki mistrz tej nadzwyczajnej maszyny, nie
dostał się dotąd
do akademii?...

Me, nigdy nikt tak mądrze nie przedstawił całej doniosłości
przedsiębiorstwa.

Naiwnie lecz poprostu, uwiedziony własnem piórem, upojony
realizmem, FÉRAUD

chciał miejscami w raporcie tym ujawnić wspaniałe skutki
poszukiwań
kopalnianych, to też w jednym miejscu zaznaczył, że z
przetopionej miedzi,
wykopanej w przypuszczalnych skabrach Sierra-Fuente,
można będzie robić
doskonale cymbały!
— Bravo! — zawołał przeczytawszy ten ustęp Vérignon —
muzyka przede wszystkim. I
dalej w świat.

Czytał i odczytywał sprawozdanie, które miano ogłosić wraz z
innymi artykułami
pana Féraud w dzienniku giełdowym p. t. Złoto Chilijskie,
specjalnie założonem
dla protegowania interesów towarzystwa, i finansista dziwił
się sam tym
wspaniałym ubarwieniom i strojnym uprzymiotnikowaniom,
które romansopisarz
rozzucił dokoła, jak piasek w oczy, ozdabiając niemi piasek
złoty!...
— O, pan jesteś mistrzem, zacny panie Féraud.
— Och, ocli! — odparł ten skromnie, rumieniąc się aż po
brzegi swej siwej brody,
zawdzięczam to tylko wybornym uwagom pańskim, panie
Vérignon, i notatkom pana
Paludeta! Tylko ubarwiłem je trochę magicznym stylem. Styl
ten nadaje pozór...
— Pozór?... A tak — mruknął Vérignon, iikładając usta do
dyplomatycznej
tajemniczości.

A jednak ten "styl magiczny" nie-miał zaprowadzić
Eugenjusza Féraud do akademii,
ale raczej na ławę oskarżonych!
Nieszczęśliwy omal nie został tknięty apopleksją, skoro
pewnego pięknego
poranku, do jego wspaniałego biurka, pokrytego zielonem
suknem, w sali z
pięknymi mappami Chili i kopalni Sierra-Fuente na ścianach,
wszedł komisarz
policji, położył rękę na księgach towarzystwa i pokazał panu
sekretarzowi
głównemu rozkaz, mocą którego on, "Eugenjusz-Filip, dwóch
imion Féraud" jak się
zwykł był podpisywać, zostaje aresztowanym.
Jakto! Aresztują jego, głównego sekretarza?
I na jakiej zasadzie?
Co uczynił?
Co się stało? Powody?...

Ale pan Vérignon był już na drodze do Mazas, siedząc w
dorożce pomiędzy dwoma
agentami!
Paludet miał udać się za nim.
Tak niespodziany wypadek ogłuszył i oślepił Férauda, jak
upadek w przepaść.
Zdawało mu się, że leci w grzązkie błoto,
On ma się udać do Mazas!
Pytał siebie, czy to nie żart niesmaczny?
Po co do Mazas?
Sprawiedliwość popełnia wprawdzie omyłki, jak to miało
miejsce w owych czasach,

kiedy to się pisało dzieła fantastyczne, romanse kryminalne i melodramaty

sądowe, jak Calas, Lesurques i Sroka złodziej.

A więc tak, i on jest niewinny, równie niewinny, jak służąca Palaiseau'na.

Nie zastanawiał się nawet, jakie mogą być następstwa tej pomyłki.

Wiedział dobrze, iż niewinność tryumfuje dopiero w piątym akcie.

Jego niewinność ujawni się publicznie wobec sędziów.

Mówił do Noris zgnębiony, ażeby była cierpliwą.

Kiedy przybywano do jego celi więziennej, ażeby prowadzić go do eksperta, który

przy pomocy lupy — elementarny środek finansowy — badał księgi towarzystwa

Sierra-Fuente, powtarzał do policyantów i do eksperta:

"Pomyłono się co do mnie, przekonacie się panowie, że zaszła tu pomyłka!"

Twierdził, że sypiał snem sprawiedliwych.

W Mazas zabrał się do pisania nowego romansu,

osnutego na tle ostatnich swoich badań, dotyczących Chili i Chilijczyków.

— Nie martw się — mówił do córki. — Wyjdę z całej tej sprawy z honorem... a

nadto z pięknym dziełem!.. Donna Hermosa... To ładny tytuł... Będzie to

"pendant" do mego pierwszego romansu: Dinorah albo Rozbójnicy morscy!...

Dinorah, romans, który przyrównano do Feminora! Tak, tak... Hermosa będzie

jeszcze lepszą!

I opowiadał Noris, w rozmównicy więziennej, niespodzianki z treści przyszłego romansu.

Pytał co dzienniki pisały o jego uwięzieniu.

— Wszak mnie nie oskarżają, nieprawdaż?

— Nie... nie... przysięgam ojcu...

— Ale piszą o mnie?

— Tak, piszą.

— Dlaczego nie przyniosłaś mi ich do przeczytania?

— I po cóż?

— Jakto, po co? To pobudza, dodaje odwagi. Nie lękam się niczego; wiem, że nie zrobiłem nic złego... ani VÉRIGNON także, jestem tego pewien...

Zaszła

pomyłka... Ale pomimo to wszystko, radbym się upewnić, czy mamy za sobą prasę.

Przyniosła mu nareszcie kilka numerów z nielicznych dzienników, oświadczających się z sympatią dla autora Czerwonego węża.

Był wzruszony. W jednej z kronik dawano jego biografię.

Danoby nawet jego

portret, gdyby się był fotografował kiedykolwiek.

— Czy to nie zabawne, Noris? — zapytał — wydrukowałem pięćdziesiąt tomów, nie piszą nic o mnie! Zaprowa-

dzono mnie do Mazas — podają moją biografię! Dziwne, doprawdy, dziwne!

Dziennik schował starannie. Przy pierwszym wyjściu z więzienia złoży wizytę

reporterowi.

Dziennikarz był tem uprzejmiejszy, że Féraud nie znał go wcale.

Nie wiemy nieraz, kiedy i gdzie znajdziemy przyjaciół.

— Tak, tak — powtarzał sobie pocziwiec — są jeszcze dobrzy ludzie na świecie.

Był tak przekonany, tak pewny w pomyślne ukończenie procesu, że z tym naiwnym spokojem podzielił się z Noris.

Ona nie rozumiała wcale tych wszystkich kombinacji finansowych, i z przestraczem

widziała, że ojciec jej wszedł do sprawy kopalni Sierra-Fuente.

Ale w gruncie rzeczy, Vérignon nie był łotrem, a Eugenjusz Féraud, był uczciwym człowiekiem.

Musiało tu więc zajść tylko nieporozumienie. Niebawem rzecz cała się wykryje, dziś lub jutro.

Takie było zdanie Férauda: "Widzisz, sypiam spokojnie, Noris, jaknajspokojniej.

Czyste sumienie jest dobrą poduszką, nawet w Mazas... nadewszystko w Mazas!"

Zaufał do tego stopnia swemu optymizmowi, że bez żadnego strachu dowiedział się, że będzie sądzony w sali Nr. .

Cóż ztąd? To może i lepiej. Rozprawy, bądź co bądź, będą publiczne. To co mówił

na cztery oczy sędziemu śledczemu, temu nieczułemu biuraliście, to samo powtórzy

wobec tłumu, zobaczymy, kto zwycięży.

— Sąd? Ja to bardzo lubię!.. Nawet wolę to... to rozjaśnia sprawę!
Podobało mu się, że "zrzuci z siebie kalumnję" przed pełną salą.
Poskarży się nawet na tych urzędników, którzy — nie do wiary! — domagali się od niego zdania sprawy w stylu i sposobie redagowania raportu...
— Piszczyki nie lubią autorów!. szukają teraz ze mną zaczepki literackich.
Literatura? Ależ oni nie słyszeli o jej istnieniu!..
Sądzą, że jego raporty są wątpliwe. Niech i tak będzie
Zobaczemy, zobaczemy,
niech no je tylko przeczyta głośno na posłuchaniu.
I owego dnia w lutym, podczas, gdy Noris, niespokojna, oczekiwała na koniec sprawy, siedząc przy oknie w małym numerku w hotelu Henryka IV przy placu Dauphine, Eugenjusz Féraud starał się bronić swych sprawozdań, wyłożyć i odczytać przed tłumem, te świetne raporta o kopalniach Sierra-Fuente, o srebrze z Copiapo i piasku złotym z Petorca; bronił, ale ci sędziowie, głupcy, uznali je za przesadne i szkodliwe!
Szkodliwe!
Ależ on nigdy nie pisał mniej efektownych, mniej świetnych stronic!..
W obliczu sądu, ten biedak zapalony, to dziecko o białych włosach na wpół wypadłych, pełen nieurzeczywistnionych złudzeń, badany przez prezesa, nabrał dzisiaj odwagi.

Obalał oskarżenia niezręcznie z naiwną próżnością artysty,
mającego wysokie
pojęcie o swoim dziele.

Bronił swych sprawozdań i artykułów w dzienniku Złoto
Chilijskie, nie z
przebiegłością oskarżonego, który wślizguje się jak igła
pomiędzy dwa artykuły
kodeksu, ale z zapałem przesadnym autora, któremu śmiało
zaprzeczać wartości
literackiej w jego dziele
Jeszcze raz nie, nie, nie uznawał, nie godził się na te krytyki
ze strony
władzy. Wiedział dobrze, doskonale, jaką wartość miały jego
raporty. Była to
dobra proza, bardzo dobra proza. Zanadto ją wypieścił, ażeby
mu kto zaprzeczał
tego! Jakąż głupią kłótnię wszczynają z nim ci sędziowie!
I im bardziej go oskarżano, tembardziej się irytował,
odpowiadając krótko, co
ostatecznie miało znaczyć:
— Po co się wtrąćcie? Ja wiem co to znaczy — pisać! Mam
tego dowody!
Taki system obrony był nader smutny i nieprzystojny.
Bezwarunkowo nieprzystojny.
Pocziwiec starał się olśnić trybunał czytaniem mu swej
prozy, sądził, że tym
sposobem podtrzyma swą opinię swą dawną literacką opinię!
Nie przypuszczał, nie przypuszczał nigdy, ażeby kazano mu
zdawać sprawę ze
źródła jego artykułów!

Zresztą, władza toć nie są krytycy do licha!

A gdy mu prezes wytykał przesadę opisów egzotycznych, Féraud odpowiadał.

— A więc tak, ja to pisałem. Ja to opisywałem, cóż ztąd?...

Będę pisał jeszcze,
a nikt nie napisze lepiej!..

— Ależ pan umyślnie w przesadnych barwach opisywałeś kraj, którego nie znasz! To oszustwo!

— Zrobiłem to, co robię całe życie: fantazyowałem.

Prawda nie może być tak piękną, trzeba ją trochę uzupełnić...

Taka odpowiedź wydała się skończonym egoizmem. W

zaślepieniu Eugenjusz Féraud

nie dopuszczał złych następstw swej obrony; nie wątpił ani na chwilę o pewności

swej pozycji, aż do chwili, w której usłyszał, że uznano go za kłamcę, oszusta,

łotra, pragnącego ruiny biednych współbraci przez tendencyjnie "kłamliwe" opisy.

Jakto! On śmiał imponować swoją przeszłością literacką, skoro popchnął do nędzy,

a może do samobójstwa nieszczęśliwych, którzy wzięli jego słabe "naśladownictwo

Chateaubrianda" za artykuły prawa? Nędza! Ruina!

Samobójstwo!

Eugenjusz Féraud omal nie stracił zmysłów pod tym deszczem oskarżenia,

składającego się ze strasznych wyrazów, spółwystępek,

nadużycie zaufania,

obietnice kłamliwe, kradzież.

Złodziej! On złodziej! Spółnictwo z bandą złodziei!
Czuł się zgnębionym, słysząc teraz, jak VÉRIGNON, ze swej
strony obwinił jego,
Eugenjusza Féraud i zwał ją największą część
odpowiedzialności w całej sprawie na
pana inżyniera towarzystwa i na pana sekretarza głównego.
Był do żywego dotknięty taką bezczelnością VÉRIGNONA.
Był skonfudowany, zgnębiony.
Przedsiębiorca twierdził, że przypuszczał, iż Eugenjusz
Féraud znał kraj, który
opisywał, iż zbadał go gruntownie.
Artykuły dziennika Złoto Chilijskie, oparte na bada-

niach pana J. B. Paludeta, wydawały mu się bezwarunkowo
prawdziwe.

Sam VÉRIGNON zgadzał się na to.

Nie mógł przypuszczać, ażeby w szpaltach tak ważnego
dziennika, pan sekretarz

mógł pomieszczać romansowe elukuracye.

— Ale — wyjąkał Féraud w zgnębieniu — paneś mi dyktował
te elukub...

Prezes przerwał mu.

Wtedy, kaszląc i tłumiąc łkania w gardle, biedak stał się
purpurowym, uczuł, że

żyły sztywniej mu jak struny na nabrzękłym czole i ujrzał się
przyczepionym jak

do pręgiarza, do tego nędznego awanturnika, który, drwiący
modniś, starał się

zasypać trybunał, jak towarzystwo akcyonaryuszów, a którego
spólnikiem czuł, że

jest obecnie!

Spólnikiem i pajacem zarazem!
Sprawa Verignona i spółki.
O niegodny! Niegodziwy! Stary łotr wytrawny!
Wszystko kręciło się dokoła niego. Nie słyszał, nie widział
nic. Sędziowie,
Vérignon, inżynier Paludet, wydawali mu się jak za mgłą, jak
cienie w latarni
czarnoksiężskiej.
Miał ochotę wstać, krzyknąć głośno, przysiądź, że był
niewinny, a czuł, że nie
jest w stanie uczynić tego, że przy pierwszym słowie zalałby
się łzami jak
podły, wobec tych wszystkich ludzi, których tłumione szepty
wydawały mu się
gromem.
Cierpiał moralnie i fizycznie, jakby tknięty apoplek-

szą i tylko jedna myśl uparcie przychodziła mu do głowy: jego
córka!
Ta biedna Noris, która pewnie czekała gdziekolwiek, w jakim
kącie tego
olbrzymiego i ponurego pałacu i która dobrze zrobiła, że nie
weszła tu, aby
zobaczyć ojca opoliczkowanego publicznie, jak ten Vérignon;
ażeby ujrzeć go
padającego wraz z tym drugim łotrem, pomimo jego wiedzy i
tytułu; ażeby
przyjrzeć się temu niegodnemu widowisku; starą poczciwość
siedzącą na jednej
ławie z nędznem i wytrawnem łotrowstwem!

— Na szczęście — marzył Féraud, trapiiony bólem, gnębiony wstydem, podczas przemowy głównego prokuratora — na szczęście ona tego wszystkiego nie słyszy.
Biedaczysko przebył w tym dniu trzy różne fazy.
Gniew literata, oburzonego na tych, co śmieli krytykować wartość jego utworów;
zdziwienie i zgrozę wobec zeznań i publicznego oskarżenia ze strony VÉRIGNONA,
przygnębienie wobec wniosków prokuratora.
Wyrok ostatecznie zmiażdżył tego biednego człowieka, który zamilkł jak pod uderzeniem maczugi.
Wól, zanim upadnie, chwieje się długo!
Pięć lat więzienia! Pięć lat! Jak VÉRIGNON! Jak PALUDET, jego spółnicy!
Eugenjusz Féraud chwycił się za głowę i pomieszany, sztywny jak kłoda, padł z łoskotem na ławę, na której siedział.
Myślano, że umarł.
Wyniesiono go, rozpiąwszy mu kamizelkę i zerwawszy krawat.

Przyszedłszy do siebie, nie wyrzekł ani słowa, pozwolił powodować sobą,
zaprowadzić się do powozu, zawieźć do Mazaz, milczący jak skała.
Ludzie z konwoju spoglądali nań z ukosa.
Stary brygadyer mówił do drugiego:
W celi swojej, Féraud, leżąc na wązkiem łożu, z okiem wlepionym w ścianę,

powtarzał bez końca jedno imię rozgorączkowanymi ustami,
bezwładnie bredzącymi
jak w malignie:
— Dinorah!... Nora!... Moja mała Noris!. Sama jedna!.. Cóż
się z nią stanie
teraz! Co się stanie z mą biedną Noris?...

III.

Dinorah, powróciwszy do tego małego mieszkanka, gdzie
sądziła, że powróci z
ojcem, doznała rozpaczliwego uczucia pustki i przygnębienia.
Zdawało jej się, że on umarł, on, ten ubóstwiany ojciec, że już
nigdy nie
przyjdzie usiąść koło niej!..!
Gdy otworzyła drzwi sypialni, w której, sądziła, że dzisiaj on
spać będzie,
zalała się łzami!
W sypialni było ponuro, ciemno, pusto i głucho.
Zapaliła lampę i przez chwilę wpatrywała się załzawionymi
oczyma w portret
Eugenjusza Féraud, wiszący tam na ścianie: twarz blada z
długą brodą przy
powierzchności uczciwej i pogodnej.

— Biedny, drogi ojcze!
Więc tylko na obrazie może złożyć ten pocałunek, jaki
pragnęła złożyć na czole
uwięzionego, dziś wieczorem.

Stała czas jakiś, nie mogąc oczu oderwać od tego portretu,
rozmawiając z nim
pocichu.

Przez uchylone drzwi doleciał ją stuk talerzy, ustawianych
przez Wiktorynę.

Przypomniała sobie wtedy, że zamówiła u kucharki dla Féraud
potrawę, którą tak
lubił: kurczę, jakie Wiktoryna przyrządzała wybornie, a które
dziś napróżno
oczekiwało na gościa, który już nie przyjdzie!...

Noris uczuła jakby pchnięcie sztyletem, wchodząc do tej sali
jadalnej, gdzie
było nakrycie dla jej biednego ojca.

Służąca kończyła zapalać lampę na brązowej podstawie, i
światło jeszcze blade
smutnie padało na to puste miejsce, to krzesło, tę serwetę
złożoną, te szklanki
i tę łyżkę, zbyteczne, bo już ich Eugenjusz Féraud nie dotknie
dzisiaj!..

— Sprzątnij to, Wiktoryno — rzekła łagodnie. Przykrość mi to
sprawia.

— Panienska przecież będzie jadła obiad?

— Nie jestem głodna.

— Trzeba jeść, trzeba się pożywać, podtrzymać siły. Panienska
sama to mówiła
przed chwilą w powozie... Jeszcze nie skończone i tak zostać
nie może, muszą
uwolnić pana!... Tak, tak, Bogu dzięki, jeszcze nie
skończone!..

Machinalnie Dinorah przełknęła kilka kawałków mięsa, ale
spieszyła się pisać,
wezwać tego księcia de Chan-

tenay który dla niej stanowił całą deskę ocalenia i który często mawiał do niej słodkim głosem:

— Nie masz pani lepszego przyjaciela odemnie.

Przyjaciela!

W myślach Noris, w jej tajemnych snach dziewiczych, księżę René Beaumartel de

Chantenay był więcej niż wiernym przyjacielem, był raczej żywym ideałem snów

pensyonarki, niedbającej o przyszłość kobiety, budzącej się zaledwie do życia.

Nie wiedząc o tem wcale, był on ukrytym bohaterem romansu tej prześlicznej egzaltowanej brunetki.

Noris łączyła w sobie zalety i wady dwóch ras, z połączenia których powstała:

namiętna jak kreolka, którą była jej matka, marzycielka, jak ten bretończyk,

który zwichnął jej całe życie swemi fikcyjnymi mrzonkami.

Być może, że już z samej natury, skłaniała się więcej na stronę ojca. W tej

duszy i w tym mózgu młodej dziewczyny tkwiły te same romantyczne płomienie, te

same fantazyje, co i w siwej głowie Eugenjusza Féraud.

Marzyła jak on o fantastycznych Eldoradach, marzyła nie o sławie, jak ongi jej

biedny ojciec, ale o miłości...

Jakże nieodrodną była córą tego fabrykanta niemożliwych romansów!

Wmawiała w siebie nieprawdopodobne przygody, za które ongi płacono jej ojcu, a

które ona pragnęła okupić łzami i gorączkową
niespokojnością...

Podczas gdy w skromnym zakątku, wpośród ksiąg i
rękopismów zaczęła czytać, jej
pierwsze dziecinne marzenia, stopniowo rosły i wśród nich
ujrzała jakby w świe-

tlanej aureoli księcia Piękności z bajek o czarownicach,
księcia Niebieskiego z
zaczarowanych światów.

Nie miała jeszcze lat szesnastu, gdy już zaczęła o nim marzyć.
Pokazywał jej się, uśmiechał, błysnął swem barwnem
ubraniem i zniknął, ulatniał
się jak mały strumyk na słońcu.

Nie wiedziała jak się nazywał, ani gdzie mieszkał, ani czy był
blondynem, czy

brunetem, ten książę Niebieski jej marzeń dziewczęcych,
przekształconych na

marzenia dziewicze, ale wiedziała, że istniał gdzieś, na
szerokim świecie, może

bardzo blisko od niej, i czekała, aby go spotkać i powiedzieć:
— Otóż on, poznałam i kocham go!

Bardzo zresztą być może, że nigdy go nie spotka. Życie nie
jest krajem
czarownic.

Dinorah wiedziała o tem i była zdecydowaną na wszystko.

Otóż, jeżeli książę niebieski nie zjawi się przed nią, ten książę
z owych bajek,

które Wiktoryna i ojciec opowiadali jej tak często, wtedy
zostanie wierną

królowi piękna z cudownego kraju góry upojenia, niebieskich
ptaszek i

wysłanników miłości.

Noris miała upodobanie kołysać się w tej słodkiej żądzy
niemożliwości,

nieprawdopodobieństwa, zaczarowanych krajów i mrzonek.

Jej niebieski książę mógłby wcale nie być księciem, byleby
tylko zakochać się w

nim mogła.

I Noris czekała, uśmiechnięta, wciąż wiążąc węzełki

na krawacie Féraud i poprawiając mu kołnierzyk od tużurka,
dodając:

— Bądźże pięknym, chcę żebyś był pięknym, bardzo
pięknym...

— Czy jak niebieski książę? — pytał ojciec, bezwiednie
przysłuchując marzeniom
dziewczyny.

I oto, pewnego dnia, to dziecko, przekształcone w kobietę,
uczulo niepomiernie

wzruszenie na widok młodzieńca pięknego, pełnego
elegancji, nieco wyniosłego,

uprzejmego, którego spotykała u VÉRIGNONA od czasu do
czasu, i którego czuła na

swych policzkach spojrzenie wciąż wlepione, błagalne i ostre
zarazem.

Z początku, nie spytała nawet o jego nazwisko, a gdy jej przy
stopniowo coraz

większych jego nadskakiwaniach, wymieniono nazwisko:

Książę de Chantenay,

roześmiała się na głos, potem zbladła, trochę z powodu zimna,
które przebiegło
po jej żyłach, i niepomierne wzruszona, prawie omdlewająca,
wróciła do
mieszkania przy ulicy Brochant, powtarzając z pewnym
odcieniem obłędu wyrazy:
Książę de Chantenay!
Książę!... Może książę niebieski? Kto to wie!
Noris widywała go w ten sposób kilka razy, w tej otchłani,
gdzie jak wszyscy
olbrzymi chwili, milionerowie z wypadku, główni
redaktorowie przelotnych
dzienników, Vérignon, założyciel towarzystwa kopalni Sierra-
Fuente, przyjmował i
zapraszał cały Paryż, jeżeli nie świat cały.
Książę de Chantenay, piękny młodzieniec, bardzo będący w
modzie, którego ubranie
a nawet spinki u mankietów wprowadzały w zdumienie
reporterów z high lifu,
Chantenay, kwiat młodzieży, chętnie przyjmował udział

w tych zebraniach; artyści go bawili, finansiści mogli mu być
potrzebni.

Zabijał czas u Vérignona tak dobrze jak w resursie, a czy
kobieta nazywała się
panną Féraud czy Blanką Tripier, rozmawiał z równem
zadowoleniem jak z jedną tak
z drugą.

Podobały mu się nawet rozmowy nieco swobodniejsze: to mu
przypominało awanturki
zakulisowe w małych teatrach lub w lożach opery.

W dwudziestym trzecim roku "miał już dosyć" dziewcząt
renomowanych i kobiet
większego świata.
Vérignon musiał mieć jaki plan ukryty, zapraszając księcia na
swoje wieczory, na
których zdaniem kronikarzy, zbierał się cały Paryż.
Książę był bogaty, pokazywał się niekiedy na giełdzie, mógł
tedy zamarzyć o
jakiej operacji finansowej.
"Książę Beaumartel de Chantenay."
Pyszne imię dla wydrukowania go w prospekcie!
Wszak wszyscy uwielbiali księcia René'go.
Bywał wszędzie i u wszystkich, idąc do klubu, wstępował do
bankiera, wracając z
klubu, wyśmiewał tego, którego wizytował przed chwilą.
Co mu się najwięcej podobało u Vérignona, to ta piękna
dziewczyna, trochę
naiwna, dzika, ale interesująca i pociągająca, która
przychodziła tam wsparta na
ramieniu zgarbionego starca o siwej brodzie.
Tą piękną była Noris Féraud!
— Ależ to typ, ta mała! — mawiał książę o niej.
Mała była właściwie duża, wysmukłą jak statua Odrodzenia,
trochę szczupła,
wspaniała; włosy w puklach na

obu skroniach, według starej mody kobiet z czasów
pierwszego cesarstwa, dwoje
czarnych błyszczących ogniem oczu, prawie bezlitosnych w
owym uśmiechu, w

gruncie iednak dobrych i szczerých; nosek zgrabny, trochę za
długi z lekko

drgającemi nozdrzami, głowa brunetki iście arabska, usta
pełne i tak dziwnie

ponętą zdobne ironią.

Chantenay znajdował w tej fizyonomii trochę egzotycznej,
przypominającej cyganke

w stroju współczesnym, czar, jakiemu się oprzeć nie był w
stanie.

Czarowała go w niej przedewszystkiem zachwycająca
oryginalność postaci.

— Ta dziewczyna jest dobrej rasy! Dziewiętnaście lat, a
uczesana jak babka!...

Myśląc o niej, o tych czarnych niobach i tych głębokich
oczach, był podniecony

do tego stopnia, że gdyby to nie było śmiesznem, sądziłby, on
którego bałamucono

i który nigdy pierwszy nie sięgał po miłość, sądziłby, ie jest
zakochany po

uszy.

Zakochany?

W mieszczańczce, córce jakiegoś nieznanego prawie
pismaka, on który

odziedziczył po ojcu fantazyje miłosnych wybryków, córki
sceny albo kobiety

renomowane, modne; on, księżę René, kwiat szyku, jak go
nazywano w gronie baletu

i gdzieindziej, zakochany!

To szczególne.

Byłoby to nawet bardzo szczególne, gdyby nie było wprost
niemożliwe!

Oczywiście niemożliwe.

Bawił się sam tem osobliwszem uczuciem, irytującym jak
namiętność, którą
odczuwał marząc o tej pięknej sen-

tymentalnej dziewczynie, z łagodnym uśmiechem, a jednak
prawie gryzącym; być
zakochanym w tej małej, doprawdy można umrzeć ze
śmiechu!...

Że wracał do VÉRIGNONA mniej dla bankiera niż dla niej, że
słuchał Dinorę z
lekkim słodziuchnym drzeniem, jak przy fortepianie śpiewała
głosem głębokim i
przejmującym, że miał przyjemność rozmawiać z tą młodą
dziewczyną pocichu, a
nawet starać się ją odgadnąć, wpatrując się w jej głębokie
oczy; że ściśnienie
jej rączki ukrytej w metynce, sprawiało na nim wrażenie
nieprzewidziane i
rozkoszne zarazem — wszystko to przyznawał było dlań
prawdziwą przyjemnością i
rozdrażniało go nie żartem.

Ale od łaskotek tej przyjemności do głębszego uczucia było
daleko, Bogu dzięki,
i księżę Beaumartel de Chantenay, ten piękny dwudziestoletni
bywalec nie tak
łatwo da się złapać w sidła.

Co było ważniejsze, że Noris, mniej świadoma tego
specyjalnego fechtunku zwanego
bałamuctwem, znajdowała w widzeniu Renégo de Chanteney
szczególniejsze

zadowolenie, z początku naiwne, potem gorączkowe i
wzruszające.

Obcując ciągle z tym biednym bazgraczem felietonów, nigdy
jeszcze nie dała kroku

do innego świata, poza obrębem romansów i książek.

Wszystkie jej marzenia, wszystkie jej przyjemności były
wyłącznie literacko-
artystyczne.

Wieczory w teatrze, dnie w Luwrze.

Miesiące mijały na kopjowaniu starych bajek Eugenjusza
Féraud, które chciała

mieć w rękopiśmie, gdy je odda nakładcom, których nie
znajdował.

O życiu wiedziała tylko tyle, co ją nauczył ten stary dzieciak,
który sam nic o

niem nie wiedział; te artystyczne wieczory u Vérignona były
prawie debiutem

młodej dziewczyny, z której dumny Féraud zmuszał ją do
śpiewu, i zaraz z

miejsca, wyrazy pochlebstwa, z którymi zbliżył się do niej
młody książę, te

banalne madrygały, tak zwiędłe jak stary bukiet jakiej
baletnicy, wydały się

Noris czemś pachnącem i wybornem, to też powtarzała je
sobie w duchu płonąc

rumieńcem wstydu i obawy, tak jak wtedy, gdy do niej z tem
pachnidłem on

przystąpił.

Zresztą pochlebilo jej, że książę de Chantenay zajął się nią
więcej niż tyłoma

innymi pięknościami, tak sławnymi, aktorkami lub
śpiewaczkami, które zbierały
się u Vérignona wieczorami w salonie przy bulwarze
Hausmann, w tym salonie
wyzłoconym aż do przesady, całym w złocie, wyzłoconym
tak, że wszystkie chyba
kopalnie Sierra-Fuente musiały się złożyć na to wyzłocenie.
Dinorah wiedziała, że młody Cherubinek od czasu ukazania
się na wielkim świecie,
pociągał za sobą wszystkie serca i oczy.
Był dla Paryża tem, czem był kiedyś jego ojciec i miał lat
dwadzieścia.

Ta dynastia szykowców wyrastała na resztkach innych
dynastyi.

Kwiat szyku rozwinął się na szczątkach tego, co ongi lubiał
generał księżę de
Chantenay.

W wielkim salonie hotelu Chantenay, którego wysokie okna
wychodziły na klomby
parku Monceau, portret mężczyzny lat pięćdziesięciu w
mundurze generała, w
mundurze noszonym z elegancją, raczej jak frak wieczorowy

niż strój wojskowy, spoglądał wprost przed siebie oczyma
sztywnymi barwy blond
niebieskiej.

Twarz uśmiechnięta, wąsy blond, pozakręcane na obu końcach
i uchylające
ironiczny skład ust wązkich, złośliwych, ale bladych,
bezkrwistych.

Całe życie tego człowieka, jeszcze młodego, ale zuży tego
widocznie, żołnierza
wyblakłego przez bale nocne, nie zaś ogorzałego marszami,
zdawało się streszczać
w jasnych źrenicach, dziwnie zamyślonych, o spojrzeniu
zmęczonym.

Sztywny i wyniosły, ten generał dworak, łysy i zaczesujący
nioby blond włosów na
skronie, okazywał w portrecie, który nazywano wymownym,
rozpaczliwe znudzenie i
przesyt.

Można było odgadnąć w tym żołnierzu z szablą w pochwie a z
laseczką w ręku,

pewnego rodzaju klubowca znudzonego, gotowego z równie
zimną krwią grać w baka,

jak stawiać życie na kartę. Takim był ojciec.

Flandrin wymalował ongi ten portret, gdy generał ksiązę
Beaumartel de Chantenay

jechał do Drezna z poleceniem asystowania w charakterze
ambasadora dworu Francji

przy ślubie księżniczki saskiej z arcyksięciem austriackim.

Pan de Chantenay łączył w sobie wówczas, wbrew swej
pięćdziesiątce, która u

niego powinna byłaby się liczyć za wiek cały, wszystkie
warunki elegancyi

francuzkiej: coś wytwornego i wyniosłego zarazem.

Wielki pan o wykończonych manierach, mogący słuchać i
używać żargonu bulwarowego

a nawet przedmie-

ściowego, tak jak słuchał i używał żargonu myśliwskiego,
książę de Chantenay
przedstawiał w pięćdziesiątym roku życia skończony typ
francuza, któremu mówczas
zazdrozczono, którego wyróżniano i uwielbiano.
Trochę dyplomata, trochę żołnierz, odważny jak miecz,
którym tak władał, jak
piórkiem, w pięćdziesiątym drugim roku życia przyjął udział
w rozprawach
parlamentarnych.

Kandydat przyjemny i uprzejmy, przechadzał się po pałacu
Burbonów z właściwym
sobie wdziękiem, ale wkrótce znudził się powszedniością
polityki bieżącej,
znużony został ciągłymi ukłonami otoczenia, ożenił się dla
zabicia czasu,
pojawszy za żonę wielką damę z prowincyi bałtyckich, którą
znajdował piękną, a
która go porzuciła, i przyłączywszy się do służby czynnej przy
odgłosie wojny
krymskiej, wziął konia ze stajni sportsmańskiej, udał się za
marszałkiem do
Saint-Arnaud, przebywał z uśmiechem góry Alma, jak gdyby
był na zwykłej
przejażdżce i przy szturmie Małakowa, nazajutrz po
otrzymaniu wieści o przyjściu
na świat syna, stojąc na czele żuawów, padł z uśmiechem,
rażony cięciem miecza w
głowę i kulą w brzuch.
W ambulansie, dokąd go zaniesiono, książę de Chantenay
poprosił o lustro i
chciał się w niem przejrzeć.
Krew spływała z czoła po całej twarzy, zabarwiając mu wąsy.

Kazał przynieść sobie wody toaletowej, umaczał w niej chustkę, obmył ranę i napisał dwa listy, jeden do księżniczki, którą znał bardzo mało, drugi do syna, którego me znał wcale i którego nie miał znać nigdy.

Po zapieczętowaniu listów, upadł na łóżko polowe i zamknął oczy jak do spania.

Czuł, że jest zgubionym.

Jeden z jego starych przyjaciół z Afryki, pułkownik Robin, załączył mu życzenia głównodowodzącego wojskami.

— Podziękujesz mu za mnie, mój stary Robin — rzekł książę.

A cóż panowie

rosyanie? Nic jeszcze nie wysadzili w powietrze?

— Nie.

— Mogliby nas skrzywdzić. To ludek wściekły, ale waleczny.

Więc Małakow może się

dostać w nasze ręce? To warte baletu w operze. To więcej warte. Adieu,

Robineczku.

— Dowidzenia.

— Dowidzenia? Czyż przypuszczasz, że się jeszcze zobaczymy? E, braciszku,

zapomniałeś, że u nas: raz, dwa i po wszystkim.

Poważnie ozwał się tylko do swego chorążego, młodego markiza de Ferdys, który

leżał przy nim także ranny, z głową obandażowaną:

— Jedno mnie tylko martwi, mój drogi Ferdys. Zrozumiesz to jak przebrniesz

czterdziestkę: Bawiło by mnie może moje ojcowstwo, Syn,
mieć syna, to nie
powszednia rzecz! To musi być zabawne! Jeżeli przeżyjesz
mnie, mój stary Robin,
a mój malec urośnie, ty zaś Ferdys będziesz świadkiem jak mu
mleko z pod nosa
wąs wyruguje, powiedz mu niech żyje lepiej, jak księżę
Beaumartel de Chantenay
jego ojciec, niech jednak umrze jak on: czysty! A teraz,
pozwólcie mi zasnąć,
odpocznij drogi Ferdys.

Naprzeciw portretu tego człowieka, w takich samych ramach
złożonych, wisiał
obraz młodzieńca lat dwudziestu trzech, o smutnej bladości, z
oczyma zmęczonemi,
ale pełnego elegancyi ! wytworności, obraz malowany przez
Cabanela, zupełnie
odpowiedni jako pendant do portretu pędzla Flandrina.
W trochę wyniosłej postaci młodzieńca był jakby odbłask
elegancyi wyższej
zmarłego księcia.
Miał nawet takie same wstążeczki, sprzączki i nogi małe, ale
nerwowe jak u
młodego arabczyka.
Rysy jego nosiły na sobie cechy przedwczesnego znużenia i
mody, lubo w ustach
nieco czerwiejszych niż u ojca płynęła snąć krew,
odziedziczona po matce.
Kurtka starannie zapięta, wążka w stanie, bez tego
eleganckiego zaniedbania,

jaki widniał w stroju wojskowym jego ojca.
Kołnierz sztywny i wygięty według prawideł mody,
przestrzeganej widocznie ściśle
przez mistrza swego fachu.
Takim był syn.
Na ciemnym tle obrazu ksiączę de Chantenay domagał się
koniecznie, ażeby malarz
umieścił także herb rodziny Chantenay-Beaumartel, tak jak
jego stajenni
umieszczali go z piasku na podłodze stajni.
Książę miał słabość do tej ozdoby, jak do aureoli, to też
wszędzie w jego pałacu
można było spotkać "młotek złoty" herb Chantenay'ów, o
którym wspominają Albert
d'Aix i Guillaume de Tyr w ich Histoire des Crotsades.
Rodzina Beaumartel de Chantenay, wzięła sobie za godło
młotek złoty od chwili,
kiedy ich wielki przodek Engelbert ze szczytu pałacu
Salomona, w szesnasty dzień

lipca, dzień sabatu, "wymłócił" Saracenów przy boku Arnoula
z Roie i Roberta z
Flandryi, podczas pierwszej krucyjaty.
"Wtedy, pomimo tarczy Tankreda, która zakrywała
dziesiątkowanych, Engelbert
wytlukł jak zboże w polu złą rasę Saracenów i dzięki jego
ciosom, nawróciło się
dla oswobodzenia ziemi świętej, mnóstwo ludzi, którzy wołali
w swoim narzeczu:
Beaumartel kładzie nasze plecy i nasze głowy na kowadle dla
przeróbki, oszczędza

nas przez litość i jeszcze dziękuje." Ztąd przydomek beau
martel (piękny młotek)
został na zawsze przy panu de Chantenay.
Mały Rene znał dobrze ten szczegół dziejów, a jego mała
urękawiczniona ręka była
za słabą do podniesienia nawet owego złotego młota
należącego do Engelberta,
który spał już oddawna snem wiecznym.
W żyłach jego płynęła mieszana krew różnych rodzin, to też
do hardości
nieboszczyka wodza Gerarda, młody ksiączę dołączał chłód i
upór matki prawie
rosyanki, hrabiny inftandzkiej, pochodzącej także od wielkich
mistrzów
krzyżaków, wychowanej przez jakąś francuzkę w jej zamku
Wenden w pobliżu Rygi,
osoby dziwacznej, ze smutną melancholją jak mgła na Bałtyku
i z usposobieniem
zimnem jak szczyty śnieżne.
Księżna, o której wcale nie mówiono od chwili śmierci
generała, a która jednak
nigdy nieopuszczała Paryża, żyła z synem nie widując go
prawie, nudząc się i
śpiąc, paląc papierosy i marząc na kozetce, jak jedna z tych
rosyANEK, które
podobne są do zamrożonych kobiet ze Wschodu.
Księżna starała się obudzić względem siebie pewną

obawę ze strony syna, który jednak nie lękał się niczego ani
nikogo, prócz

namiętności i śmieszności, dwóch występków nie do
darowania jego zdaniem.
To był właśnie "niebieski książę" którego poznała Noris,
zestawiając go z królem
piękności, który przedstawiał się Florinie w bajkach z sercami
z rubinów
przyczepionych do łańcuchów z pereł.
Pokochała go odrazu.
Od razu zajął ją i poruszył, on, mówiący do niej językiem tak
nowym, wiedzący
wybornie jako wytrawny światowiec jakich miał. używać
wyrazów do niej i bawiący
się tem półromansem, który był dla niego antraktem w którym
rozmawia się bez
przymusu, bez żenady, dla zabicia czasu, zaś dla niej chwilą w
której drgają
wszystkie tętna duszy.
Powtarzał jej niejednokrotnie, z udaną szczerością, że radby
znaleźć okazję,
ażeby jej dać próbę prawdziwego przywiązania, wzrastającego
z dniem każdym.
Tak jest, jej, albo jej ojcu.
— Niech pani spróbuje, zobaczy pani.
— Mam nadzieję, że nigdy nie będę potrzebowała próbować.
Uśmiechała się wtedy.
On odpowiadał z wielką powagą:
— Nie wiadomo.
A gdy powtarzała ojcu słowa księcia, pan sekretarz główny
kopalni Sierra-Fuente,
kiwał głową znacząco.
— Dziwne to życie, Noreczko, nieprawdaż? Gdy potrzeba
czyjej pomocy, nie ma
nikogo! Właśnie dziś nie potrzebuję nikogo!

Dzięki Verignonowi mam posadę wyborną — doskonałą... i
znajduję pomoc czyją? oto
księcia! I jakiego księcia! Potęgę dzisiejszych czasów!
Od czasu uwięzienia nieszczęśliwego, Noris wspominała
często o tem, co mówił
Eugenjusz Feraud o księciu.

— Potęga!

Powtarzała sobie to słowo, jako ostatnią deskę ocalenia.
On mógł poprzeć, wstawić się za Eugenjuszem, pomódz jej do
założenia protestu
przeciw tak niesprawiedliwej karze.

Miała tylko w nim jednym zaufanie. Mówiła do siebie, że
człowiek jego

stanowiska, księżę — z opinią jaką posiadał — mógł,
powinien być w stanie

wszystko uczynić i wybawić z tych tarapatów biedaka,
którego zbeszczeszczono tak

okrutnie i niesprawiedliwie.

Myślała już o tem zaraz tam, w owym numerku w hotelu
Henryka IV, że pójdzie

wprost do pana de Chantenay.

Tak, będzie go błagała, ażeby zobaczył się z sędziami.

Ponieważ mówił tak często, że był jej oddany "całkowicie
oddany", wybiła właśnie

godzina, ażeby się o tem przekonać.

Dotąd niczego nie potrzebowała, o nic nie prosiła; zdawało jej
się, że

znaczyłoby to wątpić o niewinności oskarżonego.

Niewinność ta wyjdzie bezwątpienia na wierzch, sama przez
się, pewnego dnia w

obec sądu i licznego zgromadzenia widzów.
Była pewną, jak Feraud, że to będzie dzień tryumfu

i że on wyjdzie z całej sprawy z dumnie podniesioną głową.
Ale teraz należy poruszyć wszystko, ażeby tylko uzyskać
zmianę wyroku dla
oskarżonego.

Powiedziała sobie tylko, że nie wypadało jej przedstawiać się
w pałacu
Chantenay.

A jednak ileż razy jej powtarzał: "Chciałbym... tak chciałbym
panią przekonać,
ile mam względów, ile przyjaźni mam dla pani."

Ten wyraz przyjaźni, czyż nie ukrywał w sobie innego
uczucia, tak słodkiego, tak
przejmującego, tak rozkosznego, pomimo pewnego cierpienia,
którego głębi sama
przyznać sobie nie śmiała, ale które ją trapiło i rosło w niej
prawie obcesowo?

A potem, czyż miała prawo wahać się z udaniem do pana
Chantenay, gdzie od tej
wizyty zależała wolność jej ojca?

Nie miała w Paryżu ani krewnych, ani powinowatych.

Od wielu lat, przed poznaniem VÉRIGNONA, Eugéjusz Féraud
jako odludek,

znajdując dziwną rozkosz w ciągłym sam na sam z Noris. W
taki sposób nie można

mieć protekcji, a ten starzec sześćdziesięcioletni potrzebuje
teraz, ażeby go

protegowano, ażeby go podniesiono, jak dziecko upadłe.

Tego mógł dokazać książę de Chantenay, jeżeli zechce.

Dinorah przypomniała sobie teraz wyrazy, które jej pocichutku szeptał René, pomiędzy dwoma romansami, śpiewanemi u Vérignona, lub podczas, gdy dwóch muzyków

grało na fortepianie jaką niewydaną symfonię, jaką nową operę — przypomniała sobie serdeczność, z którą oświadczał jej się książę de Chantenay, siedząc za nią, pochylony ponad fotelem, na którym ona wachlowała się, marząc.

Noris nie wiedziała, co ją przejmuje więcej, czy muzyka, której słuchała, czy to, co szeptał jej książę tak łagodnym głosem.

Frazesy księcia jaśniej uwydatniały piękności melodyi, dolatującej ją z poza dwóch fortepjanowych świeczników; muzyka podkreślała z osobliwym czarem

galanterię salonową, z jaką występował pan de Chantenay.

I Noris, wzruszona, powracała na ulicę Brochant, pytając siebie, czy książę nie oświadczył jej wyraźnie, że ją kocha.

Nie, tego jej nie powiedział.

Byłaby zatrzymała wyznanie, zanim zdołałoby wyjść z ust jego.

Ale mówił jej, i powtarzał — słyszy to dotąd jeszcze — że jest całkowicie dla

niej oddany i słyszała ciągle, że ją błagał, ażeby rozporządzała nim bez obawy,

jeżeli kiedykolwiek...

Czyliż on mógł przewidzieć, że honor biednego człowieka
będzie pewnego dnia
zagrożonym? Czyż znał Verignona?
Co rozumiał księżę przez to, co mówił do niej? Nie chciała
zastanawiać się długo
nad tem; wiedziała, że może udać się doń i wypróbować tej
życzliwości, z jaką
się oświadczał.
Tak, ale tylko napisze. Dowierzała bardziej prośbie,
wyrażonej na papierze.

Nie śmiałyby nigdy powiedzieć mu oko w oko, podczas gdy
on spoglądałby na nią
swem kryształowo-niebieskiem wejrzeniem, wejrzeniem,
które ją pociągało ku
niemu, jak do jedynej istoty, do której miała zaufanie. Bała
się, ażeby nie
powiedzieć za wiele. Miała swoją tajemnicę, która mimowoli
mogłaby przy płynąć z
krwi serca do ust.

Tak — napisze. List nie mówi wszystkiego, ale mówi dosyć.
I Noris, pisząc, powtarzała sobie dla dodania odwagi, słowa
księcia:

"Nie masz pani lepszego przyjaciela odemnie!" Najlepszy!...
Innych nie miała biedna dziewczyna! A jeśli pan de
Chantenay nie odpisze!... Ale
odpisze, była tego pewną!

List, krótki, wymowny jak głos rozpaczy, wyrażał w niewielu
słowach sytuację w
całej jej nagości.

Noris szalona, Eugenjusz Féraud zmiażdżony wyrokiem.

Dwie istoty naraz rażone w samo serce tem uwięzieniem. I
obie niewinne! On i
ona, ojciec tak równie jak córka.
Teraz właśnie do księcia Beaumartel de Chantenay Dinorah
udaje się, zanim się
uda do innych sędziów niż tamci niegodziwi!
Była samą, osłabioną, napróżno patrzącą dokoła siebie,
szukając poparcia... I
przebaczyłaby nawet, tak przebaczyłaby nawet VÉRIGNONOWI
— pomnąc, że tam po raz
pierwszy spotkała księcia, przebaczyła mu niegodną awan-

ture, w którą wciągnął jej ojca, gdyby księżę de Chantenay
wierny swemu
przyrzeczeniu raczył przybyć na pierwszą wiadomość o
nieszczęściu.
Gdy skończyła list, oddała go starej Wiktorynie, która czekała,
spoglądając na
"panienkę", pieczętującą kopertę.
Biedna kobiecina podreptała jaknajszybciej do parku
Monceau; przyjęła z rąk
Noris ten papier, tak jakby przyjęła z rąk lekarza receptę i
biegła po zdrowie
uosobione w kilku napisanych wierszach.
Zdawało jej się, że ma w rękach zbawienie swego pana.
— Idź prędko, Wiktoryno, idź prędko.
Stara znikła.
Noris widziała ją jak przechodziła po nocy uliczki skweru, aż
wreszcie została
samą, wróciwszy do stołu i patrząc na puste miejsce, które
zająć miał jej

ojciec!

Była osłabionąPod blaskiem lampy, która ją oświetlała
matową białością z
rozpiętymi włosami, ukryła twarz w dłoniach i łkając, na
widok tego obrusa, na
którym Wiktoryna zastawiła obiad dla tego nieszczęśliwego,
który siedzi teraz w
Mazas i któremu usługuje jakiś hardy odźwierny, płakała,
coraz bardziej mięknąc
i prawie tonąc we łzach.
I w tem odosobnieniu, które jej się wydało zupełnem
sieroctwem, ta piękna
istota, w swych płaczach i jękach, nie miała na ustach nic,
prócz tego smutnego
i słodkiego wyrazu rozpieszczonego dziecka, który
wymawiała z głębi bólu jak
dawniej z głębi kolebki:
"Papuś!.. Mój biedny papuś! Papuś!..."

I zdawało jej się, że on ją usłyszy, że usłyszy to wołanie
dziecka, na które
dawniej przybiegał w obawie, czy nie zachorowało, i że drzwi
otworzą się nagle,
on wpadnie, porwie ją w objęcia, przyciśnie do łona, ucałuje w
czoło i zawoła:
— Jestem, jestem! Co tobie? Czy ci kto co złego zrobił,
Noreczko?
Biedny Eugenjusz Féraud; czy też go kiedy zobaczy?

IV.

Stara służąca wróciła po upływie godziny zgnębiona, "z krwią świętą lodem" jak mówiła.

Księcia de Chantenay nie było w pałacu. Jego ekscelencya nie będzie przez cały wieczór. List odbierze zaledwie jutro rano.

Odźwierny pytał się Wiktoryny, czy tu chodziło o pomoc.

— A więc tak o pomoc — odparła.

Wtedy, odźwierny roześmiał się doń znacząco.

Nudzono już za często księcia temi prośbami! Gdyby pan de Chantenay chciał wspierać wszystkich, co chodzą po prośbie, nie starczyłoby mu jego majątku.

Przyjęto list "panienki" za prośbę żebraczki! O, jakże głupi są ci odźwierni!;

Noris, słuchając tej relacyi, przyznawała w duchu, że

bądź co bądź i ona postąpiła sobie jak ci samotnicy uliczni.

Musiała dać za wygraną dumie i poniżyć się do prośby.

Bądź co bądź jednak, pragnęła, ażeby zanim rezultat sprawy zostanie ogłoszony w

dziennikach, pan de Chantenay przeczytał ten list, leżący może teraz

najspokojniej w kantorze szwajcara.

Dzienniki! Prawo! Sprawa Verignona i innych.

Cóż za rozpacz dla niej, jeżeli jutro rozłożywszy ten papier, w każdym niemal

wierszu spotka nazwisko swego ojca lub przeczyta wyrok sędziów, z całym przebiegiem badań.

Skazano na więzienie człowieka, który miał przed sobą
zaledwie pewność
materyalną na kilka lat życia, tego galernika literackiego,
który po tyloletnich
trudach mógł rachować wyłącznie na swoje dawne a tak skąpe
oszczędności!...

Dinorah uważała taki wyrok za nikczemny, ale Bogu dzięki,
nie ostateczny —
wmawiała w siebie.

Po nocy bezsennej, spędzonej samotnie w całym mieszkaniu,
Noris wstała, z
gorączkowym niepokojem, oczekując na odpowiedź pana de
Chantenay.

Cały ranek przeszedł na czekaniu i na odczytywaniu
sprawozdań o przebiegu
procesu i wyroku.

W południe na nalegania starej Wiktoryny, Noris siadła do
stołu i zaczęła jeść
skwapliwie.

Spieszyła się do Mazas. ażeby spróbować, czyjej się nie uda
porozmawiać z ojcem.

Gdyby jej pozwolono, częstoby odwiedzała ojca w więzieniu.
Wszystko, co od niej by zależało, chętnie oddałaby ojcu,
gotowa nawet podzielić
z nim zamknięcie, gdyby zgodzono się na to!
Czekała jednak jeszcze przez chwilę, spodziewając się
przybycia listu od księcia
de Chantenay.

Musiał już przeczytać to co mu napisała.

Czas przechodził; Noris zdecydowała się odjechać.

Ale przy drzwiach więzienia w Mazas, napotkała nieprzewidziane trudności.

Nie tak jest łatwo widzieć się z więźniami.

— Czy pani ma pozwolenie?

Nie, nic nie miała!

Przyszła ot tak, zwyczajnie, i miała szaloną potrzebę rzucenia się na szyję

starca i powiedzenia mu, że gdyby go nawet cały świat

porzucił, ona zostanie

zawsze przy nim.

I na to potrzeba było pozwolenia!

Odwiedzać więźniów można było tylko trzy razy tygodniowo.

— Niech pani poda prośbę. Odpowiedź otrzyma pani niebawem.

— Ale dzisiaj...

— O, dzisiaj, niepodobna!...

— Ależ to mój ojciec... Chciałabym widzieć się z moim ojcem!

Noris dostrzegła po ironicznym uśmiechu woźnego, z którym rozmawiała, że

"ojcowie" w Mazas, są takimi samymi więźniami jak inni.

A więc nie ona jedna przychodziła błagać o pozwolenie widzenia się z

krewnymi!...

— Podaj pani prośbę, mówię pani.

Prośbę, jak do pana de Chantenay!

I czekać znowu na odpowiedź i widzieć jak czas ucieka i nie móż skrócić

więźniowi straszliwych chwil wspomnienia!...

Tak więc musi zostać żebraczka. W tem morzu ludzi trzeba samej jednej bronić się, rzucać, miotać, a w tłumie, któż usłyszy jej prośby? Wszak nie wysłuchał jej nawet on, książę! Wszak dotąd nie odpowiedział na jej pismo! Tyle pokładała w nim zaufania! To strącało Noris ze szczytu jej marzeń. Ale czy tylko czytał list? Czy był w Paryżu? Sama udałaby się do pałacu de Chantenay, gdyby miała śmiałość po temu. Przynajmniej wydano jej pozwolenie widzenia się z ojcem. Udało się jej ujrzeć go po raz pierwszy, w więzieniu. Było coś rozdzierającego w rozmowie tych dwojga istot, oddzielonych od siebie kratą, zamkniętą na kilka spustów. Noris widziała w głębi ponurej zakratowanej izby postać starca zboląłą i znekana. Chciała go pocałować, ale przesła kraty nie pozwalały jej tego uczynić. Wtedy, pocieszała go, mówiąc doń czule i otrzymując w zamian odpowiedź, pełną zgnębienia i rozpacz:

— Wiesz dobrze, że jestem niewinny! Nie potrzebujesz rumienić się za mnie! To вина tego łotra VÉRIGNONA. Ja nie wiedziałem o niczem, byłem... jestem... za głupi!!... Tak, tak, jestem starym głupcem!... tak!... niestety!..

Odwiedzała go możliwie najczęściej, idąc do więzienia z takim uczuciem, jakby szła na cmentarz.

W takie dni prosiła Wiktorynę o przygotowanie jakich słodczy, które wręczy odźwiernemu lub stróżowi więziennemu, a ten za pieniądze wręczy je ojcu od siebie.

Chociaż czy to mu życie w więzieniu osłodzi?

Wszak jego jedyną myślą było wznowienie sądu! udanie się do apelacji.

Jego adwokat mówił mu przecie, że w apelacji wygra sprawę i zostanie uniewinniony.

— I ja jestem tego pewną — dodawała Noris.

Uczuwała jakby zaparcie oddechu, gdy wchodziła do tego więzienia, w którym powietrze było zgęszczone, cuchnące, zaledwie wstępu tego pozbawiał ją stuk otwierającej się celi ojca i spojrzenia żołnierzy, siedzących wzdłuż korytarza więziennego; zdawało jej się, że przebywa sen ciężki i męczący.

Przechodziła przez podwórze czworokątne, na którym wysokie kraty przerażały ją już jak tortury.

Bluszcz i dzikie wino smutnie zacieniały okna mieszkania dyrektora.

Nawet lilie ze swym ironicznym powabem, zdawały się rosnać z pewnem przygnębieniem.

Przy drzwiach głównego korpusu, Dinorah przedstawiła
pozwolenie — ten kawałek
papieru, który jej dawał dostęp do rozmównicy więziennej
trzy razy na tydzień,
to jest w niedzielę, we wtorek i we czwartek.
W inne dni widywała się z nim tylko za pozwoleniem
nadzwyczajnym i to w
rozmównicy, tem jedynie różniącej się od pierwszej, że tamta
była na dole, ta
zaś na pierwszym piętrze, i że w okienku, przez które
rozmawiała z ojcem, nie
tkwiły gęste kraty.
Tu Noris mogła dotykać starca, którego głowa zdawała jej się
bardziej chudą i
ramiona bardziej zgarbione w tej wązkiej klateczce,
urządzonej jak konfesyonał.
Siadała naprzeciw niego na ławeczce ruchomej, pomalowanej
na kolor czekoladowy,
jak szubienica, a przytykając swą bladą głowę do chłodnych
żelaznych ram
okienka, starała się dosięgnąć końcem swych ust do źle
wygolonych policzków
biedaka, gdzie spijała nieraz grubą łzę, spływającą z jego
zarumienionych
bezsensownością powiek na siwą brodę.
Wizycie Noris towarzyszyli woźni w zielonych tunikach z
białymi guzikami, którzy
w ciągu półgodziny, stosownie do przepisu pozwalali
rozmawiać córce z ojcem, a
raczej słuchać go i płakać i płakać z nim razem.
Nieraz, przez okno, wychodzące na tyły więzienia, Noris
spozobrzała więźniów

samotnych, spacerujących wśród wysokich murów, po
ścieżkach ogrodu, w którym
stróże, lub ogrodnicy sadzili warzywa.
Domy wysokie, domy, w których można było być
swobodnym, wyglądały z oddali,
rysując się na tle nieba po za murami więzienia.

Noris miała chęć zamieszkać w jednym z tych domów, ażeby
przez otwarte okno
mogła z oddali bodaj odszukać postać ojca...
Ten horyzont wolności, powietrza, nieba, dopełniającego
pewien rodzaj pudła, w
którym zamknięto nieszczęśliwego, obudzał w biednej
dziewczynie chęć do płaczu,
i w takich chwilach odrywała się od ojca, nie mogąc nic
więcej powiedzieć! jak:
— Do widzenia! do widzenia!
Drzwi celi otwarły się i zamknęły za ojcem.
Noris po wązkich schodach szła na dół do drzwi wchodowych.
Nie wiedząc jak i kiedy znajdowała się na dworze.
Rzucała ostatnie wejrzenie na te ściany z kółkami otworami,
które w nocy
zapalały się, jak oczy i gasły o oznaczonej porze, i starała się
przytem przez
okna celek odgadnąć, w której zamknięty jest Feraud i płacze
pewnie z głową
wspartą na dłoniach, w chwili, gdy i ona ociera oczy
nabrzmią łzami, ażeby
przechodni tych łez nie dostrzegli.
I cóż ona opłakuje, jeżeli on jest niewinny?
Trwało to aż do rana następnego!...

Z więzienia Noris unosiła za sobą, jakby gorzką radość!
Widziała go; rozmawiała z nim!
Rzuciła mu przez łązy i łkania niejedno słowo otuchy!...
Przyzwyczała się do tego życia. Treścią jego, jego całym
marzeniem było Mazas,
a cała jej egzystencja płynąca zwolna, wegetująca za ledwie,

złamana, była ściśle związaną z więzienną celą o wilgotnych
murach, mieszczącą
się w Oddziale -szym pod Nr. .
Noris po tych odwiedzinach wracała nieraz piechotą, padając
ze zmęczenia, ażeby
tylko po powrocie móżdż zasnąć, co jej się tak rzadko udawało!
Była to jakby walka pomiędzy nią i jej rozsądkiem,
przepełnionym chorobliwymi
widziadłami, w których książe de Chautenay stawał równie
często, jak Feraud.
Od czasu skazania ojca, była w gorączce.
— Niech panienska się oszczędza! — mówiła jej nieraz
Wiktoryna.
Dinorah wzruszyła ramionami:
— Na co się to przyda?
Chciała zasnąć i nie przebudzać się nigdy.
Jeżeli ojciec nie żył, ona także pragnęła śmierci.
W dziewiętnastym roku życia już jej ciążyło!
Była w stanie niesmaku, nie ledwie przesytu!...
Uparte milczenie, prawie impertynenckie ze strony pana de
Chantenay powiększało
jeszcze zgnębienie Noris.
Nie chciała już myśleć o nim, pamiętać tylko o ojcu, a jednak
zachowanie się

księcia, który tak mimowolnie zjawiał się w jej widzeniach,
trapiło ją
niepomierne.
Przyzwyczała się liczyć na niego. Za trudno jej było pozbyć
się tego złudzenia,
które stało się już więcej, niż fantazją, stało się — miłością!...
Pewnego wieczoru wracała ku domowi, krokiem ciężkim, jak
istoty zbolące, gdy
przechodząc przez jedną z ulic, której nazwisko, ulica
Florencyi; odczytała
pomimowoli — przed jednym z dużych gmachów dostrzegła
szereg karet i powozów, w
liczbie których wypadkiem wpadł

iei w oko wolant, opatrzony herbem księcia de Chantenay:
młotkiem złotym, z
dewizą: Moul't Fier, mutt fiert.
Noris, wiedziona przecuciem, badała ten gmach szeroki, z
którego wychodziły,
zawinięte w futra, jak z sali koncertowej, różne postrojone
osoby i pospiesznie
wsiadały do oczekujących je powozów.
Był to zakład wodo leczniczy doktora Siercka, wielkiego
poskramiacza anemii i
newralgii: — cały Paryż próbował jego kąpieli.
Książę de Chantenay był tam także.
Jeżeli Dinorah pragnie go widzieć, zapytać go dlaczego w tak
okropnej chwili jej
życia nie otrzymała odeń żadnej odpowiedzi, powinna była
tylko poczekać.

Zatrzymawszy się machinalnie, raz jeszcze odczytała starą dewizę; poczem, krępowana obecnością furmanów, wesoło rozprawiających między sobą o słabostkach swych panów, już chciała się oddalić, gdy nagle, odwróciwszy głowę poraz ostatni na główne drzwi gmachu, dostrzegła wychodzącego księcia, który na progu zatrzymał się dla zapalenia cygara. Mimowolny ruch, który ją wstrzymał, a potem skierował ku księciu René, był silniejszy od rozwagi. Znalazła się tuż przy księciu, jak gdyby mu chciała zagrozić wyjście, a że uśmiechnęła się doń z zakłopotaniem, sądził, że właśnie czekała tylko na niego. — Panna Feraud! — zawołał głosem zdziwionym i znudzonym. Po tych słowach, skinął na chcącego zajechać woźnicę, ażeby się zatrzymał.

Chcąc się okazać uprzejmym, ułożył usta do uśmiechu i rzekł: — Czem mogę pani służyć? — Pragnę z panem pomówić, korzystając z nadarzającej się sposobności. — Jakto, więc pani jest tu tylko wypadkiem? — Tak, przechodząc spostrzegłam pański ekwipaż i herby.... — Ach! — odrzekł, spojrzawszy na nią swym zmęczonym wzrokiem. Znalazł ją piękną, bardzo piękną, w tym płaszczyku do figury, z tą matową

bladością, cudnie odbijającą od czarnego stroju.

Powóz podjechał....

— Jedź za nami! — rzekł książę do furmana. — Czy pani to nie robi różnicy, że

się przejdziemy trochę? — zapytał Noris.

I podczas, gdy powóz jechał za nimi noga za nogą, René szedł obok Noris ku

parkowi Monceau, z upodobaniem badając tę piękną dziewczynę, która ozwała się po chwili:

— Pisałam do pana; dla czego mi pan nie odpisałeś?

— Ale, droga pani....

Szukał zdania, prawdopodobnie jakiejś przyczyny,

— Wszak pan wie, że mój ojciec jest niewinny?

— Jestem przekonany o tem.

Skłonił się z salonową uprzejmością, jakby mówiono mu o fakcie, którego

rzeczywistości nie miał bynajmniej ochoty zaprzeczać.

— A więc, książę — spytała Noris — jakże mam teraz postąpić?

René spojrział na nią z serdecznym zdziwieniem.

Ona, pytając go, spoglądała nań swym przejmującym wzrokiem cyganki, bardziej

błyszczącym jeszcze przez wzruszenie, i badała wymuszony uśmiech księcia,

widocznie znudzonego tem spotkaniem.

Jako jednak prawdziwy salonowiec, książę wysiłał się, ażeby znudzenia tego

niczem nie zdradzać.

— Posłuchaj pan — rzecze Noris — pojmuję dobrze dla czego wahałeś się pan z odpowiedzią; ale jeżeli miałam śmiałość napisania do pana, to jedynie tylko upoważniona naszymi rozmowami poufnymi, owymi obietnicami ze strony pana, których nie mogłam zapomnieć.... Chociaż jestem paryżanką, nie znam nikogo w Paryżu... Przysięgam, że całą nadzieję pokładam w panu jedynie! To, o co pana mam prosić, jest kwestią życia, albo śmierci mojej!

— Pani?

Chciał powiedzieć coś złośliwego, ale powstrzymał go przejmujący wzrok Noris.

Jakto? pomyślał: — czyż i ona także miałaby się dostać do ciupy?

A to piękna historia!

— Mówiłeś mi pan przecie, że nie mam lepszego przyjaciela od pana!

— Tak — odparł René. — Przypominam sobie, mówiłem to pewnego wieczoru u Vérignona....

Przybliżył się do towarzyszki, machinalnie ujął jej ramię, już to z

przyzwyczajenia, już z galanterii, i tknięty

jakimś złym zamiarem szepnął jej z wolna, ze słodyczą w głosie, przeciągając każdy wyraz:

— Mówiłem to i powtarzam to dzisiaj raz jeszcze. Noris kochała go zanadto, ażeby

mogła odróżnić fałsz
od prawdy w tem, co mówił do niej znudzony salonowiec; w
głosie jego przebijała
się ta zwykła miłość, jaką uczuwał dla wszystkich
otaczających go kobiet.

Noris w jego pieśczośliwym dźwięku odnalazła nagle
wszystkie swoje mrzonki,
ziszczanie wszystkich snów swoich.

Szli tak obok siebie, nieraz potrącani przez przechodniów na
trotuarze, Noris
widziała jego jednego tylko, zapomniała o całym świecie, o
ulicy, o powozie,
jadącym zwolna za niemi i zdawało jej się, że na ziemi jest
tylko z nim jednym.

— A więc, jeżeli pan jesteś prawdziwym przyjacielem, jak
mówisz... jeżeli masz
pan dla mnie dotąd dawną sympatyę, przekonaj mnie pan, żeś
się dotąd w niczem
dla mnie nie zmienił.

— Czegóż pani wymaga odemnie?

Wiedział dobrze, czego ona pragnie. Pytał jednak umyślnie,
ażeby przedłużyć
rozmowę. Złe plany snuły się mu po głowie. Od słowa do
słowa przyszło do pół
wyznań. Wyrazami miłosnemi pobudzał wybuch namiętności.
Noris została porwaną jego wymową, a że oświadczał jej się z
zupełną przyjaźnią,
cieszyła się w głębi duszy, że może kochać tego, który jej
miłość wyznaje.

Uważała za bardzo naturalne, udać się w nieszczęściu do
księcia, tak, jak nie
zdziwiłoby ją wcale, gdyby on

udał się do niej, będąc w jakim niebezpieczeństwie, jeżeli naturalnie ona, biedaczka, mogłaby w czemkolwiek pomódz lub w jakikolwiek sposób obronić księcia de Chantenay.

To też odwoływała się od wyroku sędziów do przyjaźni księcia; pomocy jakiej potrzebowała w swem osamotnieniu, pragnęła oczywiście od tego wielkiego pana, który znając zarówno Vérignona jak Férauda, mógł zaświadczyć o niewinności skazanego....

On zaś zachwycony łatwością, z jaką wkradał się w serce dziewczyny, i znudzony zarazem dachówką, jaka nań spadła przy wyjściu z łaźni doktora Siercka, uzbroidł się w powagę, dawał rady iście ojcowskie, pełne namaszczenia.

Należało przecież, ażeby panna Feraud o jednej rzeczy pomyślała z rozwagą i sumiennnością: mianowicie, że wyrok wydany na jej ojca zmieniał położenie i stanowisko córki.

— Mówmy rozsądnie — rzekł René. — Przyrzekłem pani moją pomoc. Przyrzekam ją zawsze.... Ale dziś, to już niejest to, co wczoraj, i....

— Prawda — odparła Noris — dziś jestem nieszczęśliwszą, niż wczoraj!

— Ojciec pani jest niewinny, wiem o tem, jestem tego pewien, przekonany zupełnie, ale przecię....

Spuścił głowę i powtarzał z widocznym wymuszeniem wyrazy:

— Przecie, przecię....

— Przecie — przerwała nagle Noris — chcesz pan powiedzieć, że przecie nie wszyscy mogą uwierzyć w je-

go niewinność? To prawda? Ale przecie nie mnie, jego córce, ośmielą się to powiedzieć w oczy, a nawet dać mi do zrozumienia, że tak przepuszczają! On jest niewinny, zupełnie niewinny, więcej jak niewinny, jest męczennikiem. O, ja przekonam o tem.

— W jaki sposób? — zapytał ksiązę. Zatrzymał ją nagle, bystro mierząc ją oczyma.

— Jeszcze nie wszystko skończone — zawołała Noris. Jest jeszcze druga instancją, można apelować!

— Doskonale. Niejestem bardzo obeznany ze zwyczajami sądowemi, ale wiem, wiem...

— Wyrok zostanie obalony.

— Tem lepiej! Życzę pani tego z całego serca.

To, co mówiła doń Noris, zajmowałoby go o tyle, o ile wymagała przyzwoitość, gdyby biedne dziewczę, zamiast być przyjaciółką, była jedną z tych samotnic, o których, wspominali mu lokaje z pałacu de Chantenay. W gruncie rzeczy, rozmowa ta przykrą była dlań od samego początku.

Te zwierzenia i te skargi nie mogły do niczego doprowadzić.

Oto teraz prosiła go już, ażeby jej dopomógł w apelacji...
Co za myśl!... Było to co najmniej za śmiałe.
Ależ on nie słyszał nic o tych manipulacjach sądowych, nie
miał o nich
najmniejszego wyobrażenia! Nienawidził procesów i
próżniactwa.
Rodzina Beaumartel de Chantenay dochodzi swych krzywd
mieczem, nie zaś togą, a
urzednicy rządowi nie stąpili nogą w jej progi.

Nie powinna wcale rachować na niego.
Zresztą, niewinność czy prędzej czy później, zawsze
zwycięży, pomyłki sądowe
zdarzają się tylko w romansach lub sensacyjnych dramatach.
W takich zapewnieniach, w których przebiegłość paryżanina
łączyła się z
uprzejmością światowca, Noris powoli dopatrzyła się
pewnego odcienia ironicznej
pogardy.
Coś jakby lód spadał jej na plecy wraz z temi zwykłemi
wyrazami otuchy:
"Cierpliwość... odwaga... rezygnacja..."
Rezygnacja? Ona? Wobec tej krzyczącej niesprawiedliwości?
Córka tego biednego starca poprowadzonego do sali sądowej,
jak baran na rzeź,
miałaby przyjąć bez opozycji, bez walki tak straszną
bezlitosność wyroku?
Ależ za kogo ją miał książę de Chantenay?
Czyliż nie wiedział, że istnieje zarówno honor mieszczański,
jak szlachecki,

albo raczej, że nie ma dwóch gatunków honoru, i że córka
bazgracza romansów nie
może przystać na taką hańbę, zarówno jak nie przystałby na
nią syn generała
księcia de Chantenay?
Opuściła go w tem wzburzeniu sumienia, pod wpływem
wistocie nazbyt pogardliwej
uprzejmości Renego.
On wsiadł do powozu i kazał się wieźć do swego pałacu.
Podczas, gdy powóz unosił go w kierunku parku Monceau,
myślał nie bez pewnego
drżenia o tej pięknej, bladej twarzyczce, o tych czarnych
kędziorkach,
błyszczących oczach i namiętne poruszeniu różowych
usteczek.

— Mogłem być co prawda być oględniejszym! — myślał
książe: — trzeba jej było
powiedzieć, że zajmę się szczerze losem jej ojca!..
Noris miała chęć do płaczu, wracając na ulicę Brochant.
Nie znalazła u Reného tej prawdziwej przyjaźni, jakiej
spodziewała się dotąd.
Mówił do niej od czasu do czasu, pomimo całej grzeczności,
jak do obcej.
Nie mógł przypuszczać przecie, że ojciec jej słusznie został
skazany! Wszakże go
znał, wszak znał dobrze Eugenjusza Féraud.
Dlaczego, jeżeli wistocie ma dla niej choć trochę sympatii,
nie odpisał odrazu
na jej prośbę?

Dlaczego nie powiedział jej tego, czego tak pragnęła:
"Wszystko, o co pani prosi
dla swego ojca, zostanie spełnione!"
Była tak zgnębioną, cała jej postać przedstawiała obraz takiej
rozpaczy, że gdy
wróciła do domu, Wiktoryna spytała ją z przestrawieniem.
— Co się panience stało, o mój Boże!
— Nic. Nastąpiło to, co miało nastąpić, kiedy się jest w
nieszczęściu, nie ma
się przyjaciół.
A jednak, ileż nadziei pokładała w tej życzliwości księcia de
Chantenay!
Musiała się pewno nie zastanowić dobrze nad tem.
Pozwoliła sobie zapuścić się coraz głębiej w te marzenia
młodej dziewczyny, nie
powiedziawszy sobie tego, co przedewszystkiem powinna
była sobie powiedzieć: że

nie należał do tego samego świata co ona, że miłość pomiędzy
nim a nią była
niemożliwością!
Tak, niemożliwością! Ale ona go kochała!
I teraz dopiero, wobec całej grozy osamotnienia, uczuła, że
kocha.
Boleść dała jej poznać, że ta tłumiona, nieznana miłość jest
niestety faktem!
Dawniej była szczęśliwą, gdy szła do Verignona, gdyż
spodziewała się jego tam
spotkać.
Wieczór spędzony w jego obecności był dla niej nieopisaną
rozkoszą.

Unosiła, powtarzając je sobie w myśli, te wyrazy tak słodkie,
tak słodkie i tak

dla niej wzruszająco nowe!

Książatko! Mały Chantenay! Gdy mówiono o nim,

prześcigano się w pochwałach dla

jego elegancyi, zwodzenia kobiet, a nawet sposobu jego
wyrażeń.

Ona znajdowała go wistocie zachwycającym, nie analizując
niczego, poprostu

dlatego, że się jej podobał.

Tak, kochała go.

Powtarzała to sobie nawet teraz, wsparta o framugę okna i
bezmyślnie patrząca na

skwer, którego zmierzch pokrywał jakby szarym woalem.

Noris patrzyła przed siebie, przybita, wmawiając w siebie, że
ponieważ książkę

nie przyjdzie jej z pomocą, wszystko się dla niej skończyło:

nikt, nikt jej nie

da poparcia!

I uczuła przerażającą grozę opuszczenia, która wzrastała
wobec tej smutnej

szarości zmierzchu.

Cień zapadał na pusty skwer, gdzie drzewa obnażone

jeżyły się poza wyciągnięciem w równej linii niskiem
ogrodzeniem.

Z tyłu, w oddalonych domach zapalono światła; dym
lokomotywy wychodząc z głębi

kolejowego toru, tłukł się w szarości wieczoru, a do uszu

Noris dochodziły

odgłosy świstów, po których pociągi uwoziły pasażerów.

Wtedy przychodziła jej myśl ucieczki, chęć odjazdu bodaj na kraj świata.

Ten świst przerażająco piskliwy, był dla niej jakby hasłem do odwrotu.

Ach jakże chętnie opuściłaby Paryż, w którym czuła się tak strasznie samotną i

zgnębioną, ach, jakże chętnie wyjechałaby, z jakąż szaloną radością, gdyby miała

jeszcze przy sobie tego biednego ojca, którego jej najniesłuszniej porwano i uwięziono!

Tak więc, nie trzeba było liczyć na pana de Chantenay.

Gdyby jej to powiedziano dwa dni temu, nie uwierzyłaby za nic.

Dotąd jeszcze nie wierzyła temu!

Bo może, spotkany tak znienacka, był raczej zażenowany jej obecnością, aniżeli nieżyczliwy.

Przypomniała sobie, że bądź co bądź, starał się być uprzejmym.

Raz nawet ręce ich spotkały się pomimowoli.

Starła się przypomnieć sobie ostatnie wyrazy, które do niej powiedział.

Nie było to pożegnanie uschłe, była to raczej otucha.

Teraz dopiero przypomniała to sobie.

Wszak nie mogła się mylić co do znaczenia owej rezygnacji, do której zachęcał ją pan de Chantenay.

Gdy mówił jej o "odwadze" może chciał dodać, że nie opuści Eugenjusza Féraud.

Noris w ten sposób, pod wpływem rozpaczy, pobudzała nadzieję. Natura jej zresztą potrzebowała jakiejś nowej otuchy i pociechy. Musiała ufać i wierzyć... kochała go, tak kochała go przecie nazbyt ażeby mu nie wierzyć, nawet wtedy, gdy dostrzegła, że waha się wobec zrobienia jej przysługi, o którą dopominała się w imię jego życzliwości. Była szczęśliwą, szczęśliwą aż do wydania okrzyku szalonej radości, gdy nazajutrz, Wiktoryna, otworzywszy drzwi wchodowe na odgłos dzwonka, wróciła do niej blada ze wzruszenia, i zameldowała przybycie księcia de Chantenay. Biedna staruszka chciała nawet zameldować "Jego Ekscelencya", ale słowa zamarły jej w ustach i wymówiła tylko "Jego Eksc. Eksc." Noris, słysząc to, zrozumiała, odgadła wszystko. Wstała z krzesła, na którym, siedząc przy małym bióreczku, pisała do ojca, i drżąc z radości, zwróciła się do wchodzącego Reného i rzekła doń z wybuchem:

— Wie pan, czekałam na pana!
— Doprawdy?
— Doprawdy!
— Zgadłaś pani, że przyjdę?
— Byłam tego pewną!... Nie mogłam przypuszczać, ażebyś mnie pan zostawił samą, po moich wczorajszych, zwierzeniach!

— Tak?... miałaś pani słuszność, od wczoraj myślałem tylko wyłącznie o pani!...

— A o nim?

— I o nim także. Przejrzałem całą sprawę z uwagą. Wyrok zostanie rozbity jak szkło...

— Tak pan sądzisz? Wierzysz pan w to, nieprawdaż!

— Jestem tego pewny.

Ona była szczęśliwą, on — zachwycony. Spoglądał na tę piękną istotę, której wielkie oczy chciały go pochłonać, niejako z rozrzewnieniem. Wyraz zadowolenia przebiegał jej po twarzy, a w biednym mieszkanku Batignolles, przybycie tego księcia, którego konie parskwały na bruku, wydało jej się przybyciem zwiastunów szczęścia z owych bajek czarodziejskich...

Książę Piękny, gotowy do wynurzeń i przybyły po to, ażeby ocalić biednego

Féraud!... Spoglądała nań z naiwnym zachwytem — on zaś, siedząc na fotelu,

rzucając okiem na stare ryciny, szkice, cacka fajansowe lub książki, na cały

zbytek artystyczny starego bazgracza romansów, mówił z uśmiechem, trzymając

kapelusz na kolanach, z nogą skrzyżowaną na nogę.

— Ależ tu bardzo ładnie! Słońce! kwiaty!... Bardzo ładnie!...

Prześlicznie!...

Dodawał tylko, rozglądając się dokoła z monoklem w oku, że ci szkaradni

sędziowie mogli byli Coprawda przyjść tu na wybadanie ojca Feraud.

Ciekawa rzecz, gdzieby tu mogli znaleźć owe miliony

akcyonaryuszów kopalni Sierra Fuente, chyba w
siennikach?...

On jednak, księżę Beaumartel de Chantenay, nie na rewizję
przybył do mieszkańca
starego pisarza.

V.

Typ to niezwykły ten dwudziestotrzechletni księżę, który
nadawał ton Paryżowi,
wymyślał modę, stanowił o szyku, decydował o całym
kodeksie: "wypada i nie
wypada. "

Wszyscy debiutanci naśladowali go, prześcigając się w
noszeniu strojów podług
jego metody, tak jak uczniowie konserwatorium starają się
pochwyć ton głosu
modnego bohatera opery.

Kronikarze i salonowcy byli nim na wskroś przejęci.

Zwykł był mawiać o reporterach, którzy sławili jego nazwisko
przy wszelkich
okolicznościach, w sprawozdaniach z balów, z wyścigów, ze
sportu rzeczno i t.

p.: "Poczciwi repoterzy, żywią ich!"

Było w tem trochę prawdy.

Przypisano księciu legendę o dobrym tonie i wysokim smaku.

Książę René, kwiat szyku, stawał się w ten sposób ideałem krawców i galanteryjników.

Chłopiec po swojemu przystojny, gentilhomme, z wyrazem znudzenia i pogardy, przedmiot zazdrości ze strony mężczyzn, wybraniec kobiet, zapsuty życiem, wyczerpany majątkiem, spędzający czas na wynajdywaniu coraz oryginalniej szcych kapeluszy i wyprowadzaniu na świat nieznanych dziewcząt, zużyty w roku, gdy się jest jeszcze naiwnym, Cherubinek młodziutki, a już Lowelas, był wiernem odbiciem, dzięki prawom dziedzictwa generała de Chantenay, a książę uprzejmy i modny, przezwany ongi ostatnim z Abencerrages'ów" odżył w synu, jak dzieło sztuki odżywa w kopii.

Podobny do Donzuana, ale ze wszystkimi przygodami i awanturkami prawdziwego Donzuana, książątko Beaumartel de Chantenay wszedł na szczebel pierwszeństwa bezwiednie. W Paryżu pierwszeństwo takie powstaje samo przez się i ginie wraz z wygaśnięciem danego pokolenia.

Lornetowano go, jak aktorkę, ażeby poznać niespodziany genre, który wytwarzała jego fantazyja.

On to przed innymi wprowadził w modę duże brylanty, wielkie perły, szerokie pierścienie, ciężką biżuterię z jej właściwym dźwiękiem, a dźwięk ten był ostatnim wyrazem w surowo poprawnej toalecie współczesnej.

Jego dystynkcyja, w przeciwieństwie do ojcowskiej, polegała na tem, ażeby być prawdziwie dystyngowanym.

Widziano go, jak po pojedynku z jednym ze swych przyjaciół, o Nicettę I-szą, czy o księżnę de Temi, nie wiedziano dokładnie, nosił chustkę fularową na szyi, spiętą

w pośrodku antyczną kameą, jak broszką, a to dla zakrycia szramy, którą mu spowodowała szpada małego Serviere'a, czy też paznokietki Nicetty I-szej, niewiedziano również dokładnie.

Rano ubrany po angielsku, w grubem szarem suknie, jak groom, młody książe,

wieczorem, lśnił biżuterją, jak front Palais-Eoyal'u.

W dziurkach od koszuli miał perły, albo brylanty wyjątkowej wielkości, sławne u jubilerów.

"Gdyby je dostać, możnaby zrobić olbrzymi interes," mawiano w klubie.

Taka rozrzutność odejmowała trochę brytańskiego wyglądu temu paryżaninowi, który

wydawał się, jak jaki anglik, lub rossyanin, a którego główną zaletą było to, że

mu nikt nie mógł sprostać.

— Nikt się tak nie kłania, jak on... nikt!

Ukłon poprawny, korpus sztywny, nogi ostrokątne, kark, zginający się ani za

wiele, ani za mało, ze specjalnym odcieniem, który nadawał ukłonowi wyraz pogardliwy, a który pomimo to był pełen grzeczności i uprzejmości.

— Nikt się tak nie kłania jak on!

Książę de Chantenay dochodził do wszystkiego tą wyższością, tą specjalnością nawet w ukłonach.

Były w salonach kobiety bardziej jak dojrzałe, wdowy zmienione przez bieg czasu na matrony, a gdy się je zapytano, czy książę Renę kłania się lepiej od swego ojca, składały usta, przeznaczone teraz do całowania wnuków, do uśmiechów pełnych przeszłości, które miały znaczyć choć usta milczały: "Eh, to co innego... to co innego!"

Ach! Te piękne uśmiechy!...

I bardzo pochlebne, pomimo wieku ich właścicielek, dla nieboszczyka generała

Beaumartel de Chantenay, "ostatniego z Abencerrages'ów."

Zresztą markiz de Ferdys nie ukrywał tego przed wym siostrzeńcem Rene.

Markiz zaślubił po śmierci księcia Gerarda, pannę de Chantenay, siostrę

generała, a w Almie, w dwudziestym drugim roku życia był jego chorążym.

Był ranny nawet pod Małakowem, stojąc przed generałem i upadł na polu bitwy.

Ożenił się z jedyną siostrą Gerarda po powrocie z Krymu prawie wyłącznie dla uwielbienia, jakie miał względem księcia de Chantenay. Małżeństwo z miłości, którego miłość", mówiono, nie trwała nawet tyle, co ogień ze słomki.

Markiz od roku do wiódł życie na wielką skalę, a markiza, kochająca go zawsze pomimo jego figlów, pocieszała się w opuszczeniu tem, że była zachwycającą i ubóstwianą matką.

Wychowywała swego syna, o dwa lata młodszego od Renégo, a przy dobrych chęciach mogła byłaby wychowywać swego męża, tego wielkiego trzydziestoletniego szaleńca, o wiele mniej dorzecznego, aniżeli narwanego.

W siedm dziesiątym roku, pan de Ferdys wstąpił znowu do służby, pożegnał markizę, pocałował w czoło syna swego Rajmunda, mającego naówczas lat trzynaście i poszedł walczyć na płaszczyźnie d'Illy, przy boku Gallifeta i Małgorzaty.

Uwięziony, powrócił do domu w sam czas, ażeby rozpocząć wraz z synem żałobę po pani de Ferdys.

Następnie, podczas gdy chłopiec kończył nauki w kollegium, markiz rozpoczął swe życie paryzkie, jak Paryż rozpoczynał swoje, i sięgając już szkaradnej

czterdziestki, ale zawsze jeszcze przystojny, elegancki,
szczupły, wysoki, z
wyszwarzowanym wąsem i z włosami szaremi, jakby je
napudrował, rywalizował z
synem na punkcie zdobywania serc kobiecych, zdolny będąc
zresztą, pomimo swego
wieku, do pobicia księcia de Chantenay, w tej specjalności,
nieobcej mu od
niepamiętnych czasów.

— Tak, mój drogi — prawil wesoło markiz — wyście nie
mężczyźni!... Rajmund to
istny kapucyn. Chce być marynarzem, a pochłania książki.
Takim być gnuśnym. A
ty, uwodzicielu, gdyby ojciec twój powstał z grobu, z białymi
włosami, wszystkie
twoje metresy, wszystkie bez wyjątku, porzuciłyby cię dla
jego cienia!...

Zresztą, po co szukać dalej, gdybym chciał tylko, porzuciłyby
cię dla mnie!...

I prostował się, wymawiał jakiegokolwiek imię kobiece i śmiał
się pod sutym wąsem,
dostrzegając grymas siostrzeńca.

— Zwyciężony przezemnie, René! Zapytaj o moją metrykę,
nieszczęśliwy!...

!... Czy ci nie wstyd?...

Pocieszał zresztą siostrzeńca, przysięgając mu, że ich
zwycięstwa kobiece, były
wistocie bardzo łatwe.

Nie trzeba było ani chwalić się swemi, ani gniewać się z
cudzych.

Miłoszki banalne, stereotypowe!

Każdy z nich mógł czytać, każdy...

— Wynajdź nareszcie romans, niedostępny dla nikogo! —
mówił markiz.

I myśląc o Noris Feraud, książę uśmiechał się niekiedy.

Romans nieznany!

Ech! Pan de Ferdys ani przypuszcza, że dla księcia tak łatwo o
taki romans!

Dopóki Verignon zajmował wybitne stanowisko społeczne,
Rene robił sobie

przyjemność zaszczycania swoją obecnością salony finansisty.

Nie dla finansisty, naturalnie, ale dla Noris. Aresztowanie
wynałazcy kopalni

Sierra-Fuente wstrzymało jego gorliwość, a ponieważ panna
Feraud, skromna i

wstydliva, nie zjawiała się na horyzoncie wyższego świata,
tem lepiej, bo

jakkolwiek była prześliczną, książę z pewnością nie będzie jej
szukał w mętnej

wodzie jej życia.

Otóż, lubo tknięty do żywego tą niezwykłą pięknnością, Renę
zapomniał, albo

starał się zapomnieć o Noris, gdy w tem, młoda dziewczyna
udała się wprost do

niego z prośbą o poparcie.

List Noris, napisany z ufnością, pan de Chantenay znalazł
dość niezręcznym i

pospolitym.

Oczywiście, popierając lub udając poparcie dla ojca, mógł być
tylko wkraść się

głębiej w serduszko córki, ale uczuwał pewną obawę mieszać
się do sprawy

kompromitującej.

Jego instynkt światowca rozsądnego i wykwińskiego, zmuszał go do oddalania się od takich wrażeń.

Mógłby tylko stąpać w to błoto, a jużby uczuł złe następstwa takiego kroku.

Bah! Pomimo pięknych i przejmujących oczu Noris, może lepiej byłoby zostawić list bez odpowiedzi.

I Renę nic nie odpisał.

Wszakże w Paryżu były prócz niej ładne dziewczęta i właśnie w tej chwili

zajmowała księcia mała baronowa Niedmann.

Ale niespodziane zetknięcie się z Noris przed zakładem doktora Siercka ponownie rozogniło wszystkie żądze. Renégo.

Nigdy Noris nie wydała mu się tak zajmującą!

Komu porwała te oczy!

Wcale piękna ze swoją bladością, wzruszeniem i namiętym wyrazem oczu, pobudzała wszystkie nerwy w księciu.

Wchodząc do powozu, wymawiał sobie nie już jakby trochę egoizmu, nie już brak

szlachetności, lecz poprostu głupotę, niedorzeczność, że się nie okazał

życzliwym dla niej, że na przykład, nie przyrzekł jej na wszelki wypadek,

jakiegokolwiek protekcji.

— Takie miewam napady! — mówił do siebie — a taką wyborną miałem sposobność!

Z tego rozpaczliwego kroku biednej dziewczyny, z tej prawdziwej boleści, z tego błagania o pomoc, z tego wreszcie wypadkowego spotkania, wyciągnął tylko taki wniosek:

— Byłem dziecinny. Mała jest przecie dość ładną, ażeby się dla niej poświęcić na drobną kompromitację. Zresztą, Chantenayowi uchodzi wszystko i nic go skompromitować nie może. René myślał zresztą o poprawieniu swej pomyłki.

Dość mu było zjawić się przed nią w charakterze zbawcy, pomimo wszelkich możliwych następstw.

A choćby wypadło nawet udać się do jakiego sędziego z prośbą o łaskę dla skazańca, to i cóż ztąd! Noris warta była takiej przysługi! Zresztą wręczyć bilet wizytowy prezesowi sądu nie jest znowu tak wielkiem poświęceniem.

Tak, pójdzie zobaczyć sędziów, zgodnie z jej prośbą, odwiedzi ich dla tego,

ażeby się z nią jaknajczęściej widywać!

I z odpowiednio ułożoną miną, z pozorną słodyczą i przejęciem, księżę René przybywał uśmiechnięty do mieszkania Eugenjusza Feraud i wyciągał do Noris dłoń przyjacielską.

Ach! Jak ona porywała tę rękę, jak widząc księcia, czuła się
pewną wygranej!
Nie była już samą. Miała już poparcie w tej walce strasznej z
temi sadownikami,
którym pragnęła bądź co bądź odebrać swego ojca.
Zdawało jej się, że Féraud już nie powinien się niczego
obawiać teraz, gdy pan
de Chantenay raczył zająć się jego losem.
— O bo mi pan pomożesz do zwolnienia ojca, nieprawdaż?
Mówiła, badawczo patrząc
na księcia.
— Przyrzekam to pani.
Trzymał w swej małej delikatnej drżącej ręce
rozgorączkowaną rączkę Noris, a
uśmiech jego dziwną rozkoszą napawał serce dziewczęcia.
Zdawało jej się, że ten
blady młodzieniec otaczał ją niejako ojcowską
pieczołowitością, a będąc sama
protektorką starego Féraud, uczuwała ko-

biece pragnienie być także protegowaną; pragnęła, żeby książe
nad nią panował.
Spiesznie zawiadomiła więźnia o obietnicy pana de
Chantenay. Mogło to dobrze
wpłynąć na usposobienie nieszczęśliwego starca, który żył w
tej więziennej
atmosferze, w powietrzu wilgotnem, szpitalnem, wychodząc
zaledwie do miejsc
przeznaczonych dla spaceru, gdzie za cały widok miał ściany
pokryte tynkiem

ostrzępionym, a u góry kawał nieba, geometrycznie odłączony od reszty horyzontu.

Ach, ileż musiał cierpieć biedny marzyciel!

Nad miejsce spaceru, gdzie więzienie wydawało się stokroć dotkliwsze, przekładał

jednak tę wąską skrytkę o nagich ścianach z ciemno-żółtymi plamami, z niskim

stołem, ze stołkiem z czarnego drzewa, z garnkiem

kamiennym, łyżkę drewnianą,

drewnianym kubkiem i rondelkiem z lanego żelaza —

akcesorya urzędowe zaniedbane

z umysłu — przekładał tę ponurą celę, ale celę jednak, w której mógł

przynajmniej marzyć do woli przy słabem świetle dziennem, przedostającym się

przez okratowane okienko szczytowe.

Dusił się w tej kiszce, w której przeszywał go wzrok stróża przez otwór prawie

niewidzialny, w której podawano mu żywność przez małe okienko, jak psu, ale z

której, gdy drzwi uchylano zlekka, mógł być przez szparę dostrzedz w głębi

więzienia księdza, jaskrawię odbijającego w złoconym ornacie od ponurości całego

otoczenia, księdza, który odprawiał mszę w okrągłej kapliczce, stanowiącej

jakoby żółtko tego białka boleści, na które składały się wszystkie oddziały i

cele więzienia w Mazas.

Dusił się w tej skrytce, ale mógł być w niej sobą. Pisał, pisał bez końca,
czernił papier, na którym opisywał całe swoje życie, pracowite i niewdzięczne,
dla poznania z niem swych przyszłych sędziów.
Czytał także, wypraszał sobie książki u bibliotekarza, a pewnego dnia, dziwnym
wypadkiem przysłano mu jego własny romans, p. t. Rozdarte serce.
Uczuł jakoby radość. Więzienie wydało mu się mniej ponure: był i tu znany!...
Cieszył się tedy'?... Niebawem zażądał innych swoich arcydzieł.
Ale, nieszczęsny, nie przeczuwał, że tem powiększy tylko swą rozpacz.
Przyniesiono mu te jego biedne dzieła, w oprawie ostrzępionej, z kartką przyklepioną do grzbietu i z ręcznym, napisem; przyniesiono mu z biblioteki
Muzeum rodzinne, Magazyn romantyczny, Bibliotekę podróży, Rewolucję Thiersa,
opowiadania Dumasa lub Merimee, a on otwierał je i badał, jak towarzyszy,
których napotkał, uwięzionymi, jak on sami
Stare romanse z czasów, kiedy miał lat dwadzieścia!
Opowiadania młodości! Te,
które, jak przypuszczał niegdyś, miały mu zgotować sławę!
Ale wkrótce opanowywał go ponury smutek i żałował, że prosił o przyniesienie mu tych książek.
Przeglądając je, z bólem dostrzegał, że były Nielitościwie brudzone dopiskami i

uwagami, pełnemi cynizmu i brutalstwa, dopiskami, pisanemi
ręką, przyzwyczajoną
do kradzieży, ręką szorstką o płaskich paznokciach, o tłustych
paluchach,
noszących ślady krwi!
Błądł i czerwieniał widząc, że praca jego maltretowa-

na była przez wydzieranie kart, lub wyskrobywanie liter w
wyrazach, tak
poetycznie opisujących czułe romanse meksykańskie, lub
czarujące brazylijskie
noce!

Jakieś Oh, la, la! Jakieś gadaj zdrów! Słowem jakieś drwinki
wołały o pomstę,
wobec aksamitnookieh bohaterów Eugenjusza Feraud.
Bohaterstwo kochanków, ich poświęcenie wzajemne, sytuację
najczulsze, ci krytycy
z Mazas masakrowali uwagami pisanemi
jakkajnieortogranczniej, pełnemi
sceptycyzmu i braku godności; a romansopisarz, który oburzał
się nieraz na
wyprawy łotrowskie tych rzezimieszków, tych bandytów z
ciepłych krajów, tych
śniadoliczych złoczyńców, spotykał popierane mnóstwom
wykrzykników nadpisy
cyniczne, nawołujące jego salteadorów i bandytów do szkoły:
— Bez urazy, don Jose Cabral! Ja łam lepiej władam nożem!
Podpisano: Noel
(Piotr-Leon) przezwiskiem Szpikulec.
A więc takiego byli o nim zdania ci czytelnicy więzienni!...
Straszny był to cios dla nieboraka.

— Czyżby wistocie rzeczywistość przewyższała wytwory naszej fantazy? — pytał się wówczas siebie biedny Féraud, myśląc, że jeśli tak jest, to kto wie? Może był w błędzie kiedyś znajdując, że "Balzak gardził życiem. "Życie! To rzecz nie wesoła! Teraz dopiero był zmuszony dostrzedz to biedny idealista, a pesymizm Balzaka może i niezupełnie pozbawiony był podstawy. O, znał on ich dobrze, Balzak, tych złoczyńców, i dla tego właśnie nie dał się uwieść, obalamucić i zaprowadzić za kratki więzienia takiemu łotrowi, jak np. Verignon!

— Jeżeli kiedy wyjdę ztąd... a wyjdę przecie... — mówił wówczas Féraud — zobaczymy, zobaczymy! Noris podtrzymywała w nim tę wiarę, a i sama czuła się teraz krzepszą i pewniejszą, dzięki obietnicom księcia de Chantenay. René dotrzymał słowa; widział sędziów i wstawiał się za Féraud, mówiąc te słowa: — "Wzięliście go za złoczyńcę, a to jest tylko człowiek naiwny." I powrócił na ulicę Brochant, ażeby powiedzieć do Noris półgłosem: — Wszystko idzie dobrze. Uwolnimy go!... Noris uczuwała dla księcia prawdziwą wdzięczność, którą podwajała miłość jej, datująca od chwili pierwszego ich spotkania.

Stał się on dla niej istotnie ideałem opiekuńczym i zbawczym. Okazywała mu z dniem każdym potężniejące zaufanie, w nim pokładała wszystkie nadzieje, on stał się jej jedynym marzeniem. Zdawało jej się, że on współdziała z nią po bratersku w tak ważnej dla niej sprawie ocalenia ojca. I stopniowo, w odosobnieniu, w jakim się znajdowała, z potrzebą wynurzeń, które przepełniały jej serce, tak ściśle przyłączyła do swego życia księcia de Chantenay, że myślała o nim, jako, po ojcu, o najdroższej dla siebie istocie na ziemi. "Mój brat Réne," mówiła z uśmiechem do siebie. On nie mówił jej wcale o miłości, a jednak to jego zajęcie się sprawą jej ojca nadto było wymownem, ażeby nie zrozumieć, że książę zręcznie zastawia sidła.

Zresztą, nie śpieszyło mu się wcale dojść do celu, jak mówił. Te wizyty u Noris, te gawędy w mieszkanku des Batignolles, te spacerunki po alejach skweru, pomiędzy szeregiem wózków dzieciennych i lilij, rosnących naprzeciw, były dlań miłą rozrywką. Było w tem coś nowego, oryginalnego, niepowszedniego; nic w tem nie przypominało sali tańca, ani kulisów małych teatrzyków, ani zwykłych buduarów! Ten paryżanin skwapliwie bawił się w idyllę.

Pospolitował swe miłości z uśmiechem, znajdując to arcyzabawnem, a przytem pochlebiała mu namiętność, którą odgadywał u Noris, a która przyjemnie drażniła jego miłość własną, zwłaszcza, że przypominała mu uczucie narzeczonej, istoty nieświadomej i kochającej, tego nieukształtowanego jeszcze stworzenia, które będzie kobietą, ale które nie jest jeszcze kobietą, lecz tylko młodą dziewczyną. Była to dla księcia, już znudzonego i widzącego, że miłość jest wiecznym i zwyczajnym sposobem pozyskania kobiety, niezwykła pokusa, obca mu jeszcze a obudzająca jego ciekawość, to też pragnął jaknajdłużej pozostać w tem niezdecydowaniu, w tych zalotach sui generis, które go zajmowały i dziwiły. Odwiedzał często Noris, a najczęściej wtedy, gdy powracała z Mazas. Wychodził ze swego pałacu i rzucał adres dziewczyny swemu woźnicy. Gdy zostawali sami, prowadzili rozmowę prawie wyłącznie o Eugenjuszu Féraud.

Przedmiot ten znużyłby Renégo, gdyby był słuchał, ale on patrzył w piękne czarne oczy Noris, ten nosek prosty, którego misterne nozdrza poruszały się gniewnie, te usta pałające z oburzeniem, a mogące zblednąć z namiętności; ujmował w swoje

dłonie rozgorączkowane rączki biednego dziewczęcia i był zachwycony, przejęty nawskróś tą pięknnością trochę dziką, wolną od pudrów i kokieteryi, i szczęśliwy, słysząc to dziecko, uśmiechające się doń przez łzy i zwracające się z temi słowy:

— Ale ja pana nudzę moim biednym ojcem!... Nie mówmy już o nim. Mówmy o panu. Co pan robiłeś dzisiaj? Co on robił? Nic. Ubierał się... Jeździł do lasku. Złożył parę wizyt. Konferował ze swym dostawcą bielizny, w kwestyi, czy lepiej jest nosić jeden czy dwa guziki w gorsie; rozmawiał z matką, wiecznie trapioną przez migrenę i leżącą na szeslongu w małym chińskim buduarze; przebiegł Tattersall, odprawił powóz; przejechał się konno; wpadł na giełdę, podlicytował papiery. Znowu się przejechał... I tak zbiegł mu czas jakiś. Słowem, nic nie robił i jeszcze raz nic.

I dodawał z westchnieniem:

— Ach dzień jest tak długi, tak długi!.. Doprawdy, że na wolności są więźniowie!

Przybywszy pewnego wieczoru do Noris, zastał ją bardziej rozdrażnioną, niż zazwyczaj. Eugenjusz Féraud zachorował.

Wszystkie tortury dały mu się już zanadto we znaki! Zeszłej nocy dostał jakby obłądu. Ale ulitowano się nad nim.

Zamiast sali samotnej przeprowadzono go do celi,
przeznaczonej dla dwóch
więźniów.

Stary pocziwiec mieszkał teraz z jakimś złodziejem, młodym
kantorzystą, który
dobrał się do kasy swego pryncypała i uciekł z jakąś nędznicą.
Ale rzecz dziwna, to co przejmowało taką zgrozą Noris, było
wcale na rękę
staremu Féraud.

— Tem lepiej, tem lepiej — mówił — będę rozmawiał z tym
złodziejem. Będę go
badał!... Nie znam ludzi tego rodzaju!...

Córka przeraziła się tem zadowoleniem ze strony ojca, tym
słodkim uśmiechem,
który przy ciągłej chwiejności tej siwej głowy, wydawał jej się
chorobliwym.

Ach, gdyby jej ojciec miał umrzeć! I gdyby umarł w
więzieniu?...

W więzieniu! To byłoby okropne! Wszak po tylu poniżeniach,
los powinienby mu
przecie dać możliwość rehabilitacji!

Podczas, gdy ją trapiła ta myśl bolesna, René starał się ją
uspokoić, dowodził,
że ta choroba więźnia jest bagatelką — skutkiem zmiany
powietrza, skutkiem
zgęszczonej atmosfery więziennej, spacerów nazbyt
ograniczonych — a pocieszając
ją, zaklinając, ażeby nie płakała, uczuwał dziwną tkliwość,
podrażnienie, jakie
sprawiają zazwyczaj łzy kobiecie!

Ona wsparła się o fotel przy otwartem oknie, a luna zachodzącego słońca oblała ją barwą różową.
On zaś, patrząc na nią, również otoczony ciepłym światłem wiosennego słońca, jakby aureelą, czuł się zwy-

ciężonym, pociągniętym, zbliżał się, szukał tego wzroku, tej pięknej, zasmuconej i unikającej go twarzy.

Przeszywał wzrokiem te ręce, które Noris wyciągała doń, łkając, ujął ją wreszcie, wpołklęcząc, pochylony ku tej dziwnej istocie oblanej karminem, zawołał:

— Nie rozpaczaj pani! Ojciec pani wróci. Uwolnię go.

Będiesz pani szczęśliwą, będziesz kochaną!

Zadrżała; przeszła badawczym wzrokiem Reného. Pierwszy to raz, książę tym cichym namiętym głosem, mówił jej o miłości.

— Kochaną!

Skłoniła głowę, myśląc może o swym ojcu, którego może ujrzy niebawem, jak zapewniał René, ten zaś, pobudzony tem słowem, które wymówił prawie bezwiednie, przystępował coraz bliżej, ścisnął w swych dłoniach ręce Noris i zniżając głos coraz bardziej, szeptem... wypowiedział do ucha młodej dziewczyny, której usta jego dotykały prawie jak w pocałunku.

— To ja będę cię kochał przez całe moje życie, Noris!... Ty jesteś tak piękną i tak dobrą... Ty tak zasługujesz na to, ażeby cię kochać... że kocham ciebie, kocham!

Zamknęła oczy i z rozkoszą słuchała tej dźwięcznej melodyi wyznania.

Zapomniała o całym świecie.

Utonęła w tem zapomnieniu i pozwoliła się kołysać słodkimi słowy Reného. René sam roznamiętniony, wzruszony prawdziwie, prawdziwie szczerzy wobec tej istoty, której wzrok przeszywał go aż do głębi duszy, mówił z zapalem.

Po chwili, Noris patrząc nań błagalnie, pytała go z cicha, trwożnie, z falującą piersią:

— Czy to prawda? Pan nie kłamie?

— Przysięgam!

— Kochasz mnie?

— Z całej duszy?

— Będziesz mnie zawsze kochał?

— O tak, ty będziesz moją żoną, moją żoną, czy słyszysz, Noris, ubóstwiana moja?... Moją żoną!...

— Żoną?

Zdawało jej się, że marzy, że ma jeden z tych rozkosznych snów, jakie miewała po pierwszym poznaniu księcia, a księżę, kapryśny kochanek, księżę niebieski od

mrzonek młodej dziewczyny, powtarzał jej dalej z wybuchem szalonej miłości:

— Tak, moją żoną! Moją żoną!... Jest to o tyle prawdą, o ile cię ubóstwiam.

Ręczę ci moim honorem!

VI.

Dla Noris, ta chwila wiosenna, gdy przy zachodzie słońca i różowem świetle

oddała się panu de Chantenay, była jakby snem, w który zapadła nieświadomie; dla

Renégo była to rozkoszna przygoda, a czując się być w zupełności pokonanym,

znalazł w młodej dziewczynie nieoczekiwaną kochankę, stokroć piękniejszą i

ponętniejszą

od baronowej Niedmann, którą porwał jej mężowi, albo od Maryi Launay z opery,

którą zmusił do opuszczenia bankiera Moliny.

Książę był zachwycony.

— Jestem wzruszony, przejęty do głębi, zrobiłem konkietę cudowną, "smakowitą" —

mówił do swego kuzyna, Rajmunda de Ferdys, który obojętnie przyjmował te

zwierzenia.

Była to jedna z tych miłostek mieszczańskich, równie szalona jak inne, ale

kokieteryjna, dyskretna, zabawna jak wycieczka w okolice nieznane.

Książę René Beaumartel de Chantenay mógł się nią zajmować przez cały sezon,

Noris jednak, w tę pierwszą swoją miłość włożyła całe swoje życie.

Z początku, te dwie istoty tak obce sobie a jednak złączone uczuciami równymi

napozór, kaprysem z jednej a namiętnością z drugiej strony, znajdowały się w

bezwzględnej upojeniu, a Noris, pomimo nawet swego nieszczęścia, miewała chwile

rozkoszy.

Uwielbiała Reného. Oddawała mu się z całą ufnością istoty kochającej i

nieświadomej. Będzie jego żoną, ponieważ jej to przysiągł, I nie myślała nawet o

tej smutnej rzeczywistości, że była jego kochanką.

Kochanką! Wyraz ten nawet był dla niej słodki, do tego stopnia ufała księciu,

ideałowi swej chorobliwej fantazyi. Ale wyrazu tego nie wymawiała nawet w myśli.

Bezwładnie żyła, zawieszona ma ramieniu Reného, oczekując tylko na chwilę, w

której do ojca uwolnionego z więzienia i oczyszczonego publicznie z zarzutu,

będzie mogła powiedzieć:

— Jestem żoną Reného!

Nie przychodziło jej nawet na myśl, że "żona księcia de Chantenay", była lub

będzie księżną.

Nie myślała o tytule, jaki nosił René. On był nim, i dla tego, że był nim,

ubóstwiała go właśnie.

W tych bohaterских wybuchach duszy, córka miewała iluzje i złudzenia ojca.

On pokutował za nic w Mazas, w celi podwójnej, z

wyłamaniem zamków. Ona uczuwała

tylko olbrzymią radość, pojąc się rozkosznym marzeniem, że

Féraud będzie wolny,

zrehabilitowany przed ludźmi, i że René był jej małżonkiem w obliczu honoru.

Tak tedy, dla tego paryżanina, przesyconego Paryżem i dla tego dziewczęcia,

które wzrosło w atmosferze biblioteki, mocno przerzedzonej, dzięki nędznej

egzystencji pisarza po trzy grosze od wiersza, zaczęło się nowe życie:

tajemnicze przechadzki bez celu, René, mało dbający o to, czy go kto widzi z

Noris, nie myśląc o niczem innym, jak o tem, że idzie z nim sama pod rękę.

Odwiedzali w ten sposób z idyllą miłości dwudziestoletnich istot różne zakątki,

których pan de Chantenay nie znał dotąd, a które go bawiły.

Z ulicy Brochant chodzili na Montmartre, przez małe wązkie uliczki, ocierając

się o tłumy ludzi, albo ginąc na obszernych pustych placach przedmieścia.

Wychodząc z salonów pałacu de Chantenay, René miał szczególniejszą ochotę

udawania się wprost na te tajemnicze wycieczki...

Nazajutrz, po jakiej nudnej wizycie, na której jego

matka na wpół senna bawiła gości opowieściami o Inflantach,
René skwapliwie
wyjeżdżał do Noris, z którą przebiegał wązkie uliczki,
rozmawiając głośno i
przez nikogo nie będąc słyszonym.

Ona dziwiła się wraz z nim, że istnieją w Paryżu te dzikie
uliczki, tak zabawnie
głuche, tak nowe dla nich!
Z zaciekawieniem turystki spozierała na te dzielnice Paryża,
żywo przypominające
prowincję.

Kobiety stały na progach domostw. Dzieci wybiegały z
pobliskiej szkoły a ich
okrzyki wesołe łączyły się ze śpiewem ptasząt swobodnie
skaczących po pokrytych
świeżą zielonością drzewach. Łodyżki kwiatów, z
odmłodzonemi gałązkami,
uśmiechały się pod szaremi ścianami. Ich barwa biała, żółta
lub blado-zielona
zachwycała Noris.

Ona odczuwała radośnie piękno zbliżającej się wiosny. Nie
wiedziała, pojąc się
tem ciepłym wiosennym powietrzem, czy śmiać się ma, czy
płakać.

I przy boku Renégo, kierując się przez ulicę Lepic w stronę
starego wiatraka,
kapiącego się w kałuży deszczowej, zatrzymywała się,
uczuwając dziwny jakiś
smutek wobec świeżości murawy, wobec wszystkich cudów
budzącej się do życia

natury, a zwłaszcza wobec perspektywy okolic Paryża,
ginących we mgle aż do
odległych młynów z Sannois.
— Wiesz — mówiła — chciałabym tu przepędzić całe życie,
albo udać się tam, tam,
daleko i z tobą zostać tam przez całe życie!
Wistocie rada była uciec daleko, dalej nawet niż ta odległa
linja horyzontu,
het, poza domy, za pola, sama je-

dna z Reném, którego kochałaby zawsze, jak kochała dzisiaj!
Ach, gdybyż to
dzisiaj mogło trwać wiecznie! Zawsze, zawsze kochać go, i
zawsze być kochaną!
A przecież ten sen uroczy nie tylko nie był
nieprawdopodobnym, ale istniał w
rzeczywistości, żywy, uśmiechnięty.
Za trzy lub cztery tygodnie sprawa "Verignon et consortes"
zostanie przejrzaną
na nowo! Wpływ księcia de Chantenay jest wielki. Godzina
pomsty wybije wkrótce!
Noris nie wątpiła ani na chwilę o rezultacie wznowionej
sprawy, już nie wątpiła
o szczerości wyznań Renego.
Jedynem jej zmartwieniem była widoczna słabość ojca.
Znajdowała go przy każdej
wizycie coraz bledszym.
Gdy siedząc na drewnianej ławie w rozmównicy, słyszała
zbliżające się poza
kratami okienka, ciężkie kroki więźnia, zdawało jej się, za
każdym razem, że te

kroki były coraz cięższe, coraz powolniejsze. Ciało się kurczyło, cera żółkła.

— Cierpisz, ojczulku? — pytała Noris niespokojnie. Féraud uśmiechał się z poza

kraty i mówił:

— Nie.

— Nudzisz się?

— Bynajmniej. Potier mnie bawi.

— Potier?

Wyłamywacz zamków. Potier opowiadał romansopisarzowi o swoich miłośkach, jak

dla jakiejś ladacznicy, która go oszukiwała, okradł swego chlebodawcę i zwichnął

karjerę.

— To bardzo zajmujące, bardzo ciekawe — mówił

Féraud. Napiszę na tem tle romans. Ach, cóż to za głupia rzecz — miłość!

Potem, dodawał, zwracając się do Noris.

— Nie chcę cię rozczarowywać! Ale wistocie nie ma romansu, nie ma romansu w

życiu. To się zbyt drogo opłaca... jeżeli to nie jest romans, który się pisze!

René rzadko kiedy zapytywał o nowiny dotyczące Férauda.

Zdawało mu się

niewłaściwem mówić teraz o więźniu.

Ale pewnego razu Noris rzekła doń:

— Gdy ojciec mój powróci, trzeba mu będzie wszystko wyznać!

Młody człowiek przygryzł zlekka swój jasny wąsik.

— Przysiągłeś! — rzecze Noris.

— O tak, tak, i nie zapominam o tem! — powtórzył żywo książe.

Skwapliwie unikał podobnych rozmów. A było to w małym saloniku przy ulicy

Brochant. Chcąc przejść do innego przedmiotu, René nagle zawołał, spoglądając na

obraz, przedstawiający głowę kobiety śmiało rzuconą na płótno w wązkich ramkach

bez ozdób i z wypełzłą po złotą.

— Co to ma przedstawiać ten obraz? To nieźle wygląda.

— To obraz pędzla Delacroix — odparła Noris.

— Tak, nigdybym tego nie powiedział. Może źle umieszczony, może złe światło; —

brak mu połysku.

— Jest to pierwszy obraz kupiony przez mego ojca już bardzo dawno. Byłam jeszcze

wtedy malutką. Pamiętam, jaki był wówczas szczęśliwy!

Delacroix! Delacroix!

Studyum żydówki, które malarz przywiózł z Marokko. Zda-

je mi się ojciec zapłacił za to coś czy franków!

Książę spoglądał na źle umieszczony obraz. Przedstawiał on piętna brunetkę z

rozpuszczonemi włosami, z czołem zdobnem w cekiny,

zapewne tancerkę z kawiarni

maurytańskiej.

Po chwili, pan René Beaumartel de Chantenay wypowiedział do Noris Feraud te

charakterystyczne słowa.

— Ach, były to dobre czasy do kupowania obrazów. Dziś ani marzyć o nich. Panowie

malarze cenią się!

— Mają słuszność! Każą sobie płacić za wściekłą krowę,
którą zjedli ich

poprzednicy — odparła Noris, siląc się na uśmiech.

Ale nie było jej do śmiechu. Myślała o ojcu, który także
pracował ciężko, a
sprzedawał mało.

— To jednak nie przeszkadza, ażebyś zdobyła się dla tego
płótna Delacroix na
nowe ramy; wygląda jak przepite.

Może René de Chantenay nie rozumiał dokładnie znaczenia
tego wyrazu, używanego w
pracowniach malarskich. Ale chętnie posiłkował się żargonem
malarzy, zarówno jak
sportsmanów. Człowiek jego pozycji społecznej powinien był
się znać na
malarstwie i pokazywać się zarówno w Vernissage'u jak i na
wyścigach konnych.

Otwarcie nie nastąpiłoby bez niego.

Zresztą, nie było już mowy o Żydówce Marokańskiej pędzla
Delacroix.

René odwrócił zmęczone oczy od obrazu i przeniósł je na
Noris z uwielbieniem

znawcy, jakie okazywał klaczy zwyciężkiej jakiego Derby
Chwalił ją za drobność

jej

nózek, świetność jej włosów, za aksamitny połysk jej oczu, a
Noris, pod wpływem

tych madrygałów tak natrętnie słodkich, czuła się skrepowaną
i rumieniła się

zlekka, pytając o inne swe zalety.

— Jakto? Powtarzam, że jesteś zachwycającą, godną podziwu!
Uśmiechała się... smutnie.

— Powiedz mi, że nie jestem złą i że mnie kochasz, to mi
większą sprawi
przyjemność.

René mówił prawdę. Znajdował ją tak piękną, że
nacieszywszy się nią do woli w
ukryciu, uczuł niepohamowaną żądzę pokazywania jej,
sprezentowania przyjaciołom
z klubu, pochwalenia się swoją zdobyczą.

Był dumny takim odkryciem. Ta wspaniała żyjąca księga,
której nikt nie czytał,

a o której mówił markiz, jego wuj, odkrytą została... On ją
znalazł! On zbadał

ją pierwszy, on, kwiat szyku!

Ale uczuł chęć, ażeby wszyscy dowiedzieli się o tem.

Zapragnął przeciwstawić

Noris, tę paryzką cyganek, zachwycającą w blasku swej
piękności, wszystkim

sławnym pięknościom, które zaćmiłaby bezwzględnie!...

Tryumf dla niej i dla niego.

Ale Noris zdawała się go nie rozumieć, gdy mówił jej o
opuszczeniu tej

zacieśnionej sfery, tych zakątków, w których, w zapomnieniu,
przechadzali się ze

swą miłością.

Ona była w żałobie. Wszystko, co nie dotyczyło jej ojca, albo
Renégo, było

wstrętnem dla niej.

Dopóki Féraud nie wyjdzie z więzienia, czyliż może

pokazywać się komu innemu,

prócz księciu de Chantenay?

Wiktoryna trochę przestraszona bladością "panienki" radziła jej jednak wyrzucić trochę na świat i rozerwać się. Stara służąca nie podejrzewała nic złego, widziała w panu de Chantenay zbawcę i kłaniała mu się z uszanowaniem. Nie rozumiała nawet niektórych dwuznaczników woźnicy, który woził nieraz księcia z parku Monceau na ulicę Brochant. Złośliwość sługusa ośliznęła się po nieświadomości chłopki-kucharki. Zresztą, obecnie, sztywny i obojętny, nowy woźnica, angił, nie mówił nigdy ani słowa. Wiktoryna lubiła go lepiej, niż tamtego. Powtarzała tedy do Noris: — Księżę zaprasza panienkę!.. Niech mu panienka nie odmawia. To nie dobrze oddychać tylko powietrzem Mazas. Gdy idę tam, ten zaduch więzienny uderza mi zaraz do głowy. Biedny pan! Jak on musi cierpieć!... Czy to nie warto skazać takiego Vérignona na galery za to wszystko!... O, on powinien złożyć głowę na szafocie, ten Robert Macaire! Noris nie słuchała ani Reného, ani Wiktoryny. Podobało jej się żyć zabarykadowaną w tem mieszkanku, z nadzieją ujrzenia wchodzącego Eugenjusza Feraud i z przyjemnością oglądania w swem dziewiczem

schronieniu swego ukochanego niebieskiego księcia. Życie takie miało dla niej dziwny urok. Był to jakby stan sonambulizmu i nie wiedziała czy jest kobietą upadłą, czy narzeczoną, wiedziała, że kocha Renégo, i że prócz czułych wyznań miłosnych, René mówił jej o uwolnieniu ojca. Tak mijał dzień za dniem, aż wreszcie nadeszła chwila, w której Féraud zaczął odczytywać przed swymi nowy-

mi sędziami ten długi, długi memoriał zredagowany przezeń na drewnianym stoliczku w celi więziennej. Być może, iż ta chwila gorączkowej radości zniewoliła Noris do zgodzenia się na to, ażeby jej przedstawiono młodego markiza de Ferdys, kuzyna księcia. Nie mogąc pochwalić się swoją ofiarą w klubie, René zapragnął bodaj Rajmundowi pokazać, jaką idealną istotę odnalazł. Byłby ją chętnie sprezentował ojcu Rajmunda, ale obawiał się markiza. Poczciwy wujaszek ze swymi wyszwarcowanemi wąsami, z posrebrzoną czupryną mógł rozbudzać dla siebie namiętność arcyniebezpieczną. Mógł, dla samego podrażnienia siostrzeńca, skusić Noris.... René wolał pochwalić się metresą przed tym wyniosłym Rajmundem, który zadziwi się, ale który nie pozazdrości mu konkety.

René naturalnie zaproponował obiad w jakiej restauracji na Polach Elizejskich, pretekst do zawarcia znajomości, ale myśl ta nie podobała się pani Feraud i wydała jej się conajmniej dziwną. Wtedy to poraz pierwszy, na myśl o owych gabinecikach, do jednego z których książę chciał ją zaprowadzić, poznała, że jest upadłą. Jeżeli pan de Ferdys pragnie ją poznać, powinien poprostu przyjść kiedykolwiek z Renem do jej mieszkania. Tak też i uczynił Rajmund, trochę z beczynności, trochę z zaciekawienia, jakie w dwudziestym pierwszym roku życia budzić w nas zwykła kobieta, będąca ideałem innego. Przybył pewnego wieczoru z Renem, porozmawiał,

znalazł Noris wistocie milutką i wyszedł, zachwyciwszy sobą wybrankę księcia.

Rajmund był wysokim, smagłym młodzieńcem, z elegancją i szczupłością Arnauty, o czarnych jak węgiel oczach, o poważnych ustach, przyćmionych prawie surową zmarszczką, ale pozwalających przy uśmiechu dostrzedz rząd białych i zdrowych zębów.

Nosił lekko kędzierzawe faworyty, a pod nader gustownym strojem miejskim, umundurowanie marynarza, co dodawało młodemu markizowi niepospolitego uroku.

W ciągu całej wizyty, Rajmund spoglądał na Noris z wyrazem prawie smutku, który ona przyjęła za sympatyę przyjaźni, a który był raczej głębokiem wzruszeniem i jakby przeczuciem nieuniknionych cierpień.

Mimowoli zestawiał, przenosząc łagodne wejrzenie z Reného na Noris, te dwie istoty z krwi i ciała, tak różniące się jedno od drugiego, tak mało zdolne zrozumieć siebie wzajemnie, a które życie czy przypadek złączył jednak, stawiając ufność i czystość dziewicy wobec czelności i beztaktu przesyconego młodzieńca.

Nie żyjąc prawie, bojaźliwy, prawie dziki, Rajmund wobec każdej kobiety uczuwał pewne skrępowanie, jakiego nie doznał przy Noris. Oburzał się instynktownie na kobiety sprzedajne, miał wstręt do światowych kokotek. Markiz, jego ojciec, mawiał, śmiejąc się, że gdyby Rajmund nie został był marynarzem, poszedłby z pewnością na księdza. — To święty. Jego matka była taką samą. Byłbym jednak zmartwionym, gdyby syn świętej miał być t! Bo gdy minie mój karnawał, wcale się gniewać

nie będę, mając przy sobie grzecznych, pulchnych blondynków, takich małych markizów, którym mógłbym prawić morały, jako dziadek.

Rajmund, wistocie, rozpoczął walkę z niezręcznością
paladyna, z bojaźnią
uczuciowego i przesądami wieśniaka.

Od kolebki czuł się jakby przygnębionym: zaledwie otworzył
oczy ujrzał swą matkę
płaczącą. Opuszczona, całowała go nazbyt czule i nazbyt
blizko, ażeby pod
słodkiem tchnieniem matki dziecko nie poznało smaku
goryczy łez, zanim poznało
smak życia.

Woda chrzestna miała się składać z łez; one to tworzą chrzest
człowieka.

Tak więc dziecko wzrosło, mając przed oczyma smutny obraz
pięknej markizy.

Zostawszy młodzieńcem, Rajmund jeszcze czuł się smutnym,
a tem samem pociągały
go smutki kobiece i słodkie ich uśmiechy, przypominające mu
dni jego
dzieciństwa.

Noris, nawet pomimo, że będąc napozór kochaną, czuła się
szczęśliwą, miała ten
wyraz ciężkiego cierpienia, jakby rany ukrytej.

I dla tego podobała się Rajmundowi, dla tego czuł się przy
niej mniej
nieśmiałym, mniej skępowanym, a zaufawszy jej, obudził w
niej także, zaraz po
pierwszej wizycie, głębokie zaufanie dla siebie.

Pierwsze słowo, jakie wyrzekł Ferdys, po wyjściu od Noris,
było:

— Zachwycająca.

— Nieprawdaż? — odparł księżę skwapliwie.

— I kochasz ją prawdziwie?

— Jak waryat!

— Czy jest twoją metresą?

— Co mówisz? — zapytał René jakby zdziwiony. Spojrzał płowemi oczyma na

Rajmunda, który z całopowagą powtórzył pytanie:

— Pytam się, czy panna Féraud jest twoją metresą?

— Także pytanie!... Wziąłbyś mnie chyba za głupca, gdyby było inaczej!

— To kwestya — odpowiedział markiz. — Czy była uczciwą, zanim ją spotkałeś?

— Najuczciwsza w świecie. Brylant czystej wody, jak wolisz...

Czystiutenieczki... kryształ!

— No, i cóż z nią zamierzasz uczynić dalej?

— Ja? z Noris?

— Z panną Féraud?

— Będę ją ubóstwiał, będę ją stroił, obwoził po świecie...

Będę szalał dla

niej... To mi wszystko jedno. Mówię ci, że oszalałem przy niej...

— Dla czego się z nią nie żenisz?

Na te słowa, René zaczął na siedzeniu powozu, wiozącego ich do parku Monceau,

pokładać się od śmiechu, w nerwowych wstrząśnieniach z przerwami, i z

konwulsyjnością sobie właściwą, a chętnie naśladowaną przez młodych ludzi.

— Dla czego się z nią nie żenię?.. Oj, umrę z śmiechu... Ależ dla tego, że się

nie żenią z własną nałożnicą....

— Przepraszam cię. Żenią się z metresą, jeżeli ta metresa jest uczciwą dziewczyną.

— Godny jesteś pędzla, Rajmundku! — zawołał René. Doprawdy, wspaniały jesteś ze swoją pruderyą. O, złoty wieku! Tak, ty mi przedstawiasz wiek złoty! Duszę

przedpotopową! Ucałuję cię, wyrobię ci nagrodę Montyon, ale zwrócę twoją uwagę, że minęły te czasy, gdy królowie żenili się z pastuszkami. Powóz stanął przed pałacem. Rajmund, nie chciał przeczyć bratu. Zresztą, było to zapatrywanie osobiste, a przecie nie znał dobrze Noris. Ale jego poczucie prawości oburzało się na nadużycie. W każdym razie, Rajmund de Ferdys prosto zmierzał do czynu i mówił otwarcie to, co powinien był powiedzieć. Markiz de Ferdys posiadał w osobie swego syna serce podniosłe i dobrze urobione przez matkę. Jak powiedzieliśmy wyżej, Rajmund zachwycił Noris. Uczuła, że nagle spada jej jeden przyjaciel więcej i chociaż ufała w pomyślny obrót sprawy VÉRIGNONA i innych, cieszyła się, że ma znowu życzliwą istotę przy sobie. A zresztą, Ferdys był kuzynem księcia. Kochała wszystko, co miało styczność z tym Renem, w którym zawsze z całą naiwnością widziała zbawcę starego Feraud.

Czy też wistocie uratowanym będzie biedny romansopisarz,
który tak drogo okupił
wybryki swej fantazyi i przywiązanie do marzycielstwa?
Sprawa jeszcze nie weszła do apelacyi; ale po wielu
zapewnieniach, po wyrazach
mniej lub więcej uspakajających, Noris nie wątpiła o
pomyślnym obrocie sprawy.
Urzednicy, których widziała, mówili z nią grzecznie i
uśmiechali się z całą
uprzejmością.
Jeden z nich uchodzący za sceptyka, człowiek rozsądny,
powiedział jej nawet
otwarcie: "Niech się pani nicze-

go nie lęka. Nawet w Izbie prawo zostaje prawem, a słusność
zawsze jest
słusnością."
Spodziewała się tedy i czekała, rychło li sprawa wejdzie na
porządek dzienny.
Gdyby się jednak myliła, gdyby miał ją nowy zawód spotkać,
straszny tym razem!
Gdyż przecie i wówczas była pełną nadziei, w owym pokoju
na placu Dauphine,
gdzie tyle wycierpiała, z sercem rozdartem, i dokąd teraz za
nic w świecie nie
chciałaby powrócić....
Och, ten pokój w hotelu Henryka IV. Noris miała wadę
wszystkich nieszczęśliwych,
którzy niedolę swoją przypisują miejscu swego pobytu,
przedmiotom obojętnym,
wcale jej nie dotyczącym.

Nie, nie, ona pogardzi nawet opinią. Będzie tuż przy ojcu,
ażeby mu się rzucić
na szyję, jeżeli go jej powrócą, ażeby okazać mu całe swoje
przywiązanie i
szacunek, gdyby go raz jeszcze uznano winnym.
Czuła się zdolną i chętną do walki.
Ale nie będzie walczyć, wszak uwolnią tym razem Eugenjusza
Feraud. Po
dokładniejszym zbadaniu sprawy, wszyscy się przekonają, że
ten zacny człowiek
był niewinnym!
Tylko jedno zdanie prawników obudziło w niej niejakie
zwątpienie: "Ojciec pani
jest tak niewinny, że nawet zanadto!" wyraził się do niej jeden
z sędziów.
Czyżby ten wąpił nawet w szczerłość jej ojca?
Za to trybunał wcale nie wąpił. Noris, po pierwszej
przykrości, jakiej doznała,
ujrzawszy ojca, prowadzonego przez żandarmów przy
Verignonie wiecznie wykwinnym
i aroganckim, miała przynajmniej tę nagrodę, że mogła wy-

buchnąć radością, usłyszawszy słowa wyroku, uwalniające jej
Eugenjusza Feraud.

Nic innego nie chciała słyszeć prócz nazwiska "Feraud. "

Mało ją obchodził los

Verignona, któremu zatwierdzono dawny wyrok, skazujący go
na pięć lat więzienia;

mało obchodził ją inżynier, któremu karę zmniejszono do
dwóch lat więzy. Z

biciem serca wsłuchiwała się w słowa prezesa, odczytującego powoli i dobitnie ostateczny wyrok.
Gdy usłyszała, że ojciec jej został uwolniony, łkanie zatamowało jej oddech.
Sądziła, że stopi się w tym tłumie z zachwytu. Zdawało jej się, że wyrok wywołał niesłychaną sensację, że wszystko usuwało się przed nią z szacunkiem i poważaniem, że głowy sędziów, słuchaczy, że nawet ściany zawstydzone były poprzednim wyrokiem.
Doznała jakby oszołomienia, jakby zawrotu głowy, aż gdy przysła do siebie, spojrzała na ławę oskarżonych, szukając Ferauda. Ani jego, ani oskarżonych nie było.
Sala się opróżniała, słuchacze wychodzili zwolna, komentując wyrok po swojemu, jak gdyby opuszczali widownię teatralną.
Noris nie wiedziała, gdzie ma szukać Ferauda.
Pan de Chantenay nie chciał być obecnym na sprawie, Wiktoryna, słaba, a zresztą lękająca się wyroku, nie śmiała zjawić się w sali; Noris była prawie samą; nawet woźnego dostrzedz nie mogła.
Pewien reporter, niejaki Gardanne, z Paryżanina, spostrzegł ją, a znając ją z widzenia, oświadczył, że ją doprowadzi do ojca.

Podziękowała mu, przyjęła ramię, które jej podał usłużny młodzieniec, i przez

kilka korytarzy przytyła na próg sali, z której wychodził
Féraud, niepewny,
jakby nie widział nikogo przed sobą.
Był blady, drżący i dziwnie uśmiechnięty.
Po raz pierwszy od wielu miesięcy, Noris mogła go ucałować
nie przez kraty.
Uczuła, że ręce biednego człowieka ścisnęły ją gorączkowo, i
pod kroplami
ciepłych łez, czuła pocałunki ojca na czole, na włosach, drogie
pieszczoty
ojcowskie, których pozbawioną była od tak dawna.
Dyskretny Gardanne oddalił się.
I oto, te dwie istoty, które los po macoszemu traktował,
znalazły się same,
jedno przy drugim, wybuchem jednej radości tłumiąc cały
zapas dawnych cierpień.
Noris płakała, mając główkę wspartą na piersiach ojca; on zaś
uczuwał
niepohamowaną chęć uspokoić trzęsącymi się już rękami jej
zbolełą twarzyczkę.
— Widzisz, widzisz, Noreczko!... Mówił... Przekonano się
więc, że zaszła
pomyłka... Uwolniono mnie!... O to poczciwi ludzie, ci
sędziowie!.. Vérignona
zostawili, mają rację!... Ja nie taki jestem, Jakto zwierzę... O
jakżem
szczęśliwy, jakżem szczęśliwy, Noris, moja córeczko
jedyna!... No pocałuj mnie
długo, długo!... Twoje pocałunki są tak słodkie!...
Ona nie odpowiadała, szalona szczęściem, śpiesząc się
uprowadzić coprędzej ojca
do mieszkania.
Ach, tym razem, Wiktoryna nakryje dla dwóch osób!

Wolny, jej ojciec jest wolny!...
Patrzała nań, całowała go, przyciskała w powozie,

który wiózł ich w kierunku skweru des Batignolles, twarz
swoją do jego twarzy,
rzucała mu się w objęcia, mieszając swe czarne kędziory z
jego kłaczystą siwą
brodą i szeptała mu z cicha, półsennie:
— O jakże będziemy szczęśliwi, ojczulku! Jestem tak
kontenta, tak zadowolona!...
Ach, jak ja cię Kocham!

VII.

Eugenjuszowi Féraud zdawało się, że przebył ciężki, sen lub
chorobę. Sprawa
kopalni Sierra-Fuente, uwięzienie, sąd, wolne dni spędzone w
Mazas w
towarzystwie takiego Potier, cały ten nawał wypadków
rozpraszał się jak senne
widzenie maligny.
Znalazł się znowu z wydłużoną twarzą jak rekonwalescent, w
tem małym mieszkanku,
z którego wyszedł dumny, aby zasiąść w biurze na fotelu pana
sekretarza
głównego!
Jakże mu tu dobrze, w tym odpoczynku, przy oknie od ulicy
de Brochant, z oczyma
spoglądającymi na zieloność krzewów na skwerze, wieczorem
przy blasku czerwonych

promieni zachodzącego słońca!
Stary romansopisarz oglądał, brał jedną po drugiej książki ze
swej biblioteki,
nie znajdując niestety tych papierów, które mu przy rewizji
skonfiskowali
eksperci; za to, na zwykłym miejscu, oglądając ryciny,
sztychy, ry-

sunki, portrety ołowianej barwy swej nieboszczki żony,
Zydówkę Marokańską pędzla
Eugenjusza Delacroix, "jego Delacroix" cieszył się znowu
tem, co stanowiło
przedmiot jego zachwytów za dawnych czasów.
Znowu się znalazł trochę podstarzałym i zmęczonym jakby po
długiej podróży, w
swym wygodnym fotelu, pomiędzy starą Wiktoryną bardziej
przywiązaną niż dawniej
i Noris, Dinorą, piękniejszą niż kiedykolwiek.
— Jak tu dobrze, jak tu rozkosznie! Ach, jakże głupi byłem,
pragnąc lepszego
bytu! Powiedzcie tylko! Zamiast koncipować maszyny dla
Sierra-Fuente i ubarwiać
fałsze owych łotrów, czyż nie lepiej było, gdybym był ciągnął
dalej spokojny
życie literackie? Do licha, żyję przecie, i widzę jasno, co się
dzieje! Tak,
widzę wybornie! Znam życie!
Ach! Teraz! To duże dziecko w sześćdziesiątym roku życia
zostało dopiero
wyleczone z manii przygód! Co za lekcja! Podstrzygli trochę
wełny tej owcy

ofiarnej, taki Vérignon i inni! Dość przeniósł hańby i niedoli!...

Uf!... Oddychał nareszcie, wolny, niezależny, publicznie uznany za uczciwego człowieka.

Dostało się po nosie Gazecie Sądowej! Pyszni są sobie ci komentatorzy gazeciarscy!...

Gdy jednak pomyślał, że mógłby zostać skazany, zimny dreszcz przebiegał mu po całym ciele.

W chwilach bezsenności albo osamotnienia tam, w więzieniu, miał czas rozpatrzyć swe życie zwichnięte przez szukanie przygód! Wistocie miał ich nie mało! Ale teraz basta!

Widział dobrze, iż to prowadzi na bezdzoża, że mrzonki na nic się nie zdadzą.

Biedny don Kiszot ideału, zwyciężony przez ptaka i opoliczkowany przez skrzydła swoich wiatraków, powracał do domu zgnębiony i strapiony, pomimo swoich uśmiechów.

Ach, więcej się nauczył w ciągu tych sześciu miesięcy więzienia, ten niewinny starzec fantasta, aniżeli w ciągu długich lat życia. Poznał grunt, wartość i czczość fantazyi. Poznał ludzi! O tak, tak! Znał ich teraz! A ponieważ dzisiaj

wymagają rzeczy prawdziwych, czystych, nagich, zobaczą, je
przekonają się czarne
na białem!

— Przebyłem straszny romans — mówił Féraud, opuszczając
głowę na piersi.

Przebywszy go, muszę go opisać! Tak, opiszę... ale!... Dziś nie
żądata

imaginacy!... Dobrze! Zobaczą, co to jest obserwacją i
prawda! Praca moja

będzie oddychać, żyć, krzyżeć. Z własnej skóry stworzę
księęę. I jaką księęę. I

jaką księęę. Zobaczą... Przekonają się...

I oto powoli zabrał się znowu do pracy.

Już przy tytule zmuszony był głowę schylić nad papierem.

Trudno było się nagiąć

w jego wieku do wymagań współczesnych. W myśli stawały
mu ciągle szumne tytuły

starodawne, jak: Rozbójnicy Meksykańscy, Myśliwi z Lasso,
Poszukiwacze złota,

Bukanierzy czyli rabusie amerykańscy i t. p.

Ale nie... Zacznie pisać rozważnie i wolno... W samym tytule
musi tkwić cała

otchłań smutku i odwet za cierpienia...

Po długim namyśle skreślił na arkuszu papieru te

obiecujące wyrazy: Człowiek uczciwy, dzieje uwięzionego.

I stary pisarz, ukryty w mieszkanku des Batignolles zamiast
dawnych marzeń o

ideałach, zaczął marzyć o prawdzie.

Noris nie podobało się trochę to, że ojciec jej pracował.

Dostrzegala w nim

pewne zmęczenie.

Nie śmiać mu tego powiedzieć, błagała go tylko, ażeby porzucił tę żmudną pracę,

która roznamiętniała go i rzucała mu krew do głowy.

Ale to stanowiło jego szczęście i dla tego też Noris zwątpiła, ażeby

kiedykolwiek zdołała odciągnąć go od tej ciężkiej pracy.

Nieraz mówiła mu o Reném. Wiedział, jakie poświęcenie okazał pan de Chantenay w

czasie jego uwięzienia. Ale zanim mu wyznała, że księżę zawładnął nią,

całkowicie, Noris zapragnęła od samego Reného upoważnienia do takiego wyznania.

I przez wrodzoną sobie szczerłość, rada była jaknajśpieszniej wyjść z położenia,

które uważała za występne, a które teraz trapiło ją tembardziej, że je musiała

ukrywać.

Dopóki walczyła sama, zdawało jej się, że sama może być odpowiedzialną przed

własnym sumieniem. Wszak zresztą zawarła z Reném jeden z tych związków, które

łączą dwie istoty na całe życie w obliczu honoru i prawa.

On należał do niej jak ona do niego.

Nie przyszło jej nigdy nawet na myśl przypominać mu o jego obietnicy.

Dopóki Féraud był w więzieniu, myślała tylko o ojcu i nie chciała powiększać

smutku biednego starca zwierze-

niem się z tą miłością, występłą dopóty, dopóki nie zostanie ogłoszoną przed ludźmi.

Ukrywała więc starannie wszystko co było podniecającem, upajającem i bolesnem w tej tajemnicy. Należała do Renégo, a nikt nie wiedział o tem. Stara Wiktoryna miała nadto słaby wzrok, a zresztą biedaczka zamało znała miłość, ażeby dostrzedz cokolwiek lub cokolwiek odgadnąć. Do tego czasu, Noris spoglądała na Renégo mniej jak na kochanka, aniżeli jak na narzeczonego.

Ale teraz należało wyznać wszystko. Milczeć wobec ojca, przy widzeniu się z nim przez kratę okienka w rozmównicy, było jej obowiązkiem. Ale zataić prawdę w obec Eugenjusza Féraud, wolnego, to byłoby to samo, co go oszukać.

Noris wyzna mu wszystko.

Należało tylko, ażeby pan de Chantenay zgodził się na to, a od czasu uwolnienia pocziwca, księżę był z wizytą na ulicy Brochant raz jeden tylko i to króciutko, przyczem wypowiedział kilka frazesów nawpół obojętnych, nawpół konwencyjonalnych, jak gdyby był zażenowany.

Poczem, oświadczywszy, że niby wyjeżdża w podróż, przestał bywać.

Noris pisała do niego, na prowincye, do Normandyi, a René odpisywał, albo kazał odpisywać. Powróci niebawem. I on także — pisał — rad jest jaknajprędzej ujrzeć "swoją najukochańszą."

Listy były pachnące, ale po większej części tchnące arystokratycznym chłodem.

Kilka zimnych frazesów — ni-

gdy serca, w czym stanowiły silny kontrast z listami Noris Féraud.

René wistocie nie był w Paryżu. Odpoczywał, używał willegjatury, zdala od gwaru miejskiego.

Gdy powrócił, przyszła mu fantazja odwiedzić Noris. Jeszcze ją kochał. Gdyby przystała na to, ażeby się z nim afiszować, gdyby mógł ją pokazać, jak jaki wyrób jubilerski, byłby dumnym i szczęśliwym.

Ale skromność i pruderya młodej dziewczyny zaczęły go zniechęcać. Wszakże

metresą nie jest od tego, ażeby ją chować.

A przytem był ojciec, ten przebrzydły ojciec!... Ojciec, uwolniony z Mazas.

Księżę zaczął żałować nawet, że wstawiał się za nim i że raczej nie postarał się

o to, ażeby go zatrzymano w więzieniu.

Jakby to było wygodne.

Przy pierwszej alluzji, uczynionej przez Noris, względem jego przyrzeczeń, Reno

odparł jej tak cierpko, że powinna była od razu pozbyć się wszelkiego złudzenia.

Zresztą, szczerłość tym razem była jego zasługą. Jakże Noris mogła przypuszczać,

że nosząc nazwisko Beaumartel de Chantenay, można wziąć za żonę córkę literata,

wypuszczonego z więzienia?

Był tak stanowczym, że Noris, zgnębiona, pytała siebie, czy oszalał, czy był pijany.

Nie była przygotowaną na bezwzględny cios takiej odpowiedzi. Wyobrażała sobie, że skoro ojciec uznany będzie za niewinnego wobec całego świata, córka jego może wyjść za mąż!

Tymczasem na bladych ustach Reného dostrzegła nieszczęsna pewien odcień pogardy grzecznej ale i odstręczającej zarazem.

Ironiczne wejrzenie z poza monokla potęgowało jeszcze złośliwy wyraz tego uśmiechu.

Noris sądziła, że się znajduje wobec innego człowieka. Nie poznawała księcia wcale.

Działo się to w małym salonie pałacu Chantenay, gdzie Noris odwiedziła księcia po raz pierwszy. Ze ścieśnionem gardłem wstała, a wychodząc, sądziła, że się udusi.

Mijając przedpokój o mało nie potrafiła pewnego młodzieńca, który zdejmował wierzchnie okrycie.

Poznawszy Rajmunda de Ferdys, przywitała go machinalnie, on zaś, znajdując ją nadzwyczaj bladą i wzruszoną, zatrzymał ją i ujmując jej rękę, zapytał:

— Co pani jest?

— Mnie? Nic,

— Przysięgam pani, że coś ukrywasz przedemną. Co zaszło, powiedz pani?

— Zapytaj pan swego kuzyna — odparła Noris. Jest on zdania; że się robi wielki

zaszczyt dziewczynie takiej jak ja, biorąc ją za metresę.

Odchodzę, bo widząc

się upadła, byłoby występkiem wobec samej siebie,

wprowadzać dłużej w błąd mego

ojca.

Co mówiąc szybko wyrwała rękę z dłoni Rajmunda i

zostawiła go w stanie

osłupienia.

Chciał biedz za nią, wstrzymać ją i zaprowadzić do małego

salonu, w którym

zostawiła Renégo.

Ale Noris już odeszła.

Młody markiz wszedł do Renégo, który z cygarem w ustach
czytał w głębokim fotelu

jakiś romans rozpustny, nabyty przezeń dnia poprzedniego i
napozór bardzo go

zajmujący. Rozcinał książkę jak gryzетка, palcem

wskazującym. Wprawdzie o dwa

kroki na biurku leżał nóż do rozcinania kartek, inkrustowany
srebrem, ale dla

takiego paniątka było to za daleko.

— A! Rajmund! Jak się masz?

— Czy panna Féraud wyszła od ciebie? — zapytał Ferdys.

— We własnej osobie. Spotkałeś ją?

— Tak, powiedziała mi, że ją wypędziłeś.
— Jesteś jej powiernikiem?
— Szczyciłbym się jej przyjaźnią.
— Przyjaźnią! Wszak nie znasz jej wcale.
— Odgaduję ją. Biedna dziewczyna! Kocha ciebie i cierpi.
Książę spojrział wzrokiem zmęczonym, ale ironicznym, na
kuzyna, gotowego wystąpić
z kazaniem.

Rajmund wistocie, nie chciał słyszeć i rozumieć wszystkich
subtelności życia
paryzkiego. Był on od stóp do głowy portretem swej matki,
czarującej i
niewymuszonej markizy de Ferdys, która spostrzegłszy, że
mąż jej zadaje, w tym
kontrakcie, gdzie miłość tak zabawnie przemawia językiem
notaryalnym, ciosy nie
tylko scyzorykiem lecz i sztyletem, o tyle o ile ten
nieszczęśliwy kontrakt nie
był niczem więcej jak koronką, tłumiła w sobie samej tę
smutną rzeczywistość,
nie zdradzając jej ani przed obcemi, którzy się wyśmiewają,
ani przed
przyjaciółmi, których to bawi.

Pani de Ferdys znała świat zbyt dobrze, ażeby wiedzieć, że
gdy się prosi, o
poparcie przyjaciółek, to one ukrywają usteczka, ażeby się nie
śmiać, w tę samą
chustkę, którą przed chwilą ocierały łzy proszącej. Markiza
była matką i

wyłącznie matką. Jej syn, jej Rajmund, stanowił jej odwet, był
szczęśliwym

rywalem zapominającego o niej męża.

To też chciała urobić go podług swego ideału, tembardziej, że
fizycznie był do

niej podobny jak dwie krople wody.

Ale niestety, nielitościwą śmierć rozdzieliła te dwie istoty w
chwili, gdy pani

de Ferdys już miała ujrzeć z radością w synu człowieka
dorosłego.

Odczuł głęboko to wydarzenie mu skarbu Daj droższego, a
czując pustym ten Paryż, w

którym jej już nie było, chciał uciec.

Opanowała go żądza poszukiwań; pragnienie nowości
ciągnęło go ku morzu.

— Dobrze! — rzekł pan de Ferdys, zostaniesz marynarzem. W
rodzinie de Ferdys

byli już marynarze...

I w szesnastu latach Rajmund wstąpił do korpusu morskiego.

Wyszędłszy w ośmnastym roku życia jako aspirant drugiej
klasy, wysłany został na

studya praktyczne na okręcie Jean-Bart, który odbywał
manewra przy brzegach

Afryki i stamtąd powrócił do Brest na egzamin.

W dwudziestym roku jako aspirant klasy pierwszej, po
sześciomiesięcznej praktyce

przy budowie okrętów i ośmiomiesięcznej podróży po wodach
chińskich, spacerował

od pewnego czasu po ulicach Paryża z twarzą ogorzałą i z
puszczającymi się

faworytami.

Poważny ten młodzian, a jednak uprzejmy i uśmiechnięty, nie
wymuszony i
dostępny, ale dążący w życiu do zamierzonego celu, stanowił
z Reném rażący
kontrast.

Odkrywał nieraz przed kuzynem tajemnice swoich zamiarów
na przyszłość i

recytował mu kazania na temat obowiązku i sumienia.

— Bo widzisz, René — mówił do książątka, my ludzie
noszący nazwiska, brzemienne
sławą przeszłości, my żyjemy w trudnych dla siebie czasach,
gdzie się pracuje
dla przyszłości, nie pracując, zasłużylibyśmy sobie na tytuł
pasożytów

społecznych, bo dziś pochodzenie jest niczem wobec zasług
osobistych. Wistocie,

cóż nam zostanie z dawnych przywilejów? To, co ma
znaczenie na giełdzie i w

handlu: trochę pieniędzy. A więc! Korzystajmy z tej
wyższości, którą nam daje

potęga wykształcenia, dla zdobycia sobie stanowiska w
społeczeństwie takiego,

jakie krwią zdobyli sobie przodkowie nasi. To nie dosyć,
wierzej mi; wylać

trochę krwi w chwili niebezpieczeństwa; to nie wystarcza ani
dla ocalenia honoru

rodziny, ani tembardziej dla ocalenia honoru ojczyzny. Dla
zapewnienia sobie

prawdziwej wyższości imienia i rodu, trzeba poprzeć tamte
czyny zapalem w pracy,

trzeba pracować tak w górze, jak biedak pracuje na dole,
rozumiesz? A ponieważ

nie przystoi nam wzięść się do pióra lub handlu, zostańmy przy pługu lub mieczu.

Uprawiajmy ziemię lub brońmy jej. Zawstydzajmy tych z naszego grona, którzy wtrącają swoje nazwisko do nędznych spekulacji, którzy je wynajmują do publikacji, otrzymując za to liczmany, podczas

gdy ich ojcowie otrzymywali wstęgi honorowe za rany dobrze zasłużone. Są przecie i inne miejsca prócz opery, bulwarów, klubów, wyścigów i t. p. O są! To też idę je zobaczyć, zbadać, rzucam się na morze jak Telemak: hopla! Ale bez Mentora.

René wyrobił sobie o Ferdym osobiste zdania: Rajmund był podług niego dobrym chłopcem, który "pozował trochę na mędrca." Książę nie zwracał uwagi na szlachetność, na zabieглиwość tego młodzieńca melancholijnego, stałego i słodkiego, uczuwającego bojaźń i niesmak zarazem dla Paryża, a przytem, pomimo całej miłości dla ojca, zachwyconego tem, że może wyjechać na morza Chińskie i w ten sposób przynajmniej unikać spotkania się z nałożnicami markiza.

René rad nie rad przyznawał, że Rajmund w chwili konwersacyi stawał się mentorem.

Teraz właśnie, gdy mówili o Noris, była to oczywiście "konferencya" i to

konferencya dotycząca obowiązków uwodziciela wobec
uwiedzionej, którą Ferdys,
ten dobry Rajmundek, ją bronić tak gorąco.
— Ty nie tylko jesteś mentorem, ale i wcieloną doskonałością,
mówił pan de
Chantenay z uśmiechem.
Rajmund wistocie tknięty podwójnem uczuciem, instynktową
sympatją jaką miał dla
Noris i oburzeniem moralnem, co było jego zasadą — wysiłał
się, ażeby wyłożyć
Renému pojęcie sprawiedliwości i honoru; ponieważ księżę
przysiął panie
Féraud, że zostanie j ej mężem (René tego bynajmniej nie
zaprzeczał), to panna
Féraud miała prawo domagać się od pana de Chantenay
dotrzymania obietnicy.

— Oszalałeś! — odpowiedział René. Ależ mój drogi, nie żyłeś
na świecie. Jesteś
dziki. Przypuśćmy, czy naprzykład ty ożeniłbyś się z Chinką,
któraby ci
przypadła do gustu, czy zaprowadziłbyś ją do swego
merowstwa? Idź, powiedz to
mojej matce, że radzisz mi się ożenić z Noris! Ładnie cię
przyjmie!
— Czy księżna wie, że panna Féraud jest twoją metresą?
— Prawdopodobnie. Znalazła na kominku w moim gabinecie
portret Noris. Wzięła ją
za aktorkę. Opowiedziałem j ej całą historię. To ją zajęło.
Czytała przebieg
procesu kopalni Sierra-Fuente.

— Księżna ma względem ciebie słabostki, które cię będą drogo kosztowały.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się książę wesoło — powiesz może, że to matka mnie zepsuła?

— Nie — odparł Ferdys. Twoja matka jest uczciwą kobietą. Ciebie inne kobiety zepsuły.

— Niech żyją inne! — zakonkludował René, zabierając się do przerwanej lektury.

Rajmund uczuwał prawdziwy smutek, widząc, że książę był stanowczo niepoprawnym.

Widział w nim całą pustotę, całą płytkość, całe dziwactwo paryzkiego życia.

To też skwapliwie podążył do swoich apartamentów, z obrzydzeniem prawie opuszczając gabinet Reného, tchnący zapachem perfum "ylang-ylang".

Ukazanie się tej młodej dziewczyny w całej nagości jej szlachetnego oburzenia, dotknęło go do żywego.

Uczuwał dla kuzyna niechęć tem większą, że Noris

wydawała mu się jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie w życiu spotykał.

Wkrótce po przytoczonym zajściu, złożył wizytę panie Féraud dla pocieszenia

jej, jak wmawiał w siebie, nie śmiąc przyznać, że postąpił tak raczej dla tego, żeby ją zobaczyć.

Młoda dziewczyna zwierzała mu się otwarcie ze wszystkiego,
co jej ciążyło na
sercu, pociągnięta również sympatją dla Rajmunda, w głębi
czarnych oczu, którego
dostrzegała tylko szacunek i życzliwość dla siebie.

I on pewno gniewał się na Renégo, i on pewno znajdował go
winnym i podłym. Wyzna
jej to kiedykolwiek.

Wyznał to wcześniej księżnie, wizytując ją wkrótce potem
przed swym bliskim
wyjazdem.

Pani de Chantenay zajmowała pałac przy ulicy Van-Dyck'a,
wychodzący na park

Monceau i sąsiadujący z pałacem syna. Żyła w nim według
zasad wzorowej

dystynkcyi, nieopodal Renégo, przykładnie posiłkując się
morfina.

Zdenerwowana, zużyta, trapiąca przez migrenę, księżna za
pomocą chloralu

zasypiała snem sztucznym, a dzięki iniekcjom zaskórnym z
morfiny zyskiwała

trochę spokoju w chwilach nerwowych kryzysów.

Wychodziła mało, zadawałniając się zbytkiem swego
otoczenia, i prowadziła żywot

w błogiej, niczem niezakłóconej ciszy.

Czytając wiele, nie rozumiejąc jednak wszystkiego, i kochając
syna — bohatera

kronik, które ją bawiły — aż do patrzenia na wszystko co
czynił przez szpary,

bawiła się nieraz szczerze, nazywając go kwiatem szyku jak
inni.

Wieczorem tego dnia, gdy Rajmund złożył jej pożegnalną wizytę, księżna, w małym saloniku, oświetlonym przez arabskie promienie dwóch lamp, przykrytych fantazyjnymi abat-jourami, leżała niedbale, według zwyczaju, na sofie, z wzrokiem niepewnym, szklannym, obojętnym, z rozwartymi powiekami, bezmyślnie, jak gdyby w słodkim upojeniu, jakby w śnie hypnotycznym, rozmarzona, nawskróś zaatakowana działaniem morfiny, i przy różowym świetle lamp, przedzierającym się przez rysunek na abat-jourach, spoglądała na Rajmunda z nieokreślonym uśmiechem zaledwie unosząc swe wąskie usta na szczupłej twarzy, o siwiejących blond włosach, które posypane srebrnym pudrem wydawały się już całkiem białe.

Zdołała jednak, dostrzegłszy siostrzeńca, przypomnieć coś sobie, gdyż wyciągając doń rękę na powitanie, rzekła:

— Ach, to ty markizie, mój siostrzeńcu, który tak pięknie radzisz księciu de Chantenay pojąć za żonę jakąś awanturnicę?

Rajmund, trochę zmieszany niespodziewaną przemową księżnej, wkrótce przyszedł do siebie.

— René mówił cioteczce?...

— Och! księżę wszystko mi mówi. To go bawi, mnie zaś nie nudzi!

— A więc — odparł Rajmund z pewną stanowczością: cioteczka zna już moje

zapatrywanie się na tę sprawę!
Pomimo silnego działania morfiny, księżna powzięła dziwną
ochotę dowiedzenia się
całej prawdy.
To też po chwili zaczęła badać Rajmunda, ażeby z ust

jego usłyszeć o romansie Renégo, co ją mogły wprowadzać w
dobry humor.

Dla markiza Férdys otworzyło się nowe pole wystąpienia z
obroną uciśnionej Noris
w obliczu matki, jak to uczynił wobec syna.

Wystąpił gorąco, z wzrastającym zapalem, wysławiając przed
wielką damą absolutną
uczciwość młodej dziewczyny, pomimo że była uwiedziona,
upadłą, twierdząc, że
skoro Chantenay dał słowo, to już jako Chantenay powinien
poczytywać sobie za
obowiązek dotrzymać słowa!

— Innemi słowy — odparła księżna — powracasz do swego
markizie? Więc twojem
zdaniem, René powinien ją poślubić?...

Rozśmiała się, wznosząc i opuszczając głowę na miękkie
poduszki, a młody markiz
wydawał jej się "osobliwym, osobliwym."

— Przypuśćmy — rzekł Rajmund, że René uwiódł jaką
dziewczynę z towarzystwa, że
dał jej obietnicę ożenienia i że ona zjawia się doń z prośbą o
dotrzymanie
słowa...

— Och — odrzekła księżna, głosem "zawsze powolnym, wpół
śpiewnym, wpół głuchym —

to nie byłoby przecie to samo.

— Dla czego?

— Pytasz się o to! Wszak to bardzo naturalne. Dla tego, że ta dziewczyna byłaby mu odpowiednią stanowiskiem społecznym i o ile przypuszczam...

Nie dokończyła zdania, gdyż Rajmund, trochę podrażniony, przerwał ciotce tonem dosyć cierpkim:

— Sądziłem, że skoro dał słowo, to słowo to miało znaczenie bez względu na osobę.

— Znajdujesz więc, że René występuje wobec panny Féraud jako człowiek niehonorowy?

— Bezwarunkowo?

Księżna ujęła Swą białą głowę w obie chude ręce i patrzyła na Rajmunda wzrokiem głębokiego politowania, odzyskując potrochu żywość usposobienia, jak gdyby wpływ morfiny zatarty został dziwacznymi zdaniami Rajmunda:

— Ach, mój drogi Ferdys, jeżeli będziesz patrzył na życie oczyma Don Kiszota, to

może wzniesiesz się bardzo wysoko... bardzo wysoko.. na skrzydłach twoich

wiatraków, ale jednak nie zajedziesz daleko, zapewniam cię! Rajmund wzruszył ramionami, jak gdyby chciał powiedzieć: "Tu nie o mnie idzie!"

a wracając do Noris, starał się przekonać księżnę, że panna Féraud nie była ani

awanturnicą, ani dziewczyną ordynarną, ale natomiast istotą
podniosłą,
wykształconą, przywiązaną do ojca i za służącą na zupełny
szacunek.

— O, gdybyś ją zobaczyła, droga ciociu.

— Zobaczyć ją? I po co? I cóż mnie, proszę cię, obchodzi
panna Féraud?

Podniosła się do połowy na sofie, a wlepiając wzrok w oczy
siostrzeńca, z twarzą

nagle zapłonioną i wzrokiem błyszczącym jak gdyby pod
wpływem jakiego

wewnętrznego ognia, przechodząc z półuśpiania, z ociężałości
i niechęci, w

jakiej znajdowała się przed chwilą, do wzrastającej stopniowo
niecierpliwości i

jakby zdenerwowania, rzekła:

— Nazwijmy rzeczy po imieniu, mój drogi, i dajmy raz pokój
tej myśli

bezwarunkowo niemożliwej, powinieneś się raz przecie
pogodzić z tem, że świat

składa się z bardzo a bardzo różnych pierwiastków, sfera, do
której ty,

markizie, należysz, jest sferą odrębną i o wiele różniącą się od
tej... tej

demokracji, od tego nawału przeróżnych sfer, tych ludzi
ordynaryjnych, o których

zbyt wiele piszą wasze gazety, a których ja nie znam wcale, i
którzy mnie mało

obchodzą.... Ty należysz do sfery wielkiego świata i tej jednej
powinieneś

hołdować... Towarzystwo jest ostatnim szczeblem tradycji,
którego przełamać
niepodobna nawet drogą gwałtu... Nie należy więc dopuszczać
doń nikogo,
rozumiesz, nikogo!.. Dziś weszłaby doń mieszczańeczka taka,
jak mamzel... jak
sądziysz?... mamzel Féraud... bardzo miłutka, być może, znośna
nawet... Jutro
wdarłaby się poprostu, jaka przekupka, kto wie? A zresztą,
Rajmundzie, mówisz mi
o cnocie tej Noris, o jej uczciwości, o jej zaletach... A czy
jesteś pewien, że
ona jest tak doskonałą, jak sobie wyobrażasz, mój drogi?
Gdyby była tak
doskonałą, byłaby się lepiej broniła i nie zostałaby nałożnicą
mego syna!
— Upadła jedynie dlatego, że René ją uwiódł przysięgą.
— Co? Że się z nią ożeni?
— Tak.
— A więc to targ! Tego rodzaju transakcye, nie zajmują mnie
wcale. Kobieta się
poddaje, to i owszem. Gdy się sprzedaje jednak, to już rzecz
inna.
— Czyliż panna Féraud się sprzedała?

— Za tytuł, tak. Ażeby zostać księżną... księżną de
Chantenay! Do licha, wysoko
sięga ta panna Féraud!...

— Ona kocha Reného i kocha go prawdziwie.

— To mnie wcale nie dziwi. On ma dosyć warunków po
temu! Kochałaby go jednak

mniej, gdyby był skoczkiem na linie, albo małym komisantem.
Tak, tak, Ferdys!

Wyglądasz, jakbyś przybywał z księżyca! Zapytaj się
własnego ojca, czy nie mam
racyi. On zna życie, ale ty znasz tylko twoje okręty.... Nie
jesteś przecie w
Brest, i nie dają ci do ręki bussoli dla uniknięcia miłostek!
Ojciec twój
spojrzałby na ciebie, jak na apostoła dziwactwa, mój dobry
Ferdys. Bo ojciec
twój żył!

— I jestem pewien, że dotrzymał wszystkich danych przez
siebie zobowiązań.

— Kobietom?...

Z nerwowym śmiechem, bardzo wesołym, pomimo ostrości z
jaką przemykał się przez
jej usta, księżna podkreśliła wyrazy: "kobietom?... i zaczęła
podejrzewać
siostrzeńca o brak zdrowych zmysłów.

— Ale, mój biedny przyjacielu, mężczyźni składają nam w
ciągu życia niezliczone
mnóstwo przysiąg bezmyślnie, bez zastanowienia. Twój
ojciec! Ależ kochanku, on
nawet nie dotrzymał słowa danego twojej matce, twojej
świętej matce!...

Przysięgi, które nam złożono... ba!.. to jak bileciki
kondolencyjne: tego się
nie bierze na uwagę... Śmiała się ciągle śmiechem urywanym,
podczas gdy przed nią
stał Rajmund, bardzo blady, zdjęty wielką ochotą do płaczu i
głuchym gniewem,
odnalazłszy w księżnej też same przesady i tenże egoizm, co
w Reném.

Nagle, pani de Chantenay wstała, wyciągnęła do sio-

strzeńca rękę długą, pokrytą niebieskimi żyłkami, suchą,
gorączkową i

przerywając rozmowę, rzekła:

— A teraz opuszczę cię, mój drogi! Nie mam ochoty do
dłuższej sprzeczki....

Adieu!... Mam nadzieję, że cię zobaczę jeszcze przed twoim
odjazdem! Idź

propagować przymusowe małżeństwa w Madagaskarze, albo
Taiti, gdzie chcesz, byle

nie w Paryżu... Tu nikt tego nie weźmie na seryo!...

Dowidzenia, Rajmundzie!

Uniosła kołdrę włóczkową z bębenkami jedwabnemi, i
minąwszy kilka pokoi udała

się szukać spoczynku i trochę upojenia, które odbiegły ją
przed chwilą, w

iniekcyi z morfiny.

Rajmund był rozdrażniony i doznawał uczucia, jakgdyby
otrzymał cios w same

piersi.

Ze swemi zasadami nie mógł strawić, że w gronie
najbliższych sobie osób, w

których krążyła krew ta sama, co u niego, napotkał tyle
niczem nieuzasadnionego

uporu i egoizmu.

Don Kiszot! Niech i tak będzie! I cóż go obchodzi zdanie tych
egoistów o sobie?

Ale ta Noris, ta nieszczęśliwa Noris, którą tak Nielitościwie
zbudzono ze snu

rozkoszy!

Zdawało mu się, że popełniono względem niej występki nie do darowania. Odgadł całą głębię duszy, całą potęgę namiętności tej młodej dziewczyny. Uważał ją za istotę ze swojej sfery, ze sfery tych nieopatrnych poczciwców, którzy idąc przez życie, otwierają jakoby własną pierś, obnażając przed światem serce — miejsce, w które cios zadać należy. Jakim sposobem to dziewczę, które znał od tak nie-

dawna, obudziło w nim taką życzliwość, przez jaką atrakcję, jeżeli nie przez magnetyzm dwóch natur, skazanych na te same zawody i na jednakowe cierpienia?

Zdawało mu się teraz, że on jeden był tylko, który mógł ją bronić wobec tego Renégo, okpisza, co składał przysięgi, a jednak nie kochał wcale.

A za kilka dni, Noris nie będzie miała nikogo, komuby zaufać, komuby zwierzyć się mogła.

Rajmund wistocie odjedzie.

Urlop mu się kończy; Ferdys rad jest, że może już powrócić do swego zajęcia. Ten

Paryż ciążył mu, jak zgęszczone powietrze. Czuł się tu bardziej osamotnionym,

jak w swej kajucie, gdzie podczas, gdy patrzył przez okienko na szmat nieba,

wicher unosił jego dwudziestoletnie marzenia, jak dym z maszyny parowca.

René — sceptyk, pani de Chantenay — przeżyta, markiz, jego ojciec, obojętny — a jako kontrast, Noris, smutna, przechylona w połowie nad stołem, na którym Féraud kreślił swoją: Dzieje Uwięzionego! To przeciwstawienie wydawało się Rajmundowi okrutnem.

To serce dwudziestoletnie skakało z gniewu wobec tej okrutnej prawdy.

Gdyby na tem polegało życie, jakże fałszywym jest taki balans życia!

Cała lojalność młodzieńca, opoliczkowana i raniona, oburzała się ze zgrozą.

Niech żyje więc morze i samotność, książki, marzenia na pokładzie, dni, spędzone na gawędzie z dzielnymi chłopcami, towarzyszami podróży, niech żyje cały hazard istnienia, skazanego na zapomnienie!

Rajmund czuł się być nawskroś przejęty podróżomanią.

Nudził się i był zdenerwowany.

Kuzyn jego, ojciec nawet, zdawali mu się mówić innym językiem, niż jego. Nie

rozumiał ich, nie mogli istnieć ze sobą.

— Potrzeba mi wody słonej! — mówił, próbując uśmiechnąć się.

Przyspieszył swój wyjazd o dni kilka, udał się na ulicę Brochant odwiedzić pannę

Féraud, wyznał jej otwarcie, jak rzeczywisty ma dla niej szacunek, prosił ją,

ażaby pamiętała, iż tam, na drugim końcu świata ma zawsze przyjaciela,
prawdziwie sobie życzliwego i bez uciekania się do frazesów romantycznych,
starał się jej dodać odwagi.

Gdy chciał mówić o Reném, przerwała mu, wtrącając krótko:
"Daj pan pokój. Myślę
tylko o moim ojcu, który jest chory. Nic innego mnie nie obchodzi."

Ton, jakim wymówiła te przejmujące słowa, w których odbijała się rezygnacja po utraconej przeszłości, boleśnie oddziaływał na Rajmunda. Pragnął, żeby René je usłyszał. Może księcia wzruszyłyby te wyrazy, w których było prawie zarówno tyle pogardy ile rozpacz. Rajmund opuścił jednak Paryż, nie powiedziawszy kuzynowi, że widział Noris.

Bo i po co?

Księżę de Chantenay był niepoprawny, a zresztą wiedział gdzie się znajdował obowiązek.

— Ty nie znasz swego kuzyna — mówił markiz do syna, odprowadzając go do Brest i słuchając w wagonie

jego opowiadania o Noris. — René ma odrębne poczucie obowiązku. Obowiązkiem dla niego, jest jego własna przyjemność. Jeżeli jeszcze kocha tę dziewczynę, ona może liczyć na niego; nie jest to zły człowiek. Jeżeli zaś jej nie kocha, nie ma

się czego po nim spodziewać, będzie ją. traktował z pewną
wiejską rubaszością
mieszkańców z nad Bałtyku, którą odziedziczył po matce.
Och, sentymentalizm nie
jest ani własnością usposobienia, ani słabostką twego kuzyna i
księżny. Nie
zajmuj się więc tem i zostaw dziewczynę jej własnemu
przeznaczeniu.

— Ale — zapytał Rajmund — gdybym ja był dał taką
przysięgę, jak René, czy ojciec
utrzymywałby tak jak pani de Chantenay, że nie powinienem
jej dotrzymać?

— Mój drogi! — odparł markiz — uczciwy człowiek nie
stawia swego podpisu na
wekslu bez intencji płacenia, jeżeli zaś podpisał, musi płacić.

— Brawo! Rozumiem cię, ojcze! — zawołał Rajmund.

Markiz dodał z lekkim uśmiechem:

— Tylko nie łap mnie za słówka. I, do licha! Nie przywieź mi
jakiej

czerwonoskórej żoneczki! Gniewałbym się. Zwyczaj jest
praktycznym prawem: podnoś

tylko owoce upadłe z drzewa; najczęściej są to owoce

najlepsze; nie pragną nic

więcej, jak tylko być zjedzonymi. Gdy zaś chcesz się żenić,
ach, wtedy trzeba

szukać i dobrze przebrać: na najwyższej gałęzi i przy pełnym
słońcu!

Markiz odprowadził Rajmunda aż do statku, ucałował go z
całej siły i silnie

wzruszony zeszedł na łódź, która go przywiozła, życząc
uprzejmie całej osadzie:

"pomyślnego wiatru i szczęśliwej podróży."

Pytał siebie, czy się nie przeziębził czasami, ten stary
bulwarzysta de Ferdys,
czując wodę w trzewikach i widząc rękawiczki trochę
obryzgane błotem.
Przeziębził.... Co robić!
Przed odjazdem do Paryża podał depeszę telegraficzną na plac
de la Comedie do
Ludwika Gagnon, Gagnon -ty, jednego z paziów z Hugonotów
— wytrawnego "urwisa
z towarzystwa" — zapraszając go na śniadanie nazajutrz.
— Jabłka opadłe. — marzył, powracając do Paryża. —
Doprawdy, żeniąc się tyle
razy z temi dziewczętami, człowiek nigdy nie ryzykuje ożenić
się na seryo!

VIII. CZŁOWIEK UCZCIWY I DZIEJE UWIĘZIONEGO.

Eugenjusz Féraud często spoglądał na ten tytuł, pięknie
przezeń wykaligrafowany,
na wierzchu arkusza ministeryalnego, który zapełniał nieco
już drżącym pismem.
Podziwiał go, tak jak artysta, patrząc na afisz, głoszący o
wystawieniu jego
sztuki; pisał, przepisywał, kaligrafował, od czasu do czasu,
znajdując w
ogonkach, które dorzucał, wiele harmonii i wdzięku, i pisząc
raz angielskim
pismem podłużnym, to znowu rondem, pragnął

w niem uosobić całą gorycz filozofii, którą chciał nadać swej książce, ten biedny pocziwiec, oskarżony publicznie przez chwilę życia o występki.

Dzieje uwięzionego! Jego dzieje, historia typu tych nieszczęśliwych, tych ofiar, stanowiących żer spekulantów, nieludzkich cyników.

Wszystko, tak, wszystko co wycierpiał w więzieniu, wszystko to pragnął

odzwierciadlić w powieści pisanej krwią własną — jak mówił — i zwilżonej własnymi łzami.

Prawdziwymi łzami, ponieważ domagano się prawdy!

Biedny starzec spostrzegł teraz, że szedł w życiu jak dziecko, które z

wyciągniętą ręką ukazuje muchom kawałek chleba, posmarowanego miodem. Zbuntowały

się na mego te muchy ludzkie: przyjaciele, towarzysze, socjusze, koledzy,

żebracy (gdyż nieraz zebrano jego protekcji i jego pieniędzy, choć tak był

biedny), mnóstwo żarłocznych bestyj, które wypiwszy słodycz miodu, odlatywały

szukać nowego żeru i pogardzały nieopatrzny, dając mu miano: "słabego,"

"dobrego dziecka," lub "sympatycznego głuptaska." I cóż, że był uczciwy? Cóż, że

był niewinny? Zapomniano o nim, bo stary!

Chciał tedy w dziejach swych nieszczęść wykazać, ile przecierpiał, widząc się

obnażonym, rozebrany brutalnie przez tych urzędników i tych adwokatów, którzy

mają szczególniejsze zadowolenie w pastwieniu się nad osobami, które sądzą.
Ileż to jemu, nieszczęśliwemu, wyrządzono krzywdy! Ileż rzucono mu obelg wobec mnóstwa słuchaczy, obelg, równie dotkliwych, jak obryzganie twarzy błotem.
— Mówią nieraz — szeptał do siebie — że dziennikarze

dyffamują ludzi. Wistocie nieraz pióro bywa bardzo złośliwe. Ale język! Ślina prawników jest niemniej zjadliwą jak atrament biografów!.. Szkalują i oni także ci urzędnicy i adwokaci i szkalują gorszą francuszczyznę, jak gazeciarze.
Otóż, wszystko to Feraud wypowie w swych Dziejach Uwięzionego. Jego Człowiek Uczciwy — będzie on sam. Dzieło jego, było jego rewanżem, odpłaceniem i koroną jego całego życia; nie pamfletem, ale raczej spowiedzią, wykładem strasznym może, to prawda, lecz za to (tu romansopisarz zniżył głos do szeptu), za to akademycznym. Ach, gdyby jakim niespodziewanym trafem, akademia, oceniła go stokroć uroczyściej niż izba sądowa! Nie przez powołanie go na krzesło akademickie, broń Boże! Sama myśl o tym zaszczycie była już, według Eugenjusza Feraud, świętokradztwem, ale przez uwieńczenie, przez odznaczenie jego ostatniego dzieła!

Nagroda instytutu, albo wzmianka w rozprawach. Sekretarza wieczystego; sława dnia, pył sławy, dla czegożby nie?...

I Féraud pracował, chciał pracować przynajmniej, i czuł się ze zdziwieniami, które stopniowo ustępowały miejsca rozpaczom, czuł się zmęczonym, czuł, że mu nogi słabną i ciężą, głowa opada, jakby pod ciężarem kamienia młyńskiego, a serce, stare serce doznaje nieraz palpitacyi, które tamowały mu oddech.

Cierpienie fizyczne byłoby jeszcze niczem, gdyby umysł był swobodny.

O, tak, bez wątpienia! Czuł dobrze, co chciał powiedzieć o "uwięzionym", brakło mu słów tylko. Wszystkie

wspomnienia stawały mu jasno przed oczyma, gdy jednak chciał je oblec w formę, przelewały się jak woda z przepełnionej karafki. Słowa odmawiały mu posłuszeństwa; nie wyrażały tego, co chciał powiedzieć.

Prawda, którą pragnął ująć i uwiecznić stawała się bladą, bezkrwistą, gdy ją na papier przelewał.

Ta krew, ta sławna krew i te łzy, które chciał odbić w książce wyparowywały się, i z gniewu, rozdzierał zaczęty arkusz, gniótł go, lub rzucał do pieca, a biorąc nowy, zaczynał pisać z nową ideą, która miała odwzorować artystycznie obraz

życia p. t. Człowiek uczciwy: Dzieje uwięzionego.
Noris niechętnie asystowała tej walce człowieka z własną
myślą, z tym stopniowym
upadkiem, z tem obezwładnieniem przeraźliwie wzrastającym,
jakby pod wpływem
ciosu kata z Mazas.

Chciała oderwać Férauda od tej pracy tak mozolnej.
Nieraz kładła swą piękną delikatną rączkę na arkusze, które
starzec pokrywał
hieroglifami. Mówiła powoli, przysuwając swe usta do czoła
chłodnego, które
rozgrzewało się pod jej tchnieniem.

— Porzuć to, przestań pisać! Idź zobacz, jak pięknie jest na
skwerze!

Ale on ujmował dłonie córki, podnosił je do ust, lub trzymał je
w swoich starych
rękach i błagał Noris, aby go zostawiła z jego kompozycją,
która mu sprawia
zadowolenie, "kompozycją" która się redukowała do
bezwładnych wysiłków, do
stronnic rozdartych lub spalonych na kominku, jak niknące
gwiazdki nadziei..

Ten upór przy widocznem osłabieniu ojca, dodawał Noris nie
mało bólu do

cierpienia, które w jej sercu spowodował René!

Ten ostatni nie powracał.

Ona była zbyt srodze drażniętą, ażeby powrócić do niego!
Pisywała, on odpisywał, ale listy ich. tchnęły przymusem;
książę zostawał w nich

tem, czem był wistocie, lubo prosił w nich Noris, ażeby
przybyła do pałacu przy
ulicy Van-Dycka, kiedy jej się tylko spodoba, zapewniając ją
o swem
przywiązaniu, wywołując w biednej Noris niekiedy żądze
namiętności, którą nieraz
powodowały rumieniec na twarzy nieszczęsnej.
Widzieć go znowu? Widzieć go teraz?
Nie! Zbyt dotkliwie bolała ją hańba, w jaką została wtrąconą
przez niego!
Kochała go zawsze. Może nawet kochała go bardziej niż
kiedykolwiek; ale jej duma
oburzała się i przykuwała ją do tego zakątka, w którym jej
ojciec, nie wiedząc o
tym dramacie ukrytej namiętności, mawiał nieraz:
— I cóż księżę? Pan de Chantenay już nas nie odwiedza?
Chciałbym mu przecie
powiedzieć, ile mu jestem obowiązany za jego poparcie! On
był tak dobry, tak
dobry dla nas!
Ona nie odpowiadała, albo dawała odpowiedź wymijającą.
Księżę de Chantenay ma
zbyt wiele innych zajęć w wielkim świecie, ażeby się miał
tylko niemi zajmować.
Zresztą, prędzej, czy później, odwiedzi ich zawsze!
I krew uderzała jej do głowy namyśl, że nieszczę-

śliwy ojciec może kiedykolwiek dorozumieć się prawdy,
prawdy, która jej przynosi
tyle gniewu i wstydu.

Za cenę życia przeszkodziłaby każdemu, kto by chciał
powiadomić go o tem, i z
sercem bolejącem milczała, nie zdradzając niczem rozpacz, w
jaką wprowadził ją
René.

Jeden tylko, i to już nieobecny Rajmund de Ferdys, mógł
ocenić ogrom jej
cierpienia.

Bo wistocie Eugenjusz Féraud dosyć miał tej anemii
literackiej, tej bezwładności
i tych nadludzkich, a jednak próżnych wysiłków przy
tworzeniu nowego dzieła.

Powiedzieć mu, że Noris kocha, że jego Noris tłumi w
poduszkach łkania kobiety
zdradzonej, byłoby to zabić go, zamordować biednego Féraud.
Albo raczej byłoby
to przyspieszyć zgon umierającego.

Wistocie, Féraud zabierał się do odejścia, jak mówiła po cichu
Wiktoryna,

rozmawiając o swoim panu. Umierał w skutek uwięzienia.

Sprawa Sierra-Fuente

dotknęła go do żywego. Chciano go skazać na pięć lat więzy,
a skazano go na

śmierć. Wychodząc z Mazas miał chwilę gorączkowej radości.

Nowe życie otwierało

się przed nim. Myśl o zemście literackiej jęła go przejmować
do szpiku kości,

weszła w krew jego. Zdawało się, że odmłodził. A zresztą ten
romans, ten

mistrzowski romans, jego testament, dodawał oleju do starej
zużytej lampy. Po

upływie niewielu dni, wszystko się skończy.

Wlókł się powoli, wychodził z rzadka i to dlatego chyba,
ażebym przyjrzeć się
fontannie, bijącej na skwerze, w której woda płynęła,
uprzytomniając mu w myśli,
że życie płynie jeszcze prędzej — życie ten żart przelotny!..

ale powracał szybko do domu, gdzie kochał tylko swój pokój,
swoje książki i
swego Delacroix.
— Cóż to za piękna dziewczyna, ta Marokanka! — mawiał do
Noris. — Nabyłem ją,
gdyż była podobną do twojej matki, do której ty jesteś tak
podobną!...
Pewnego dnia powrócił smutniejszy. Zatrzymał się przy rogu
placu des Batignolles
przed jednym ze sklepów księgarskich, i machinalnie,
pomiędzy książkami,
ułożonemi na wystawie sklepowej, za szybą, wyczytał dużemi
literami na czele
małego popularnego dziennika, illustrowane ogłoszenie, które
pochlebilo mu i
rozdenerwowało:

W jutrzejszym numerze naszego pisma, rozpoczniemy druk
romansu p. t.
"Dinorah"
przez
Eugeniusza Feraud.
Autora, słusznie wstawionego od chwili sprawy kopalni
Sierra-Fuente.

Wsławionego przez sprawę kryminalną, przez skandal! O
opinjo, opinjo, wieczna
zalotnico!

Féraud spuścił głowę i powrócił do domu, tknięty do żywego,
ale nie mający
odwagi zaprotestowania przeciwko ogłoszeniu drukiem tego
zapomnianego romansu,
którego ukazanie się miało mu dać sławę, ale sławę wsteczną.
Wkrótce potem przestał wychodzić z domu.
Chodził z jednego pokoju do drugiego, albo, przez okno
przyglądał się
przechodniom, dzieciom, bawiącym

się w alejach skweru, dym lokomotywy, buchający w oddali,
na linii, idącej
wzdłuż ulicy de Rome.

Z wzrokiem zmęczonym o zaczerwienionych powiekach, z
twarzą obrosłą siwą brodą,
której bladość podniecał odblask białego papieru, który w
ciągu życia zapisał,
Eugenjusz Féraud siedząc w fotelu, nie ruszał się, wdychając
powietrze i patrzył
na odbieganie, na znikanie w przestworzu snów swojej
fantazyi.

Noris widziała, że jest straconym. Otaczała go najczulszemi
staraniami,
zapobiegając chorobie, pragnąc rozerwać choć odrobiną
radości ostatnie dni jego
życia.

Nie bogato było w mieszkaniu starca. Oszczędności z
dawnych czasów utonęły

powoli w przepaści Sierra-Fuente, których złoto również było
dymem tylko. Dokoła
dym — bilans — zero, nawet ideał, ideał, którego dosięgnął
napozór Féraud, nie
był niczem innym jak tylko dymem.
Ale Noris miała jeszcze trochę oszczędności z czasów, gdy
Féraud starał się o
zapełnianie woreczka swej córki. Fundusz z owych prac
przelotnych, o których
autor twierdził, że jedna z nich z czasem uczyni ich napewno
bogatymi.
Otóż, sprzedaż tych prac dała im skromny zasiłek i pozwoliła
pocziwemu starcowi
skonać w spokoju.
Powoli zdawało się, że chorego ogarniał sen coraz dłuższy!
Zasypiał, przedłużał
swe wątle członki, jak człowiek, który dużo chodził. Długą
była droga jego
pracy. Ten rzemieślnik fantazyi, miał zupełne prawo
prostować plecy zgarbione
pod jej ciężarem.
Dziś praca nie nęciła go już wcale.
Papier leżał na biurku beczynnienie.

Féraud spoglądał na tytuł swego romansu, tylokrotnie
kaligrafowany, w tak
różnych rodzajach pisma, i opuszczał głowę, odgadując, że
już go tym razem nie
rozpocznie:
— Szkoda!... Dobra byłaby to książka!..

I opowiadał samemu sobie w długich sennych marzeniach ten romans nieszczęśliwego i zapoznanego więźnia!..
Wreszcie, położył się do łóżka, nie mając nawet siły do siedzenia. Nie pomagały już buljony z kury, przygotowywane przez starą Wiktorynę. Siły odbiegały go.
Doktór wyrzekł straszne zdanie: "zabrakło oleju".
Bah! Eugenjusz Féraud nie był wcale niezadowolonym ze śmierci. Miał on zupełne prawo do spoczynku, bez sprzeczki. A zresztą, czyż zdawał sobie sprawę z tej słodkiej śmierci, która przychodziła na skrzydłach anioła? Noris uśmiechała się doń, Wiktoryna pielęgnowała go jak dziecko. Środki materialne wystarczały, zresztą w szczęśliwej nieświadomości, w jaką nieraz wprowadza ludzi choroba, nie miał ich wcale na myśli. Jednego żałował tylko. Była to myśl dziwnie uparta: nie chciał pokazać się niewdzięcznym względem pana de Chantenay. Dotąd jeszcze dręczyła go ta obawa. Niewdzięczność przejmowała go zgrozą. Gdy wspomniał, że jeden, jeden tylko ze wszystkich, księżę Renę Beaumartel de Chantenay pamiętał o nim w nieszczęściu, błagał Noris, ażeby napisała do księcia, aby przybył łaskawie do swego "protegowanego" — "gdyż byłem jego protegowanym" —

i nie spostrzegął drżenia i bladości, którą przejęta była nieszczęśliwa.

Miała ochotę przyłożyć rękę do ust umierającego i upaść na kolana przy jego

łóżku, z okrzykiem: przebaczenia!

Ale nie, powstrzymała zwierzenie takie, tłumiąc w sobie ból okropny, ażeby

tylko biedny starzec do końca życia miał iluzję, że jej uwodziciel był jego

dobroczyńcą i że ona była niewinną.

Ale wkrótce złudzenie pierzchło: Noris zdradziła się wybuchem pewnego wieczoru,

gdy starzec uporczywie, z pewnem gorączkowem zniecierpliwieniem, zaczął domagać

się od Wiktoryny, ażeby udała się poprosić księcia de Chantenay.

— Wiktoryno, wszak znacie pałac de Chantenay... Idźcie...

Chcę, żeby ksiązę

przybył.

— On nie przybędzie! — rzekła Noris.

— Przybędzie, jeżeli ja go poproszę! Przybędzie! To taki uprzejmy człowiek! Taki

grzeczny!.. Nie bądźże niewdzięczną, Noris! Wszak nikt inny nie przyszedł nam z

pomocą w owej nieszczęsnej sprawie Sierra-Fuente.

Powtarzam ci, nie bądź

niewdzięczną... Podajcie mi papier... Chcę do niego napisać...

Gdy napiszę, on

przybędzie!

Wiktoryna ślepo oddana swemu panu, przyniosła już

przyrządy do pisania, ułożyła

je na kolanach Eugenjusza Féraud, który usiadł na łóżku,

opierając się na

poduszkach, a służąca podawała mu trzymany w ręku
kałamarz, z którego czerpał
chory, sama zaś szeptała do panienki, której serce oniemal nie
wyskoczyło z
piersi:
— Trzeba panu ustąpić, to święty człowiek.

Zdawało się, że Féraud był już nie z tego świata. Przy świetle
lampy, Noris
patrzyła nań, jak strasznie wychudły, z głową wklęsłą w
ramiona, pisał do
księcia, podczas, gdy na ścianie spostrzegła podłużny cień,
odbijający takie
same poruszenia szkieletu.
I wówczas, wszystkie jej myśli skierowały się na to, że temi
wychudzonemi
rękami, drżący starzec, omdlewając przy tej ostatniej pracy,
pisał... do kogo? —
do tego, który był przyczyną upadku jego córki!...
Nagle uczuła, że wobec tej prawdy, wobec tego wysiłku
konającego, przejętego
myślą o wdzięczności, która prześladowała go z tak
zawziętem szyderstwem; wobec
tego uczciwego starca, który udawał się do łotra awanturnika,
kochanka na
chwile, uwodziciela, krzywoprzysięzcy — uczuła, że powinna
bądź co bądź odkryć
wszystko, że przy łożu śmierci nie powinna popierać tego
braku zaufania względem
ojca — i znienacka, sama nie wiedząc, co czyni, przerażona
słowami własnemi,

któremi przerwała ciszę w pokoju chorego, zawołała:
— Nie pisz! Nie pisz, ojcze! Pan de Chantenay nie jest
godzien twego szacunku.
Pan de Chantenay jest nędz...
Zatrzymała się, przełęczona własnym krzykiem, własnym
ruchem, który ją rzucił
do łoża umierającego i zmusił ją do wydarcia z rąk ojca
zaczętego listu, listu,
w którym drżącymi literami nieszczęśliwy składał wyrazy
podziękowań i błagał
księcia o przybycie.
Stała nieporuszona i oddałaby całe życie, ażeby być w stanie
zawładnąć gniewem,
jaki ją opanował.
Féraud spojrział na nią szeroko rozwartymi oczyma

Zdawało się, że badał głąb jej duszy. Jasne światło lampy
oblewało wybladłe
oblicze konającego i przerażoną twarz Noris.
Ten ojciec i ta córka, te dwie drogie sobie istoty, dla których
wspólną była
radość, smutek i wszystkie myśli nawet — teraz po odejściu
Wiktoryny, patrzyły
się na siebie, oko w oko, tak jak gdyby chciały się wzajemnie
odgadnąć.
I konający, przy świetle innem, przy świetle śmierci, która się
doń zbliżała,
pierwszy wyczytał prawdę, odgadł wszystko, opadając zwolna
na poduszki i
upuszczając na ziemię przyrząd do pisania, pokryty papierami,
na jednym z

których można było wyczytać napis: Człowiek Uczciwy.
Dzieje uwięzionego.
Wtedy Noris spostrzegła, że usta wybladłej twarzy ojca poruszyły się, usłyszała
łkanie, pochwyciła szept następujących wyrazów: "biedne dziecko, biedna dziewczyna..." i chciwa przeproszeń, pocałunków, łez, opuściła swą główkę na pierś ojca i leżała tak przez chwilę, nic nie mówiąc, lecz płacząc i całując biednego człowieka, podczas, gdy on ją głaskał i zapuszczał w jej włosy swe kościste palce, jak wtedy, gdy była małą.
Eugenjusz Féraud nie napisał do pana de Chantenay, a Noris nie zawiadomiła nawet księcia o śmierci biedaka. Chowiała tę wiadomość do chwili, w której go zobaczy oko w oko.
Zwykły inserat gazeciarski zawiadomił obojętnych ludzi, że "Pan Eugenjusz Féraud, powieściopisarz, ongi cieszący się pewnym rozgłosem, ale wkrótce zapomniany,

i tylko ostatniemi czasy, dzięki pewnej sprawie sądowej, znowu wstawiony, zakończył życie."

Trzy czy cztery osoby nie więcej, stanowiły orszak pogrzebowy, jeden z nich, którego Noris wcale nie знаła wypowiedział nad grobem na cmentarzu Montmartre

krótką mowę, którą zakończył "tykając" nieznanego mu wcale nieboszczyka, temi słowy.

"Bywaj zdrów, Feraud, nie otrzymasz pewno, niestety, pierwszego miejsca w panteonie powieściopisarzy, ale stowarzyszenie literatów zachowa dla ciebie, przysięgam, wcale niepoślednie miejsce w swoim sercu!" Mówca zrobił nacisk na wyrazie "wcale niepoślednie!" Noris miała ochotę zbliżyć się doń i zapytać:

— On śpi teraz spokojnie. Po co mu chcesz zakłócać ten spokój?

Od chwili śmierci ojca, młoda dziewczyna uczuła straszne zgnębienie. Wszystko co przecierpiała, wszystko co przeniósł ten zmarły manjak, wszystko to wstrętną goryczą przepełniało jej serce. Przerazała prawie Wiktorynę, która nie mogła

pojąć, co "panience" chodzi po głowie, że nic nie mówiąc, siedzi podparta na obu dłoniach i błędnie patrząca przed siebie?

Jedyną ulgą Noris był cmentarz, gdzie mogła klęknąć na grobie, obok szarego wilgotnego muru, oddzielającego cmentarz od ulicy, mieszkanie żywych od wiecznego schronienia umarłych.

Tam, wśród tłumu zatłoczonych pomników, wspartych niemal jeden na drugim, pod cieniem wonnej akacyi, spoczywał obok swej drogiej żony, spoczywał snem ostat-

nim kołysany głuchym odgłosem powozów, tramwayów,
stukiem fabryk z bulwaru de
Clichy, Eugenjusz Féraud pocieszony po małym rozgłosie,
jaki miał między ludźmi,
olbrzymią ciszą... w siedzibie umarłych.
Noris, klęcząc na jego grobie uczuwała ból, który jednak
dawał się łagodzić.
Byłaby chętnie ucałowała ten kamień, pokrywający jej drogie
szczątki, i ztamtąd
to oderwawszy się od grobu, na którym niebawem miano
wyryć nazwisko Féraud, obok
nazwiska matki, udała się wprost z cmentarza do parku
Monceau, od grobu, gdzie
spoczywały dwie istoty, które jej dały życie, do tego pałacyku,
gdzie miała
spotkać tego, który zdeptał i zatrueł jej to życie, kradnąc je u
niej dla własnej
przyjemności.
Czego zażąda przy ulicy Van-Dycka u pana de Chantenay?
Sama nie wiedziała.
Popychał ją instynkt gniewu, potrzeba zemsty i
sprawiedliwości. Zdawało jej się,
że nieboszczyk woła na nią, ażeby w jego imieniu domagała
się od księcia, ażeby
słowa dotrzymał!
Szary cień padał na aleje, poza wrotami, które Noris minęła,
nie spostrzegłszy
ich nawet, aż do ulicy Van-Dycka. Tu zatrzymała się
bezwiednie.
Zadzwoiła do pałacu, minęła korytarz, a gdy szwajcar
zadzwoił, oznajmiając
przybycie gościa, weszła wprost do apartamentów i przebyła
przedpokój wiodący do

księcia.

Spostrzegłszy Noris, kamerdyner księcia zdawał się być trochę zdumionym i dość drwiąco spojrzął na tę piękną dziewczynę, ubraną w czarnej wełnianej sukni, od której rażąco odbijała się jej twarz matowej białości. Kamerdyner pospieszył uprzedzić Renégo i wrócił po chwili.

Książę kończył się ubierać. Prosił przybyłą o zaczekanie przez chwilkę w małym salonie.

Noris stojąc, patrzyła przez czas jakiś, z poza firanek, na zielone drzewa parku Monceau, które przypominały jej owe drzewa ze skweru, tyle razy podziwiane przez nieboszczyka.

Chłód szyby, o którą wsparła czoło, sprawiaj jej ulgę. Stała nieruchoma i myślała. Nagle odwróciła się na szelest otwierających się podwoi.

Wszedł książę w stroju wieczorowym, uperfumowany, pogodny, uśmiechnięty — trochę wprawdzie z przymusem.

Zbliżył się do Noris i podał jej swą piękną rękę, której ona nie przyjęła.

Spojrzała nań zmieszana pomimo woli na widok tego niczem nie zamaćonego spokoju na twarzy i tej elegancji trochę angielskiej, którą dawniej bywała zachwyconą.

Ale po chwili, przystępując wprost do rzeczy, rzekła: — Mój ojciec umarł!

René wydał lekkie: "ach", dyplomatyczne i poprawne, w którym znajdowało się potrochu wszystkiego i uprzejmego smutku i obojętności, pokrytej żałobą.

— Umarł, bo go podejrzrywano o występki... Wyrok, lubo zniesiony w apelacji, był wyrokiem śmierci. Biedny ojciec!...

Przez chwilę nie mogła wymówić słowa, wkrótce jednak, podnosząc głowę, dodała:

— Może i lepiej, że umarł, gdyż odgadł, że córka była niegodną!.. Przychodzę tu dzisiaj, ażeby zapytać, co pan zamýślasz ze mną dalej uczynić?

Książę stał oparty o kominek przy ścianie, zawieszanej tu i owdzie bronią różnego gatunku, wśród której pomiędzy damascenkami, sztyletami japońskimi, wysadzanymi perłową masą i drogiemi kamieniami, błyszcząca srebrna krucica, lśniła jak pieścidełko.

Noris siedziała na głębokim fotelu, bacznie przeszywając wzrokiem tę twarz zimną, uśmiechniętą i pogodną, jak gdyby chciała zerwać z niej maskę i ujrzeć głąb duszy...

On machinalnie, podczas gdy ona mówiła: "co pan zamýślasz ze mną dzisiaj uczynić?" nałożył okrągły monokl, jak gdyby chciał lepiej i bliżej ogarnąć wszelką niespodziankę.

Z pod jego powiek ciężkich, napiętnowanych znużeniem,
wzrok wybiegał zwolna,
nieokreślenie, w stronę tej pięknej dziewczyny, która wprost
niego, z oczyma
zapalonemi rezygnacją i gniewem, powtarzała jeszcze:
— A więc wytłumacz mi pan... czem ja tu jestem?... Czem
będę teraz dla pana?
Zamiast odpowiedzi, z ust księcia de Chantenay, wymknął się
mimowolny i
bezsensowny madrygał, pełen śmiesznej galanterji:
— Ależ droga moja, wszak jesteś najpiękniejszą dla mnie i
najukochańszą ze
wszystkich kobiet!..
— A więc pańską metresą?
— Kobieta, którą kocham nad wszystko na świecie!
— Pańską metresą? — powtórzyła Noris, zawsze zgięta we
dwoje, z ciałem
pochylnem naprzód na fotelu, i z głową wzniesioną, badającą
myśl tego człowieka
po tym bezbarwnym uśmiechu na jego ustach.

Nagle wstała, sztywna, coraz bardziej wznosząca głowę,
dumna, prawie groźna
teraz.
— A wszak mi pan zapewniałeś, że będę jego żoną. On nie
odpowiadał, przecierał
powoli monokl, a jego zimna twarz stała się prawie tak
nieruchomą jak portret.
— Może to było bezmyślnie — dodała Noris — ale w każdym
razie paneś mi
przysiągł.

Chciała mu przynajmniej plunąć w oczy wszystkim, co ją dotknęło, wszystkim, co przecierpiała, słysząc jak nieboszczyk, czując się być "niewdzięcznym", chwalił i żądał przybycia tego niegodziwca.

— Przysięgłeś pan, czy nie?

On nie odpowiadał, a Noris, zdecydowana na wszystko, powtarzała pytanie, chcąc go przynajmniej zmusić do wyznania, że skłamał:

— Przysięgłeś pan, czy nie?

— Przysięga zakochanego — rzekł wreszcie René, składając usta do uśmiechu.

Zresztą, czyż byłem w stanie, czy teraz mogę rozporządzać sobą?... Mojem sercem, zapewne. Ale mojem nazwiskiem?... O biedna Noris, my nie należymy do tej samej sfery... a moja matka...

— Pańska matka?

— ...Nigdy matka moja nie zgodziłaby się, ażeby księżę de Chantenay...

— Pojął za żonę córkę Eugenjusza Féraud!.. Ale cóż powiedziałyby pańska matka, która należy do innego świata, a raczej, która należy do świata, podczas gdy ja do niego nie należę — co powiedziałyby ona, która jest kobietą, i która temsamem powinna pogardzać każdym kłamstwem, każdą krzywdą, wyrządzoną kobiecie, której

kradną zaufanie i której wyzyskują miłość, bo tak jest! Cóż powiedziałyby

księżna de Chantenay, gdyby wiedziała, że jeden z Chantenay'ów skłamał? Skłamał wobec młodej dziewczyny, która z jego przyczyny stała się dziewczyną upadłą?

Tak, tak, zobaczymy, coby też powiedziała pańska matka, gdybym przybyła do niej, wołając: "Syn pani jest ostatnim z nędzników! Skorzystał z mojego nieszczęścia, podszedł mnie w osamotnieniu, i gdyby to był uczynił z mężczyzną jakim to co uczynił ze mną, musiałby mi zdać rachunek z takiej podłości!" Tak jest, to rzecz bardzo naturalna! Ponieważ ojciec mój umarł, ja żądam zadośćuczynienia od pana, tak jak onby to uczynił, jakby miał prawo tak uczynić! I powtarzam panu: co chcesz zrobić ze mnie?

Skrzyżowała ręce, miotając błyskawice gromu na Renégo, który stał zdziwiony, blady, mając ochotę zadzwonić, ażeby wyrzucono za drzwi tę natrętną istotę.

— Przedewszystkiem — rzekł — uspokój się pani. Trzeba być rozsądną... Wierzyłaś pani w nieskończoność zwykłej przygody..., tak... dobrze mówię... przygody....

Podniosła czoło, jakby pod uderzeniem bata, łamiąc palce z nerwowym gniewem.

Przygoda! A więc to była przygoda, i nic, tylko przygoda, ta miłość, w którą wlałam całe swoje życie?...

On patrzył na nią trochę pogardliwie, znudzony już tą sceną sentymentalnej gryzетки, przekraczającej nieco granice.

— Droga Noris — rzekł po chwili — powinnaś pamiętać o tem, że cię nie zostawię samej sobie!... Ze cię bardzo kocham!... Jesteś dziewczką prześliczną...

Usunęła się jeszcze szybciej pod wpływem tych słów, które René cedził zwolna.

Na policzki jej wystąpił rumieniec bólu.

— Chcesz mnie pan tedy traktować jak ulicznica...

— Ależ ja tego nie powiedziałem — zawołał książę.

— Pańska opieka, jak pan mówisz, czy pańska pomoc materyalna, są mi zupełnie obojętne, jeżeli mnie pan nie kochasz i jeżeliś mnie oszukał!

Nie żądam jałmużny

od pana! Żądam miłości! Więcej jak miłości, żądam dotrzymania przysięgi od

człowieka honoru.

René nie miał innego wyrazu, podczas gdy Noris mówiła, jak tylko wyraz pewnej

obawy, znajdował bowiem, że młoda dziewczyna podnosiła zbyt głośno przy

wypowiadaniu swych melodramatycznych frazesów i że służba jego może je z

łatwością dosłyszeć. Zresztą, wmawiał w siebie, że na utrzymaniu w tajemnicy

tego zajścia niewiele mu zależało. Sam był świadkiem i będzie jeszcze świadkiem,

zarówno jak i jego służba, nie jednej jeszcze awantury tego rodzaju!

— Tak — rzekła stanowczo Noris — pańskiej przysięgi.

Jeszcze raz powtarzam, że

uwierzyłam słowu Chantenay'a i jego miłości, uwierzyłam
całą duszą i pragnę
wiedzieć, ile było prawdy w gruncie tego wszystkiego!
— Kochałem cię! Byłem szczery! Kocham cię dotąd!
— Doprawdy?
— Mówię to seryo.
— A więc dotrzymaj pan słowa. Na mój honor, a raczej na to,
co mi z honoru
zostało, przysięgam, że nie błagam pana o to dla siebie samej,
ale dla tego,
który zamykając oczy, wyczytał występki z głębi moich oczu.
On

nie śmiał by marzyć o tem, ażebym została pańską żoną, ale
nie uwierzyłby nigdy
w hańbę, że zostanę pańską metresą.
— A więc to dla ojca pragniesz, bym się z tobą ożenił? —
zapytał René powoli,
ważąc całą doniosłość egzaltowanych wyrazów Noris.
Znajdował nawet pewną dziwaczność w tem zdaniu, to dla
mego ojca! Byłby się z
tego uśmieł serdecznie, gdyby usłyszał je w melodramacie lub
operetce.
— Tak — odparła Noris z pewnym odcieniem dumy — dla
niego. Wola mego ojca
nieboszczyka warta jest woli pańskiej matki żyjącej!
— Tak sądzisz? — zapytał René, zakładając znowu monokl,
który mu wypadł z oka.
I udając zamyślenie, stał spokojnie, czekając końca tej burzy,
tego wybuchu
namiętności, wcale dlań nie groźnej.

— Ale w końcu — rzekła Noris, wzruszając ramionami —
jestem niedorzeczna!
Przysięga, uczyniona kobiecie, czyż to się bierze w rachubę,
nawet, gdy ta
kobieta jest uczciwą dziewczyną i gdy mężczyzna jest
księciem de Chantenay?
Uwierzyłam pańskiemu słowu. Tem gorzej dla mnie! To mi
pan chcesz odpowiedzieć,
nieprawdaż? To mi tłumaczy donośnie pańskie milczenie? To,
nie prawdaż?
Miała chęć rzucić mu się do nóg, porwać jego ręce, otoczyć go
pieszczotą,
odnaleźć pod chłodem światowca, tego kochanka, którego
wielbiła, tego
młodzieńca, namiętnego i pełnego rozsądku, którego upatrzyła
w nim i ukochała; i
zawstydziła się tego mimowolnego popędu, który

był jakoby szumowiną jej namiętności, i który odepchnęła,
ażeby nie okazać się
podłą.

Natomiast, w egzaltacyi, błagała Renégo, ażeby jej
odpowiedział, żeby
przypomniał sobie przysięgę, przysięgę świętą, tem świętszą,
że zadośćuczynienia
jej pragnęła dla zmarłego a nie dla siebie samej.

— Twój ojciec? Ech! — rzekł René, mlasnąwszy językiem.
Chcesz, żebym był
otwartym? A więc, to co mi nie pozwala dotrzymać słowa, to
nie tyle wola mojej
matki ile wspomnienie o... Eugenjuszu Féraud.

— Wspomnienie o nim?

— Jego szkaradna sprawa, jeżeli już chcesz tego!

— Czy mi pan chcesz przypomnieć, że go skazano..
najniegodniej w świecie!...

— Nie, broń Boże! Co do mnie, zapomniałem o tem. Ale ja...
ja...

— I cóż pan?

— Ja nie stanowią całego świata!... Ja jestem tu niewinny,
znałem twego ojca i
kocham ciebie!

— Nie mów pan tego! — zawołała z wściekłością. Pan mnie
nie kochasz. To
kłamstwo!

Chantenay uśmiechnął się.

— Ależ moja droga — rzekł po chwili — nie byłbym ci tego
przypominał, ale gdy
się raz już siedziało na ławie oskarżonych, to... w każdym
razie... już się
ma... plamę, może nie wielką, ale zawsze... plamę. Czyś nie
czytała artykułu w
Reporterze?

— Nie!

— A w Żywicy?

— Nic nie czytałam.

— A więc przeczytaj, droga Noris — rzekł książkę — to ma
swoje znaczenie. Tam nie
przebierają we frazesach biografują twego ojca i oskarżają go,
jak gdyby
gazeciarze byli prokuratorami.

— Jakto? — zawołała Noris — a więc nigdy się nie jest niewinnym dla tych sędziów?

— Jak widzisz — odparł książę. I cóż powiedzianoby o tobie, gdybyś została małżonką księcia de Chantenay?

— Co powiedzianoby o mnie? A więc nie chcesz się rządzić własnym sumieniem?

— Ja należę do mego otoczenia... do moich... moich przyjaciół...

— I dlatego, że jakiś dziennik wypisuje niestworzone rzeczy, że twierdzi, że

pomimo uwolnienia, mój ojciec jest winny, czy jest winny wistocie? I ponieważ

uważanoby mnie za awanturnicę szczęśliwą lub zręczną, gdybym została pańską

żoną, czyliż byłabym awanturnicą? I pan mi to mówisz! To niegodnie!

Noris czuła, że wszystkie tętna zbiegły jej do ust dla wybuchu gniewu.

W zimnej grzeczności Reného dopatrzyła się nowej zniewagi. Czuła, że człowiek

ten przestał kochać z chwilą posiadania, że namiętność, którą jej okazywał, nie

była niczem innym, jak tylko żądzą chwilową, żądzą, której zadość uczynił

bezzwłocznie.

Najwięcej bolała ją potwarz, która starego romansopisarza wprowadziła do grobu,

a którą teraz René wziął sobie za punkt wyjścia.

Wszystko, dokoła niej, padało uniesione huraganem gniewu.

Porwała rękę Reného i zawołała z wściekłością omal mu nie skacząc do oczu.

— Tak? A więc jestem dla ciebie ścierką? Kochałeś mnie tylko jak kurtyzankę?

Byłeś przyczyną mej zguby i od pychasz mnie teraz z pogardą?

— Noris... proszę cię...

— I sądzisz może, że upadła będę żyła dłużej?... Tak sądzisz?... O, nie znasz ranie jeszcze....

Gorączkowo odepchnęła księcia i wyciągnawszy rękę w stronę, gdzie przy świetle lampy błyszczła krucica, porwała ją, wpóldzika i syknęła patrząc na to narzędzie śmierci wzrokiem obłąkanym, prawie radosnym, szalonym z gniewu.

— Co czynić zamierzasz? — zapytał księżę. Noris! Szalona Noris!

Zamiast odpowiedzi, odciągnęła kurek, zmierzyła, a René instynktownie cofnął się o parę kroków

— Noris... na Boga... co czynisz?...

W tym okrzyku, w pomieszeniu, w tym ruchu jego rąk wyciągniętych przed siebie, w całym układzie ciała, cofającego się w stronę kominka, był taki wyraz, że Noris

Féraud od razu wstrzymała wykonanie wyroku, ochłonęła z szaleństwa, zdjęta niespodzianem uczuciem.

— Jakto! Więc, pan się lękasz o siebie, o siebie!

Opuściła ręce bezwładnie, spojrzała na księcia Reného Beaumartel de Chantenay i

wydała głębokie "ech", pełne zdumienia i pogardy.
René sądził, że ona jego pragnęła zabić, tak, ten młodzieniec,
który w
pojedynekach nie cofnąłby się ani na pół cala, dziś na chwilę
wprawdzie, ale
przeląkł się cacka —

krucicy, trzymanej w zaciśniętej ręce kobiety. I blady, przed
chwilą, oblał się
nagle rumieńcem, niekontent sam ze siebie, odgadując
spojrzenie ironiczne, pełne
pogardliwej litości ze strony Noris, na widok jego
tchórzostwa. Tak, ta kobieta
może nim teraz pogardzać i pogardza pewnie, bo widziała go
drżącym przed nią,
ona, która chciała pozbawić się życia, będąc pogardzoną przez
niego!
Wtedy przysunął się szybko do niej i chciał odebrać jej
rewolwer, w obawie,
ażeby nie zwróciła go teraz ku sobie, tak jak czuł, że chciała
uczynić — i jego
ręka szukała ręki Noris, by ją pochwycić i wyrwać jej
rewolwer, jeżeli zajdzie
potrzeba.
Młoda dziewczyna usunęła się niezmiernie szybko, a
oddzieliwszy się od księcia
małym stolikiem, zrobiła sobie satysfakcję — odzyskując
naraż przytomność
powiedzenia doń:
— Ale nie drzyj pan przecię.... Nie bój się, ani tobie, ani sobie
nie odbiorę

życia!

I śmiech spazmatyczny bluznął w oczy Chantenay'owi.

— Myślałeś pan, że chciałam cię zabić? O tak, widziałam, żeś tak sądził; a

więc ja, która rozczulić cię nie mogłam, przeraziłam cię. Ach!

Chantenay, książę

de Chantenay drży przed kobietą! O, nie! Nie chciałam cię

zabić! To ja chciałam

umrzeć, umrzeć dla ciebie, dla ciebie i w twoim domu! O

jakżem niedorzeczną

byłam! I wtedy nawet nie miałbyś przecie dla mnie litości.

Wstydzisz się mnie

po śmierci, tak jak wstydzisz się za życia! Zabić się dla ciebie,

o nie, tyś nie

wart tego!

Słowa powyższe wypowiedziała z takim wstrętem, że ciarki

przeszły organizm

księcia.

Następnie, rzucając rewolwer na dywan, ozwała się do

Renégo:

— Adieu! Zegnam pana! Nie byłam szaloną kochając pana,

byłam głupią i jeżeli kto

znas popełnił megaljans, to ja tylko! Nie odprowadzaj mnie

pan, znam drogę, już

mnie nie zobaczysz więcej.

Jeszcze z za atlasowej portyery, zdobiącej drzwi tego

ponurego w tej chwili

gabinetu, rzuciła mu wejrzenie, pełne pogardy.

Przyjął je w milczeniu, a gdy wyszła, przechodząc wobec

kamerdynera, który

spoglądał na nią z pewnym rodzajem zachwytu, i który musiał podszuchiwać —
zadzwoił i najobojętniej w świecie, biorąc z krzesła, na które położył
wszedłszy do pokoju, rękawiczki, i kładąc je w otwór swego szapoklaka, rozkazał:
— Zaprzęgać!
Noris Féraud była już na schodach.
Uciekała, biegła na ślepo, powodowana jedną tylko myślą oddalenia się od tego
człowieka, który wobec rozpaczliwego kroku kochanki drżał tylko o własne życie!
O tak! Pragnęła uciec od niego, od tego księcia, którego bladość w chwili, gdy
ona chwyciła za rewolwer, zawstydziła ją dla niego samego;
— chciała copędzej
znaleźć się na otwartym powietrzu, gdzie mogłaby ochłonać z gorączki.
Długo chodziła po parku Monceau, sama nie wiedząc dokąd idzie, aż wreszcie
przyszła jej ochota odczytania

tych dzienników, które po śmierci nawet oszkalowały jej ojca.
— Tak, chcę to widzieć, muszę to przeczytać!...
I szła wciąż naprzód, zatrzymując się niekiedy, ażeby powiedzieć do siebie
prawie głośno, zawsze myśląc o nim, o tym człowieku, którego ubóstwiała, a który
tak obojętnie traktował jej przyszłość:
— Podły! Ach jaki podły!
Poczem, znowu myślą powracała do ojca!

— Zobaczmy, o jakich to dziennikarskich artykułach wspominał książkę? Jaki to dziennikarz, który nigdy nie znał Eugenjusza Féraud, śmiało policzkować i oskarżać cień nieboszczyka? I za co? Czy dla tego może, że brakło mu tematu do artykułu?

I zaczęła przypominać sobie tytuły pism, które cytował Chantenay. Reporter, Żywica, mówił książkę. I machinalnie, mijając bulwar Malesherbes, od kiosku do kiosku, Noris zatrzymywała się, pytając się o numery poranne. Żywica? Reporter? Zabrakło. Nakład wyczerpany. Musiało tam być coś ciekawego, skoro rozprzedano wszystko do południa. Tak wyjaśniła ją jedna z kobiet sprzedających pisma. Krew uderzyła jej do głowy, pytała siebie, czy przyczyną tak znacznego pokupu nie była właśnie nieszczęsna kalumnia, rzucona na jej ojca. Bądź co bądź chciała przeczytać, chciała dowiedzieć się prawdy.

Większość kiosków, oświetlonych wewnątrz, jak dwie czerwone latarnie, była już zamknięta, oglądała je starannie, mając nadzieję, że pomiędzy anonsami znajdzie jeden

choć numer Reportera. Nie i nie. Na jednym tylko kiosku, stary, wyblakły anons uderzył ją i dotknął boleśnie.

Dużemi literami transparentowemi wyczytała co następuje:
Towarzystwo kopalni
Sierra-Fuente, kapitał milionów. To to przecie wprowadziło
do grobu jej
ojca!...

Oddaliła się z gniewem i wkrótce znalazła się obok
Magdaleny. Tu ruch uliczny
zwiększał się coraz bardziej. Noris omijała powozy,
omnibusy, kierując się po
zacieśnionych chodnikach w stronę Grand-Hotel'u i
Vaudeville'u. Tam napewno
znajdzie jeden z numerów tych dzienników, o których
wspomniał jej pan de
Chantenay z taką ironją!

Rozglądała się dokoła. Przed jedną z kawiarni, dwaj młodzi
ludzie, czytając
Żywicę, śmieli się głośno.
Tytuł dziennika osadzonego na trzcinie, zwrócony był w
stronę Noris. Miała chęć
wyrwać go z rąk tych panów, których śmiech drażnił ją
niepomierne. Zdawało jej
się, że wyśmiewali jej ojca. Tak, wyśmiewali. Bardzo być
może! Ach ten dziennik,
ten dziennik, chciała go już mieć w ręku, już czytać, już
wiedzieć, co zawierał.

Krew uderzała jej do głowy, wszystkie pulsa biły. A gdyby tak
wejść do kawiarni
i zapytać się o Reportera albo Żywicę.
Zdało jej się, że wszyscy, wszyscy odgadliby odrazu, że była
córką Eugenjusza
Féraud, i że przybyła, dla dowiedzenia się, co też mówiono o
nieboszczyku.

— Niech mnie poznają wreszcie! Cóż wielkiego!

Przed Vaudevillem nareszcie, pomiędzy ilustracjami,
rozwieszonymi na kiosku,
spozstrzegła te pisma, które też pochwyciła skwapliwie, jakby
je chciała
pochłonać. Żywica na różowym papierze wisiała tuż obok
Reportera z jego winietą,
przedstawiającą karykaturę człowieka, który

ubrany czarno, skierowywał na Paryż olbrzymią lornetę
teatralną. Zerwała je
gwałtownie z gwoździ, na których wisiały, rzuciła sztukę
monety gazeciarce i
podczas, gdy ta ostatnia odliczała resztę, Noris przy świetle
gazu, gorączkowo
przerzucała szpalty, szukając artykułu o swoim ojcu.
Znalazła nareszcie i zaczęła czytać. Czytała ze drżeniem
gniewu, bólu i żalu,
wydając lekkie okrzyki oburzenia.
W Reporterze trafiła na artykuł, pod tytułem: Autor Fantazji
chilijsko-
amerykańskich, a w Żywicy rzecz pod nieco odmiennym
tytułem, ale treści tej
samej, tylko zabarwionej większą jeszcze uszczypliwością.
Była to biografia
ironiczna j ej ojca, podpisana jakimś nieznanym
pseudonimem, gdzie autor w
drwiący sposób pastwił się nad prochem nieboszczyka,
wytykając mu stworzenie
takich postaci bez życia i celu, jakimi byli bohaterowie i
bohaterki jego

"zapoznanych" romansów, a co większa przypominając co
chwila jego skandaliczną
afere ze złotem Sierra-Fuente.

Noris rozdarła dziennik z wściekłością i rzuciła go na ziemię,
równie gwałtownie
jak zerwała go z kołka.

— To niegodziwość! — jęknęła.

I szybko poszła przed siebie, pragnąc w tej chwili
jaknajwiększego hałasu i
światła, mieszając się z tym tłumem, który, dzięki prześlicznej
pogodzie,
zatłoczył szczelnie trotoary. Z każdym krokiem, który
stawiała, budziła się w
niej chęć do walki z temi wszystkimi, spacerującymi, którzy
zapewne z
zadowoleniem odczytali artykuł Żywicy a pomiędzy którymi
znajdował się może
człowiek, co

dotąd jeszcze, nie domyślając się następstw, szkalował
końcem swego pióra
złożone do grobu szczątki zmarłego! Człowiek uczciwy,
dzieje uwięzionego!
Szła tedy w tym tłumie, z czołem wzniesionem w górę, jakby
w groźbie. Biała jak
marmur, z wyrazem gniewu na ustach, uczuwała straszną
gorycz, jakby radości w
tym wirze przechodniów, w głuchym chaosie tego bulwaru.
Czuła na sobie tysiące
wejrzeń tego tłumu i zamiast by opuścić głowę, prostowała ją
nerwowo, rumieniąc

swe wyniosłe czoło coraz to nowemi objawami gniewu.
Całe otoczenie wydawało jej się tak godnem pogardy! Ci
ludzie, siedzący przy
stołach kawiarnianych, te sylwetki kobiet, wyglądające jak
mary przy promieniach
światła gazowego, cała ta mieszanina elegancyi i fanfaronady,
robiły na niej
wrażenie kloaki i opanowywała ją straszna zgroza, gdy
pomyślała, że tyle
występków i podłości chodziło bezkarnie pod światłem
gwiazd, podczas, gdy jej
ojciec, ten nieszczęśliwy starzec, wyszedł niewin nym z
więzienia po to tylko,
ażeby złożyć swe kości pod zimnym kamieniem grobu.
Wtedy uczuła w sobie złość niepoahamowaną. Złe myśli
czyniły ją prawie szaloną.
Cierpienie zmieniło się u niej w nienawiść. Zapragnęła
zemsty, zemsty dzikiej,
strasznej, i Uczuwszy nagle, że jest dość piękną na to, ażeby
ukorzyły się przed
nią wszystkie te wstrętne maski, wyniosłe, z chłodnym i
zarazem dzikim
uśmiechem, odpowiadała na te chciwe wejrzenia, które
wywołała jej imponująca
piękność u wszystkich przechodniów bulwaru.
Dawne cierpienia zamieniły się w niej, w jeden wybuch buntu.
Wszystkie złudzenia
zastąpiła nienawiść i po-

garda. Te podłe drzenie, jakie dostrzegła w przestraszonym
księciu, dostrzegła

również w tym tłumie fanfaronów. Każdy z przechodniów
wydawał jej się podobnym
do księcia Beaumartel de Chantenay, do tej nikczemnej istoty,
zdolnej do
podejścia i kłamstwa. O tak, sto razy tak! Potrafi się zemścić!
Odgadywała całą
swoją potęgę, całą potęgę swej piękności, po tych chciwych
wejrzeniach
przechodniów. Usuwano się przed nią pomimowoli, pod
wpływem tego magnetycznego
szacunku, jaki obudza prawdziwe piękno. Otwierano oczy w
zdumieniu przed tym
chodzącym posągiem.
I zrozumiała, że ta piękność była siłą, siłą równie potężną jak
pieniądz, siłą
równającą się władzy, siłą, okrutnie pożyteczną, siłą, zdolną
do powalenia przed
córką tych wszystkich, co śmieli drwić kiedyś z wyroku,
wydanego na jej ojca.
Uczuła, że dość jej było chcieć, ażeby zmusić do publicznego
cofania się tych,
którzy go oskarżali tam, gdzie mądrzejsi wzruszali ramionami
na wspomnienie jej
ojca nieboszczyka. "Nierozsądny! Głupi! Cielątko!"
I Noris była szczęśliwą z tego, co wycierpiała o tej godzinie w
tym wirze, w
którym zmięszala się z tym wstrętnym dla niej tłumem. Całe
jej jestestwo
oburzało się przeciw niesprawiedliwości, podłości, wżgardzie
tych, którymi
równie pogardzała.
Cała jej piękność podniosła, zdawała się mówić:

— Tak! To ja! Przyjrzyjcie mi się dobrze, jestem córką
Eugenjusza Féraud,
znieważona prawem, jestem metresą księcia de Chantenay,
skazaną na waszą
pogardę, i protestuję przeciwko prawu i otrząsam się z
waszych oskarżeń, jak z
błota, które nie plami.

Była zbuntowaną. Wydała wojnę tym wszystkim, w gronie
których nie mogła znaleźć
ani jednego obrońcy, ani jednego przyjaciela, nic, prócz
żebaków miłości, jak
ów, ów, dla którego chciała pozbawić się życia!
Umrzeć! Tak!... Ale po co umierać, skoro żyjąc, może się
pomścić na nim, na
wszystkich!..

I w tym gorączkowym wirze Paryża, w tym upale wiosennym,
jak przed burzą, w tym
kurzu, pokrywającym wszystkich i wszystko, w tej łaźni
stołecznej, w tym nawale
żądź i namiętności, w tym turkocie powozów, w tem
jaskrawem świetle
elektrycznem, które wzdłuż bulwaru rzucało cień fantastyczny
z przechodniów i
powozów — Noris szła zwolna sama jedna, z sercem
rozdartem, w stronę
opuszczonego domku na Batignolles, i miała ochotę
spoliczkować te podłości, tę
obłudę, te zbytki wyzywającym krzykiem groźby i wyryć jej
hasło na swem czole

lub piersiach, na miejscu swego serca, w którym odtąd nie
pozostanie nic, nic,
nawet wstrętu, nic, prócz opuszczenia, nic, oprócz!.. kobiety
przedajnej!...

Koniec części pierwszej.

Część druga.

I.

W chłodny poranek kwietniowy, gdy na niebie z pod szarej
powłoki przeświecają tu
i owdzie drobniutkie, niebieskie, opałowe plamki, w porze,
gdy jeźdźcy i
amazonki, na strojnych rumakach, dążą wśród alei
akacyjnych, lasek Buloński jest
prześliczny. Lekki wiaterek przebiega po drzewach, na
liściach których zdają się
wisieć zielone kropelki rosy. Trawka zielenieje. Nawet krzewy
zdają się napawać
powietrzem kwietniowym.
W jeden z tych świeżych poranków, dzielny jeździec siedzący
tak sztywno na
koniu, że aż oglądano się za nim, wjechał w aleję akacyj
Bulońskiego lasku,
widocznie zadowolony, że wiatr odświeżał mu twarz, tchnącą
prawdziwym
dobrobytem. Miał lat dwadzieścia sześć do dwudziestu
siedmiu, o pięknej figurze,

obciśle ujętej w kostjum sportsmański, w wykwintnym kapeluszu na głowie, z pod którego widniały starannie utrzymane faworyty na twarzy śniadej, opalonej w podróżach morskich. Młodzieniec je-

chał jak masztalerz, a przecie dopiero od Valparaiso, po raz pierwszy dosiadł konia, arabczyka czystej krwi, którego markiz, jego ojciec, uważał nawet za niebezpiecznego.

Rajmund de Ferdys uczuł niepohamowaną chęć pokazania się, po wielu latach, w tych samych alejach, gdzie ongi, będąc jeszcze malcem, jeździł przy ojcu na maleńkim ponny, którego mu markiz podarował.

Te znane kąty oglądał z radością ucznia na wakacjach, jakby młodziej.

Ferdys kochał Paryż, ten dyabelski Paryż; jakkolwiek od najmłodszych chwil życia skazany był na ciągłe podróże dookoła świata, nie było mu nieprzyjemnem znaleźć się znowu tam, gdzie wiedział, że się żyje przedewszystkiem życiem umysłowem, tą egzystencją starć umysłowych, o których miał zaledwie słabe pojęcie z listów lub kawałków pism, czytanych wypadkowo na jakiej przystani. Nadewszystko pragnął odwiedzić lasek — tę kwintesencję Paryża, będący kąpielą jego, jak bulwar jest jego gorączką — lasek w chwilach konnej przejażdżki, z tym

tententem galopu po ziemi miękkiej, jak po arenie cyrkowej,
pod niebem perłowej
barwy; z temi alejami, po których jeźdźcy i amazonki skaczą
w oddali, zaledwie
dający się dostrzegać, piękni jak maryonетки poruszane nitką,
z temi sylwetkami
kobiet w długich sukniach i stanikach, mających naśladować
szyk angielski, a
może szyk francuski; z tą całą kokieteryą lasku,
oczyszczonego, wyświeżonego,
barwnego jak akwarella, i ożywianego od czasu do czasu
ukazaniem się munduru
wojskowego, ciemnej kurtki

oficera dragonów, albo niebieskiego futerka oficera strzelców.
Rajmund oddychał, znajdując uroczym ten ranek wahającej
się jeszcze z przybyciem
wiosny, dziesiątego kwietnia! Stan pogody niezdecydowany.
Ferdys znajdował to
odpoczynkiem po upałach w Nouka-Hiva, albo po żarach
słonecznych na morzu.
Nigdy mu się lasek nie wydał bardziej uroczym. Pytał siebie
nawet, czy widział
go już kiedy.
Słowem, marynarz radośnie spłacał dług wdzięczności po
powrocie do Paryża.
— . Jakież zmiany spowodował czas pomiędzy ludźmi, jak
fale na brzegu
morskim. Pięć lat! W ciągu lat pięciu jakaż metamorfoza,
widoczna naturalnie
tylko dla tych, którzy nie śledzą jej co sekunda.

Pięć lat! Ileż to Rajmund de Ferdys w tym okresie zwiedził
miejsowości świata!
Był w Taiti i na Markizach, potem, trochę później w Limie, w
Valparaiso, na
Montcalm'ie, statku admirałskim w Chinach otrzymał szlify
adjutanta admirała, a
w dwudziestym piątym roku życia został lejtenantem statku z
czerwoną wstążeczką
orderu, poczem mianowano go ordynansem ministeryum. Od
kilku dni zaledwie
przybył z Brest, dla objęcia nowej posady, gdyż jego
poprzedni admirał z
Montcalm, wiedząc o zdolnościach młodego oficera, chciał go
mieć przy sobie. I
pokazawszy się w wygalonowanej czapce na czole w salonach
i miejscach zebrań
publicznych, pod rękę z tym wiecznie młodym markizem
swym ojcem, młodszym może w
-im roku życia niż dawniej, Rajmund zrzucił mundur i z
turysty, stawszy się
paryżaninem, paryżaninem z usposobienia

i rozsądku, prowadził życie podwójnie czynne, raz jako
adjutant, to znowu jako
ciekawy, studyjący Paryż, Paryż intelektualny, używając
wszelkich możliwych
rozkoszy o tyle, o ile mu na to pozwalały zajęcia w
ministeryum floty.
Rajmund nie był zbyt obciążony pracą i mógł zadziwiać
zarówno admirała

Pradier du Resnel swoją zabieглиwością jak nie mniej pana de Ferdys dziwnym darem wszędobylstwa, które zachwycało starego markiza, jeżeli go starym można było nazwać.

— Rajmund? — mówił ojciec. On jest wszędzie od razu, w bibliotece i w resursie, w Persilu i przy wyjściu z Rady Ministrów. Jest niezmordowany! Wyprzedza mnie samego. A ja go miałem kiedyś za mnicha!... Jakkolwiek co prawda, pod względem stosunków z kobietami...

Tu Ferdys spuszczał głowę, znajdując, że na tym punkcie, punkcie tak drażliwym, syn ustępuje mu pod wieloma względami.

Rajmund jednak był tylko doświadczonym, pogardzającym przelotnymi uczuciami kobiet przedajnych i pieszczącym zapewne w tajemnicy jakiś dostrzeżony ongi ideał lub niedoścignioną jeszcze nadzieję.

Pewnem było, że z radością przybył do Paryża i oddychał czarującą wonią

rozkwitającego lasku. Nie spotykał tu naturalnie twarzy znajomych, kilku

zaledwie starych generałów, przyjaciół ojca, sprowadzało swych synów lub wnuków,

dosiadających małych ponny, a i ci, odpłacali mu ukłonem za ukłon, nie

przypominając go sobie i dzięki jego czerwonej wstążeczce, biorąc go za jakiegoś

oficera minorum gentium. Ale Rajmund Wistocie za nadto oddalił się

od świata, z chwilą swego pierwszego wyjazdu do Brest. Był tu jak obcy, pół-dziki.

Właśnie ta świadomość samotności, to uczucie swobody sprawiały mu największą radość. Lubił bywać tu niespostrzeżonym, w charakterze raczej widza jak aktora, zostawiając hałas i dumę dla ludzi żądnych hołdu, którzy grając jakąś rolę, są zarazem w świecie klakierami samych siebie i swoich stanowisk. Czuć się niezależnym, patrzeć nie będąc widzianym, było dlań największym zadowoleniem.

Tego właśnie poranku, przypatrywał się wszystkiemu, znajdując czarującymi te wązkie ścieżki, skąpane w szarosrebrnym świetle, niby pod lekką zasłoną idylli.

Rajmund bawił tu dość długo, dopóty, dopóki lasek nie pogrążył się w półcisy, czekając stuku i głuchego tententu koni i powozów w godzinach poobiednich.

Byłby chętnie pozostał w tej samotności u jednej z alei lasku, jadąc stępa, gdy z daleka dostrzegł okiem marynarza — które umiało wszystko widzieć i poznawać — amazonkę, zdążającą ku niemu, i nieraz niknącą mu z przed oczu, poza siatkowatą zasłoną krzewów alei.

Trzymając się prosto na siodle z żółtej skóry, ubrana nader wykwintnie, w stroju

barwy liljowej, pokazywała się i znikwała poza delikatną koronką liści, i zbliżała się powoli w towarzystwie jadącego z tyłu grooma. W miarę, jak młoda kobieta, nader piękna napozór, zbliżała się, Rajmund znajdował ją coraz piękniejszą i uczuwał szczególniejsze wzruszenie, jak gdyby poznawał amazonkę i jak gdyby ona, jadąc ku niemu, poznawała go także.

Mylił się widocznie, ale amazonka trochę nadto wysoka lecz i strojna zarazem, w kapeluszu śmiało rzuconym na czarne włosy, podobna do angielski z oczyma paryżanki, była — a przynajmniej rażąco przypominała — Noris Féraud, tę Noris, uniesioną tam wraz z nim przez wspomnienie, a której historię opowiedziano mu obszernie po powrocie do Paryża. Królowa Paryża, Noris!... mówiono o niej teraz. Spojrzał na młodą kobietę, dążącą ku niemu, a gdy jeździec i amazonka stopniowo zbliżyli się ku sobie, Rajmund już się nie mylił: było to Wistocie to delikatne oblicze pięknej brunetki, te czarne, kręcące się włosy, te oczy głębokie, słodkie i smutne dawniej, ta płeć kreolki, tak to była Noris, Noris — kobieta w pełni rozkwitu, i Noris, która jednak przy dwudziestu czterech latach, zachowała

czarujący urok i ponętą młodej dziewczyny Noris z dawnych czasów.

— Noris! — powtarzał Rajmund do siebie. Noris! Zdawało mu się, że przeszłość rozkwitała, jak te krzewy dokoła, przy tem kobiecem imieniu: Noris!

I cóż powie jej, tej Noris, co powie niezwykłego, nie banalnego, po pięciu latach, w ciągu których nie napisał do niej ani słowa, ale które przepędził, myśląc niejednokrotnie o niej? Lejtenant okrętu czuł się z lekka pomięszanym, prawie onieśmiałym. Ale i ona poznała go zapewne, gdyż zatrzymała konia, powitała go i wyciągnawszy doń rękę, wydała okrzyk radości: — Ach! pan de Ferdys!...
Rajmund ujął tę urękawiczoną rączkę.

— Dlaczego pan nie odwiedziłeś mnie dotąd, panie de Ferdys? Wiedziałam, że pan jesteś w Paryżu.

— Powiedziano mi, że pani nikogo nie przyjmuje!

— To znaczy, że nie przyjmuję wszystkich. Albo raczej, masz pan słuszność, nie przyjmuję nikogo. Ale pan, pan jesteś przecie kimś! Uśmiechnęła się, z głową w pół przechyloną, patrząc na Rajmunda z wyrazem szczerzej sympatii, prawdziwej dobroci, a może nawet kobiecego zachwyty.

— Czy pan się spieszysz z odjazdem? Przejedźmy się jeszcze! Taki ładny czas! —

dodała po chwili.

Rajmund stanął z koniem po prawej stronie Noris i podczas wolnej przejażdżki,

rozpoczęli rozmowę raz smutną, to znowu wesołą, przy akompaniamencie głuchego

stuku kopyt końskich uderzanych w ceglasty grunt alei.

Słońce wznosiło się coraz wyżej, rozpraszając już delikatną mgłę, złocąc tu i

owdzie blado-zielone listki, i głosy rozmawiających dawały się słyszeć wyraźniej

w szerokiej przestrzeni wpółopustoszaego lasu.

— Tak więc, panie de Ferdys, jesteś pan znowu paryżaninem!

— rzekła Noris.

Nieprawdaż, że Paryż jest pięknym?

— To zależy od tego, co się tu napotyka po drodze. Zaśmiała się.

— Och, jakim stałeś się pan pochlebcą? Czy to małe muzykantki chińskie nauczyły

pana tych komplementów?

— Nie byłem w Chinach tym razem.

— Gdzieżeś pan bawił?

— Wszędzie po trochu. Na morzach Południa. W Taiti.

— Ach! Taiti! — zawołała Noris, śmiejąc się zawsze. To raj, raj prawdziwy...

Wszyscy są tam szczęśliwi z niczego.

— Wistocie, pędzono tam życie nader szczęśliwe, dopóki się nie wkradła tam nasza

cywilizacya. Ale biżuterie i suknie europejskie wszystko zepsuły.

— Ach! — odparła Noris. — To mnie nie dziwi. A czyś pan spotkał tam Rarahu?

— Rarahu?

Zaczęła się śmiać znowu.

— Pewnoś pan miał jaką przygodę w podróży. Kobiety na Taiti są zachwycające, nieprawdaż? Jak je pan znalazłeś, panie de Ferdys?

— Byłyby bardzo brzydkie w Paryżu, ale tam są bardzo piękne.

— Barwy ceglastej?

— Mleczno-kawowej.

— Dobrze?

— Tak. I ciekawe. Dzięki tej ciekawości lubią bardzo podróżnych, ale kochają się jedynie w swoich kanakach... Są czułe i romansowe.

— Romansowe! Ach, biedne kobiety!

Noris powiedziała to tonem ostrym, nie bez goryczy, co uderzyło Rajmunda.

— O, i bardzo romansowe — odparł. Gdy się odchodzi, mówią: "Weź ze sobą to, co ci się we mnie najlepiej podoba." A gdy im się odpowiada: "To co mi się najwięcej w tobie podoba? Ależ twoje włosy!" Nie wahają się ani chwili i włosy obcięte spadają. Jeden z moich przyjaciół zakochał się w małej Taitiance, która miała prześlicz-

ną rączkę, chociaż tatuowaną ale tatuowaną na niebiesko i nadzwyczaj delikatnie.

"Ta rączka podoba mi się najlepiej" rzekł do Taitianki, gdy go spytała, co chciałby zabrać od niej ze sobą? "Ręka moja? odetnij ją sobie!"

— Tak — odparła Noris — więc umieją prawdziwie kochać te piękne wyspiarki!..

Uciąć sobie rękę, brr! Ja wątpię, czy która z paryżanek przystałaby na obcięcie sobie różowych paznokietków!... Zanadto je cenią... choćby dlatego tylko, ażeby kogo podrapać.

Rajmund starał się, podczas gdy Noris mówiła, spotkać jej wzrok, jej oczy tak ongi wymowne. Widział jej profil tylko, profil zarysowany nader delikatnie z odcieniem wschodnim.

Siedząc na koniu, patrzyła przed siebie, wzdłuż alei gdzie horyzont niedawno zamglony zaczynał się rozwidniać.

Zdawało się, że nie pragnęła spotykać się ze wzrokiem

Rajmunda, gdy jednak

zaczął mówić o tej tatuowanej ręce, którą naiwna Taitianka chciała dać sobie

odciąć — tak, ni z tego, ni z owego — odwróciła się nagle do Ferdys'a i

zaśmiawszy się po raz ostatni nerwowo, rzekła:

— Czy to panu trafiła się ta przygoda?

Ferdys spotkał się tedy z tym wzrokiem ciemnym, głębokim i ongi płomiennym, z

wyrazem gniewu czy rozpanoszonej goryczy, której nie miały te czarne oczy, gdy

Noris była dziewiętnastoletnią dziewczyną.

— Nie, nie — odparł. To nie mnie chciano zrobić taki podarunek!

— Może myślała, że będzie bardzo szlachetną, ta pańska Taitanka!... — rzekła

Noris tonem oschłym. Odciać

sobie rękę — to czyn bohaterski, ale i dziki zarazem. Jest jednak krok daleko prostszy... a mianowicie...

— Mianowicie?...

— Może mnie pan będziesz miał za zbyt romansową! Wyrwać sobie serce!

Cień przebiegł po tyra wzroku, którym Rajmund poił się prawie. Cała twarz Noris zmieniła się nerwowo, ale niebawem śmiech wrócił, dźwięcząc jak szkło rozbite na tych pięknych różowych ustach.

Po chwili, uderzając konia szpicrutą Noris ozwała się:

— Opowiesz mi pan to wszystko u mnie, mam nadzieję, panie de Ferdys? Dużo mi

zależy na pańskich odwiedzinach. Zdaje mi się, że mamy sobie nieskończenie wiele

rzeczy do powiedzenia. Rzeczy bez treści, być może, ale dla mnie są one

wszystkiem. Ale jakże jestem roztrzepaną. Nie dałam panu dotąd swego adresu!

— Znam go — rzekł Ferdys. Pokazywano mi pani mieszkanie! Pałacyk jest nader piękny, godny pani...

— Tak? Któż go panu pokazał?

Rajmund uśmiechnął się zlekka z pewnym odcieniem smutku.

— Mój ojciec.

Noris spodziewała się może innego nazwiska. I ona ze swej strony szukała także wzroku Rajmunda.

Gdy nazwał markiza, wybuchnęła znowu śmiechem:

— Ach, to nic dziwnego, markiz musi przecie znać ulicę Jouffroy. Często widuję jego powóz przed domem... jednej z moich przyjaciółek., prześlicznej dziewczyny.

Zatrzymała się, dostrzegłszy, że Rajmund, z twarzą

trochę nachmurzoną, robił widoczny wysiłek, ażeby ukryć niezadowolenie.

— Co pan chcesz? — rzekła — pański ojciec będzie zawsze pańskim młodszym bratem!

Ale nie lękaj się pan, to szanujący się człowiek. Może spalić jak żelazkiem do

fryzowania swe siwe włosy o cygaretkę paryżanki, ale nie splami ich nigdy, a

zresztą Małgorzata Brunier nie jest dziewczyną ani złą, ani niebezpieczną. Gdyby

miała więcej energii, byłaby nawet uczciwą kobietą... Jakie to jednak są

rozmaite odcienia upadku!... A gdybym panu powiedziała, jakieśmy się poznały z tą

Małgorzatą! Na cmentarzu!... Tak, na cmentarzu!... Otóż to Paryż! Opowiem to

panu kiedy, mam nadzieję?...

Wyciągnęła rękę do Rajmunda, którą on zatrzymał tym razem dłużej, dłużej również

wpatrując się w oczy Noris.

Ona powtórzyła:

— Dowidzenia wkrótce?

— Wkrótce!

Uśmiechnęła się, piękna aż do pozazdroszczenia, z główką nieco pochyloną, z

ustami w pół otwartymi, jak przez ironiczną pieszczotę.

— Wydajesz mi się pani szczęśliwą! — rzekł Rajmund.

— Tak... jestem bardzo zadowolona... Zatrzymała się przez chwilę.

— Zadowolona... dzisiaj....

— Dzisiaj?

— Tak, bo pana widzę. A jednak, jakie wspomnienia obudzasz we mnie, markizie!

— Ach — odparł — więc pani nie zapomniałaś? I znowu, jak przed chwilą, po całym

lasku rozległ się przymuszony, rozbity śmiech Noris.

— Czyż można zapomnieć? — zawołała.

Zacięła konia, który popędził galopem i wkrótce znikła w alei, rzuciwszy raz

jeszcze wzrokiem na Rajmunda, dodając.

— Nie zapominaj pan o mnie! Do zobaczenia.

Rajmund, dawszy koniowi ostrogę, jechał przez chwilę za nią, podziwiając z

oddali jej piękną figurę, która dzięki igrającym na niej Mateczkom z liści i

gałązek drzewnych, zdawała się być skąpaną w słońcu.

Noris oddalała się szybko i już wyjeżdżała z Route des Poteaux, przez główne

wrota lasku od strony alei Sablonneuse.

Na głównej drodze lasu zaczęły się ukazywać wykwintne pojazdy. Wtedy Rajmund zwrócił konia nie bez żalu w stronę Paryża, z oczyma ciągle wpatrzonemi w punkt czarny, zmniejszający się co chwila, punkt, będący kobietą, kobietą prześliczną, tą Noris, która obudziła w nim pierwsze uczucie miłości, która sprowadziła mu do oczu pierwszą łzę niezapomnianą, nie dającą się zapomnieć. Czyż można zapomnieć?

II.

Ulica Jouffroy, pałac Ludwika XIII, o białych rzeźbach, z piękną cechą artystyczną na czerwonych ceglach. Drzwi dość małe, otwierające się na korytarz o śmiałych sklepieniach, zdobnych w różnokolorowe arabeski. Dwóch japońskich bohaterów, uzbrojonych od stóp do głów, czuwających na progu z wąsami tygrysów i w maskach tragicznych arlekinów. Dwóch innych z halabardami przy wschodach, wiodących do apartamentów pierwszego piętra. U ich stóp smoki z brązu z rozwartymi paszczami. Główne wrota wjazdowe, znajdujące się nieopodal od małych drzwi wchodowych, otwierały się na znak grooma, gdy Noris powracała z lasu i ukazywały część ogrodu, drzewa jeszcze obnażone, klomby kwiatów, okolone cegiełkami i ścieżkami,

wysypanemi żółtym piaskiem.

Frontowe okna buduaru wychodziły na ten zaimprovizowany ogród, to też mały

salonik z czasów Ludwika XVI o białych meblach, pokrytych ciemną materią,

różowym jedwabiem z haftem delikatnych kwiateczków, prześlicznie wyglądał przy

cieniu zakradających się z poza okien drzew tego ogrodu.

Noris często przesiadywała w tym białym salonie, gdzie cenne książki pokazywały

swe złoczone grzbiety w szafie bibliotecznej, symetrycznie ustawionej z

serwantką, z poza szkła której widać było cacka japońskie, posążki

z Tanagry i inne piękne drobiazgi, poustawiane na grubych taflach, szklanych.

Tuż obok miała Noris salon poważniejszy, o wyglądzie prawie ponurym, wielki,

umeblowany w fotele z czasów Ludwika XVI i w szafy z czarnego dębu. Kilka

obrazów oryginalnych, dopełniało całości.

Pałac był pusty. W sali jadalnej, o ścianach, malowanych przez Vollona, można

byłoby dawać obiady prefektoralne, ale Noris jadała prawie zawsze sama. Żyła

osamotnioną w tych pokojach zbytkowych, a jednak nie grzeszących brakiem gustu,

gdzie przedmioty sztuki bawiły jej oczy, a książki rozrywały umysł.

Tam w górze, na jednej z pułek biblioteki, do której udawała się bardzo często,
spoczywały zapomniane romanse Eugenjusza Féraud, w pięknych oprawach z jego cyfrą i napisem ex libris....
Zbytek, w jaki ustroiła te pogardzone dzieła nieboszczyka, stanowił niejako odcień jego zemsty. Romans jej życia — jej życia nowego, był zresztą o wiele bardziej czczym od wyszłych z mody fantazyjnych opowieści Férauda. Pragnęła umrzeć i zdecydowała się żyć, poparta przez straszną chęć odwetu, gdy ujrzała, pięć lat temu, ten wir bulwarowy, z dumą i zuchwałością jego przedstawicieli.
Po śmierci ojca, po utracie miłości, gniewna na cały Paryż nawet, powierzyła starej Wiktorynie część ruchomości, które chciała ocalić od zagłady, rękopisma Férauda, książki, portrety, szkic Delacroix, Żydówkę Marokańską, najęła jej pokój w pewnym domu przy ulicy Legendre, sprzedała wszystko, co w mieszkaniu przy ulicy de Bro-

chant nie stanowiło pamiątki, relikwii jej przeszłości, i z otrzymanymi pieniędzmi za te przedmioty, jak i za reprodukcje prac Férauda, biedna, ale czując się bogatą, mając przed sobą jeden lub dwa lata znośnej egzystencji,

opuściła Paryż, szczęśliwa aż do upojenia, że może uciec z tego wiru, gdzie przez nieuczciwą kalumnję zamordowano jej ojca. Udała się do Nizy, szukając nowego nieba i nieznanych zakątków. Uciekała nietylko od Paryża ale i od Reného, tego wiarołomcy, kochanka, którym pogardziła, nędznika, który z uczciwej dziewczyny zrobił kobietę upadłą. W Nicei chętniej szukała osamotnionych ustroni, niż Promenady des Anglais. Lubiła półsamotnie przechadzać się po drodze Villefranche, gdzie na szczytach skał, mając u stóp dachy domów, a przed oczyma cudowny widok na okolicę, przepędzała pewien czas w powietrzu, które rozpraszało jej smutek z czoła, wsłuchując się w głuchy szmer morza, kołyszącego jej marzenia i dorzucającego do tej ziemskiej żałoby, związanej z życiem, wieczną skargę na nieskończoność. Znajdowała tu jeżeli nie pociechę, to ulgę bólu w osłabieniu, jakie ją opanowywało, w umyśle ociążałym, jak po nocy bezsennej, w organizmie wycieńczonym przez pewien rodzaj anemii fizycznej i moralnej, przez konsumpcję serca! I żyła tak, wegetowała niejako, w cudnej ciszy tej natury, którą nie obchodziła ani Noris, ani inni i która pozwalała wzrastać kwiatom i świecić słońcu, obojętna na wszelkie cierpienia. Noris nie pytała się już nawet, jak będzie żyła naza-

jutrz, po tym pół śnie bolesnym! Zdawało jej się, że całe jej
przeznaczenie
przywiązane było zaledwie do dni kilku, do kilku miesięcy,
które mogła
przepędzić swobodnie, z wyrzutami po swoim upadku, nie
potrzebując nikogo.
Przednią stał jakoby mur kamienny, a poza tym mi próżnia.
Gdyby była podłą,
rozbiłaby sobie głowę o opokę i wszystkoby się skończyło.
Potem, znowu
przychodziła jej na myśl zemsta. Zapragnęła stanowiska w
tłumie, pierwszego
miejsca w tej tłuszczy tak zwierzęco egoistycznej.
Przypomniała sobie namiętne wejrzenia, jakie rzucano na nią
na bulwarze.
Przypadek postawił jej na drodze wielkiego księcia Wasyla,
który odpoczywał w
Nizy po sławnej kampanii w Bałkanach.
Mężczyzna piękny, podziwiany na promanadzie, lornetowany
przez kobiety, które
zbombardowały go fijołkami i różami na wojnie kwiatów.
Wielki książę zwrócił
uwagę na Noris, którą spostrzegł po raz pierwszy w teatrze,
gdzie bywała
niekiedy, ażeby rozerwać swe napady smutku.
Zdziwienie jej nie miało granic, gdy pewnego razu na
przechadzce po drodze
Villefranche, piękny mężczyzna o siwiejących włosach,
którego zauważyła w

teatrze w jednej z łóż przy scenie, a którego siedzący przy niej nazywali "wielkim księciem", przemówił do niej, znalazłszy ją siedzącą na skałach z parasolką, oblaną promieniami słońca. Był sam, lubiąc także przechadzać się swobodnie zdala od gwaru high-life'u, tak jak podczas kampanii lubiał

galopować bez eskorty do przedniej straży Ukłony urzędowe, i anonimowe umizgi nie prześladowały go tutaj. Nie wątpił, że ta piękna paryżanka o rysach wschodnich, którą spotkał tutaj, a którą poznał i którą widział w teatrze bez towarzysza, nie będzie jak on, niezadowoloną ze spotkania nieznajomego. Odważył się przemówić do niej i zdziwiony został niepomierne, spotkawszy chłód wyniosły, zamiast odpowiedzi, na czczy komplement, na który się zdobył. Poprosił o przebaczenie, spostrzegłszy, że się pomylił i oddalił się z pewnem postanowieniem dowiedzenia się bądź co bądź, kto jest ta młoda dziewczyna, która odrazu przy nudach nicejskich zrobiła mu przedsmak romansu albo co najmniej jakiej rozkosznej przygody. Powiedziano mu — gdyż w tym świecie wszystko się wie i wszystko przechodzi z ust

do ust, nawet to, co nie istnieje — poinformowano go, że ta
młoda istota, dość
osamotniona, na którą, z chwilą jej przybycia do Nizy, wielu
młodych ludzi
zwróciło uwagę, była córką jakiegoś biednego pisarza,
bardziej słynnego z
uwięzienia jak z talentu, sama zaś miała jakąś słabość, czy
jakieś żywsze
uczucie do księcia Beaumartel de Chantenay, pięknego
Chantenay, znanego p. n.
kwiat szyku.

Tak przynajmniej książę wyraził się pewnego wieczoru w
klubie, w oliwili, gdy
rozmawiano o pewnym procesie finansowym, do którego był
wmięszanym Féraud.

Wszystkich tych wiadomości dostarczył wielkiemu księciu
pewien bardzo zręczny
reporter, mały Gardanne z Paryżanina, który zimową porą
redagował specjalny
dziennik nicejski Ment-Boron; Gardanne, wszystko wie-

dzący, i zachwycony tem, że może opowiedzieć biografię
Férauda osobistości tak
znakomitej jak wielki książę.

I tą drogą, powoli, żołnierz przyjemnie zdziwiony rażącym
kontrastem życia
miejskiego nad brzegiem morskim z życiem kampanii, jaką
niedawno przebył, uczuł
dla Noris kaprys, który zamieniał się w dziką żądę,
tembardziej, że z każdą

chwilą Noris wydawała mu się piękniejszą i coraz bardziej zachwycającą z jej goryczą opuszczonej, która śmiała się tak złośliwie, gdy jego książęca mość mówił jej o miłości.

— Więc pan mnie kochasz?

— Z głębi serca.

— Ależ znamy się zaledwie miesiąc!...

— Czyż potrzeba miesiąca po to, ażeby się zakochać, zwłaszcza w kobiecie takiej jak pani!

— Widziałam kiedyś, będąc bardzo małą, stary wodewil, który nosił tytuł (ten tytuł mnie bardzo intrygował): Co to jest miłość? Teraz już wiem; jeżeli nie jest to zachwyt, bohaterstwo, piękno, to jest złośliwość lub zniewaga. Pan jesteś bohaterem, wiem o tem. Ale założę się, że mnie po bohatersku nie kochasz.

— Kocham panią, jak...

— Jak ci, którzy nie kochają, lecz pożądamy.

Policzkowała go tak swemi żartami, a wielki książę, przywykły do mniej szorstkich odpowiedzi, czuł się nieraz zagniewanym, jak wobec reduty, która za dobrze się broniła.

Bardzo być może, że Noris była uczciwą dziewczyną, a ten kronikarz Gardanne, oszkalował ją może!.. W każdym razie, faktem jest, że panna Féraud opuściła Nizzę

i powróciła do Paryża, a wielki książę Wasyl nie odgadł
tajemnicy tej pięknej
dziewczyny, białej jak marmur w swych sukniach żałobnych.
W Paryżu chciał ją odnaleźć i dopiął swego. Wróciła, ażeby
się spotkać z nową
żałobą.

Stara Wiktoryna umarła.

Osamotnienie Noris stało się jeszcze większem, a przytem
zaczęła jej grozić
nędza.

Bez utrzymania, samotna i zgnębiona, chciała w tym wirze
paryzkim żyć cnotliwie
i oprzeć się wszelkim pokusom. Ale czyż metresa, pogardzona
i wypędzona prawie
od księcia Beaumartel de Chantenay, miała prawo nazywać się
uczciwą kobietą?

Kobieta upadła! Kobieta przedajna!

I upadła z zupełnem zaparciem się dobroci, wiary i miłości, tej
nienawistnej
miłości, którą znała już teraz. Poddała się z całą wściekłością,
utonąła w

błocie, potrzebując bądź co bądź, zdeptać, splugawić,
zniszczyć jaki nienawistny
ideał, znalazła się w stanie rozdrażnienia, które porywa
niekiedy kobietę w
chwilach wyrzutów sumienia lub pragnienia zemsty,
wydających się niektórym
pseudonimem żądy, a nawet podobizną miłości.

Noris nie oszukiwała siebie bynajmniej i nie chciała
oszukiwać siebie samej.

Uniewinniała siebie, wystawiając swą piękność na sprzedaż,
tak jak się wystawia

piersi na postrzał. Chciała podrzeć na strzępki, jak welon narzeczonej, to pełne wiary uwielbienie, jakie obudził w niej René, wiarołomca i uwodziciel. Pragnęła, ażeby kto inny zaufał teraz jej, tej łatwowiernej i romansowej dziewczeczce, która była godnem

dzieckiem tego łowca fantazyi i kochanka gwiazd, nazwiskiem Féraud. Pragnęła nakoniec, ażeby jej nowe życie było gorączkowym odwzajemnieniem, dręczonem może w tajemnicy, ale na jawie upornem, pełnem dumy, z nieprześląganą. dewizą krzyku boleści i łkania jej serca: — "Zemszczę się." I oto Paryż, ten Paryż pełen hałasów i zbytków, ta cała śmietanka Paryża, zajmująca się więcej nową twarzą na scenie lub przed sceną, aniżeli nowym poematem albo kwestyą polityczną, — cały Paryż został zaintrygowany, zdumiony, przejęty żądzą posiadania, podniecony jakby tajemnicą jaką, ujrzawszy pewnego dnia, pomiędzy wykwintną i etykietalną publicznością pierwszych przedstawień teatralnych, młodą kobietę o szlachetnym profilu wschodnim, niezmiernie interesującą, z włoskami fryzowanemi na czole, zwłaszcza, gdy podnosząc główkę,

zobną w czarne głębokie oczy, odpowiadała uśmiechem
dumy na lornetki badawczo
zwrócone na siebie lub umiejętnie zakrywała się wachlarzem.
Prawie zawsze ubrana czarno, z białym kwiatem na piersiach,
ślicznie wyglądała
przy matowej twarzy w kostjumach z aksamitu czy jedwabiu.
Zawsze samotna, albo w towarzystwie młodej kobiety,
wyglądającej bardziej na
służącą aniżeli na przyjaciółkę, zwłaszcza, że Noris mało do
niej mówiła.
Podawano sobie szeptem z ust do ust jej imię, zapytując się
bywalców albo
kronikarzy z profesji. I zawsze ten dobrze poinformowany
Gardanne wyrastał jak z
pod

ziemi dla dodania kilku nieznanymi szczegółów ciekawym
znakomitościom.
Noris Féraud w ciągu tygodnia niespełna weszła w modę.
Ubiegano się o jej
względy, dobijano się o miejsce przy łożu, w której siedziała,
nie mówiąc do
nikogo i analizując widownię z równą wytrwałością jak
widzowie analizowali jej
piękność.
Zarówno w łożu jak i u siebie w domu, nie przyjmowała
nikogo. Wiedziano
doskonale, że pałac przy ulicy Jouffroy otwierał się tylko
wtedy, gdy wielki
książę Wasyl przybywał z Petersburga do Paryża, a kronika
nie była głuchą na

pierwszy romans Noris z tym Don-Juanem albo Don Joanito,
księciem de Chantenay;
ale ten sławny pałac utrzymywany dla Noris przez magnata
rosyjskiego nie został
przestąpiony przez nikogo, z wyjątkiem dostawców słodczy,
jubilerów lub
magazynierek. Panna Féraud odpowiadała pogardą na
wszystkie hołdy, na wszystkie
żądze zdobycia jej piękności. Żyła gorzko szczęśliwa, z
ciężarem osamotnienia,
nawet wówczas, gdy sama jedna, zawsze sama z pozornym
spokojem i zadowoleniem
jeździła konno po lasku Bulońskim, albo w powozie dokoła
jeziora, w
osamotnieniu, które do passyi doprowadzało jej coraz
liczniejszych wielbicieli z
wielkiego świata.
Będąc metresą wielkiego księcia w Paryżu, można było
przecie przez samą
grzeczność poświęcić kilka chwil życia dla Paryża, dla tego
Paryża, na bruku
którego się wzrosło. Ale Noris przez myśl nie przeszło to
nawet. Dzięki
liberalności wielkiego księcia, wolno jej było postępować
według własnego
zdania, zwłaszcza, że ksiązę rad

był, znajdując w Paryżu podczas swego pobytu, salon godny
siebie, a przytem
został istotnie przejęty do głębi tą niepowszednią istotą, tak
różną od zwykłych

metres, mieszczanek podniesionych do stanowiska kobiet wielkiego świata, gotową opuścić pałac w każdej chwili i wrócić do dawnego stanu, gdyby księżę, zazwyczaj w obec niej skromny, pozwolił sobie kiedykolwiek na brak uszanowania.

Kazała umieścić na głównej ścianie jednego z salonów, suto złoconej, Żydówkę Marokańską Eugenjusza Delacroix, w przepysznych ramach. Piękna bohaterka mistrza

pędzła, gdyby było usunąć złocenia i ozdoby, rażąco przypominała z temi cekinami

na czole i temi oczyma aksamitnemi, samą Noris w pewnej odmianie wschodniej. W

obraz ten właśnie, tylokrotnie podziwiany przez Férauda, młoda kobieta wlepiła

chciwie swój wzrok, spędzała długie dni zastanawiając się nad przeszłością w

grobowej ciszy swoich apartamentów.

Przyjmowała nie wiele osób, nikogo albo prawie nikogo, jak to powiedziała

Rajmundowi de Ferdys, a dumnie podnosząc czoło wobec pogardy innych, odpłacała

im takąż pogardą z wysokości tej swobody, którą zdobyła kosztem swego ciała.

Wychodziła mało, nie miała wcale przyjaciół, i w tym świecie smutnych i

poniżonych osobistości, który stał się teraz jej sferą, nie widywała nikogo,

oprócz niejkiej Małgorzaty Brunier, której mieszkanie sąsiadowało z jej pałacem

w tym nowym quartier, o nowych domach dorobkiewiczów.

Wieczorem, tego samego dnia, gdy spotkała Rajmun-

da w lasku, Noris zgodziła się, wbrew zwyczajowi, spożyć
obiad z Gardannem,
reporterem Gardannem, który bawił ją niekiedy, jako
chodząca kronika, a który
dawał jej możność w ciągu jednej godziny poznać
kwintescencję wszystkich
tajemnic stolicy świata. Obiad ten miał się odbyć właśnie u jej
sąsiadki
Małgorzaty Brunier, zwanej powszechnie Margot, przed
domem której tak często
stawał powóz markiza de Ferdys, ojca.
Margot i Gardanne!
Gdy Noris przyjmowała u siebie, byli to najczęstszy goście jej
salonów, dwie,
jedyne, prawdę mówiąc, istoty, odwiedzające pałac z ulicy
Jouffroy. Gardanne
bywał przechodząc i znacznie częściej niżby chciała Noris,
Margot zaś przynosiła
do surowej samotności pałacu swój szczery śmiech
dziewczyny bez trosk, lubo
niekiedy, jak innym przychodziły jej na myśl smutne
wspomnienia przeszłości, jak
gorycz na dnie kieliszka szampana, o których jednak nie
myślała wcale i nie
chciała myśleć, mówiąc do Noris:
— Życie nie jest warte tego, ażeby gryźć się i martwić. Ono
tak prędko
przechodzi...
Dodawała:

— Mam zaledwie dwadzieścia sześć lat, a już zdaje mi się, że wszystko przeżyłam.

Małgorzata była wcale nie brzydką: pulchna, o białej cerze, sutych blond włosach, wpadających nieco w barwę złota, z małemi uszkami, które nieraz chciano odgryźć; oczy jasno-niebieskie zawsze uśmiechnięte wraz z ząbkami oślepiającej białości; rączki z dołeczkami, pełne pierścionków; cała jej figurka była zgrabna i żywa, lubo na twarzyczce

zaczynała się już pojawiać bladość a pod oczami ukazywał się już odcień niebieskawy.

Wbrew swej wesołości, piękna dziewczyna, zarówno jak Noris, znudzoną była tą egzystencją wiecznie jednakową. To też niekiedy uczuwała konieczną potrzebę podokazywania, jak tego właśnie wieczoru, z przyjaciółmi, bez pozowania i bez obecności pana domu, nader uprzejmego, bo był nim pan de Ferdys, ale zawsze nudnego i ciężącego dla tej prostej przyczyny, że był panem... Gardanne, siedząc pomiędzy Margot, tą wesołą i zabawną kobietką, a piękną Noris — dwiema paryżankami tak odmiennego rodzaju; doznawał uczucia przyjemnej kolacyjki pomiędzy dwoma dziewczątkami w gabineczku restauracyjnym.

Pokój jadalny, w którym się znajdowali był obity skórą z Kordowy, i oświetlony kandelabrem z błyskotami kryształowymi. Białe i czerwone kwiaty stojące w ozdobnych wazonach na stole, ślicznie odbijały od twarzy biesiadniczek. Wszystko się uśmiechało, zarówno opałowe błyski szkła kryształowego, jak nakrycie stołowe malowane z japońska, jak różowe i białe rysunki na ruskim obrusie. Wszystko tchnęło wielkim gustem, co reporter chwalił z wielkimi okrzykami, jedząc bez ustanku, a tem samem płacąc sobie nawet za słowne reklamy. Gardanne powziął nagle plan ukryty. A gdyby tak opisać wnętrze apartamentów Margot, a zwłaszcza hotelu Noris, nadewszystko Noris! Ach, pałacyk Noris, ten mały, osamotniony i tajemniczy pałacyk, to byłby temat dopiero. Temat, z którym go jeszcze nie uprzedzono. Podać otoczenie takiej

Noris w swoim dzienniku, byłby efekt nielada. Rozrywano by pismo! To nowość! Wiedziano bardzo dobrze w Paryżu, że piękna Noris była metresą wielkiego księcia, ale już sam ten tytuł otaczał ją pewną tajemniczością, która oczywiście byłaby nader zajmującą, gdyby Gardanne uchylił jej rąbek. Będzie to niespodzianką dla dziennika; pierwszy artykuł z całego szeregu; zatytułowanego: Tajemnice salonów naszych strojnisi.

Małgorzatę Brunier, a raczej Margot, poda po Noris, Blanke
Taverny po Margot, a
panią de Tressau po Blance: aktorki, księżniczki, high-life,
low-lite, méli-
mélo, wszystkie po kolei, całą seryę...
I chcąc zaczerpnąć wiadomości, uprzejmy Gardanne, podczas
całego obiadu wślizgał
się w tajemnice przyzwyczajęń Noris, którą znajdował nieco
rozmarzoną, nie tyle
smutną, ile zękaną... Tak jest zękaną.
— Pani coś jest wistocie — mówił do niej przy deserze. Czy
pani nie znajdujesz
tego, droga panno Margot, że nasza przyjaciółka jest nie w
humorze.
Wziął cygaro z pudełka, które przyniósł lokaj na znak
Małgorzaty i zapalił je u
srebrnego trójnoga na spirytusie.
Młoda kobieta usłyszawszy z ust tego bulwarowego szperacza
wyrazy: "nasza
przyjaciółka", pomimowoli zmarszczyła brwi z lekka.
Ale ba! Gardanne sądził może, że jej robi wielki zaszczyt
dając jej ten tytuł,
który dzieliła bezwątpienia z masą innych kobiet lekkiego
prowadzenia.
Odpowiedziała poprostu, że jest smutną, że zresztą

doznając dziwnego uczucia, od chwili owego spotkania z
Rajmundem, dzisiejszego
poranku. A może stan swój. zawdzięcza pogodzie kwietniowej
i pierwszym
promieniom wschodzącego słońca.

Wistocie, w ciągu całego obiadu mówiła bardzo mało, dając
możność Małgorzacie i
Gardanne'owi śmiać się do woli, po parysku, sama zaś była
mysią tam, w tej
świeżej alei, której pierwsze listki uśmiechały się, w głębi
zieleni na
drzewach.

Była daleko, bardzo daleko od tej sali jadalnej Małgorzaty
Brunier, do której
przez okna, wychodzące jak u niej na ogród, wkładał się
jeszcze szarzejący mrok
wiosennego wieczoru. Była daleko od ładnej dziewczyny,
szczebioczącej tuż przy
niej z tym przebiegłym chłopcem, którego umysł giętki jak
ewolucye kłowna, umiał
tak dziwnie żartować ze wszystkiego — i zdawało się jej, że
galopuje jeszcze po
tej brązowej alei z tym pięknym ogorzałym młodzieńcem,
który prawił jej o
krajach spalonych słońcem i miłością., gdzie dziewczęta
obcinały sobie włosy
albo ręce dla pierwszego lepszego przybysza o złoconych
szlifach...

Imię, wymówione na głos, które pomimo wszelkich wysiłków,
nie mogło nigdy na
niej nie sprawić wrażenia, imię, które było przywiązane do jej
życia, jak bandaż
do rany, wyprowadziło ją z tego rozmarzenia, zadając jej cios
prawie dotkliwy.

Gardanne mówił o księciu Beaumartel de Chantenay.

Noris podniosła głowę i nagle obok tej szczerzej postaci
młodzieńczej Rajmunda
stanął jej przed oczyma zi-

mny uśmiech i lekki jasny wąsik Renégo. Ten ostatni obraz
złośliwie zamaścił
widok zielonego pejzażu rozkwitającej wiosny, wśród
którego, pod budzącemu się
do życia drzewami, galopował Rajmund.
Mimowoli zaczęła słuchać.

— Znowu zaczynają mówić o tym książątku! — mówił
Gardanne, wpatrując się we
wzrastający popiół na cygarze.

A Margot, w pół oparta na obrusie, z oczyma wlepionymi w
oczy Gardanne'a, chciwa
skandalików, rzekła:

— Nie może być! Cóż tam nowego?

Niebieskie oko płonęło zaciekawieniem, różowy język
pokazywał się na ustach jak
u kota na widok miski z mlekiem.

— A tak, tak — odparł Gardanne. Mówią, że trochę zanadto
pozwolił sobie z hrabią
de Montépreux.

— Z hrabią de Montépreux?

— No, nie mówię, żeby go miał przebić w pojedynku. Nie!

Ale hrabina, pochodząca

z Tokaju, zanadto się kompromitowała z Chantenay'em, a żeby
Montépreux miał o tem

nie wiedzieć i temu bez wątpienia zawdzięczać należy
chorobę, na którą hrabia

zapadł, a mianowicie na wątrobę... Jeżeli hrabia umarł, to
Chantenay'ek może się

pochwalić, że się niemało przyczynił do jego "żółtaczki"...
jego "zżółcenia" —

dodał Gardanne, widząc że Margot nie rozumie i kładł nacisk na wyrazie

zżółcenie, znajdując go nader oryginalnym.

Noris zdawała się słuchać z uwagą, i zapytała, jak gdyby chcąc dowiedzieć się

szczegółów:

— Hrabina de Montépreux?

— Znam ją — odparła Margot. Bardzo ładna! Blondynka złotowłosa... Cały las

włosów....

— Barwy tytoniu tureckiego albo piwa z kraju, z którego pochodzi — dodał

Gardanne. Jest Austryaczką. Makart wymalował ją na jednym ze swoich płócien...

Ciało prześliczne. Co za płeć! Szyja!

I drobiazgowa! wielką damę, tak, jak gdyby opisywał jaką aktorkę, wchodzącą na

scenę pół nago, albo konia na wyścigach.

Noris знаła hrabinę. Widywała ją nieraz i podziwiała na operze, ona siedząc w

amfiteatrze, a hrabina, wsparta na poręczy swej łoży, z głową wyniosłą, piękna

bez zarzutu, uśmiechnięta i pogardliwa zarazem, o pulchnych ramionach

wiedeńskich, pół obnażonych, które piękne dziewczęta pozwalają łąskotać długim

lokom włosów, gdy wojskowa muzyka austriacka gra walca pod cieniem drzew

Prateru.

— Ach! Więc hrabina była teraz metresą księcia de Chantenay!

— Tak mówią! — rzekł Gardanne. Podobno ubóstwia go nawet, szaleje za nim.

— Od jak dawna hrabia de Montépreux nie żyje?

— Od lata... od czerwca roku. Jeździłem właśnie umyślnie na pogrzeb

hrabiego do Normandyi, który po to tylko wrócił tam z Vichy, ażeby umrzeć. Pałac

Montópreux jest prześliczny! Wieża umeblowana jak buduar.

Mnóstwo kolorów. Nad

grobem wypowiedziano aż trzy mowy: mówił mer, prezes rady głównej i jakiś kolega

z izby. Mowy są teraz w modzie. Pan de Montepreus

był deputowanym. Deputowanym konserwatystą naturalnie.

Szkoda tylko, że nie

umiał żony swej konserwować!

Noris nie mówiła ani słowa i starała się nabrać pojęcia, pomimo żartów

reportera, romanse tej kobiety, która kochała teraz człowieka, ubóstwianego

przez nią do szaleństwa przed pięciu laty.

Jakie to jednak szczególne, że kobieta bogata i utytułowana — hrabina! —

powzięła myśl zajęcia się człowiekiem, który mógł uwieść niewinną dziewczynę,

ale żeby miał zbałamucić kobietę w pełni życia, kobietę światową — to zdaje się

być nieprawdopodobnem! I było to zarazem niegodne, tak niegodne! Hrabia de

Montépreux czyż był stary? Nie. Młody jeszcze, przystojny,
bogaty, trochę
ponury, to prawda, cierpki, trapiiony chorobą wątrobianą, ale
kochający,
wykwintny i przejęty na wskroś pięknnością młodej żony....
Wierzył jej, ubóstwiał
ją, pragnął, ażeby wprowadzona przez francuza do
towarzystwa francuzkiego,
wprawiała wszystkich w podziw, tak, że nawet kazał
wymalować portret żony do
salonu, mistrzowi w malowaniu kobiet zarówno w Paryżu jak
w Wiedniu.
— Koniec końcem — mówił dalej Gardanne — nad wszystko
na świecie ten biedny
hrabia kochał tę istotę bosko-piękną, wykwintną, chodzącą po
salonach z
wyniosłością królowej przy boku tego męża zachwyconego,
którego oczy trochę
zaszłe żółcią błyszcząły radośnie na widok sukcesów hrabiny.
Montépreux w izbie
nie okazywał chęci błyszczenia, bardzo bogaty, przysłany do
zgromadzenia w
dwudziestym szóstym, czy dwudziestym siódmym roku życia,
zaraz po ukończeniu
wojny, gdzie odznaczył się nie lada walecznością, na czele
członków pospolitego
ruszenia

ze swego departamentu, bywał tam z przyzwyczajenia, i tylko
dlatego, że wyborcy

odznaczyli go, nie chciał ich pozbawić przyjemności widzenia siebie na ich czele. Natomiast, daleko więcej niż swoim mandatem, zajmował się żoną. Hrabina uwolniła go nawet od zajmowania się synem, małym jegomością, który w pałacu przy ulicy Saint-Dominique wzrósł jak umiał w gronie swych bon i guwernantek, mając w czwartym roku życia własny apartament, ludzi, którzy go nazywali "panem hrabią", a do matki swej mówił "hrabino" jakkolwiek w takim wieku każde zdrobnienie, każdy wyraz "mama" jest dla matki droższem bez wątpienia od wszelkich miłosnych oświadczeń.

Tak więc, ta kobieta ubóstwiana miłością wyjątkową i ślepa, ta piękna dwudziestotrzechletnia hrabina, ta szczęśliwa małżonka, której tysiące tysięcy kobiet zazdrościło; zajęła się Chantenay'em!

Dla tego księcia René — rzecz niepojęta dla uwiedzionej córki Eugenjusza Féraud — ta kobieta zdolną była poświęcić spokój i honor pana de Montépreux i szacunek, jaki z czasem, wzrastające dziecko, powinnyby okazać matce.

tem i tylko o tem myślała Noris, podczas, gdy Gardanne, tym tonem paryżanina, świadomego wszystkich zakulisowych tajemnic zarówno w teatrach jak w biurach redakcyi, prawil o miłostkach księcia Beaumartel de Chantenay i hrabinie Montépreux, zupełnie tak, jak gdyby to dotyczyło stosunku jakiego komedyanta z

dziewczyną z bruku.

Mówił z najdrobniejszymi szczegółami, wiedział o wszystkim, obudzał wszystkie wspomnienia.

Tej zimy widziano panią de Montépreux jeszcze w żałobie z księciem w Monaco i nawet to spotkanie nie obeszło się bez maleńkiego skandalu. Hrabina zajmowała wille, księżę zaś mieszkał w hotelu, ale miejscowa kronika przypisywała im, że nazbyt często się spotykali, a nawet, gdy zaczęły chodzić pogłoski, że pani de Montépreux mogła być łatwo zostać księżną, dowodzono, że to improwizowane małżeństwo znajdowało się w zanadto ścisłym związku z bilecikami, które pisywali do siebie ci państwo. Tak więc, będąc w posiadaniu wszystkiego, co wystarcza do życia, szanowana w spokoju swego wdowieństwa i opływająca w dostatkach, będąc w posiadaniu, słowem, wszystkiego, o czym tylko może zamarzyć uczciwa kobieta, ta hrabina de Montépreux pozwalała mówić o sobie jak o chórzystce z teatru, i potrzeba było dla jej uniewinnienia, ażeby Gardanne wyszukiwał tych modnych wyrazów, które stanowią niejako etykiety kobiet współczesnych: fantastka, hysteryczka, znudzona, niespokojna, trzpiotka i t. p.

I stopniowo, słuchając, widząc, że przeszłość jej zaczyna po
trochu odżywać
wobec faktów tej smutnej teraźniejszości, uprzytomnionej
przez tego reportera,
córka Eugenjusza Féraud doznała uczucia moralnego upadku.
Po co przybyła do mieszkania Małgorzaty Brunier? Szukać
trochę zapomnienia!
Znalazła przeciwnie, stokroć większą gorycz.
Przyglądała się z poza niebieskawego dymu cygara
Gardanne'a i cygaretki Margot
tym dwom istotom, które niekiedy bywały i u niej także: temu
dziennikarzowi i
tej

dziewczynie upadłej, jej koleżance, sprzedającej miłość, jak
inna sprzedaje
rozsądek, i mówiła sobie, że z tych dwojga istot, które
przywiązały się do niej
przez potrzebę wrodzoną wszystkim stworzeniom,
dopatrywania się własnych smutków
i własnych cierpień w twarzach bliźnich jak w zwierciadle,
nieszczęśliwą była
ta, która śmiała się przed nią, niedbała o przyszłość i
oddychająca
teraźniejszością machinalnie, jak tym dymem tytoniu
tureckiego, który najlepiej
mógł ją zrozumieć i żałować.
To nie Margot — Noris była tego pewną — nie, nie Margot,
któraby wyszedłszy za
mąż za dobrego chłopca, zrujnowała szczęście swojego życia,
jak Jacqueline de

Montépreux. dobrowolnie pogrążała w przepaść swoją
szczęście. Nie! Margot była
uczciwą dziewczyną w swoim rodzaju.
Zapoznały się ze sobą w dziwny sposób.
Były sąsiadkami, nie wiedząc o tem w tej ulicy Jouffroy,
zaledwie powstającej
wówczas i nie spotkały się nigdy, chociaż ich powozy
krzyżowały się albo jechały
tuż za sobą po ulicy de Villers; nigdy się nie widziały pierwiej,
aż dopiero na
cmentarzu obok muru Montmartre, gdzie spoczywały szczątki
"uwięzionego".
O dwa kroki ztamtąd, Noris spotykała często kładącą wieniec
bez klękania przy
grobie młodą blondynkę, która także spoglądała na nią, nie
mówiąc do niej wcale.
Nieraz ocierały się o siebie podczas tych wizyt cmentarnych.
Były połączone,
przyzwane tam przez tych, którzy spali obcy dla siebie w
życiu a poznani pod
jednym wspólnym całunem śmierci.
Noris nieraz czytała na grobowcu, który przyciągał

młodą kobietę, nazwisko nieboszczyka. Ale samo nazwisko
Brunier nie było wcale
wymownem.

Atoli, pewnego dnia, zerwała się burza i ciężkie krople
zaczęły spadać jak łzy
na cały cmentarz, gdzie tyle grobowców odzwyczaiało się już
od łez wcale. Wówczas

piękna blondynka o nader sympatycznej powierzchowności
otworzyła swój parasol i
zapropozowała sąsiadce z cmentarza, odprowadzenie jej do
domu.

— Ale ja nie mam powozu ze sobą. Przyszłam piechotą —
rzekła Noris.

Tymczasem deszcz zwiększał się z każdą chwilą, a niebo
coraz czarniejsze,
nadawało całemu cmentarzowi, alei doń wiodącej i całemu
bulwarowi Clichy pozór
nader ponury.

Młoda kobieta, trzymając swój parasol ponad głową Noris,
ozwała się wtedy,
trochę zaaferowana:

— Gdyby mi pani nie odmówiła...

Nie wiedziała, kto jest Noris. Zapewne kobieta wielkiego
świata. To też zawahała
się. Ale potem, wzięła na odwagę, ofiarowała miejsce w
swoim powozie, a Noris
dała swój adres.

I wychodząc z cmentarza roześmiały się trochę, widząc, że
nawet w życiu były
sąsiadkami! Czy to nie przeznaczenie zetknęło ich ze sobą?
Znajmy się dłużej.

I znały się dłużej. Nietylko na Montmartre, przy grobowcach,
ale przy ulicy

Jouffroy w zwykłym życiu powszednim.

Margot znała Noris z imienia, widywała ją nawet w teatrze —
w tym punkcie

schadzek całego towarzystwa — ale nikt nie mógł jej
powiedzieć, kto była ta
piękna bru-

netka, ubrana czarno, którą brała za cudzoziemkę, kreolkę, węgierkę, kto to wie.

Małgorzata była zachwycona 'tą przyjaźnią, która jej pochlebiała — przyjaciółka metresy wielkiego księcia.

Noris znalazła w Margot naturę o tyle prawą, o ile mogły ją urobić ciosy życia, i właśnie, podczas, gdy Gardanne opowiadał przygody hrabiny z Chantenay'em myślała o tem, co Małgorzata Brunier opowiedziała jej o swojej przeszłości, której Margot nie żałowała wcale, ale która była uczciwą i tak rażący stanowiła kontrast — tak straszny, z obecnem życiem biednej dziewczyny.

I wtedy Noris, wciąż patrząc na Małgorzatę i reportera, porównywała życie pani de Montépreiux z życiem Margot i los Margot ze swoim własnym losem.

Tam, na górze w uliczce de la Chapelle, Małgorzata wzrosła w całej pełni przedmieść Paryża, na piątym piętrze, w szczupłym mieszkanku, które zajmowała rodzina, złożona z trzech osób, w liczbie których i ona. Nieraz opowiadała o tem Noris. Miała jeszcze przed oczyma ubogie wnętrza tych rzemieślniczych apartamentów. Ojciec był zacnym człowiekiem i ożenił się z matką z miłości, ubóstwiając ją zawsze. Nie mieli żadnych krewnych, oprócz starej

babki, kobiety zgryźliwej, za którą opłacano mieszkanie poza domem, ażeby młode małżeństwo mogło żyć w spokoju.

Małgorzata dotąd drżała na samą myśl o tej magerze, małej kobietce nerwowej, z oczyma cyganki, nabrzękłemi i podsiniąłemi, która napawała ją strachem nawet wtedy, gdy chodziła winszować jej imienin.

Natomiast uśmiechała się mimowoli, mówiąc o matce.

Mama! Była dzieckiem jak ona, jedna z tych dziewczątek Paryża, wesołych jak wróble, żywych jak one i żyła szczęśliwa, bardzo szczęśliwa w towarzystwie swojego męża, którego ubóstwiała i pieściła jak kochanka i swojej córki, którą stroiła, ubierała, nosiła na rękach lub kazała jej skakać jak laleczce.

Zarówno jak Noris, i Małgorzata miała dni słoneczne w swoich wspomnieniach, wycieczki do Saint-Denis, na brzeg wody, podwieczorki na wysepce, na trawce, albo spaceru wzdłuż rzeki, gdzie olbrzymie statki, grube jak wieloryby, bawiły dziecko.

A te święta spędzane za miastem, konie drewniane, i lalki z porcelany, wygrane na loteryi!...

W jednej z szuflad ozdobnej komody w gabinecie włoskim, Małgorzata przechowywała

i oglądała niekiedy pocieszny stary dagerotyp, w ramach
plecionych z nitek
złoty z miedzianym haczykiem do wieszania. W owalu tego
starego obrazu,
dostrzegała wyblakłą w połowie i jakby znikającą pod szkłem
grupę, złożoną z
trzech osób: — młody mężczyzna, przypominający żołnierza
albo rzemieślnika, w
kurtce świątecznej z aksamitnym kołnierzem i ze złotym
łańcuszkiem na kamizelce,
stał obok siedzącej kobiety w szalu francuzkim, w małym
kapelusiku, trzymającej
na rękach dziecko o dużych włosach w loki, ustrojone jak
księżniczka.

Wyjmowała nieraz z szuflady i pokazywała Noris ten
starodawny dagerotyp. Tem
dzieckiem, to była ona — tą laleczką o pulchnych nagich
ramionach z dołeczkami
na łokietkach i dotąd czuła jeszcze na swojej skórze i włosach
pocałunki matki..

Ona była tak dumna ze swej małej, ta żona rzemieślnika!
Spędzała dni na
strojeniu jej, na przypatrywaniu się jej, na zjadaniu jej
chciwymi, żarłocznymi
niemal pocałunkami.

Zatrzymywała się przed wystawami wielkich, sklepów,
przypatrując się towarom,
kapelusiom dla dzieci, tym płaszczykom i tym wstążeczkom,
w które na wielkim

świecie ubierano dziewczątka i wróciwszy do domu, zasiadała do pracy, wysilając się na to, ażeby jej córka, Małgorzata, mogła dorównać pod względem kokieteryi strojów wszystkim bogatym paniąkom. Wymyślała przeróżne koafiury, kokardki z wstążek, paski, spódniczki, gorsety, kapelusze, wszystko! — Hortensyo! — mówił Karol Brunier — psujesz ją! Przecież nie zawsze będzie mogła ubierać się w takie fatalaszki... — Właśnie dla tego — odpowiadała matka. Niech chociaż teraz nacieszy się niemi do woli. A zresztą, jestem zarozumiałą! Chcę, żeby moja mała była tak piękną jak te, które bawią się w Tuilleries. To nic nikomu nie szkodzi. Brunier kochał matkę i kochał córkę; całował je po kolei i już więcej nie mówiono o tem. Wreszcie ten pozór zbytku nie wiele kosztował, a Brunier miewał wówczas niezłe dochody. Hortensya może miała rację. Niech mała chociaż teraz zazna dostatku. A przytem, Małgorzatka była piękną! Wzrastała z mimowolnym przeczuciem własnej piękności. Dzieci odgadują, co się o nich myśli i utrzymują w ży-

ciu słowa, które wypowiedziano kiedyś na rachunek ich wdzięku.

Widziała dobrze, że się podoba; na skwerze, gdy szła się bawić, były damy, które

się aż odwracały, podziwiając małą blondyneczkę zazdrosnym okiem matek.

Dziś jeszcze doskonale pamiętała te powodzenia swego dzieciństwa. Dotąd słyszała śmiech radości Hortensyi gdy ta, oddalając się od niej o kilka kroków, mówiła:

"ach, jaka ona ładna, jaka ładna!"

Tu następowały pieszczoty i gorące pocałunki. — Jestem szalona! — mówiła

Hortensya. I on także — myślała Noris, i on, Eugenjusz Féraud szalał za tą piękną Dinorą, która teraz znajdowała się w towarzystwie równej sobie

Małgorzaty, takiej Margot!

Hortensya Brunier pewnego razu, w karnawale, ubrała córkę w suknię z brytów

jedwabiu różowego z białym, i Małgosia spacerowała jak królowa, podziwiana przez

wszystkich przechodniów. Wykrzykniki tych ludzi, zachwyconych rumianą buzią i

włoskami zawiniętymi w loczki tej siedmioletniej markizy, głąskały nawet potem,

po wielu latach, próżność Margot!

Czuła teraz, że w tych ulicznych sukcesach tkwiło trochę kokieteryjnej radości

kobiety. Ojciec wzruszał tylko ramionami. Znajdował on, że Hortensya była

nierozważną. Tą drogą, można było tylko zepsuć dziecko.

Małgorzata nie przyszła, niestety, na świat po to ażeby nosić jedwabne suknie a

la Du Barry. Także pomyśl, żeby ją koniecznie zrobić piękną!

Nie brzydką jest,

to prawda. Ale nareszcie córce stolarza nie przystoi wiecz-

nie pozować na wielką damę i obnażać ramiona. To przecie nie aktorka!

— Co ci szkodzi! — odpowiadała na to babka, jeżeli znajdowała się naówczas w izbie.

— To mi szkodzi, że ona nie stworzona jest do tego! — odpierał Brunier.

Nie dostrzegał szczególniejszego błysku, jaki ukazywał się naówczas w oczach jego matki.

Rzemieślnik umarł.

Na tamten świat uprowadziła go gorączka tyfoidalna.

Małgorzata miała lat dziewięć. Kochała go, a gdy go nie stało, w mieszkaniu uczuła jakby próżnię.

Bała się wieczorami być samą w pokoju, a jednak jak gdyby jej słaby głosik,

zdolny był obudzić zmarłego, wołała: papa.

Dagerotyp, zdjęty w Saint-Cloud, wisiał na ścianie.

Dziecko przypatrywało mu się nieustannie.

Oddano ją wreszcie do szkoły. Była rozsądną, umiała wszystko. Przełożona

podziwiała ją. Nazywano ją "księżną".

Wzrastała, wmawiając w siebie jak najnaiwniej, że chyba musiała powstać z innej gliny, niż jej towarzyszki.

— Tak — dodawała Margot, opowiadając o tem Noris — to właśnie gubi niektóre z nas.

Ale matka nie mówiła jej teraz, że jest piękną. Pracowała dla ukończenia edukacji małej.

Przyjęła do siebie matkę męża, która jej wcale nie była pomocną, a przeciwnie w chwilach, gdy miała pie-

niądze, kupowała gałganki i szczątki jedwabnych sukien, zdziwionych, że się znalazły w ubogim domku wyrobniczy.

Hortensya zabijała się teraz pracą, Brunier bowiem zostawił bardzo skromne oszczędności, które wyczerpały honoraria, płacone do ktorom.

Ta to paryzka wietrznica stała się teraz poważną, wytrwałą, walczącą dla córki z całą gorączkową zawziętością kobiety.

Pewnego dnia, gdy Małgorzata szła do szkoły ze starą matką Brunier, powóz ją przewrócił i przejechał.

Przyniesiono ją do domu, a przerażenie matki było tak wielkie, że wywiązała się gorączka, potem zapalenie mózgu, które sparaliżowało ją do połowy i już

niepomogły żadne starania, kąpiele, waleryany i t. p.

Teraz nędza, straszna nędza, brak wszelkich środków do życia, zaczęła grozić na poddaszu.

Hortensya z rozpaczą spoglądała na córkę, a myśląc o mężu, szeptała:

— Karol miał rację! Biedny mój Karol! Nigdy nie wiemy,
kiedy nas spotka
nieszczęście!
Jedna tylko matka Brunier, patrząc czarnemi oczyma na
smukłą dziewczeczkę, piękną
jak cherubinek, widziała całe zbawienie w Małgorzacie.
Przyszły jej na myśl szalone bogactwa, olbrzymie sukcesy na
wielkim świecie,
karyera w teatrze... Wnuczka skwapliwie podchwytywała te
marzenia. Obie budowały
zamki na lodzie.
Ach te zamki na lodzie... Wszak i Eugenjusz Féraud stawiał je
także, a jednak
runęły od jednego ciosu nieubłaganych przeznaczeń!...

Jakże wszystkie drogi ludzkie podobne są do siebie.
Stara szeptała zcicha do Małgorzaty:
— Nie bój się, kto jest takim cukierkiem jak ty, ten się zawsze
wycofa z biedy!
Małgorzata też nie bała się o siebie.
Tylko w dwunastym roku lękała się matki żyjącej i chorej, jak
w ósmym roku
lękała się ojca nieboszczyka.
Cierpienia matki drażniły nerwy dziecka, które czuło, jakby
same było dotknięte
chorobą.
Pewnego poranku obudziła się, zdumiona łkaniem w izbie.
Hortensya umarła.
Małgorzata wyszeptała wyraz, straszny zaiste dla niej: —
sierota!
— Teraz mama!.. Mama!... Mama po ojcu!...

Po wielu latach, gdy wspominała w pośród zbytkowego otoczenia swego, te smutne dni dzieciństwa, gdy otwierała jakby szarpiąc serce swe wobec Noris, Małgorzata Brunier jeszcze teraz doznawała uczucia strasznego osamotnienia, które tak okropnym było dla niej, gdy zamieszkała sam na sam z babką. Całe jej życie, całe jej smutne życie, stawało jej w oczach jak łąkanie. Strasznym było to tete atete ze starą jędzą, która obudzała w niej tylko skłonności najgorsze, instynkty łotrowstwa i żądze nigdy nie zbyte. Zdawało jej się, że dotąd widzi tę bladą postać o żółtych plamach w czarnej długiej spódnicy, podniecającą jej wyobraźnię, podszeptami pełnymi cynizmu, obiecującą jej złote góry i popychającą ją z dniem każdym, z każdą

chwilą niemal, na drogę tego wstrętnego życia, które od lat kilku stało się życiem Margot. I Noris drżała także, przejęta aż do kości wstrętem dla tego widziadła, tej chimery, która i ją także popchnęła na drogę występna, gdzie spotkała Małgorzatę. Waryatka, która była babką Margot, prawiała jej o teatrze, i o karierze

sceniczej, jak biedny Féraud zwierzał się córce ze złotymi
snami o powodzeniu
swoich romansów.

Teatr! Małgorzata nie miała ani daru ani pociągu do sceny.
Słuchała jednak babki, gdy mówiła jej o zbytkach i
dobrobycie artystek, które

nieraz dochodzą do mitr książęcych. Ponieważ teatr ma
prowadzić do takiej
karyery, dobrze więc, wstąpi do teatru!

I z kolei, po takim postanowieniu, marzyła już sama o tem, o
czem stara Brunier
marzyła dla niej.

Dreszcz ją przejmował na myśl o tem, co zrobiła ze swoją
młodością, z tą
pierwszą młodością, z temi chwilami, gdy — te dni
wiosenne, przypominające ten
wieczór kwietniowy, w którym bawili u niej Noris i Gardanne
— stawała w oknie,
czując w sobie wzrastające zmęczenie, jak natura pod
wpływem ożywczego wiatru.

Są przecie kobiety, które będąc młodemi dziewczynami, miały
swój wstyd,

szanowały swoją dziewiczość. Ach jakże im zazdrości! Ach,
jej kwiecień przepadł
na zawsze, zbrukał się, jak migdałowe gałązki, odcięte burzą i
rzucone w błoto!

Cała jej nieświadomość wyzyskaną została przez tę starą
waryatkę, życzliwą może,
ale marzącą niemożebności

Margot wiedziała, ile kosztowało przebudzenie się z tych
wszystkich marzeń!
Pamięta, jak matka Brunier wprowadziła ją do gabinetu
dyrektora jednego z
pomniejszych teatrów.
Dotąd ma w oczach wyraz pożądliwości, jaki dostrzegła w
płomiennym wejrzeniu
tego człowieka.
Wziął ją za rękę bardzo życzliwie; nigdy, nigdy nie zapomni
tej tłustej dłoni
obłudnika.
Ciche debiuty w jakiejś norze na przedmieściu, te kulisy
biedne, stare,
potłuczone, ckliwość otoczenia, pogardliwość rzemiosła tego
rodzaju, chęć
zemsty, ucieczka, straszna nędza, upadek, przypadkowe
spotkanie na drodze życia
jakiegoś znudzonego mieszczanina, ani dobrego, ani złego, ani
wyzutego, ani
szlachetnego, który z litości prawie przygarnął tę istotę i
dawał jej rady
praktycznej moralności... Oto wszystko... To była jej pierwsza
miłość!.. Ach!...
I ten człowiek, przy pomocy matki Brunier, przekształcił
Małgorzatę na Margot,
wyrwał ją z tej nędzy, która drażni żołądek, a wtrącił ją
natomiast w tę nędzę,
która wygrzyza serce.
Co za ironja!
Ojciec i matka spoczywali snem wiecznym na Montmartre
niewiado gdzie, w głębi
generalnego grobu, Małgorzata bowiem nie miała pieniędzy w
terminie

przeznaczonym dla usunięcia ich szczątków z tego grobu do
oddzielnej mogiły,
Teraz zaś, gdy umarła jej babka, Małgorzata będąc już
Margot, postawiła jej
grobowiec z marmuru, nadzwyczaj cenny, nie dla tego, ażeby
chciała uczcić jej

zwłoki, ale poprostu dla tego, że pragnęła widzieć na
grobowcu wyryte nazwisko:

Brunier.

A po tych, którzy otrzymali jej pierwsze uczciwe pocałunki,
Margot nie miała nic

więcej w smutku swego życia, nic, prócz starego dagerotypu,
który żółkniał,

blaknął, zacierał się coraz bardziej...

Nigdy Noris nie zapomniała tego zwierzenia, które pewnego
dnia wypadkowo — gdyż

Margot nie bywała melancholijną — wyszło z list pięknej
blondynki, dumnej

dzisiaj, że przeszedłszy tyle w swoim życiu, mogła obudzić
miłość — nie, to jej

się nie udało — kaprys raczej w takim markizie de Ferdys, w
połowie przyjacielu,

w połowie kochanku, ale daleko młodszym bezwątpienia i
daleko przyjemniejszym i

zabawniejszym z posiwiąłą fryzurą, bardziej zajmującym od
tych wszystkich

przedstawicieli śmietanki towarzystwa; tych laleczek, tych
"pchutteux", którzy

wstąpili w ślady takich poprzedników, jak Gerard de
Chantenay i Courmont-

Chanterousse, nie umiejąc ich naśladować.

Nie przeszkadzało to jednak Margot, śmiejąc się, powtarzać naiwnie, gdy kończyła

opowieść o swojej przeszłości Noris:

— Chcesz pani, bym ci wyznała prawdę? Lubię pana de Ferdys. To przyjaciel. Ale,

daję pani słowo, z głębi serca, że... tak... doprawdy nigdy nie kochałam

szczerze!...

— Może dla tego właśnie jesteś pani szczęśliwą — odpowiedziała Noris.

Margot wybuchła śmiechem.

— Ba! Czyż można być kiedy szczęśliwą? Ja naprzy-

kład, dziś jestem w dostatku, a może umrę gdzie w szpitalu.

Noris, rozważając spowiedź ładnej dziewczyny, którą lubiła za otwartość i której

zaprosiny przyjmowała, jak tego wieczoru, pomimo, że nad wszystko miłą jej była

samotność, przerwała nagle opowieść Gardanne'a, zestawiając swoje życie i życie

Margot z życiem hrabiny de Montépreux.

— Wie pan, o czym przekonywa mnie pańskie opowiadanie, panie Gardanne? Te dzieje

hrabiny de Montépreux?... Przekonywają mnie, że mój aksjomat nie jest zupełnie

prawdziwym.

— Aksjomat! Jaki aksjomat? Pani masz aksjomat?

Dziennikarz był ubawiony.

— Powiedz mi pani. Posłuży mi on za zakończenie do artykułu o... pani!

— Tak? A więc pewnik, o którym mówię — odparła Noris, jest taki, że w ośmdziesięciu wypadkach na sto, błąd kobiety jest winą mężczyzny.

— Och! Och! — odparł Gardanne. Ależ to temat do publicznego odczytu! O dwa kroki ztąd, w sali Levis, otrzymałabyś pani straszną moc oklasków. Noris wzruszyła ramionami. Nie wiele ją obchodziła polityka. Polityką kobiety jest miłość, która buntuje się i walczy z przeznaczeniem. Ale miała ona w sercu, obok rozpaczy i goryczy, ranę zawsze żywą: wspomnienie o tej zdradzie, która przypominała jej nazwisko de Chantenay, wymówione może umyślnie — któż to wie? — przez tego pisarczynę dla wywyższenia się w jej oczach.

Książę René Beaumartel de Chantenayj Kwiat szyku. Król Paryża, którego nawet pięć lat czasu nie mogło zdetronizować! Zaczęła powoli mówić o nim, zrazu, jak o zwykłym paryżaninie, o istocie spotkanej kiedyś, przelotnej w jej życiu, następnie — mimowoli parta wspomnieniami — zaczęła, wobec tego obcego sobie człowieka, którym był Gardanne i tej upadłej ale dobrej dziewczyny, zaczęła opowiadać cały dramat dziewiętnastu lat swego życia, tak zapomniany przez Paryż, jak sztuka, której już nie ma na

afiszu.

Gardanne może jeden tylko pamiętał, ale Gardanne pamiętał wszystko, to było jego rzemiosłem.

I Margot uczuła szczególniejszą chęć usłyszenia dziejów stosunku Reného z Noris, tak jak sama opowiadała o swoim pierwszym amancie, który zdecydował o jej przyszłości.

Spotkanie Rajmunda przed południem, po południu, wywołane wspomnienie o

Chantenayu przez reportera, obudziło w Noris uczucie, jak gdyby wielki księżę nie istniał wcale i jakby utrzymywała w dalszym ciągu stosunki z Reném.

Ale co za różnica!

René zrobił z niej, pełnej życia, umarłą i jeżeli tlił jeszcze jaki ogień w jej sercu, to chyba jedynie tylko chęć pomszczenia tych jego podłości, na wszystkich ludziach od razu.

I zwierzała się z dumą prawie przed dziennikarzem i koleżanką.

— Niektóre z nas są takie! — mówiła. Mężczyzna nas oszuka: niechże mężczyźni pokutują za to!

Gardanne uśmiechał się, podczas, gdy Małgorzata przyklaskiwała słowom Noris.

Reporter rzekł po chwili, rzucając cygaro do popielniczki.

— Trzeba się wystrzegać... Gdyby panią wziąć za słówko, możnaby sądzić, że pani dotąd jeszcze kochasz księcia?

— Ja? Ach Boże! Ja nikogo nie kocham!

— A wielkiego księcia?

— Szanuję go, poważani...

— Za ile rocznie?... — szepnął złośliwy Gardanne do ucha Margot, która dała mu lekkiego klapsa na znak milczenia.

— Jestem — mówiła dalej Noris — bardzo szczęśliwą, że go spotkałam, gdyż daje mi sposób do życia i pozwala mi być panią własnej woli, ale nie kocham go i nie sądzę, ażeby mu o moją miłość tak dalece chodziło.

— A więc ojca może? — zapytał Gardanne, z uśmiechem, wkładając monokl w prawe oko — jak kiedyś Chantenay.

Noris nie odpowiedziała.

— Jeżeli więc pani nikogo nie kochasz — rzekł reporter — to nie dałbym trzech groszy, że księżę Beaumartel de Chantenay dotąd szaleje za panią.

— On? także! — odparła Noris.

— Kto wie! Byłem niedawno na kolacyi, wydanej przez Yachting-Club. Mówiono o pani... Bardzo zresztą dyskretnie...

— Wiele zaszczytu ze strony tych panów!

— Otóż księżę... zdawał się być... jakby się tu wyrazić.. zażenowanym...

— Tak?

— Jakby mu rozmowa ta nie była na rękę... Zwłaszcza gdy pan d'Yseux, wielki d'Yseux, zasz go pani, zapytał go, czy widuje się z panią... Chantenay odparł "wcale nie" bardzo dziwnym tonem?

— Co pan nazywasz dziwnym tonem?

— Smutnym, jeżeli pani chcesz... a może... rozdrażnionym...

— To drugie określenie jest prawdopodobne.. Mój drogi pani Gardanne, mam u siebie prześliczny szkic Delacroix...

— Wspaniały! — rzekł Gardanne.

— Marokanka? — zapytała Margot.

— Tak, Marokanka, Gdy byłam... gdzieindziej, nie u siebie... ta Marokanka opstrzona, w czarnych ramach nie zwracała wcale uwagi... Dziś w oprawie złotej, wyświeżona, pokryta werniksem, jest prawdziwą ozdobą tego salonu. Wszyscy ją podziwiają... "Cóż to za prześliczny obraz... ta Delacroix!..." Trochę werniksu wystarczyło dla obudzenia zachwyty w znawcach. Może więc werniks przyczynia się do łaskawych względów pana de Chantenay dla mnie?

— Nie, przysięgam pani, rozmawiałem z nim!.. Dręczą go trochę wyrzuty... Ja się znam na tem!...

Noris rozśmiała się serdecznie.

— Wyrzuty? Gdyby je to można było wystawiać na sprzedaż, w pałacu Drouot, płacono by summy nie la-

da. Wyrzuty księcia Renégo.... to byłby rzadki przedmiot!
Małgorzata spróbowała żartować, nie znając wcale Noris Féraud.

— Och! Och! To mu wcale nie przeszkadza, ażeby
kiedykolwiek nie złożył wizyty na
ulicy Jouffroy.

Noris przerwała jej z ogniem w oczach.

— Nie przyjęłabym go!

— Miałabyś pani słuszność, wyrzucając go za drzwi. To
metoda dentystów

doskonała: to usuwa ból zębów i to podnieca żar miłosny.

— Przejdźmy się — rzekła Margot — podaj mi pan rękę,
panie Gardanne.

Gdy przechodzili z sali jadalnej do saloniku, gdzie Małgorzata
kazała otworzyć

fortepjan, na którym Noris mogłaby pograć, lokaj oznajmił
przybycie pana de

Ferdys ojca, który niebawem wszedł z szapoklakiem pod
pachą, a przybył tu zabić
czas przed baletem.

Trzymał się prosto, ubrany wykwintnie, z podkręconym
wąsem, zawsze ten sam;
starszy brat swego syna.

Opowiedział arcydramatyczną historię o pewnej amerykance
z cyrku, bardzo

pięknej, która zabiła się dla jednego z klubowców, pane de
Sableuse.

— Zabiła się na dobre? — spytała Małgorzata.

Gardanne porwał za kapelusz, układając w myśli artykuł i
pragnąc co żywo być na
miejscu dla zasięgnięcia języka.

— Na dobre!.. — odparł pan de Ferdys. Otruła się. Wyraziła
nawet chęć zoztać

roztratowaną i w tym celu

miała się rzucić pod nogi konia pędzącego cwałem w cyrku.

Przełożyła jednak

kilka kropel laudanum.

Tu pokazał fotografię cyrkówki, którą kupił właśnie przed

chwilą: wysoka

blondyna o sutych włosach, z dzikimi oczyma i półdzikim

wyrazem twarzy,

nadzwyczaj oryginalnym.

Prawdziwa kobieta!

— Doprawdy, w Europie nie mamy kobiet, oprócz

amerykanek! — rzekł markiz

uśmiechem.

Małgorzata odparła:

— Dziękuję za komplement. I roześmiała się także.

Noris, stojąc przed fortepjanem, przyglądała się

przyświecznikach rysom młodej

yankeski zdjętej z obnażonymi nogami w kostjumie

cyrkowym. Po chwili zapytała:

— Dla czego tylko one mają być kobietami?... Czy dla tego,

że one tylko zabijają

się z miłości?

A ponieważ pan de Ferdys nie odpowiedział, dodała:

— Fanny Love była bardzo niedorzeczną, umierając dla

Sableuse'a. Gdyby została

przy życiu, możeby przyszło do tego, że on czołgałby się

przed nią i

rozwiązywałby sznurki u jej bucików.

Gardanne rozgorączkowany nowiną, zegnał się już z

Małgorzotą, spiesząc do

mieszkania Fanny Love przy ulicy Montaigne, ale nie zapominając zarazem o swej sławnej seryi gabinetów kobiecych, dodał nagle, podając rękę Noris:

— Prosiłbym panią o udzielenie mi pozwolenia, na

półgodzinną wizytę u pani jutro... Chciałbym panią interwiewać, a brak mi wielu szczegółów! Naprzykład...

— Czego?

— A więc! Dzięki pani, kiedyś mogłem obejrzeć i będę mógł opisać pani salon...

buduar... bibliotekę... Ale nie pokazałaś mi pani... jednego pokoju...

— Sypialni? Prawda! Wizyta u zalotnicy. Sypialnia metresy wielkiego księcia!

Otóż to nie dla pana, panie Gardanne, to za drogo kosztuje.

I Noris siadła do fortepjanu, zmieszawszy trochę młodzieńca, który jednak

oprzytomniał wkrótce, mając na myśli wnętrze mieszkania zmarłej Fanny Love! To

warte było pośpiechu!

Jeszcze nie wyszedł, gdy Noris machinalnie przesunęła ręką po klawiszach i

zaczęła grać, jakby chcąc zagłuszyć siebie samą; grała szybko z niezwykłym

przejęciem, prawie chorobliwym, jak gdyby dziś właśnie — począwszy od spotkania

z Rajmundem aż do romantycznej śmierci amerykanki —

wszystko sprzysięgło się

przypominać jej o panu de Chantenay.

Markiz przysunął się do niej, podczas, gdy Małgorzata, która nie znała ani

jednej nuty, słuchała z przejęciem.

— Co pani gra? — zapytał markiz.

— Z Mendelsohna.

— To prześliczne.

— O, tchnie zastąpi baletu, drogi markizie, ale jest smętne i mnie się podoba.

Gdy gram ten kawałek — może się to panu dziwnem wyda — zdaje mi się, że jak

kiedyś jestem ubrana w białej sukience komuniantki, w bia-

łym weloniku, fruującym dokoła mnie jak obłok albo jak skrzydła. Jest się

wtenczas bardzo naiwną!... Zdaje się, że idzie do ślubu....

Ślub, to czarowne

słowo!

Urwała nagle i zamykając fortepjan z niezwykłym pośpiechem, rzekła:

— Dość, dość tego! To muzyka uczciwej kobiety! I odwróciła się na taborecie w

stronę Margot, która spoglądała na nią w zdumieniu.

Pan do Ferdys doznawał zawsze uczucia litości, widując Noris.

Znajdował ją prześliczną z temi głębokimi oczyma i tym smutnym uśmiechem,

nadającym jej wyraz poetyczny; nadewszystko jednak — jako znawca kobiet — cenił

w niej dumę i szczerłość uczciwej kobiety.

Markiz często mówił do siebie, że gdyby Noris nie spotkała na swej drodze tego

Chantenay'a, byłaby dziś najszlachetniejszą istotą pod słońcem.

Umysł prawy, szlachetność wyrafinowana, wiele odwagi i na stanowisku metresy wielkiego księcia, który przewróciłby w głowie wszystkim młodym panienkom, zachowująca poczucie godności osobistej, zabarwionej pewną goryczą i wspomnieniami o przeszłości.

Ferdys dostrzegał te zalety w Noris przy każdej sposobności, nawet teraz w tym ruchu, z jakim zamknęła fortepjan po odegraniu symfonii Mendelsohna, jak wieko trumny.

Markiz z flegmą starego paryżanina, przyjmującego wszystko za widowisko teatralne, porównywał wtedy tę bladą Noris ze zdumioną blondyneczką, która pytała się-

bie co mianowicie mogło wywołać takie zdenerwowanie przyjaciółki.

— Ach! To nie Małgorzata! — mówił do siebie Ferdys, nie, to nie Margot, któraby mogła odczuwać te smutki.

I dla tego właśnie Margot przypadła mu do gustu, nie intrygując go i bawiąc bez obudzania namiętności.

Byłby bardzo zdziwiony, gdyby Margot zwierzyła mu się ze swych wizyt na

omentarzu i z gorzkich wspomnień, jakie jej nieraz przychodziły do głowy. Byłby zdziwiony, ale ba! Ferdys wiedział oddawna, że po kobietach można zawsze spodziewać się nadzwyczajności. Wieczór się skończył i Noris uczuła jakby potrzebę zostania samą i marzyć.

Wstała i podając rękę Margot, rzekła:

— Dobrej nocy.

— Odchodzisz pani?

— Odchodzę.

— Filizankę herbaty, przynajmniej, droga przyjaciółko!

— Nie... dziękuję.. Sama nie pojmuję, co mi przyszło do głowy... Czuję, że

jestem nieznośną... Idę ukryć się jak dzieci!

— To ta muzyka — odparła Małgorzata. I mnie to zawsze źle usposabia. A więc nie zostaniesz pani?

— Nie, to może tylko zwyczajny ból głowy. Wpływ powietrza. Dowidzenia wkrótce.

— Idę z panią — rzekł Ferdys... Jeżeli pani pozwoli odwiozę panią w moim powozie.

Małgorzata roześmiała się.

— Ale, ja jestem zazdrosną!

— Zazdrosną?

— Tak, tak, drogi markizie. Masz słabość dla Noris... Nie ja jedna zauważyłam to w Paryżu!

— A no, tem lepiej; dowodzi to bowiem, że nie maskuję swoich uczuć. Wistocie jestem jednym z najzapaleńszych wielbicieli panny Féraud!

— Czy z zasady? — zapytała Noris, zimno mierząc markiza. Zrozumiał całą gorycz tego słowa i odparł z powagą, podając pięknej kobiecie rękę z ruchem pełnym dżentelmeństwa i galanterią — Uwielbiam tylko tych, którzy zasługują na mój szacunek. Zdanie to poruszyło Noris, to też ujęła rękę markiza z pewną gorączkowością:

— Jesteś pan zawsze wyborny i przytomny... Ach, jak słusznie mówią, że pan jesteś ostatnim markizem, drogi Ferdys! Ferdys spochmurniał prawie.

— Za pozwoleniem... Niejestem ostatnim... Mam syna! Noris nic nie odparła. Margot, która patrzyła na nią, spostrzegła, że Noris spoważniała i zbladła nieco na razie.

— Kiedyż się zobaczymy? — zapytała Margot markiza, gdy się z nią żegnał.

— Jutro... Pojutrze!

— Kiedy się tylko panu podoba — odparła ładna

dziewczyna. Ale doprawdy, mój drogi, widujemy się tak rzadko, że mogą nas posądzić, iż pobraliśmy się na seryo!

— Och! — rzekł markiz, śmiejąc się! — Za pozwoleniem. Gdybyśmy byli małżeństwem seryo, nie widziałabyś mnie wcale!

Pocałował z galanterią pulchną rączkę Małgorzaty,
opuszczając swe siwe włosy,
kręcące się i jakby zapudrowane, na jej różowe paznokietki,
poczem, lekki i
zwawy jak młodzieniec, przepuścił przed sobą Noris, włożył
szary płaszcz w
przedpokoju na frak, podczas, gdy młoda kobieta wdziewała
futerko, i wyszli, ale
Noris nie przyjęła ofiarowanego sobie miejsca w powozie, pod
pozorem użycia
ruchu na świeżem powietrzu.
Szli aż do końca długiej ulicy, prawie pustej, tak jakby się
przechadzali po
jakim wykwintnym bulwarze.
Noris wsparta na ramieniu markiza, uczuwała głęboką ufność
dla niego, wdzięczna
za owe słowo "szacunek", które wymówił przed chwilą, z taką
nieudaną
stanowczością.
Odgadywała, że sympatya pana de Ferdys była prawdziwą.
W przygodzie życia, strasznej jak huragan, gdzie runęły jej
nadzieje i wiara,
była pewną, że markiz trzymał jej stronę, nie zaś swego
siostrzeńca.
Ojciec powinien był tak myśleć o niej, jak myślał syn.
I dziwnem jej się zdało, że od samego rana ma do czynienia z
tymi ludźmi: przed
południem konna przejażdżka z synem, w jednej z alei lasku,
wieczorem spacer
ręka w rękę z ojcem po opustoszałej ulicy, gdzie przechodzeń

był nadzwyczaj rzadkim, gdzie latarnie powozu jadącego za nimi, wydawały się jak
dwoje olbrzymich oczu, bacznie ich śledzących.
Przy boku markiza, nie doznawała uczucia tego rozkosznego zadowolenia, tego
odmłodnienia przez pamięć przeszłości, jakie uczuła przy spotkaniu z Rajmundem;
ale to kiedyś, to pachnidło, którym młody człowiek zdawał się być na wskroś
przesiąknięty, to kiedyś, które, na podobieństwo słonego wiatru morza, zachowało
zapach i barwę łez, odnajdywała także przy boku ojca; i wszystkie marzenia i
wszystkie zawody z przed lat pięciu stawały jej znowu przed oczyma; tak, po
dwakroć dzisiaj przeszłość rzucała się w oczy Noris, jak gdyby aleja akacyj,
zazieleniona wiosną i ulica Jouffroy, pogrążona w ciemności, przepełnione były
widmami.
I aż do samego mieszkania mówiła ojcu o tym, którego zobaczyła dzisiejszego
ranka.
To chłopiec bardzo ambitny — markizie. Rajmund przyrzekł przecie, że będzie
oficerem znacznym. Człowiekiem uczciwym!
Uczciwym! Wtedy markiz, żartując z samego siebie porównał własne stanowisko
szczęśliwego światowca z pracowitem i nierozgłośnem życiem Rajmunda. Co za
różnica pomiędzy nim a synem!
Pewnie, że i on przy sposobności miał chwile donośniejsze, jak wszyscy, ale to

tylko wypadkiem, w razie niebezpieczeństwa: — część
bohaterstwa na dwie części
przyjemności. Bił się — prawda. Ale co to wszystko znaczy?
Gdy tymczasem Rajmund?
Całe jego życie, całe życie, poświęcone wyłącznie

szlachetnej pracy. W dwudziestym roku życia już pracownik
dla kraju, młodość,
spędzona na pokładzie okrętu bałwany morskie, grożące mu
wyrwaniem go z pokładu,
podczas gdy ojciec grał sobie w klubie w bakara!
Co za dziwne usposobienie! Markiz uśmiechał się wprawdzie,
ale jakoś osobliwie!
Co najciekawsza — mówił do Noris — że z nas dwóch, nie on
się rozczaruje
pierwszy, ale ja... Zaczynam spostrzegać, że życie w Paryżu
jest okropnie
monotonne, i że w pięćdziesiątym roku życia, jeżeli nie jest
śmiesznością
pokazywać się na sali tańca, to za jakie siedm, ośm lat... eh,
eh... Za ośm lat
wychodzi się na zgrzybiałego starca...
— Pan, panie markizie, do ostatnich dni życia będziesz
najmłodszym w Paryżu.
— Nie lękaj się pani, nie wystawię się na śmieszność...
Pogrzebię się za życia w
dobrach Ferdys, lub gdzieindziej...
— Jak Charles-Quint?
— Choćby nawet. I będę się zdobywał na dobre uczynki
względem włościan, jak on
zajmował się wyrobem zegarów.

— Nie chce mi się wierzyć w te dobre uczynki, odparła wesoło Noris.
Pochlebiały jej jednak te zwierzenia, przekonywające ją raz jeszcze o szacunku,
o którym markiz wspominał!
Zwierzał jej się bardzo naturalnie, jak dusza ufająca przed naturą lojalną.
Nie powiedział połowy z tego Małgorzacie, która przecie obchodziła go bliżej.

Ale ta Noris! Zdawała mu się, że powinien, jakby dla zatarcia wspomnienia o Reném, okazywać jej sympatyę i zaufanie.
Traktował ją jak przyjaciółkę, znajdując zresztą dziwny czar w przyjaźni kobiet,
najpewniejszej przyjaźni, jeżeli nie poprzedza, ani nie następuje po miłości.
I wtedy, dając wolę zwierzeniom, tej nocy wiosennej w dużym mieście, gdzie słychać było głuche odgłosy powozów, których się nie widziało, i oddalony świst lokomotywy, markiz de Ferdys mówiąc o Rajmundzie, z radością wyrażał wszystkie nadzieje, jakie mu syn rokował.
Opisywał jego teraźniejszość pełną chwały, powszechny szacunek, prawość, inteligencję, wykształcenie wyższe od rówieśników, a w przyszłości sławę może, małżeństwa z jaką zacną dziewczyną, godną siebie, prowincjonalistką — mówił

Ferdys z uśmiechem — a potem, potem, zdawanie relacji o
odległych ekspedycjach,
jakemu ogłupiałemu sportsmanowi, i piękne dziatki, które na
kolanach starego
Ferdys będą go bawić wraz z młodą markizą podczas
nieobecności ojca. Żonaty!
Rajmund żonaty!
Ferdys, który znajdował małżeństwo nieznośnym dla siebie,
znajdował je
koniecznym dla syna.
Roił sobie złote zamki, w których dziedzicem był Rajmund, a
dziedziczką młoda i
ładna dziewczyna.
Słuchając tych marzeń, Noris bez zdania sobie sprawy, dla
czego doznawała jakby
ciężaru na piersiach, a w oczach jej łzy się pokazały?.. Ten
dziadek budzący się
fonicznie pod szatą światowca, ten ojciec żądny czułości

wnuków i wypoczęcia przy ogniu na kominku, ileż w tem było
liryzmu.

A może to powiew wiatru wiosennego, który w nocy stawał
się ostrzejszy? Dość, że
czuła w sercu przygnębienie, tęsknotę i niepohamowaną chęć
do płaczu.

Po co Ferdys przyniósł fotografię tej jankeski, i po co
opowiedział historię
Fanny Love, zabijającej się nedorzecznie dla Sableuse'a, tak
jak ona miała
ochotę uczynić w pałacu i gabinecie pana de Chantenay?

I znowu uczuła, że od poranku do wieczora, los jakby chcąc
sobie zrobić
przyjemność jej kosztem, zwracał ją, okrutny, w stronę tej
przeszłości, tej
strasznej, nienawistnej przeszłości.

A na domiar złego, marzenia Ferdys, projekta o Rajmundzie,
nowy smutek i nowa
ironja.

Miała ochotę wyśmiać tę dziwną postać światowca, grającego
rolę patryarchy
pomiędzy wizytą u Małgorzaty Brunier a pojawieniem się na
sali tańca.

Opuścił Noris przy progu jej mieszkania, a gdy zadzwoniła,
pocałował jej rękę i
wsiadł do powozu.

Wtedy weszła do siebie, stąpając powoli, jak gdyby smutek
obciążył jej nogi i
przykuwał je do schodów, wiodących do jej mieszkania.

— Depesza do pani — ozwał się lokaj.

— Ach! — odparła, nie okazując ani zbytniego
zaniepokojenia ani żadnej nadziei.

Nie miała nikogo na świecie, ktoby mógł przysłać jej depeszę
z nowiną, mogącą
wywołać uśmiech na jej ustach, zmusić ją do wzruszenia,
przerażenia lub tym
podobnych wrażeń. Nikogo! Nikogo!

— Gdzie jest depesza? — zapytała panny służącej, wchodząc
do gotowalni,
poprzedzającej ów tajemniczy pokój sypialny, który Gardanne
chciał opisać w

gazetach., iak gdyby tajemnice życia Noris należały do pierwszego lepszego.

Depesza leżała na toalecie, pomiędzy przyrządami toaletowemi, lśniącemi srebrnym połyskiem.

Noris wzięła ją do ręki, siadając przed lustrem pomiędzy zapalonemi kandelabrami.

Przeczytała depeszę, podczas gdy służąca zajęła się rozpinaniem jej koafiury.

Telegram przybywał z daleka, z Kaukazu, gdzie wielki ksiązę Wasyl bawił na rewii.

Treść depeszy była taka, że wielki ksiązę przypominał Noris, iż dzień, w którym

telegrafuje z Tyflisu, jest właśnie rocznicą dnia, w którym miał szczęście

spotkania jej w Nizy, i że oprócz zapewnień swego przywiązania i życzliwości,

przysła jej klejnot nadzwyczaj rzadki, w guście bizantyjskim, który już oddawna

wyekspedyowany dojdzie jej rąk z niniejszą depeszą za pośrednictwem ambasady.

Noris czytała telegram z obojętnością i bez wybuchu zadowolenia, tę depeszę,

której ton trochę zimny, prawie dyplomatyczny, nie miał w sobie nic miłosnego,

ale która przez sam fakt pamiętania o niej, pomimo przestrzeni z Tyflisu do

Paryża, świadczyła o afekcie szczerym a przynajmniej o szacunku, jak mówił

Ferdys — szacunku!

Na marmurowym blacie toalety leżał pakiecik, opieczętowany czerwonym lakiem i dużymi stemplami pieczęci rosyjskich.

Noris otworzyła paczkę, a obejrzawszy krzyż rosyjski, wysadzany drogiemi kamieniami i emaljowany na kolory blado niebieski i jaskrawo-czerwony, otaczające zbolałą i wychudzoną postać Chrystusa, rzekła do siebie:

— Biedny ten wielki książę! Może on jeden najwięcej kocha mnie na świecie! I to dla tego, że ja go nie kocham, a i on nie kocha mnie prawdziwą miłością.

I prawie śmiejąc się, ozwała się głośno, pomimo obecności Sylwiny służącej, która jednak czesząc panią, zapatrzyła się na piękny klejnot, i nie wiele

zważała na jej słowa:

— Prawdą życia jest kazać się kochać, nie kochając siebie samej... — Uważajże

Sylwino, wyrywasz mi włosy!... To boli!....

III.

W sobotę, która nastąpiła po widzeniu się Rajmunda z Noris w lasku Bulońskim, lejtenant Ferdys wszedł do cyrku, nie mając nic lepszego do roboty.

W wilję dnia tego był na przedstawieniu nowej operetki.

Operetka i cyrk, była to częśćka tego Paryża, o której tak wiele rozmawiano

pośród oficerami, tam, na morzach południowych przy westchnieniach: "Ach!

Gdybyśmy

byli na bulwarach! Albo w Variétés!.. A te piosenki Judic!....

A soboty w

cyrku!"

Dla tych wychodźców, najmniejszy szczątek dziennika, odnaleziony tam na końcu

świata, najmniej znacząca nowość przestarzała, sprawozdanie z dawno pogrzebanej

sztuki, były przedmiotem zachwytu i przenosiły ich do Paryża.

Nieraz, Rajmund, trafiwszy, wzruszając ramionami na jaką kronikę wielkoświatową,

pisaną stylem franko-międzynarodowym, nadzwyczaj oryginalnym, czytał:

"W dniu wczorajszym, wiele osób, z shooters-sterling, znajdowało się w Water-

bull-Gun klubie w lasku Bulońskim. Było kilka matchs pomiędzy księciem de

Chantenay, p. Goodson i hrabią del Santo. Przy bull-trapp'ie wielu amatorów z

czystego high-life'u zapisało się do puli handicap.

I ten żargon anglo-francuzki przenosił go wówczas w lata pierwszej młodości,

przypominał mu impertynencką elegancją Renégo, a nade wszystko smutny uśmiech i

załzawione oczy panny Féraud... Noris!..

Od chwili wyjazdu z Francji, Rajmund de Ferdys nie zmienił się prawie.

Prawie że nie żył, albo raczej żył w wyłączności sumienia i namiętności,

przyzwyczajając się w osamotnieniu swej kajuty, sięgać wprost do głębi rzeczy,

pojmować obowiązek w całej jego surowości i nie powodować się nigdy przesadami

życia.

Był to rodzaj filozofa w mundurze, rodzaj żołnierza-samotnika, który na

pierwszym planie w życiu, postawił sobie ojczyznę, potem własną przyszłość i

całą seryę zaga-

dek najzupełniej obojętnych dla ludzi powierzchownych albo sceptyków. Przytem

był surowy, szczery, otwarty i czysty jak złoto.

Rajmund zestawiał w myśli siebie z książkami, które czytał i z temi marynarzami,

z którymi obcował i badał, lubiąc ich za nieświadomość ich codziennego

bohaterstwa i znajdując pewną dozę poezji w ich bezwiednej rezygnacji.

Gdy powołano go do Paryża na posadę, przy boku ministra, Rajmund uczuł nietyle

dumę ile smutek.

Smutno mu było opuszczać tych. pocziwców, śniadych i spalonych jak cegły na

słońcu.

Ukochał to życie na pełnym morzu. Zapach wody słonej
sprawiał na nim rozkoszne
wrażenie.

Ale p. Pradier du Resnel zrobił mu przecie zaszczyt. Zresztą,
w Paryżu, w
biurach ministeryum, młody oficer z nowemi poglądami, mógł
być pożytecznym,
pracując przy boku ministra.

Wreszcie, zobaczy swego ojca, tego markiza, który w swej
wiecznej młodości
cieszył się dotąd pożądanym zdrowiem!

Rajmund zastał Wistocie, tego wykwintnego Ferdys równie
młodym, jakim go
opuścił, z podkreconym wąsem i włosami srebrno-białemi
zawsze w kędziorach i
zawsze sutemi.

Syn się podstarzał, ojciec odmłodził na pozór.
Odmłodził może także cokolwiek przez powrót tego syna,
który wyglądał jak jego
brat młodszy i którego obwoził po Paryżu, dumny, że się
może pokazać z tym
oficerem jak z jaką konkietą i wsparty z uczuciem szczę-

ścia na szamerowanych ramionach admirałskiego adjutanta.
Zdawało się panu de Ferdys, że pozyskał towarzysza
młodszeo, przyjaciela, i że
jego czterdzieści dziewięć lat zamieniały się na lat
dwadzieścia, gdy się
przechadzał ręką w rękę z oficerem.

Powaga Rajmunda dziwiła go po trochu, ale nie mogła mu się
nie podobać.

Przeciwnie, pochlebiało to jego dumie, gdy syn opowiadał o swych wyprawach, o niebezpieczeństwach, o całej tragiczności ekskursyi, nocną porą na Markizach, podczas, gdy tłuszcza Kanaków okrążyła mały oddział ludzi, którym przewodził.

— Sądziłem, że zostanę na placu — mówił Rajmund z uśmiechem. Ale byłem zdecydowany bronić się do upadłego. Żołnierz, który się poddaje, to elegant, który odrzuca pojedynek na lądzie stałym! Zestawiając daty, markiz de Ferdys uczuwał nie lada zaambarasowanie znowu przyznając sobie w duchu, że podczas, gdy Rajmund słuchał świstu kul Kanaków, on inaugurował tego dnia wystawę akwarellistów i kończył wieczór u Małgorzaty Brunier, która wydawała bal. Wtedy spoglądał na energiczną postać Rajmunda, przyciągał młodzieńca do siebie, całował go i mówił doń po cicho, czule, słodko: "Wart jesteś więcej odemnie, mój mały" i czuł się niejako uniewinnionym we własnych oczach, przez tego szlachetnego syna, który nosił jego nazwisko. Widział zalotnice, które córki swoje pokierowały na uczciwe dziewczęta. A więc i on był do nich podobny,

z tą różnicą, że nie miał plamy na swem życiu, uwielbiając zalotnice,

nienawidził uwodzicieli.

Rajmund nie miał bynajmniej zamiaru prawić morałów temu światowcowi, żyjącemu prawie wyłącznie przy świetle gazu.

Uważał za naturalne, że jego ojciec żyje po swojemu, tak jak on znowu miał swoją metodę życia.

Każde stworzenie ludzkie — mówił — powinno postępować tak, jak mu nakazuje własne sumienie. Taką była jego teoria. Jego sumienie wołało doń: obowiązek!

Tem gorzej byłoby, gdyby sumienie markiza de Ferdys nie szeptało mu do ucha wyrazu: kaprys!

Bądź co bądź, faktem jest, że Rajmund uwielbiał ojca i szanował z całej duszy, żałując go z całego serca.

Co się zaś tyczy Renégo de Chantenay, to kuzyn jego, lejtenant de Ferdys nie zajmował się nim wcale. Był to dla niego, bardziej niż kiedykolwiek, motylek

Paryża, fruający, trzepoczący skrzydełkami, nieużyteczny i hałaśliwy. Miał go za takiego jakim był wistocie.

Brzydził się nim do pewnego stopnia za ową przygodę przeszłości i nigdy nie zapomniał o egoistycznych rozmowach młodego księcia.

Obraz Noris przypominał mu je aż nadto dobrze, tembardziej, że Rajmund miał przed oczyma wszędzie szczere wejrzenie i subtelny profil pięknej dziewczyny.

Uczuł radość ogromną, ujrzawszy ją znowu. Zdawało mu się, że Paryż jest

ludniejszym teraz, i że ma w nim jakiś cel życia. To też udał się na ulicę
Jouffroy, przed pałac Noris nie śmiać wejść, a raczej robiąc sobie przyjemność przedłużenia tej niejako irytacji czy póżchtania

duszy, w jakie wprowadziło go spotkanie się z panną Féraud. Przyglądał się, jadąc konno, frontowi z czerwonych cegieł, oknom z żaluzjami, drzwiom zamkniętym, przez które Noris mogła się ukazać, i podobało mu się nie zatrzymywać się wcale, zostawić zamkniętymi te drzwi, jak gdyby raz otwarte, mogłyby w jestestwie jego obudzić coś, czego nie znał dotąd. Udał się jednak do lasku o tej samej porze, jak wtedy, gdy spotkał Noris w alei akacyj. Chętnie wolałby ją spotkać tu, na tej drodze, która nie była mieszkaniem, gdzie miał prawo wchodzić kto inny, chociaż panna Féraud twierdziła, że nie przyjmuje nikogo. Ale Noris nie ukazała się w lasku. Czekala może, ażeby Ferdys przybył do niej. Rajmund nie przeczuwał, że owa sobota, gdy uda się do cyrku, była dniem wybranym przez całą elegancyę dniem samej śmietanki towarzystwa. W sobotę wieczorem, ksiązę René Beaumartel de Chantenay nie omieszkał nigdy ukazać się w cyrku. Był to dzień urzędowy, własność, że tak powiemy, szyku,

dzień etykietalny, jak wtorek w komedyi francuzkiej i środa w teatrze Walhalla.

Rajmund de Ferdys musiał tedy spotkać tam swego kuzyna. René byłby wszystko porzucił, ażeby tylko przybyć na oznaczoną porę, po antrakcie i ukazać swą białą krawatkę przy wejściu do stajen. Lornetował i był lornetowany, stojąc sztywno pod ciosem błyskawic lustrujących go oczu, równie obojętny,

jak ojciec jego stojąc na polu bitwy przy huku armat rosyjskich.

W taki to sposób, kwiat szyku dawał poznać światu, że miał rasę!

Zaledwie wszedł, Rajmund od razu spostrzegł księcia po drugiej stronie areny, w towarzystwie mnóstwa młodzieniaszków prawie gołowąsów, którzy lustrowali Reného od stóp do głów, ażeby go naśladować umiejętnie, później, jak przekalkowani z niego.

Rajmund patrzył. Książę René był w stroju wieczorowym, podług najpierwszej mody, a raczej mody jutrzejszej — mody przyszłorocznej — w ubraniu obcisłym z zaokrąglonemi klapami z atłasowym kołnierzem, w białej kamizelce na cztery guziki, z gorsiem dekolowanym, w trzewikach wązkich i ostro zakończonych, a na głowie w kapeluszu wysokim o szerokich skrzydłach, kapelusza a la prince des

Galles, — słowem w stroju, który chciwie pożerała młodzież,
ażebym być w stanie
naśladować go od stóp do głów z geometryczną ścisłością.
Drobne szczegóły te, uszły wzroku Rajmunda, ale widział
dobrze — lornetując, i
on także kuzyna — sylwetkę, którą René nosił przy guzikach
kamizelki,
pierścienie które miał na palcach, gdy podnosił swą obnażoną
rękę, książkę bowiem
nie nosił teraz rękawiczek, z wyłączeniem tylko poranków do
konnej jazdy albo
wieczorów do przetańczenia z damą jednego walca.
Rajmund słyszał dokoła siebie jak znawcy krytykowali jego
kostium. Znajdowano
właśnie księcia bardzo swell.
Bez łańcuszka na kamizelce, natomiast sylwetka na

czarnej morowej wstążce. Na gorsie koszuli, zamiast jednego
dużego guzika, dwie
małe spineczki z ametystu, albo z rubinu okolonego
brylancikami.
Co za skromność!
Wistocie, nikt, nawet mały hrabicz nie przoduje
Chantenayowi. Co za poprawność u
tego Chantenaya, prawdziwie angielska! Nie masz jak on!
Mówiono już o czapeczce
do kąpiel morskich, którą wynalazł świeżo; kazał ją osobiście
przygotować sobie
w Anglii. Nosić się to będzie tylko w sierpniu na brzegu
morskim.

Ale Chantenay wprowadzi ją w modę już od lipca!
Zobaczycie! Zawsze na czele nas
wszystkich ten prawdziwy Kwiat szyku!
Pomiędzy widzami, zachwyconemi postacią księcia, Rajmund
de Ferdys doznawał
dziwnego uczucia. Irytował się, uczuwając nieraz gorączkową
ochotę oddalenia
się, uniknięcia tych bezmyślników; ale jednak zostawał,
pociągany pomimowoli tym
magnetyzmem, jakie mają w sobie tego rodzaju głupstewka
ludzkie.
Z goryczą niemal pytał się, do jakiego to nowego kraju spadł
ni z tąd, ni z owąd,
po opuszczeniu pokładu okrętowego?
Przypatrywał się zdumionym wzrokiem widowni daleko
baczniej aniżeli sztukom
akrobatów, i badał zaciekawienie codziennych gości cyrku,
którzy go otaczali.
Aficionados stali przy wejściu do areny w białych krawatach,
z trzciniami w ręku
i podczas, gdy przeciągano liny, albo przygotowywano słupy,
posuwali się nieraz,
ażebym lepiej ogarnąć całą widownię.
Rajmund, stojąc w ich tłumie, dawał, jak oni, kilka

kroków naprzód, przysłuchiwał się wyrażeniom, podziwiał
mieszanię nazwisk
wymienianych przy nim, i lornetował piękne damy siedzące w
krzesłach i w łóżach.
Słyszał biografie, tajemnice, wypowiedane głośno, szczegóły
skandaliczne,

popierane śmiechem, a oddalając się potem, zgryziony i nie w humorze, pytał
siebie, czy to rzeczywiście Paryż i ta śmietanka Paryża, o których jego
współtowarzysze na pokładzie Mont-Calmu marzyli z taką zazdrością, o tej samej
porze, tam na morzach chińskich.
Pomimo, że przy świetle kandelabrow, przy masie głów spektatorów, białych
krawatów, czerwonych wachlarzy, cyrk wydawał się, jak gdyby gdzieś tam upadła
kropla dyamentu, Rajmund postanowił opuścić widownię.
Wtem, ktoś szepnął przy nim do sąsiada:
— Patrz, Noris!
— Noris?
Uczuł, jakby trzask jakiś w piersiach, jakby duszność przelotną.
Noris jest w cyrku!
Gdzież ona jest? Porwał lornetę, przyłożył ją do oczu i zaczął szukać w masie
widzów, nie mogąc jej jednak znaleźć.
Ten, kto mówił o Noris, pomylił się pewno.
Ale Rajmund, który przed chwilą chciał opuścić salę, teraz został i starał się
podśledzić jaką wskazówkę w chaosie zdań, wypowiedzianych dokoła niego przy stukach
ustawianych trapezów.
Nawał zdań urywanych i niejasnych zmusił go do zwrócenia bacniejszej uwagi na
ten cyrk, pełen ludzi.
Młodzież mówiła o Noris, o księciu, o wielkim księ-

ciu i do tych wszystkich imion, które raniły w serce
Rajmunda, dodawała imię

kobiety, o której słyszał między innymi takie zdania:

— Ona szaleje za Chantenay'em, literalnie szaleje.

Rajmund nadstawił ucha.

— Ależ mów ciszej.

— Ach, to nie jest wcale tajemnicą. Mówią nawet, że księżę
się z nią ożeni.

— Co, co? Chantenay zagwożdżony?

— Kwiat szpicu u pana mera?

— Don Juan żonaty?

— Tak, tak! Płaczcie buduary!

Ferdys słyszał doskonale imię kobiety.

Hrabina de Montépreux. Jacqueline de Montépreux. Nazwisko
magnatki Francji,

mięszane z przezwiskami kokotek, o dwa kroki od stajni, w
ustach oniemal kłownów

cyrkowych!

Rajmund widywał ją dawniej jeszcze, gdy była panną, zastał
ją raz nawet na

wizycie u księżny de Chantenay z panią de Wertenheim, z
domu de Langrenon, jej

matką.

Zachował o niej pewne wrażenie przelotne, ale sympatyczne.

Ta wysoka austriaczka, ale francuzka przez matkę, blondyna,
szczupła, wydawała

mu się wówczas niewiniątkiem.

Dziś spotyka ją, pannę de Wertenheim, siedzącą w łoży
cyrkowej, obok wicehrabiny

de Blignak, wdowy, jak ona, kędzierzawej blondyneczki, którą
nazywano "niewierną

suczka."

Obie damy zmieniły właśnie przed chwilą miejsca,

czując się być za blisko koni, a pani de Montépreuz ukazała przepyszną toaletę z czerwonego aksamitu na tle białym, zdjąwszy z siebie wspaniałe paletot, aksamitny, koloru starego złota, osypany żółtym piaskiem, z areny przez kopyta galopujących koni.

Teraz, Jacqueline de Montépreux ze swą imponującą postawą, o jasno-blond włosach, lśniących złotawym połyskiem, z głową sztywno osadzoną na pięknej szyi, wodziła obojętnym wzrokiem po cyrku, lornetowana przez wszystkich z zachwytem podziwu.

Nie była wcale pomieszana.

Można było z całą swobodą podziwiać jej piękność i nie znajdować zarzutu. Świetne ramiona, których zaokrąglenie ukazał teraz spuszczone do połowy paletot, talia i płeć zachwycające, a nade wszystko biust, obnażony o tyle, że można było domyśleć się piersi pełnych krwi przezroczystej, zabarwiającej delikatne żyłeczki....

W stroju amarantowo białym, z tą koroną złotawych włosów, z tem pobudzającym wydekoltowaniem, nadzwyczaj przypominała płótno, na którym przedstawił ją malarz pod postacią Dyany z gwiazdą we włosach.

Dwa brylanty, jak dwie krople wody na żywym kwiecie,
błyszczały w uszach tej
młodej kobiety, wyniosłej jak bogini, o czarnych
oczach. Żadnych innych klejnotów
nie miała, oprócz blasku młodości i ciała.
Rajmund słyszał nieustannie dokoła siebie zawistne szepty i
złośliwe docinki, w
których bohaterem zjawiał się René.

Młodzież chórem zazdrościła Chantenayowi i sypała moc
nieskończonych żartów przy
wymawianiu nazwiska de Montépreux.
Biedny hrabia, dobrze zrobił, że umarł! Chantenay ma
wszelkie szanse być
ubóstwianym i to rzetelnie ubóstwianym przez istotę, tak
czarującą, jak
hrabina!...

— Co najdziwniejsza — dodał ktoś z boku — że pani de
Montépreux lornetuje w tej
chwili Noris.

— Co znowu, Noris? — zapytał drugi. — Gdzie ją pan
widzisz?

— Tam, nieopodal orkiestry!

— Widzę, widzę!

Rajmund, idąc za wskazówką, daną przez jednego młodzieńca
w białym krawacie
drugiemu, odnalazł także Noris w tym tłumie, patrzył na nią
długo, poznawszy tę
piękną bladą postać, te usta nieco ironiczne, to myślące
spojrzenie, głęboko

smutne i pełne przyćmionych błysków, których nie mógł
nigdy, nigdy zapomnieć!
Noris ubraną była w toalecie ciemnej, o tyle poprawnej, o ile
toaleta pani de
Montépreux mogła była wydawać się ekscentryczną, i od
czasu do czasu, lubo
bardzo rzadko, zwracała się do ładnej blondynki, która
nachylała się ku niej i
wybuchala śmiechem, pomimo, że twarz panny Féraud ani
drgnęła.
Rajmund słyszał, jak ładną blondynkę nazwano Małgorzatą
Brunier.
— Margot — ozwał się jakiś młodzieniec.
Imię to wydało się Rajmundowi krzywdzącem. Nie mógł
strawić, ażeby w ten sposób
zestawiano jakąś Margot z imieniem Noris.

Dziwnie mu jakoś przykro było przez cały wieczór w cyrku.
Zdawało mu się, że
brakło powietrza. Ten chaos, ta mieszanina wielkich dam i
pospolitych dziewcząt
odpychała go.
Mniej się dziwił ze spotkania w tym tłumie Jacqueliney de
Montépreux, aniżeli
Noris. Wszystko go drażniło i gniewało. Po co tu przyszedł?
Tegoby tylko jeszcze brakowało, ażeby spotkał tu ojca z
wstążeczką na surducie,
ofiarującego ramię Małgorzacie Brunier!
Margot, metresa markiza de Ferdys! Noris, metresa wielkiego
księcia! Jacquelinea
de Montépreux, metresa księcia de Chantenay!

We wszystkich zakątkach tego cyrku można było pewnie
napotkać tego rodzaju pary
i miłości tak krzyczące!...
Rajmund obruszył się ze wstrętem.
Doznawał uczucia, jak po nocy bezsennej.... Był rozdrażniony,
rozgorączkowany.
Zapragnął znowu osamotnienia, obowiązków, wyjazdu na
okręcie daleko, daleko!...
A tu, skoczna, wesoła, ironiczna muzyka kadryła,
towarzysząca łamańcom jakiegoś
akrobata, policzkowała coraz dotkliwiej jego smutek, czego
nie robiły nawet
burzliwe bałwany morza.
— Idźmy już! — rzekł do siebie półgłosem.
I wyszedł. W korytarzu zaczął szukać służby, której powierzył
swą wierzchnią
odzież.
Błądząc dokoła, nagle zetknął się przy wejściu do stajen ze
swym kuzynem René,
który w otoczeniu kilku

młodzieniaszków, asystował hrabinie de Montépreux i
podawał jej ramię dla
odprowadzenia do powozu.
Hrabina, w tym niemiłym powietrzu, przesiąkniętem wonią
stajenną i kurzem,
śmiała się szczerze, widząc, że młodzież popycha ją bez
opamiętania, i czarująco
wdychała dym cygar, w niebieskich obłoczkach unoszący się
ponad głowami.

Bawiła się tą masą białych krawatów, tym high-life`em,
kołami z bibułki i
przyrządami cyrkowemi, leżącemi w kącie, i klownem, który
przechodził w szarym
paltocie na pstrym kostiumie; miała ochotę wyjąć z misternie
inkrutowanej
papierośnicy cygaretkę khedywa i poprosić ognia u którego z
tych dżentelmanów,
klubmenów paryzkich, horsemenów angielskich, albo
rastakuerów hiszpańsko-
amerykańskich, którzy deptali się po nogach, tłocząc się w
sali, przeznaczonej
do palenia.
Jacqueline de Montépreux podnosiła swą piękną głowę,
roztwierała nozdrza, czuła
się szczęśliwą, upojoną, przy boku tego pięknego chłopca,
któremu zazdrozczono
i którego podziwiano — prawie niższego wzrostem od siebie,
a którego uwielbiała,
gotowa całemu światu spowiadać się ze swej miłości.
Doznawała uczucia dziwnej radości, że mogła się z nim
afiszować, z nim, z tym
królem mody, że mogła pokazać światu, że należy do niego, a
raczej, że on do
niej należy, że jest jej posłusznym, uprzedzającym w
najdrobniejsze życzenie tej
pięknej i imponującej wietrznicy.
Gdy spostrzegła Rajmunda, którego doskonale poznała,
wypadało, ażeby René
przedstawił go jej znowu, tem-

bardziej, że nawet wobec kuzyna księcia pragnęła ujawnić stosunek, jaki ją łączył z Chantenay'em.

— Zmieniłam się, od chwili naszego ostatniego widzenia, nieprawdaż, panie de Ferdys?

Była gotową spowiadać się wszystkim i każdemu, głosić całemu światu, że bez żalu rzuciła swą hrabiowską koronę daleko, po za wiatraki. Po chwili, wysliznęła swą rączkę z ramienia Reného i poprosiła Rajmunda, ażeby ją odprowadził do miejsca.

— Pragnę i pana skompromitować! — rzekła.

René szczerze się ubawił z pewnego zaambarasowania kuzyna.

Ten purytanin spacerował teraz w oczach całego Paryża z najpiękniejszą kobietą w stolicy świata.

I książę stanął teraz przy wejściu na widownię, ażeby widzieć z daleka, jaką też minę będzie miał Ferdys, odprowadzając Jacqueline do miejsca.

Nastawiał swą lornertę, gdy w tem, tak jak Rajmund przed chwilą, usłyszał wypowiedziane po za sobą imię Noris.

Odwrócił się, zapominając o pani de Montépreux i o Ferdys i spojrzał w stronę, w którą wskazywał sąsiad.

O dziewięć kroków od niego, idąc z Małgorzatą Brunier, Noris — podziwiana i przed którą się usuwano — wchodziła właśnie do tej samej stajni, z której wyszła hrabina.

W toalecie ciemnej, z pęczkiem białych róż na piersiach,
wydała się wcale piękną
Renému.

Noris! Była tu, tak blisko niego, ta Noris, która kiedyś, kiedyś,
kochała go
przynajmniej tak, jak dziś kocha go może hrabina de
Montépreux!

To zabawne, ale to go wzruszy cokolwiek.
Powziął zamiar przybliżenia się, przypatrzenia się iei zblizka...
porozmawiania
z nią nawet...

Szepty dokoła niej wzrastały, słyszał ten szmer wysokiego
podziwu, jaki zwykła
obudzać piękna kobieta, a który jest wyznaniem miłości
nieujawnionej, szmer,
który przed chwilą dochodził uszu Jacquelines de
Montépreux...

Noris! Tyle wspomnień budziło to imię w myślach Reného!
Pan de Chantenay od pięciu lat nie rozmawiał z Noris.
Wiedział, że istnieje i jak istnieje, ale nie zajmował się nią
wcale.

Słyszał nieraz jej imię wymawiane w klubach, albo cytowane
w dziennikach, ale
niewiele zwracał uwagi na tę lub ową z zapomnianych
kochanek; gdy mówiono o
niej, miewał nieraz pod swym małym wąsikiem szczęśliwy
uśmiech pewnego rodzaju
dumy i zadowolenia, jak gdyby wachał resztkę perfum na dnie
próżnego flakonu!

Jednak, powtórzenie tego imienia Noris, kończyło się na obudzeniu jego ciekawości i nieraz miewał ochotę odnaleźć tę, o którą wilki d'Yseux, w Jachting-klubie, zapytywał go:
— Czy pan ją zawsze widuje?
Spotykał ją niekiedy, ale rzadko. Ale nigdy, tak jak dziś nie spotkał jej tak blisko.
Ujrzawszy ją, uczuł jakoby pożądliwość, śledził ją oczyma, przyglądał się jej czarnym włosom i tej szyi, którą kiedyś okrywał pocałunkami!...

I zdało mu się, że widzi po raz pierwszy zachwycającą istotę, która zdumiewała go i porywała zarazem; następnie, uczuł satysfakcją, przyznania sobie, iż ta kobieta wykwinтна, podziwiana, kochała go jednak, kochała prawdziwie, i że gdyby chciał...

Manewrował tak, ażeby znaleźć się oko w oko z nią, i gdy ona wychodząc ze stajen, on zaś idąc naprzeciw, zeszli się, powitał ją tym mechanicznym ukłonem, który nazywano dżentelmeńskim i który naśladowano. Ale po chwili żałował, że się zbliżył pierwszy do tej, i którą kiedyś nazywał "panną Feraud".
Uczucie mimowolne, które go popchnęło — trochę przesytu, pewna radość i chęć

sprawdzenia, o ile jeszcze tkwił w pamięci młodej kobiety,
zmieniło się nagle w
pewne zażenowanie.

Ona spojrzała nań wzrokiem tak spokojnym, pełnym tak
słodkiego chłodu, że pytał
siebie, czy to nie przymus, nie udanie ze strony Noris?
Chciał wiedzieć, jak gdyby zapragnął spojrzeć na dno stojącej
wody, czy kwiat,
rzucony tam niegdyś, tkwi dotąd na tem samym miejscu.
Była to ciekawość dzika, nie dająca się pohamować.
Patrzył w te piękne czarne oczy, ongi pełne szczęśliwych
błysków; spoglądał na
te usta dziś ironiczne, które się uśmiechały do niego, na tę
twarz obojętną,
która pod pocałunkami rumieniła się i bladła dawniej.
Wydało mu się ironją i niesprawiedliwością, że ta piękność,
która należała doń
kiedyś, dziś mu jest obcą prawie.
Nie podobało mu się, gniewało go nawet po trochu,

że ta czarująca istota, spogląda nań z taką doskonałą
obojętnością, bez drżenia,
bez gniewu, bez wymówki, nie zadając sobie nawet trudu
zbadania, co on myślał o
niej.

To jednak śmieszne! Krępowała go ta kobieta, której tył
panem bezwzględny, i
wymawiał sobie, jak głupotę jaką, że ją powitał, że jej się
ukłonił, że się
zatrzymał na tym korytarzu cyrkowym, że dotąd tam stoi!

Czuł, że się na nich patrzą, że ich studyują, ją i jego, że szepczą ich imiona i że znają ich historię.

I ona, ona także zatrzymała się przed nim na chwilę, na bardzo krótką chwilę, i odeszła obojętna, jakby żadnych wspomnień nie budziła w niej jego postać, nie odskłoniwszy się nawet na ukłon księcia.

Dopiero, spostrzegłszy Rajmunda, który powracał, po odprowadzeniu pani de

Montepreux, wyciągnęła doń rękę i rzekła wesoło:

— Ach, pan de Ferdys!.. Więc to aż tutaj trzeba pana szukać?

Zdaje mi się, żeś

pan przyrzekł być u mnie?

I podczas gdy Rajmund się tłumaczył, a René, dotknięty do żywego, z

przygryzionym trochę wąsem, zbliżył się, Noris, wskazując na księcia, rzekła do

Rajmunda:

— Przepraszam, może mi pan przedstawi tego pana!

René zbladł nieco.

— Przedstawić, mnie? — rzekł, siląc się na uśmiech.

Sądziłem, że pani znasz

doskonale księcia de Chantenay.

Noris zdawała się szukać we wspomnieniach, poczem odparła podniesionym głosem:

Wistocie dużo słyszałam o pewnym księciu de Chantenay. Był to zacny człowiek.

Płacił długi i dotrzymywał słowa. Umarł w Krymie, jeżeli się nie mylę.

Wobec takiej impertynencji, popartej uśmiechem pełnym pogardy, René uczuł się draśniętym bardziej niż obelgą. Wolałby hardość jakiego żokeja, którego mógłby zbić kijem, albo widza, którego mógłby zgładzić ciosem szpady. Stał w miejscu wpijając coraz głębiej swą laseczkę w żółty piasek, podczas, gdy Noris, w towarzystwie Małgorzaty Brunier, oddalała się, wyniosła jak królowa, wobec szeptów wywołanych skandalem i przeciągłych szmerów poklasku. Muzyka w cyrku grała; a kłowni rozśmieszali audytoryum. René, stojąc ponury obok Rajmunda był rozwścieczony i pytał siebie, czy to nie z niego śmiała się publiczność. Spostrzegł w jednej z grup Gardanne'a reportera, który śmiejąc się także, notował coś w pugilaresie. Książę nie namyślał się. Udał się wprost do młodego człowieka i rzekł mu szorstko: — Czy pan notujesz impertynencję, wyrządzoną mi przez pannę Féraud? — Dlaczego się pan pyta? — zapytał reporter, patrząc nań obojętnie. — Dlatego, że gdybyś pan miał nieszczęście wzmiankować o tem w dziennikach, rozplątałbym pana na dwoje! — Tak? a więc dowiedz się pan — odparł reporter — że się wahałem. Gdy jednak pan wywołujesz... Na cóż się

bić będziemy... na szpady czy pistolety? — dorzucił Gardanne z uśmiechem.

Książe uniósł laskę z gałką okrągłą i zamierzył się na dziennikarza.

Rajmund chwycił go za ramię.

— René, oszalałeś?

— Daj mi pokój!

— Co ci jest! Nie poznaję cię — rzekł Ferdys, wprowadzając kuzyna.

Dokoła nich, śmiano się, docinkowano, złorzeczono, podrywano, a Gardanne, zirytowany i zachwycony zarazem takim skandalem, rozprawiał w jakiejś grupie, podczas, gdy Rajmund opuszczał cyrk wraz z Reném. Padał deszcz.

Służba i ulicznicy przybiegli do nich, a podczas, gdy René, zmarszczony i niezadowolony z wieczoru, zirytowany krzywdą wyrządzoną sobie przez Noris i tą mimowolną gwałtownością, która go posunęła aż do czynnego wystąpienia przeciwko

Gardanne'owi, stał w przedsionku, słychać było w krzyżowaniu się powozów, przy świetle latarni jaskrawo połyskujących, pod kroplami ciepłego wiosennego

deszczu, wołania, które dla Reného zdawały się być ironicznymi, a smutnymi dla Rajmunda de Ferdys.

— Powóz pani de Beragues... Kareta panny Féraud, Wolant z ulicy Jouffroy.. Powóz pana hrabiego Nidia!... Powóz księcia de Chantenay!

I wszystkie te powozy, unosząc szczęśliwe pary, albo osamotnione smutki, turkotały, znikały w czarnych alejach i zacierały się na Polach Elizejskich, jak światło gwiazd spadających.

IV.

Przygoda księcia de Chantenay obiegła dzienniki tak prędko, jak gdyby stanowiła doniosły wypadek polityczny.

Kwiat szyku był zanadto głośnym, ażeby nie skorzystano z okazji: znowu zamieszczono w kronikach jego portret, tylokrotnie już opisywany.

Gardanne sam, pod pseudonimem, opisał pojedynek, który wkrótce potem nastąpił.

Książę drasnął go zlekka w prawy bok, a pomimo wizyt Rajmunda de Ferdys, który prosił o dyskrecję, kronikarze nie omieszkali zamieścić początkowych liter nazwiska osób działających.

Niektórzy z nich znaleźli nawet sposobność zrobienia kilku aluzji, dotyczących przeszłości Noris i jej pierwszych miłostek.

Było to jakby hasłem opinii: książę nie mógł otworzyć jakiegokolwiek pisma, ażeby nie wyczytać swego nazwiska lub nazwiska Noris. Takie zestawienie nazwisk wydawało mu się nawet dość dziwnem. Sylabizował te pięć liter: Noris, pełen refleksyi i wspomnień.

Od chwili, w której się znalazł oko w oko z tą młodą kobietą,
pytał siebie, czy
sympatya, jaką miał dla niej kiedyś, zamarła na zawsze.
Dziwiło go to
wydoskonalenie się, to znakomite podniecanie się piękności
Noris.

Dotychczas jeszcze, jak promienie słoneczne, raził go blask
tych dwojga czarnych
oczu, zimno skierowanych ku niemu.
Osobliwa istota! A ładna! Ładniejsza niż kiedykolwiek!
Ten chłód nawet, którego dawniej nie miała, podsycił jej
wdzięki.
René, przejęty do żywego, zdumiony, zapytał siebie, czy to
wistocie ta sama
kobieta. Może nie mógł odgadnąć w niej takiej metamorfozy.
Gdy wspominał o niej, stała przed nim z tą groźbą, jaką w niej
dostrzegł przy
ostatnim spotkaniu.
Była wistocie godną pożądania i piękną, ale te pięć lat
samotności i zbytku,
zamieniły córkę Eugenjusza Féraud na wielką damę światową,
wyniosłą i w niczem
nie podobną do kobiet, które codziennie uśmiechały się do
Chantenay'a, a przez
swą obojętność imponowała jemu nawet. To go gniewało...
Gniewało? Za co się gniewać?.. René był podrażniony, że
kobieta, którą kochał
nie zachowywała o nim wspomnienia zachwyty.
Jego próżność drażnięta, publicznie opoliczkowana, chciała
pokazać Noris, że nie

łatwo jest pozbyć się myśli o Chantenay'u. Była jego metresa,
była nią na całe
życie, a chociaż zapomniała o tem, albo chciała zapomnieć,
było. jest i będzie
metresą księcia Renégo.
Zresztą, z jego strony, było to wielką łaską, że się nią
zajmował.
Bo i cóż go obchodziła Noris? I cóż, że gazety powtarzają
jakaś cyrkową
anegdotę?

On śmieje się z Noris. On kocha panią de Montépreux, a pani
de Montépreux kocha
jego.
Miłość własna powinna być obojętną zarówno na zemstę
jakiejś kobiety, jak i na
drwiny jakiegoś reportera, którego skarcił.
I książkę René robił wszystko co mógł, ażeby zapomnieć tę
Noris, która w ten
sposób, prawie brutalnie, wtargnęła do jego życia.
Jacquelina de Montepreux nie zostawiała pana de Chantenay
jego rozpamiętywaniom.
Czuwała nad nim z oddaniem kobiety zazdrosnej.
W czasie pojedynku z Gardannem znajdowała się nieopodal w
karecie, w której
uwiozła Renégo zwycięzcę, okrywając go łzami, ściskając go
w swoich objęciach,
łkając nerwowo, co bardzo pochlebiało kwiatowi szyku,
choć, prawdę mówiąc,
nudziło go też po trochu.

Hrabina w istocie szalała za Chantenay'em. Ryzykowała
wszystkiem, ażeby tylko
pokazać się z nim publicznie, ażeby poszczycić się swoim
księciem, jak łupem
Mówiła do tych, którzy pragnęli ją słuchać, że to jej pierwsza,
jej wyłączna
miłość.

A hrabia?... Ach Boże, biedny hrabia!
Jacqueline de Wertenheim — zgodnie z opowieścią
Gardanne'a — wyszła za męża, sama
nie wiedząc dla czego, a raczej wydano ją, za ledwie wróciła z
klasztora, za pana
de Montépreux, który będąc bogatym, zakochał się w tej
pięknej dziewczynie jak w
metresie, woził ją wszędzie, pokazywał i szczycił się nią z
całą próżnością
człowieka szczęśliwego i głębokim zadowoleniem.
Widziano ich wszędzie i wszędzie hrabina miażdżyła

rywalki swą nieposzlakowaną, wzorową pięknoscią., której
twarze pospolite nie
mogły jej przebaczyć.
Hrabia był zachwycony. Pochlebiali mu szepty, towarzyszące
Jacquelinie, jak
podczas przypływu morza.
W małżeństwie widział tylko to jedno zadowolenie próżności
fizycznej, a
narodziny dziecka stanęły na zawadzie, jemu, mężowi, jak
macierzyństwo stanęłoby
na zawadzie kokotce.
Wistocie, stracił zimę.

W ciągu całej zimy musiał być pozbawiony tych tryumfów miłości własnej. To było nie do zniesienia. Zaledwie przetrwał do sezonu letniego. W sezonie widziano tylko hrabiego z hrabiną w całej Normandyi i Bretanii. Na wyścigach w Trouville, na regatach w Dinard, piękność Jacquelines i rozpromienienie hrabiego de Montépreux zrobiły nielada sensację. Podczas tych prezentowań piękności i wybryków hrabiowskich, dziecko żyło w pałacu de Montépreux w Paryżu, a guwernantka zdawała codziennie hrabinie sprawę o mamce i dziecku za pośrednictwem telegrafu. To wystarczało dla Jacquelines. Jej miłość matczyna była zupełnie zadowolona temi codziennymi depeuszami. Pośród tej egzystencji wiecznego popisu i nieustannego ruchu, olbrzymia próżnia smuciła Jacquelinę. Nie miała ona ani czasu być żoną, ani czasu być matką. Spędzała życie na przymierzaniu sukien, a wieczory na ich prezentowaniu. Z rąk szwaczki czy fryzyera przechodziła do rąk tancerzy.

Dnie wydawały jej się zbyt długie, a noce, spędzane aż do świtu na balach, przemijały jak błyskawice. Nie należała do siebie, należała raczej do świata, do ludzi obojętnych. Na męża

nie zwracała prawie uwagi, nie zestawiała nigdy jego życia ze swoim.

Jedyne chwile poufnej pogawędki spędzali razem, siedząc w karecie, która wiozła ich zawsze spóźnionych, na wieczór proszony, albo na bal, a i wtedy, przedmiotem rozmowy były fałdy sukni Jacquelines albo rozwinięty lok jej włosów.

Z balu wracali milczący, zdenerwowani albo zmęczeni, oboje wsparci o

przeciwnie poduszki powozu, nawpół śpiący, z głowami ociążałymi i pełnymi widziadeł.

Co się tyczy dziecka, to przynoszono je w powijaku, różowe w tych białych

koronkach jak duży bukiet w rozetce z papieru, do matki, która je całowała,

znajdowała je ładnym i odsyłała do mamki, nie mając czasu myśleć o niem.

I tak wiele było z jej strony, że powiła dziecko zdrowe, z różową krwią,

przebijającą się przez żyłki białego ciała.

Jacqueline i hrabia de Montépreux, w tej ciągłej pielgrzymce gorączkowej, byli

towarzyszami, których spotykano wszędzie razem, ale którzy nie stanowili jednej

istoty — czy to przez jednakowe nadzieje, czy przez przyszłość ich dziecka —

jaką stanowić powinni kochający się małżonkowie.

I stopniowo, hrabinę zaczęła kępować obecność męża, który z każdą chwilą stawał

się coraz zazdrośniejszym i prześladował ją na każdym kroku.

Zaczęła uczuwać pomimowoli pewien odcień znudzenia,
który był może pragnieniem
miłości słodszej i stosunków bardziej poufnych.
Sukcesy na balach nie wystarczały już dla niej. Nie miała już
potrzeby, jak przy
opuszczeniu klasztoru, czytać w oczach ludzkich, czy była
zachwycająco piękna?
Dziś mówiło jej to zwierciadło. Byłaby szczęśliwą i upojoną,
gdyby jej kto
powiedział o tem po cichu, szeptem.
Tajemnicze wyznanie byłoby ją upoiło bardziej, aniżeli to
publiczne
konstatowanie jej piękności przez mężczyzn w czarnych
strojach i kobiety
zawistnie i gorączkowo poruszające wachlarzami.
Komplement, ubrany w sukienkę tajemniczego wyznania
byłby ją bezwątpienia
oczarował.
Takie właśnie półwyznanie, takie oświadczenia w półcieniu
małego salonu, takie
"pani jesteś zachwycającą", które obudza dreszcz, podnieca
żądze i wiedzie
kobietę nad przepaść upadku, takie wyznanie miał szepnąć do
różowego uszka
Jacqueliney księżę de Chantenay w czasie walca i powtórzyć
go podczas ożywionej
rozmowy przy wieczerzy.
Wistocie, wiedziony instynktem wytrawnego pochłaniacza
serc kobiecych, księżę
René zjawił się właśnie w chwili kryzysu, nudy, "próżni w
duszy" kiedyś,

rozgorączkowania dziś, w tym psychologicznym momencie
omdlenia bez przyczyny i
upadku bez powodów.

Hrabia de Montépreux żył jeszcze, gdy Jacqueline pocieszyła
się nową
namiętnością.

Nie trapiły ją żadne wyrzuty i sądziła, że Chantenay pierwszy
obudził w niej
miłość.

Kochała tego, którego mogła kochać i była zdania, że wcale
nie oszukuje swego
towarzysza podróży, którego los postawił na jej drodze i za
którego poszła za
mąż nie wiedzieć po co.

Kochała tak głęboko, że nie spostrzegła nawet pewnego
oziębienia ze strony

Renégo w chwili, gdy po krótkiej chorobie hrabiego de
Montépreux, została wdową.

Przejęta namiętnością, kochająca jak prawdziwa córka Tokaju,
nie przypuszczała,

że nowe jej położenie może zaniepokoić pana de Chantanay.

Wdowieństwo, dawszy większą wolność Jacquelinie, zrobiło z
tej metresy, wcale

zajmującej, istotę możliwą na żonę.

I rzecz dziwna, René pomyślał o tem w tej chwili i po
pierwszym ruchu obawy,

instynktownie odpychając małżeństwo jak abdykację, rzekł
do siebie w zamyśleniu:

— Zresztą, dlaczegożby nie?..

Dlaczegożby nie, w istocie?... Jacqueline była czarującą.
"Najpiękniejszą z
kobiet w Paryżu" jak mówił, w swym naiwnym zachwycie,
nieboszczyk hrabia de
Montépreux.
Bogata, szalejąca za Renem, wesoła, rozumna, pełna tego
bulwarowego i
buduarowego rozumku, który tak przypadła do gustu
Chantenayowi, a którego
napewno nie spotkałby w żadnej z tych młodziutkich
pensyonarek, jaką mu matka za
żonę wyznaczy; doprawdy, dlaczego nie miałby poślubić pani
de Montépreux, skoro
czy prędzej czy później "trzeba to głupstwo zrobić"?

Nigdy nie znajdzie istoty piękniejszej, istoty mającej więcej
sprytu czysto
paryzkiego, więcej tych czarujących wyskoków i tego
porywającego wdzięku.

Co go zachwycało najbardziej, to to, że przy postawie
królowej Jacqueline
miewała skłonności kokotki; bawiła go ta hrabina z susami
aktoreczki!

Taka kobieta, żywa, rozumna, dowcipna, wesoła, kapryśna,
mówiąca o wszystkim,
ryzykująca wszystko, śmiejąca się, płacząca, nigdy nie
jednakowa, nie mogła
przecie zbrzydnąć Chantenayowi.

Nigdy. To pewna.

I korzystając z jedynej okazji poślubienia istoty tak idealnej,
najrozkoszniejszej ze wszystkich metres, rzekł do siebie:

— A więc tak, będzie moją żoną!

Powiedział Jacquelinie, że zostanie księżną, że zaraz po skończeniu żałoby poślubi ją.

Wtedy ona roześmiała się serdecznie i czarownie piękna w sukni żałobnej, podniecającej jeszcze wrodzone jej wdzięki, rzekła:

— Księżną! I po co? Kochasz mnie?

— Ubóstwiam!

— A więc, cóż nas reszta obchodzi? O rękę prosi się tylko wtenczas, gdy serce milczy. Masz mnie całą! Kochajmy się!

Nie doznawała jeszcze naówczas uczucia, które miało w niej powstać z czasem:

potrzeby zachowania, utrzymania wyłącznie dla siebie Renégo de Chantenay.

I to życie we dwoje, występne w oczach świata, święte w oczach Jacqueliny, która z całą wiarą i zaparciem się

siebie afiszowała je przy każdej zdarzonej sposobności trwało dość długo, a

miłość Chantenaya nie zmniejszała się wcale i pani de Montépreux nie zamarzyła

nawet nigdy, ażeby przypomnieć księciu jego własne słowa:

— Czy pani chcesz

być... księżną? Spotkanie Noris w korytarzu cyrku, starcie, które się skończyło

zranieniem Gardanne'a, hałas dokoła księcia i jego nazwiska, zestawionego z

nazwiskiem panny Féraud, co psuło humor Renému, wszystko to musiało także zmienić usposobienie Jacquelines.
Hrabina nie była wcale zazdrosną, a jednak stopniowo zaczęła uczuć zazdrość.
Wiedziała doskonale, że René kochał Noris.
Ten romansik, jeden z tych tysiąca trzech romansów, których paryzki Donżuanik był kiedyś bohaterem, zrazu bardzo dobrze usposobił panią de Montépreux.
Wydało jej się zabawnym, że była kochaną przez człowieka, dla którego jedna z najpiękniejszych dziewcząt swojego czasu, chciała się życia pozbawić.
Zresztą, poprawna nieczułość księcia nie zmieniła się wcale: wspomnienie Noris było mu najzupełniej obojętnym.
Tak, obojętnym kiedyś, to pewna. Ale dziś... Jacqueline dostrzegła, iż rzeczy przybrały inną postać.
Księżę marzył teraz o tej Noris. Dlaczego? Ach, dlaczego!... Wytłomaczyć fantazję, czy podobna?
Zaczęto znowu mówić o Noris w dziennikach. Sama nawet Jacqueline, z niezręcznością właściwą wszystkim zazdrosnym, mówiła zbyt wiele o niej Renému, już to, ażeby go podrażnić, już to, ażeby go wybadać.

Księżę, z każdą chwilą czuł się bardziej przejęty tem wspomnieniem, coraz

częściej obraz Noris stawał mu przed oczyma.
To podniecenie, jakie zwykł powodować rozgłos publiczny, te
ciągłe docinki w
pismach, ta poczytność drukowanego słowa, zrodziły w panu
de Chantenay dziwne
uczucie: zaczął się przymuszać, sam nie wiedział dlaczego,
ażeby tylko nie
pragnąć ponownego zobaczenia Noris.
Ta piękna kobieta, po dwakroć plwająca mu w oczy pogardą,
drażniła go, jak
przeciwnik, nad którym chciałby zapanować w pojedynku, jak
koń, którego chciałby
poskromić.
Każda trudność jątrzyła tego młodzieńca.
W jego fantazyi — nie mogącej zdobyć się na szczere uczucie
— szczerłość uczucia
— frazes śmieszny i stary jak świat — stawało teraz widmo
wzgardzonej. A na
domiar wszystkiego, Jacquelina przybyła właśnie, ażeby
pomimo woli zbudzić
uśpioną żądzę!
— Ach, widziałam tę pańską Noris... Na operze... wczoraj...
Wcale nie brzydka...
Wcale na swoim miejscu!... Kazałam ją nawet prosić przez
hrabiczka de Martan o
adres jej magazynierki.
— Jacquelino!
— Cóż wielkiego! — odparła hrabina Renému, który chciał
się niby gniewać — to ci
się nie powinno nie podobać, że spostrzegłam, iż panna
Féraud ma dużo gustu,
bardzo dużo gustu ma ten twój dawny ideał.
Nawet żarty Jacqueliny drażniły pana de Chantenay.

W tym poruszonym popiele, znalazł jeszcze zdumiony kilka iskier palących, pomimo całego zapomnienia.

Nie podobało mu się, że mówiono o Noris, a jednak rodziły się w nim odległe i dotąd niezatarte wspomnienia gdy mu o niej mówiono.

Pani de Montépreux zapytała go pewnego razu złośliwie:

— Wiesz, kto jest twoim następcą u panny Féraud? Dawniej takie pytanie byłoby dlań najzupełniej obojętnem.

Teraz sprawiło mu uczucie przykrości. Dość jednak umiał panować nad sobą, ażeby uczucia tego nie zdradzić.

— Nic mnie to nie obchodzi; nie zajmuję się wcale panną Féraud — odparł chłodno.

Jacquelina patrzyła nań jasnymi oczyma, zazdrosna, jak gdyby chciała podchwycić jaką myśl ukrytą.

— Otóż — rzekła — zdaje mi się, że panna Féraud powzięła kaprys... zagięła

parol... a może nawet zakochała się na seryo w... w twoim kuzynie Ferdys. Tak,

mój drogi René!

— W Rajmundzie?

— Tak jest. Pan Rajmund nie opuszcza prawie pałacyku przy ulicy Joutfroy. Marsan mi to powiedział.

— Ciekawa rzecz, po co się Marsan w to wtrąca?

— Jeżeli go to bawi, to i cóż wielkiego!... A ciebie to gniewa?

Wiadomość ta widocznie gniewała Reného, i pani de Montépreux spostrzegła z głęboką boleścią, że Chantenay mógł stać się zazdrosnym i bardzo nawet zazdrosnym o Noris. Zazdrosnym, czy przygnębionym?... Och! Widocznie nie mile oddziaływała na niego wiado-

mość, że Rajmund był w łaskach panny Féraud, jako przyjaciel wielbiciel, czy w jakim innym charakterze. Nie chciał niby o niej myśleć, nie chciał o niej rozmawiać, a jednak, wzburzona Jacqueline dostrzegła, że pomimowoli, prawie z uporem, wracał do tego, co jak mówiła stanowiło zabawkę dla hrabicza de Marsan, do tych częstych wizyt Rajmunda u Noris.

— Ach, więc i on także zaskarbił sobie względy panny Féraud?... Cóż na to wielki książę?

— Wielki książę Wasyl jest na Kaukazie... w stepach kirgizkich, Bóg wie gdzie.... Nie ma agentów, którzyby mu donosili o fantazyach i o każdym kroku jego metresy.... Ale doprawdy, drogi mój René, ta Noris utkwiała ci w sercu nie żartem, jeżeli nie mówimy o niczem innym jak tylko o niej, od samego twego przybycia do mnie.

— Czyjaż w tem wina? — odparł książę. — Czyż ja zacząłem pierwszy mówić o niej?

Uczuł, że powinien przybrać znowu cały swój chłód dyplomatyczny, ażeby bądź co bądź utwierdzić panią de Montépreux w mniemaniu, że Noris była dlań najzupełniej obojętną.

Wtedy Jacqueline — a było to w jej małym saloniku japońskim, w pałacu Montépreux — zbliżyła się zwolna do Renégo, wzięła go za rękę, spojrzała głęboko,

przeciągle, aż na dno tych zimnych oczu i pochyliwszy się ku niemu, skłaniając

na swych okrągłych ramionach piękną głowę, której woń czarownia oszołomiła

Renégo, i rzekła:

— Więc doprawdy, René, kochasz mnie zawsze?

— Zawsze!

Uśmiechnął się jak zwykle i mówił jeszcze prawdę znajdując dziwny urok w tej istocie zachwycającej i wspaniałej, która czołgała się niemal przed nim i

prostowała się po chwili, ażeby lepiej ogarnąć ukochaną postać wybranka.

— A więc — mówiła szeptem, jak przy wyznaniu — to coś mi przyrzekł, spełnij dziś.

— Cóż ja ci przyrzekłem?

— Przysiągłeś mi, że się nie rozstaniemy nigdy.... Mało mi zależało na tem, czy

będę twoją metresa, czy żoną.... Dziś, pragnę byś mnie poślubił.

Mówiła to z kokieteryą, a jej piękne blond włosy głaskały policzki Reného.

— Wiedza, że jestem twoją. Chcę teraz, ażebyś mogła powiedzieć, że ty jesteś moim, drogi książę!

Jacquelina otoczyła swem ramieniem szyję Reného, przyciągnęła ku sobie tę głowę, która została obojętną, uśmiechniętą z wyrazem niepewnym, i patrząc nań oczyma przepełnionemi miłością badała go wytrwale, wpatrywała się w jego zimne oczy.

I podczas, gdy w to spojrzenie ona złożyła wszystkie żądze i cały cel swego istnienia, do głębi duszy przejęta tą wyłączną miłością, on z wolna zapytał:

— Więc jesteś zazdrosną o Noris?

Odepchnęła go.

— Co! Znowu Noris!... Zanadto jednak myślisz o niej, mój drogi! A więc tak!

Jestem zazdrosną! To bardzo naturalne, skoro, gdy mówię ci o sobie, o nas,

książę rzucasz mi w oczy imię tej kobiety!

Usunęła się, w jednej chwili zmieniona do niepoznania, pełna energii i gniewu.

René uczuł, że ją drasnął zbyt dotkliwie. Wziął ją za rękę i rzekł z wolna:

— Proszę cię, Jacquellino, uspokuj się. Kocham cię, kocham cię prawdziwie! To co

przysięgłem, tego dotrzymam. Będziesz księżną de Chantenay w dniu, w którym ci się tylko spodoba złączyć swoje życie z mojem.... Powtarzam ci, że cię kocham....

— Tak — odparła Jacqueline, której oczy, usta, całe oblicze zajaśniało dziwnym ogniem przy słowach Reného. — Kochasz mnie prawdziwie... mówisz mi to...

prawdziwie.... Wiesz, René, wolałabym żyć szalenie, wypadkowo, bezmyślnie, tak, we dwoje, jak dzieci stracone, jak włóczęgi, szalenie, ale nigdy nie być twoją żoną!

René zdobył się na uśmiech. Jego wątle usta ściągnęły się pod jasnym wąsikiem.

— Doprawdy, hrabino — odparł — jeżeli włóczęgostwo przypada ci do gustu, a więc zostanemy włóczęgami po ślubie....

Jacqueline była teraz szczęśliwą, szaloną z radości, że sprowadziła rozmowę na ten temat.

Dość jej było takiej odpowiedzi Reného, ażeby wszystkie myśli o zazdrości rozproszyły się, jak puch na wietrze.... Już nie myślała o niej teraz!...

On ją kochał. Ona go ubóstwiała. Reszta nic jej nie obchodziła.

Znajdowała zachwycającą tę Noris, ponieważ ona stała się przyczyną, że pan de Chantenay odnowił wykonaną

przysięgę i dał Jacquelinie pewność, że ją kocha prawdziwie.
Gdy Chantenay zegnał się z panią de Montépreux,
guwernantka przyprowadziła
właśnie do pani hrabiny "pana hrabiego," małego Karola,
wystrojonego, z fryzą
większą od całego korpusu, a który przybywał bojaźliwie
powitać matkę przed
codziennym spacerem.
Dziecko było apetyczne jak ciastko angielskie, z figurką
zgrabną, w dużym
pluszowym kapelusiku, który zdjęło dla powitania księcia z
poprawnością metra
tańców, a długie złoto-blond włosy spadały mu w kędziorach
na małe ramiona i
sięgały prawie do pasa.
Szczebiotek i gadulski, nie śmiał jednak powiedzieć ani
jednego słowa wobec
Chantenaya, na którego patrzył dużymi jasnymi oczyma i tylko
machinalnie
nachylił swe świeże buziaki do matki, a guwernantka,
popychając go z lekka,
rzekła: Kiss mamma, Charley!
Jacquelina schyliła się szybko dla ucałowania malca i dodała
do tego pocałunku
urzędowo matczynego, te słowa:
— Uważaj że pani na niego, miss Bodway!
— Niech się pani hrabina nie obawia. Pan hrabia jest zawsze
grzeczny....
— Jakiego konia zaprzągnął John?
— Jeddo!
— Czy nie ma niebezpieczeństwa?
— No, Charley, pożegnaj się z mamą.

— Good bye, mamma!

— A książkę, Charley, zapomniałeś o księciu de Chantenay?

— Good bye! — rzekło dziecko, kłaniając się z takim wdziękiem, jak gdyby kłaniał

się sam książkę Beaumartel de Chantenay, Kwiat szyku.

— Daj rączkę, Charley! Shake-hand!

Maleństwo podało rękę, swą biedną drobną rączynkę kochankowi swej matki, który

uściskał ją serdecznie, poczem, obróciwszy się na piętach, umknął z salonu,

śpiesząc do zabawy, skoków, do odetchnięcia świeżem

powietrzem, bawienia się z

rówieśnikami, słowem do życia.

I książkę de Chantenay uczuł także potrzebę ruchu i spaceru na odkrytem

powietrzu.

Jacquelina rozdrażniła go przed chwilą, mówiąc o Noris i Rajmundzie.

Jakie dziwne wrażenie wywarła na nim plotka małego de

Marsan? I co mu zależało

na tej poufałości pomiędzy Ferdysem i panną Féraud?...

A więc — musiał to sobie przyznać — nie sprawiło mu to wcale przyjemności.

Opuszczając panią de Monteprenx, czuł się zirytowanym, znajdował nieznośnem

cygaro, które palił i śpieszył do domu, tembardziej, że wiatr majowy, suchy i

świszczący jak huragan, denerwował go również.

Wrócił do siebie nie w humorze, a zanim się zaczął ubierać na obiad — obiad w

klubie — zamierzył odwiedzić matkę, trochę cierpiącą.
Obydwa pałace sąsiadowały ze sobą.
Przy schodach wiodących do pałacu księżny, spotkał
Rajmunda.
Nie był to wypadek, Ferdys bowiem, jak mógł najczęściej,
odwiedzał ciotkę,
której humor, niestały i kapry-

śny, ożywiał się nieco z melancholii, spowodowanej morfiną,
gdy spostrzegła
swego drogiego siostrzeńca.
René miał jeszcze na myśli zwierzenia Jacquelines i plotki
hrabiczka de Marsan.
To też, spostrzegłszy Rajmunda, żywo stanęły mu one przed
oczyma, i zanim wszedł
na schody, wiodące do apartamentów matki, ujął Ferdysa pod
ramię i wprowadził
go zwolna do małego frontowego salonu z oknami
wychodzącymi na ogród, i rzekł
doń, siląc się na uśmiech:
— Ani przypuszczasz, że przed chwilą rozmawiałem długo o
tobie z najpiękniejszą
kobietą w Paryżu.
— Czy tak? — zapytał Ferdys. Piękne kobiety mną się
zajmują? To bardzo
pochlebne... i dziwne... wszak ja tak mało zajmuję się niemi?
— Gzy tak? — rzekł René. Jest przecież jedna, która ci dużo
czasu zabiera i
dobrze utkwiała ci w głowie!
Ferdys, który zazwyczaj nie przywiązywał wielkiej wagi do
słów kuzyna, odgadł

jednak od razu aluzyę i chcąc dowiedzieć się prawdy, zapytał:

— Co chcesz przez to powiedzieć, René?

— Nic. Powtarzam tylko to, o czym wszyscy już mówią.

Stajesz się głośnym,

Rajmundzie!

— I któż tak mówi o mnie?

— Moi przyjaciele z klubu... wszyscy... cały świat...

— I cóż mówią właściwie, twoi przyjaciele?

— Chcesz wiedzieć?

— Nie trzeba było pobudzać mej ciekawości. Chcę wiedzieć, ponieważ wtrącają się

do mego życia, podczas gdy ja dzięki Bogu, wcale nie wtrącam się do nikogo! Chcę

wiedzieć, co mówią o mnie... Zobaczymy, czy są dobrze poinformowani, twoi przyjaciele.

— Och! W Paryżu — odparł René — wszyscy są dobrze poinformowani! Wiadomo jest na przykład, i to faktycznie, że bywasz... bardzo często... na ulicy Jouffroy!

Rajmund doskonale zrozumiał ironiczną intencję kuzyna.

Odpowiedział tonem pewnym siebie:

— Wistocie, bywam tam często i bywałbym jeszcze częściej, gdybym się nie obawiał

skrępować swoją obecnością panny Féraud.

— I gdybyś się nie lękał spotkać u niej wielkiego księcia Wasyla!

Księżę wypowiedział to zdanie z tą doskonałością, z jaką zadaje się niespodziany

cios przeciwnikowi w pojedynku na szpady.

Spostrzegł też, spojrzawszy z ukosa, że Rajmund zbladł nieco. Ten tytuł, wielki książę, wydał mu się tendencyjną krzywdą, i oficer, z

gorączkową żywością odparł Renému, że, że przecie nikt w Paryżu nie może twierdzić stanowczo, ażeby Noris była, jak mówią, metresą wielkiego księcia.

— Tak sądzisz? — rzekł René.

— Sądzę, że nigdy nie mogłem natknąć się na nikogo u panny Féraud, i ie salony

przy ulicy Jouffroy są równo przyzwoite, jak u kobiet prawdziwie wielkiego świata.

— Tak? Dziękuję ci w imieniu tych ostatnich; ale

doprawdy, przyznać muszę, że jesteś bardzo naiwny.

Miałebyś w Taiti zapomnieć o

Paryżu? Nie będę ci dowodził, że Noris ukrywa swoich gości poza fałdami kotar,

albo w ciemnych gabinecikach, jak Tata albo Melécule, ale proszę mi wierzyć, że

z życiem twojej... naszej przyjaciółki, jak wolisz, ściśle związany jest pewien

rosyanin, i że, jeżeli nie spotkałeś przy ulicy Jouffroy jasnych faworytów

wielkiego księcia Wasyla, to spotkasz je, mogę cię zapewnić...

Wielkiego księcia

nie ma w Paryżu! Ale przybędzie!..

— Co jest pewnem — odparł Rajmund stanowczo, że "wielki książę musi mieć dla

kobiety o której mówisz, uczucie szacunku i poważania, gdyż
nieznam istoty

bardziej prawej i szlachetnej od panny Féraud.

Chantenay zaczął się śmiać.

— Zdaje mi się, żeś mi to samo mówił przed pięciu laty, mój
dobry Rajmundzie,

gdy chciałeś mnie przekonać, że moim obowiązkiem było

prosić o rękę Noris u tego

pocziwca Eugenjusza Féraud!

— Tak, to co ci mówiłem przed pięciu laty, to i dziś

powtarzam. Widzisz, że

jestem szalony!

— Więc moim obowiązkiem było postąpić tak, jak mi
mówisz?!..

— Twoim obowiązkiem było wówczas uszanować tę

dziewczynę gdy była niewinną,

twoim obowiązkiem jest dzisiaj ciężko żałować, że z uczciwej

dziewczyny zrobiłeś

najnieszcześniejszą istotę pod słońcem!

— Noris jest nieszczęśliwą? Ma powozy, o których, mówią,

pałac, five o'clock,

gdzie ty wykładasz swoją senty-

mentalną filozofie! Jest czy nie jest, jak wolisz, metresa

wielkiego księcia;

ale w każdym razie opływa w dostatkach i daje słowo cieszy

się stanowiskiem... I

przy tem wszystkim, Noris jest nieszczęśliwą?.. Czegóż jej

brakuje?

— O, niczego — uczucia, szacunku dla siebie samej, własnej
godności!

— Nie rozumiem cię — odparł René.
— To mnie nie dziwi. Musisz to sobie przyznać, że jest mnóstwo rzeczy na świecie, o których masz wyobrażenie tylko powierzchowne! Noris jest jedną z tych kobiet, które, rozgniewane, mogą pragnąć w życiu zemsty, pomszczenia, odplacenia krzywdy, ale które wiecznie żałują pierwszego utraconego raju, choćby ten raj był wielkim zaledwie jak dłoń i zasiany kwiatami za cztery grosze! Otóż, bez ciebie byłaby ocalała lub znalazła ten zakątek ziemi, gdzie mogłaby żyć według swego upodobania z człowiekiem, któryby ją poślubił i pokochał...
— Szlachetnym młodzieńcem, takim jak ty, na przykład?
— Właśnie takim jak ja, pierwszy bym ją poślubił!...
— Trzeba było to dawno powiedzieć, że jesteś zakochany, że zabrnąłeś po uszy, i koniec!
Chciał na tem zakończyć rozmowę. Ale Rajmund doznał uczucia gniewu.
— Jeżeli jest taki, który nie ma prawa zazdrościć tym, co kochają, albo mogą kochać pannę Féraud, to jest nim ten, który mogąc ją zrobić swoją żoną, zrobił ją metresą, a z metresy zrobił kobietę opuszczoną.

Słowa te, Rajmund wypowiedział szorstko, rzucił je w twarz Renému, chodząc

wzdłuż pokoju, z rękoma w kieszeni, z ruchami marynarza,
ale zawsze poprawnemi i

nawet wykwiłtnemi do pewnego stopnia.

Dla Reného jednak była najzupełniej obojętna taka
gwałtowność Rajmunda.

Zazdrosny! Otóż teraz Ferdys oskarżał go o zazdrość!...

Zazdrosny o Noris, on, Chantenay!

To zabawne.

Wistocie, Rajmund był bardziej wzruszony, aniżeli chciał po
sobie dać poznać.

Kochał Noris, kochał ją prawdziwie.

Bah! Tem gorzej dla wielkiego księcia!

I śmiejąc się z tej zazdrości, którą mu Rajmund wymawiał,
książę doznawał jednak

jak gdyby uczucia gniewu, słysząc kuzyna, mówiącego z
takim ogniem o kobiecie, o

której René zdawał się już zapomnieć i która go oddawna nie
obchodziła wcale.

To małe zajście z Rajmundem utkwiło w pamięci Reného.

Naraz, po wielu latach,

wydało się niezwykłym Renému, ażeby mówiono przy nim z
taką namiętnością o

kobiecie, której był panem, o istocie, której losem rządził
według własnej woli.

Zdawało mu się, że mu skradziono jedno z jego wspomnień.

Noris, która dawniej należała do niego, powinna była przecież
pamiętać o tych

szponach jego na wieki.

Jeszcze niedawno nie chciał nawet mówić o niej, chciał ją
uważać za wdowę,

wdowę, która szukając chleba w tym wirze wielkiego miasta,
musiała się ratować
jak mogła.

Jeszcze niedawno uważał za rzecz bardzo naturalną, że z objęć
Chantenay'a
dostała się wielkiemu księciu.

Tak być powinno! Och, ta Noris, to istota bardzo rozumna!

Ma rasę! Prawdziwa
kobieta!

— Zrozumiałem ją dobrze!

I syn generała księcia de Chantenay był dumny, dumny z
uwiedzenia córki

Eugenjusza Féraud.

Mało brakowało, ażeby René nie był powiedział głośno:

Znacie metresę księcia

Wasyła? Tę wysoką brunetkę, tę kobietę tak piękną! Znacie?

A więc, to ja ją
znalazłem!..

Jeżeli tak nie mówił, to jedynie dlatego, że instynktownie
uczuwał, nie tyle

szacunek, ile obawę wobec tej egzaltowanej istoty o dzikim
wejrzeniu, żywej i

zimnej zarazem jak cyganka istoty, która znienacka stanęła na
drodze. jego

życia.

I od chwili, gdy przed paru dniami znalazł się z nią oko w oko,
widział ją taką

jak dawniej, prawdzie piękną i wartą pożądania w egzaltacji
swego szaleństwa.

Nudną, być może, ale zawsze zachwycającą.

Nigdy nie przypuszczał, ażeby taka kobieta, mogła przybrać
ton wielkiej damy.

Ale bah! To już minęło: już nie myślał o tem. Mówił do siebie, że gdyby tylko chciał Noris...

I dla czego teraz, myśl, że kto inny kochał tę Noris,

i że tym innym był Rajmund — dla czego ta myśl, która powinna była być dlań zupełnie obojętną, gniewała go.

René zawsze podejrzewał kuzyna o pewną słabość dla Noris. Ale, żeby uczucie to miało przetrwać pięć lat czasu, nie mógł tego pojąć!

Więc ten Rajmund, ten świętoszek oziębły, miałby wistocie być tak wiernym, tak

zapalonym? Miałżeby się Ferdys ani na jotę nie zmienić?...

Me żartował więc z

miłością zarówno jak z obowiązkiem. Nie odstępował więc ani na krok od raz

zamierzonego celu!.. Dziwny człowiek!

I René próbował się roześmiać.

Ale im więcej śmiał się, tembardziej czuł się być

rozdrażnionym, dotkniętym

zapomnieniem o tej Noris, której głos dźwięczny na korytarzu cyrkowym dotąd stał

mu w uszach, głos, który wydał mu się dźwięczniejszym i miłszym niż

kiedykolwiek, który obudził w nim zaciekawienie i pożądanie oddawna uśpione.

I ona przyjmuje jako przyjaciela tego purytanina de Ferdys, podczas, gdy jego,

Chantenay'a, spoliczkowała ironją!...

To skandal!

— A przecież to moja metresa, moja, bezwarunkowo moja!
Powtarzał sobie te słowa prawie na głos w swoim salonie
przed portretem księcia
Gerarda, swego ojca, który zdawał się nań patrzeć wzrokiem
pogardliwym i
gniewnym.
Dla zapomnienia o Rajmundzie, udał się na powitanie księżny,
swej matki, która
wychodziła bardzo rzadko, ze-

starzała, przejąta wpływem morfiny i prawie zawsze leżąca na
szesłagu, z oczyma
wpół przymkniętymi, z oddechem wolnym, wychodzącym z
ust posiniałych, z wyrazem
znudzenia, ociężałości, przesytu, w pewnym obezwładnieniu,
z którego
wyprowadzała ją, od czasu do czasu iniekcja zaskórna.
Morfinizując się od lat niepamiętnych, księżna żyła w
pewnym egoistycznym
zapomnieniu, w tej rozkosznej drzemce, która jest własnością
morfinomanów.
Z upodobaniem spędzała życie w pałacu własnym, z głową
kołyszącą się miarowo,
przyjmując niewiele osób, ale niekiedy rozmawiając chętnie
dla uniknięcia
zwykłej migreny, będącej skutkiem morfiny, która powoli
wprowadzała ją w stan
chorobliwy, i niemając żadnych innych utrapień prócz nocy,
przy zbliżaniu się
której opanowywało ją straszne rozdrażnienie.

Wpół leżąc na kanapie, księżna paliła tureckie cygaretki, gdy ją René przywitał.

Zamiast odpowiedzi na powitanie podała mu emaliowany spodeczek z papierosami.

Poczem, zaczęła się śmiać sucho, jakby kaszłąc.

— Także! Zawsze zapominam, że nie palisz!... Jak się masz, René!...

René ucałował kościstą rękę matki i zapytał ją o zdrowie.

— Dziękuję... Czuję się dziś dobrze... Jestem trochę osłabiona z

przyzwyczajenia.... Doktor przepisał mi chininę, wodę d'Orreza, krople likieru

Fowlera... nie... morfinę... morfinę... ja to jedno tylko lubię.

Tylko to jedno!

Po chwili dodała z błyskiem w głębokich oczach.

— I ty masz takie swoją morfinę, René. To życie Paryża. Czy wyzdrowiejesz kiedy?

— I po co — zapytał René z uśmiechem.

— Nie znam tej pani de Moutepreux, o której mówią wiele... bardzo wiele...

Wolałabym jednak, ażebyś utrzymywał stosunki z jaką aktoreczką... Nie mogę

znieść wielkich dam, grających rolę pospolitych dziewcząt.

Uniosła się zlekka na szesłongu i rzekła nagle do syna, składając usta do

śmiechu:

— Ach, a propos, nowina, mój drogi... Miałam wizytę pani Ahrenfeld i jej

córki... Ahrenfeld... bankier z Kolonii... Magnatissimus...

Córka nie jest

ładna.. Ma tylko ładne oczy, jak wszystkie żydóweczki. Ale
płeć żółta, jak
chinki... Co jednak nie przeszkadza, ażeby nie pragnęła zostać
księżną... Jej
mamunia dała mi to do zrozumienia... Podobalesz się ogromnie
w tym domu...

ogromnie... Gdy się ma tyle milionów, można na wszystkich
zaginać parol, daję ci
słowo!... Żydówka!..

— Przejdzie na katolicyzm — odparł chłodno René. Księżna
spojrzała nań nie bez
zdumienia.

— Nie sędzę, ażebyś miał ją na myśli.

— Bynajmniej, matko, przysięgam ci. Nigdy nawet mniej nie
myślałem o ożenieniu
jak dzisiaj.

— Dlaczegoż dzisiaj?

— Tak sobie.

— Gdybyś chciał ożenić się dla pieniędzy, nie mógł byś
znaleźć lepszej partyi od
tej małej Ahrenfeld... Ale, daję ci słowo, wołałabym ażebyś
się ożenił z

miłości... Możebyś pojał za żonę tę Jacqueline de
Montépreux... Byłoby to może
głupiej, ale za to czyściej.. Przypominasz sobie

wyrazy, które powtarzał twój ojciec Ferdys'emu i staremu
Robinowi: Skończyć
czysto.

— Pamiętam — odparł René.

Siedząc przed chwilą obok matki, wstał, ujął szczupłą rękę księżny, podniósł ją znowu do ust, z gestem pełnym elegancji i sztywności, jak gdyby chodziło o jakiś oficjalny pocałunek; poczem, wyszedł, zostawiając panią de Chantenay z jej iniekcjami morfiny, i myśląc tylko uparcie, pomimo gniewu, o Noris, której pogarda go ubodła i której wspomnienie prześladowało go dotąd...
— A więc! — myślał — ponieważ wyzwala mnie, zobaczymy. A ponieważ poznaje tylko Chantenay'a, który umarł, ja jej pokażę teraz Ohantenay'a, który żyje!... Co zaś do Rajmunda... Bah!... Tem gorzej dla niego, jeżeli kocha!...

V.

Tak, Rajmund kochał tę Noris. Książę Beaumartel de Chantenay był dobrze poinformowany. Młody oficer znał teraz dobrze drogę do pałacu przy ulicy Jouffroy, i bywał tam, z początku wbrew własnej woli, czując dobrze, że wkracza do obcego sobie świata, ale nie łudząc się nim wcale, pewny, że zrozumie miłość, jeżeli to uczucie, które miał dla niej, było wistocie miłością, i pragnąc tylko dowiedzieć się od biednej dziewczyny

o wszystkim, cokolwiek myślała, dręczona gniewem i chęcią zemsty, w ciągu lat pięciu!

Ciekawość popchnęła więcej istot ku miłości, aniżeli sama miłość.

Rajmund chciał wiedzieć, jakie uczucia miały tę piękną Noris, którą opuścił samotną i zdradzoną i którą zastał chłostającą z całą wyniosłością dumy, człowieka, który ją uwiódł.

— To niepodobna — mówił do siebie — ażeby Noris była kobietą zwyczajną i ażeby zbytek, który ją otaczał, stanowił jej szczęście i zadowolenie. Odgadywał ukrytą ranę, tajemną gorzyc i smutek tego istnienia, które, jak mówił sam do Renégo, było zemstą, ale zemstą, w której zwyciężająca była ofiarą, ranną aż do krzyku, zbolaną, osamotnioną.

Chciał mieć próbkę tej melancholii Noris, ażeby nie być zmuszonym do pogardzania tą, którą przywykł żałować.

Niebawem, zwierzenia młodej kobiety, przekonały go, że się nie mylił! Cierpiała wistocie.

Tak, przy całej swobodzie tego nowego życia, które było dziełem przypadku, wspomnienia przeszłości nie dawały jej spokoju i prześladowały ją jak mary.

Czyjaż w tem wina, jeżeli nie Renégo?

Kochała go zanadto. Zanadto pokładała w nim wiary!

Dość mu było zażądać, a byłaby została wówczas tem, Czem jeszcze była w głębi

duszy, istotą uczciwą, duszą prawą, nienawidzącą zła,
hamowaną wstydem.
Rajmund, po pierwszym wyznaniu Noris, doznał jakby ulgi.

Wiedział dobrze, jaką była ta kobieta, co uczyniło z niej życie
i wyrzuty
sumienia, ale wątpił, ażeby mogła cieszyć się ze swego
upadku, ażeby to
poniżenie stanowiska przyjęła z dumą dziewcząt upadłych.
Upadła — nie; ofiara — tak; Noris była ofiarą.
Rajmund de Ferdys, żałując jej, mógł ją zarazem szanować.
Szanować? Sam sobie zadawał to pytanie.
Szanować córkę Eugenjusza Féraud, która stała się metresą
wielkiego księcia
Wasyla? Gdzież znowu?
Przebaczyć jej może. Pogardzić tym, który ją popchnął na tę
drogę, tak!
Ale zapomnieć o tytule, którym piętnowano Noris; o tym
tytule który był — świat
jest podły — przedmiotem zachwyty dla wielu ludzi, ale który
dla Rajmunda był
piętnem: metresa wielkiego księcia! Nie, to było
niepodobieństwem!
Niepodobieństwem, a jednak Rajmund powoli zdawał się
zapominać o tem
niepodobieństwie!
Nic w zbyt kownem otoczeniu w pałacu Noris nie
przypominało mieszkania zalotnicy.
Nic nie pozwalało przypuszczać, ażeby do mieszkania tego
ktokolwiekbaż miał
prawo wejść w charakterze pana domu!

Noris nie przyjmowała nawet Rajmunda w salonie, do którego mieli prawo wstępu Gardanne i Małgorzata Brunier, ale w bibliotece, gdzie na półkach Ferdys widział, w przepysznych oprawach, których autor nie miał nigdy oglądać, stare romanse Eugenjusza Féraud: Jan Rozbójnik, Kanadyjczycy, Dinora albo Flibustjerzy,

a — pośród tych dzieł zapomnianych, których podobne tomy spoczywały na półkach lub w szufladach antykwaryuszów — widniał portret Férauda z jego dobroduszną i bojaźliwą miną uczciwego człowieka.

Ani śladu wielkiego księcia w tej odosobnionej komnacie, cichej jak cela, gdzie Noris marzyła nie tyle o przyszłym życiu ile o przeszłości. Raz tylko jeden panna Féraud mówiła o wielkim księciu Wasylu do Rajmunda de Ferdys.

Mówiła mu nie bez drżenia goryczy w głosie:

— Książę de Chantenay dał mi poznać wielkiego pana, ale wielki książę Wasyl dał mi poznać człowieka dobrze wychowanego.

W istocie pomiędzy Renem i wielkim księciem zachodziła wielka różnica.

Afekt wielkiego księcia dla Noris był spokojny, wolny od wybuchów namiętności,

bardziej protekcyjonalny aniżeli miłosny, podczas, gdy Reném powodowała w

stosunkach z panną Féraud, przedewszystkiem próżność.
Wyznać trzeba, że dla innych pięknych paryżanek, wielki
książę był także o wiele
innym: lubiał posiąść piękną kobietę, jak jaki oręż zbytkowy,
jak konia
rasowego, jak cenny obraz.
Zresztą Paryż wydawał mu się wielką szynkownią, nic
dziwnego przeto, że
dziewczęta traktował jak karczmareczki.
Ale z Noris był wcale innym.
Ujęty i zachwycony poważnie jej pięknnością, lubiał ją
przedewszystkiem za jej
urok i rozum.

Od chwili opuszczenia Nizy, zapomniał, że miał do niej
prawo.
Czuł się być, mimowoli, przed jakąś istotą doskonałą, nie
paryżanką wyłącznie,
ale, jak twierdził, francuzką, i nigdy nie przyszłoby mu na
myśl, zestawić młodą
kobietę z bohaterkami jego powszednich wybryków.
Noris posiadała w jednej ze skrytek pałacu, miniaturę Wasyla
w mundurze
pochodowym, składającym się z białego surduta i białej
czapki, z krzyżem na
piersiach.
Niktby nie dał wiary, że ten żołnierz o ryzawych faworytach,
to ten sam
wykwintny jegomość w białym krawacie, który objeżdżał
Paryż we fraku noszącym na

sobie ślady pudru, jak pod Plewną biały jego surdut nosił na
sobie plamy kurzu z
ziemi krwią zbroszonej.

Strojny, elegancki, wytrawny, wielki ksiązę rozprawiał z
paryżankami jak
dyplomata, starając się o ich względy takim tonem, jakim się
mówi na dworach
cesarskich, nadając miłosnym listom pozór protokołu i od
czasu do czasu tylko
zdradzając szorstkimi słowy swoją żołnierskość,
Zbyt grzeczny w ciągu miesiąca, zbyt rubaszny w ciągu
godziny.

Takim przynajmniej wielki ksiązę był w towarzystwie
większości kobiet; ale z
Noris, magnat ten zdawał się zapominać o tem, że mógł rościć
pretensye do
miłości jak bankier, a mając tylko przyjaźń namyśli, okazywał
się tak słodkim,
uprzejmym i życzliwym, jak gdyby miał do czynienia z jaką
wielką damą z Moskwy
lub Petersburga. Przez długie, długie miesiące nie widział jej i
ograniczał się
tylko na pisywaniu do niej listów z żołnierską

punktualnością, aż z pod twierdz azyatyckich, listów, które
tchnęły takim
szacunkiem, jak gdyby pisał do narzeczonej.

Dziwny ten wielki ksiązę.

Noris, która go nie kochała, byłaby sobie dała odciąć rękę za
niego.

Wybawił ją wistocie od przypuszczalnej nędzy, uratował ją od przepaści, w którą ją wtrącił Chantenay, to też względem tego człowieka, który się jej oddał i który ją szanował, doznawała uczucia młodej dziewczyny, poślubiającej starca dla wybawienia ojca, uniknięcia ruiny, albo dla zapłacenia honorowego długu.

Rajmund de Ferdys wiedział o tem dobrze; ale wiedział on także, że w tej kobiecie znajdzie w całej potędze echo poczucia prawości, która nim powodowała w życiu, echo tych wszystkich zapałów, które mu pierś rozsadzały.

Do niej mógł udać się z zupełnem zaufaniem, jej mógł się spowiadać ze wszystkich projektów, wśród pogadank i zwierzeń, opisując jej swoje podróże, przechodząc od wczoraj do jutra, wyliczając nadzieje patryotycznej przyszłości jaką uroił sobie, a którą inni nazywali zbyt śmiałą, prawie niebezpieczną, ale którą Noris zachwycała się, ogrzana tą wiarą młodzieńczą. Rajmund bił czołem przed szczerością Noris. Znajdował w niej odgłos własnych idei.

Afekt, jaki miał dla niej, wzrastał z dniem każdym. Odwiedziny w pałacu przy ulicy Jouffroy, będące dotąd dla Rajmunda rozrywką, stawały się powoli potrzebą, radością głęboką. I Noris także w tych poufnych gawędach, porwanych

światu, tajemniczych prawie, znajdowała nieskończone zadowolone.

Zdawało jej się, że jest w tych fantastycznych krajach, które zgubiły biednego

Férauda; w krajach niebezpiecznych, ale które kochała dotąd i które wywoływała w

swem osamotnieniu, jak rodzaj utraconego raju.

To ich łączyło, to zacieśniało węzły ich zażyłości z dnia na dzień coraz

ściślej; on w tej kobiecie widzianej kiedyś, w chwili odjazdu, odnalazł pierwszy

sen miłości, ona dopatrzyła się w Rajmundzie wiary, zaufania, prostoty duszy,

całej czystości życia pełnego cnoty.

Nieraz, wypadek nawinał im na usta imię Eugenjusza Féraud.

Noris nie mówiła o nim nigdy. Poczytywała sobie imię to za świętość, i starannie

pokrywała je zasłoną.

Ale, gdy Rajmund je wymówił, uczuła głęboką radość.

Cały jej organizm przebiegło drżenie, i uczuła, że Ferdys jest jedynym

człowiekiem, z którym może mówić o przeszłości.

Bo Ferdys rozumiał jej ojca, odgadywał tę biedną ofiarę...

Młody marynarz czytał — może dlatego, że pisał je ojciec

Noris — wszystkie romase

Férauda.

Pamiętał niektóre wyrażenia, cytował je w tym samym kwiecistym stylu, przejęty

napozór fantastycznym! Przygodami bohaterów.

Noris, słysząc to, cieszyła się, że wspomnienie jej ojca żyje w pamięci

człowieka, którego szanowała najwięcej.

— Dużo talentu jest w tych dziełach — mówił Ferdys. Autor miał niepowszednią fantazyę! Wierzył!

— Wierzył w zbyt wiele rzeczy! — przerwała Noris spuszczając głowę.

— Proszę pani! Jak życie w gruncie rzeczy jest niczem innym jak tylko rodzajem kłamstwa, o tyle warto je uważać za to, czem nie jest i wierzyć, że jest warte więcej, niż warte jest wistocie.

Z upodobaniem słyszała, że Rajmund przebaczał tę szaloną pogoń za ideałami, dzięki której Féraud umarł, a do której i ona także była skłonna.

Pragnęła przedewszystkiem, ażeby szanowano go po za grobem.

Pewnego dnia, powiedziała wypadkiem do Rajmunda, że jej właściwem imieniem nie było Noris, że Noris było jej przydomkiem, nadanym przez Férauda.

— Mojem prawdziwem imieniem jest imię mojej matki: Zuzanna!

— A więc pozwól mi pani, ażebym ją odtąd nazywał Zuzanną.

— Po co?

— Gdyż będzie to imię, które pani nosić będziesz wyłącznie dla mnie.

— Z ochotą! — odparła.

Tak więc, obudziło się wśród nich prawdziwe uczucie, miłość głęboka, miłość,

gotowa do wszystkich poświęceń u Noris, do wszystkich
wybuchów namiętności u
Rajmunda, miłość, przykryta zasłoną przyjaźni!
Sądząc wistocie, że jest tylko przyjacielem tej kobiety, Ferdys
miał dla niej
uczucie daleko żywsze, a będąc

w życiu stanowczym i zdecydowanym zawsze na wszystko,
Rajmund nie próbując nawet
analizować swoich wrażeń, był wobec Noris bardziej jeszcze
stanowczym... Jego
uczucie szalone, było uczuciem nie dopuszczającym rozbioru i
niedającym się
warunkować.

Pierwsze starcie z Renem dało tego dostateczne dowody.
W ministerium, marynarz pracował z większym jeszcze
zapałem, czuwając nad każdą
sprawą, chodząc od biura, gdzie był nawał roboty do
Montsouris, gdzie śledził za
doświadczeniami meteorologicznymi w gronie innych
oficerów, zdumiewając swą
pracą i gorączkową działalnością, zawsze trzeźwą jednak i
zawsze umiarkowaną,
admirała Pratier du Resnel, który mawiał doń z uśmiechem:
— Musisz być zakochanym, drogi Ferdys! Tylko zakochany
człowiek może być równie
zdumiewającym jak pan.
— Jestem zakochany w mojem zajęciu, admirale!
— Tak, trochę, być może, ale to nie wystarcza!.. Jest tu coś
innego... Jest w
tem kobieta... o tak, kobieta!!,

— Bardzo być może, panie ministrze, ale przyznać muszę, że ja nic o tem nie wiem!

— Och, och!... Tem gorzej!... Nie jest tu więc miłośćka, ale namiętność ukryta.

Tylko takie uczucie bywa prawdziwem...

Namiętność ukryta!

Tak, ta miłość bojaźliwa, bojaźliwa, jak gdyby była występna, wprawiała go w stan radosnego podrażnienia pierwszej gorączki młodzieńczej; i ten młodzian dwudziestosześcioletni, nie żyjąc wcale, łączył swą namiętność z za-

chwytami, świeżością uczuć i burzliwością krwi młodzieńca w której wre ogień ludzki.

Nieraz udawali się razem, w pogodne ranki majowe, już nie na aleję akacyi, gdzie galopował cały świat modny, jak gdyby był u siebie w salonie, ale daleko dalej, w stronę Saint-Cloud, na bezludne drogi, zdążając aż ku Chaville albo Sevres, a to powietrze wiosenne, te drżące kasztany z pączkami białych kwiatów i te lilie, ta roślinność jeszcze błyszcząca rosą, wszystko to uśmiechało się do ich miłości, i jadąc, prowadzili rozmowę, straceni dla świata, głaskani promieniami słońca, muskani wiatrem, pod blado-niebieskiem wiosennem niebem.

Pewnego dnia, gdy przyszła im chęć osamotnienia, udali się do Wersalu.

Noris lubiła Wersal, gdzie tyle razy spacerowała z ojcem, który opowiadał jej dzieje i legendy tego pałacu i tych cienistych alei.

Ten wyraz opuszczenia, ta wielkość w ruinie, zawsze robiła głębokie wrażenie na

Noris.

Sądziła, że i teraz, przechodząc po znajomych ścieżkach, dozna minionych wrażeń.

Ale jak ona tak i Rajmund zostali niepomniernie zdziwieni, znalazłszy w parku

mnóstwo osób. Nie pamiętali

o tem, że życie biegnie zwykłym trybem i że w Wersalu odbywa się w maju wystawa

kwiatów, tak samo jak w Paryżu.

Weszli do wnętrza. Kwiaty! To rzecz warta widzenia, i oko ich wabiły róże, gwoździki, rododendrony, słowem olbrzymi bukiet, pełen różnobarwnych odcieni — zachwyca-

jąca gra kolorów, białych, liljowych, purpurowych, aksamitno miedzianych.

Pomimo to, Noris rzekła:

— Ponad te wszystkie kwiaty wystawowe przekładam najmniejszy bukiet fijołków za dwa grosze.

Wyszli, gdyż Noris uczuła zawrót głowy od tego chaosu pachnideł, na dworze młoda

kobieta z rozkoszą odetchnęła powietrzem, a idąc w stronę bukietu królewskiego,

wybierała aleje, w których przechodnie najmniej przeszkadzać
by mogli ich
miłosnym rozmowom.

Noris, spragniona samotności, chciała przejść do odległych
zakątków parku, gdzie
gałęzie roślin powłócząc się po ziemi, tworzyły tajemniczą
altanę; ale przy
bukiecie królewskim, znaleźli się prawie sami i tylko dzieci
bawiły się w
piasku, dwóch starców czytało gazety na dwóch ławkach, a z
poza lilii wyglądały
kaszkiety żołnierzy artyleryjskich; zdawa słyszeć było głucho
strzały; zapewne
wojska odbywały manewry w Satory lub na wzgórzach
Pikardyi.

Ztąd udali się przez opuszczone zakątki parku w stronę
sadzawek, nie mówiąc
prawie do siebie, szczęśliwi z tego samotnego spaceru, a
niekiedy, gdy ścieżka
była wązka, Rajmund puszczał Noris przed siebie i z
zachwytem podziwiał tylko
jej wiotką i powiewną postać i drobne nóżki odbijające ślady
na brunatnej ziemi,
gdyż głowa przykryta była parasolką.
Cień młodej kobiety migał się na trawie, na którą, jakby
spuszczono deszcz
gwiazdek białych, gdzie można było powiedzieć, drżenie
drzew towarzyszyło
miłosnej pieśni gniazd ptasich.

Nagle zatrzymali się. Noris spytała:

— Gdzie jesteśmy?

Rajmund nie wiedział. Zabłądzili. To bawiło Noris. Była to przygoda. Gdybyż noc

zaskoczyła ich w lesie. Co za żart?

Wersal nie był daleko. Przez jaką szparę pomiędzy drzewami dostrzegą pewnie dach

czarny, albo usłyszą dzwon kaplicy.

Było to jednak zabawne powiedzieć sobie, że tak blisko od

Paryża, znajdowali się

jakby na końcu świata.

Wtedy zaczęli pytać się o drogę.

Przy końcu jednej ścieżki spotkali dziewczynkę, trzymającą w ręką bukiet, bukiet

z kwiatów polnych i z fiołków.

— Patrz pan — rzekła Noris — wspominałam o kwiatkach naturalnych. Oto są.

Dziecko o białych lnianych włosach, z oczyma żywymi, ale z wyglądem biednym,

spojrzało na piękną damę, przyglądającą się jej kwiatkom.

— Czy odstąpisz mi ten bukiet? — zapytał Rajmund.

— Odstąpisz?

— Nie darmo. Czy chcesz go sprzedać?

— I owszem proszę państwa. Bo ja nieraz noszę kwiaty na targ dla ojca Truelle,

który ma sklep w Paryżu. To się sprzedaje paryżanom.

— Dajże pani ten bukiet.

Dziecko podało Noris bukiet fijołków otoczonych jak fryzyczką białymi polnami

kwiatami.

— Ach, jaki ładny — rzekła Noris — a jak pachnie!

Ukryła twarz w bukietcie, a z ponad kwiatów jej duie, czarne
oczy jaśniały
szczęściem.

— Czy ty się zajmujesz tylko zbieraniem kwiatów? zapytał
Kajmund dziewczynki.

Mała skłoniła główkę z miną bardzo dumną i bardzo smutną
zarazem.

— O tak, teraz zbieram tylko fijołki, bo się już nie długo
skończą... To już
ostatnie... Ale jak ich niema pomagam tatusiowi: pracuję
razem z nim.

— A czym się twój ojciec zajmuje?

— Jest kowalem w Montreuil.

— Masz braci, siostry?

— Jest nas siedmioro. Czwooro mniejszych odemnie, a dwoje
większych.

— I wszyscy pracują?

— Naturalnie! — odparła dziewczeczka. Z wyjątkiem
najmniejszych, które mnie
zaledwie sięgają do pasa, reszta musi sobie zawsze zarobić na
życie. Bez tego,
to zaraz... Thibaude...

Zrobiła gest, dający poznać, że różga byłaby w robocie.

— A cóż za jedna ta Thibaude? — spytała Noris, wpatrując
się czarnymi oczyma w
niebieskie oczęta maleńkiej.

— Thibaude?... To jest... to... to.. Thibaude!

— Służąca?

Mała cofnęła się z przestachem, rozglądając się dokoła, jak
gdyby Thibaude
mogła usłyszeć i rozgniewać się.

— Thibaude, służąca? O nie!... To wdowa Thibaude.. rodem z
Velizy... z którą

tatuś ożenił się po śmierci ma-

tusi, gdyż, jak nam powiedział, ona ma głowę i będzie dobrze zarządzać domem. To prawda, że może lepiej zarządza, niż matusia, ale jednak ona i matusia to nie wszystko jedno!...

— Dla ciebie? — spytała Noris.

— Dla mnie i dla innych... O, ona nie żartuje ani ze mną, ani z braciszkami, ani z siostrzyczkami... Krzyczy, łaje, bije nas!... Tak!

— A cóż twój ojciec na to?

— Och, tatuś...

Mała wzruszyła ramionami, jakby chcąc dać poznać, że ojciec jej nie ma głosu w domu.

— Tatuś jest za dobry, jak mówią ludzie... Jest za słaby... A zresztą...

Przechyliła główkę i uderzając palcami po szyi, rzekła:

— A zresztą on pije! Tatuś nie jest wesoły. Żałuję matusi!

Może go to smuci, że

widzi, jak nas nie lubi wdowa Thibaude... Wtedy porywa flaszkę... O tak, on nie

jest zły... Za dobry, powiadam pani.

Zatrzymała się, jak gdyby czując, że powiedziała za wiele i że matka Thibaude

miałaby sposobność poskromienia jej gadatliwości.

Wtedy Rajmund wsunął jej w rączkę sztukę złotej monety, na którą dziecko

spoglądało okrągłymi oczyma, zdziwione blaskiem złota — mówiąc:

— To dla twych braciszków i siostrzyczek. Ale nie pokazuj tego wdowie Thibaude.

— Dziesięć franków! — powtarzała dziewczynka. Dziesięć franków! Za ten bukietik!.. Ale to za te pienią-

dze możnaby pani dodać jeszcze bodłaku.... Czy chce pani bodłaku? Dziesięć franków to za wiele!

— Dla siedmiorga! — rzekł Rajmund z uśmiechem. Nie, to nie za wiele. Ale to nie dla ciebie samej!

— Gdzież ja podzieje tyle pieniędzy? — spytała dziewczyna. Gdyby mamusia żyła, tobym jej oddała!..

— A twój tatuś?

— Tatuś! — odparła prawie rubasznie!. No, a Thibaude?

— Thibaude, dasz jej to, żeby nie gderała!

Rajmund wręczył jej sztukę srebrną.

— To jest tym razem wartość twoich kwiatków. Zostawili ją na oglądaniu i

obracaniu monety złotej,

i dotarłszy do alei wiodących do Wersalu, rozmawiali o tem dziecku, które będąc

jeszcze bitem, niepewne i błędne, już nabierało świadomości życia.

— Doprawdy — rzekła Noris — życie jest mniej wesołe od operetki.

Później, spoglądając na swój bukiet fijołków, dodała:

— Ale bywają dni szczęścia, które każą o wszystkim zapomnieć.

Wchodząc do wagonu dla udania się do Paryża, do tego
Paryża, gdzie będą zmuszeni
rozstać się ze sobą, gdzie byli zmuszeni powrócić na swoje
stanowiska społeczne,
ona, jako metresa wielkiego księcia, on jako prawa ręka
ministra — Noris ozwała
się głosem tak czułym, jakiego nie używała już od lat wielu,
jakiego nie używała
może nigdy jeszcze.
— Czy widzisz pan ten bukiet pasierbicy wdowy

Thibaude? Otóż możesz się pan śmiać ze mnie, ale ja się z nim
nigdy nie
rozstanę. Lubię go bardziej, sto razy bardziej, aniżeli te
wszystkie rzadkie
kwiaty, któreśmy tam widzieli. Chętnie sama zbierałabym te
fijołki dla
przechowania ich. Dzień dzisiejszy będzie najszcześniejszym
dniem w mem życiu..
Zuzanno!
Wyjęła ze środka parę fijołków i podała je Rajmundowi.
— Zachowaj pan je także na pamiątkę dnia dzisiejszego!...
Gdy mnie pan już nie
będziesz kochał, odeszlesz mi te fijołki... Ale ja... o, ja... nigdy
nie odeszlę
panu moich... nigdy!...
Jeszcze nie powiedzieli sobie, że się kochali, a już mówili
sobie: — gdy mnie
kochać nie będziesz!...

Koniec części drugiej.

Część trzecia.

I.

Rajmund de Ferdys pokochał Noris miłością pełną szacunku,
ale zarazem zdolną do
wszelkich szaleństw i poświęceń.

Kochał ją, czuł, że w całym Paryżu o niej jednej tylko warto
było myśleć, nią
jedną się tylko zajmować!

Stało się to powoli koniecznością wszystkich jego potrzeb,
wszystkich jego
myśli.

I on także, zarówno jak Noris, zaliczył dzień przechadzki po
parku Wersalskim do
najszcześniejszych dni swego życia.

Przy rozstawaniu się z Zuzanną przed jej pałacem doznał
uczucia niewysłowionego
ból. Zdało mu się, że coś zapadło jak kurtyna w teatrze, albo
garść piasku na
przedmiot skończony, zdawało mu się, że jej już nigdy nie
zobaczy.

Byłóż to snem czy rzeczywistością?

Przez świętą naiwność, właściwą każdej miłości, po-

przysiągł sobie, tak jak Noris, zachować starannie te fijołki
dziecka. I nie

śmiał już powrócić na ulicę Jouffroy; lękał się, ażeby mu się nie wymknęła cała tajemnica, obawiał się ażeby nie wyznać pannie Féraud to, o czym ona już przecie wiedziała, że ją ubóstwiał i że ta miłość jedyna, głębsza z dniem każdym, nakazywała mu zapomnieć o wszystkim, co nie było z nią związane.

Nie odwiedzał jednak Noris, gdyż starał się oprzeć jeszcze tej gorączce, a chcąc przytłumić uczucie, podwoił swą pracę w ministeryum, wieczorami zaś bywał po całym Paryżu, gdzie tylko mógł znaleźć rozrywkę i zapomnienie.

Ale wszędzie prześladował go jeżeli nie obraz, to przynajmniej myśl o Noris.

Teatr, który żyje z miłości i którego żoną jest Muza, mówił mu o niej. Samotność

lasku bulońskiego, noc, wszystko pełne było widm, w których poznawał Noris.

Nawet w chwili, gdy na polach Elizejskich w jakim Café-Chantant przypatrywał

się cynicznym skokom i wyzywającym ruchom, gdy słuchał piosenek śpiewanych

ochrypłym głosem, nawet i wtedy myśli Rajmunda znajdowały się przy lubej.

Było to jakby opętanie, ale opętanie pełne takiego uroku, że Rajmund nie starał

się bynajmniej mu zapobiedz.

Czuł się szczęśliwym, że mógł myśleć o Noris. Chciał był wszystkim powiedzieć,

ile go zajmowała ta istota piękna i szlachetna.

Był jednak ktoś — jedyny na świecie, z kim mógłby mówić o niej, a który zresztą — Rajmund dostrzegł to do-

brze — od czasu skandalu w cyrku, często go o nią zagadywał.

Był nim René.

To opętanie, jakie uczuwał Ferdys, dotknęło także i Chantenaya, z domieszką gniewu, i książkę, na myśl o Noris doznawał nerwowego drżenia, jak zwykle wobec widma.

Nie był przyzwyczajony do pobierania takich lekcji i nie przyjmował ich chętnie.

Przykro mu było że rozstał się z Noris w taki sposób. Schować komplement do kieszeni, jak mówił, nie było zbyt właściwem według jego zdania.

A nadomiar wszystkiego, Rajmund z dniem każdym zaskarbiał sobie coraz większe łaski u panny Féraud!

Zdawało się Renemu, że ta sympatya, jaką te dwie istoty okazują sobie nawzajem, była rodzajem zemsty na nim zarówno ze strony Noris, jak ze strony Rajmunda.

To go nudziło, gniewało i podniecało zarazem.

A przytem, ta nowa kobiety, w jaką przekształciła się Noris, wydawała mu się, tak ponętą, prawdziwie zadziwiającą i piękną, że trudno było uwierzyć, iż

wdzięki młodego dziewczątka mogły się rozwinąć aż do takiej wspaniałości!

— Co mi się książę tak przyglądasz? — zapytała pewnego dnia pani de Montépreux

Chantenaya. Patrzysz tak na mnie, jakbyś mnie nie znał!

Dlaczego się patrzył

Chantenay? Porównywał blondynkę hrabinę z Noris, a łzawe błyski czarnych

wielkich oczu panny Féraud wydawały mu się bardziej przejmujące, aniżeli

niebieskie łagodne wejrzenie hrabiny.

Jacquelina, wiedzona przeczuciem, dopatrzyła się niebezpieczeństwa.

Uchwyciła w oczach Renégo marzenia, które nie były refleksja, a raczej

pożądaniem — pożądaniem nie iei ale innej kobiety!

Wtedy przyszło jej na myśl oszołomić księcia, podniecić go i wtrącić w chaos,

jakby w wir walca z jej ojczyzny.

Wynajdywała dla nierozstawania się z nim, przeróżne zabawy, właściwe pospolitym

dziewczętom i gdzie tylko mogła afiszowała swe głośne nazwisko de Montépreux.

Bywali w Chantilly, rozmawiając głośno, śmiejąc się, hałasując.

W Paryżu, pociągała przyjaciół księcia, wielkiego Nestora, hrabiego de Marsan do szynkowni i małych teatrzyków.

Widziano ich pewnego wieczoru, panów w białych krawatach, panią w toalecie

balowej, w jednej z łóż w teatrze Walhalla.
Nazajutrz, hrabina i przyjaciele kwiatu szyku obiadowali na tarasie kawiarni
Ambasadorów, a Jacqueline, oddychając świeżem powietrzem, wonią drzew pomieszana z wyziewami szampana i dymem cygar, bawiła się, zachwycała się tą wypadkową muzyką i tą swobodą high-life'u.
Podwoiła wesołość, dowcip, serdeczne głośne wybuchy śmiechu, ukazując oślepiająco białe ząbki, i za jaką. bądź cenę, pragnęła w ten sposób powstrzymać od ucieczki tego księcia Renégo, który już chłodnął dla niej, stawał się przy niej znudzonym i myślał o innej.
Przyjaciele Chantenaya znajdowali, że Jacqueline jest

nieporównaną, i oświadczali, że zakochają się w niej do szaleństwa, jeżeli kwiat szyku nie pojmie jej za małżonkę. Twierdzili, że nie ma piękniejszej kobiety od niej.

— Ani domyślcie się panowie, jaką mi dzisiaj zrobiono propozycję? — rzekła pani de Montepreux, stojąc oparta o balustradę restauracyi, podczas, gdy pod zielonemi kasztanami, jasno oświetlonemi gazem, w tem morzu światła i wesela, wybuchały śmiechy przy akompaniamencie odgłosów z otwieranych flaszek Roederera,

i podczas, gdy, jakby na jakim kiermaszu międzynarodowym,
paryżaneczki w
aksamitnych wyszywanych gorsetach uśmiechały się do
obiadujących klubmenów albo
rastakuerów.

— Ciekawi jesteśmy tej propozycji! — odparł hrabicz de
Marsan, siedzący obok
Nestora d'Aubreval, wielkiego Nestora, wprost Jacquelinesy
wspartej na łokciach
obok Chantenay'a.

— Najdziwniejsza w świecie — odparła hrabina. Jedna z
tysiąca! Zaproponowano
mi...

— Królestwo? Nie byłoby w tem nic dziwnego — rzekł
Marsan.

— Nie, nie królestwo. Rzecz praktyczniejszą. Jakiś
amerykanin, fotograf
amerykański, — doprawdy, na to potrzeba tylko amerykanina
— przybył prosić mnie
na wszystko, o zapewnienie mu majątku przez wyłączone
fotografowanie się u niego!
Pragnie odbijać mój portret w całych belach i daje mi sto
procent zysku! Oto do
czego doszłam moi panowie.

— No, ale to dowodzi, że amerykanie mają gust — rzekł
Marsan.

— Ale kto mu podszeptał tę myśl — zapytał niedbale
Chantenay.

— Kto? Dziennik! Ten Gardanne. któremu zawsze strzela do
głowy opisywać kobiety

wielkiego świata i aktorki, pozwolił sobie wydrukować w jednej ze swych kronik, że jestem jakoby najpiękniejszą z paryżanek, co Paryżowi pewno nie na rękę, ponieważ jestem austryczką!... Otóż mój fotograf amerykańnin, zamieszkały w Grand-Hotelu przeczytał ten artykuł i udał się wprost na ulicę Saint-Dominique.

— Wiedział pani adres?

— O, jankesi są bardzo praktyczni. Wynalazł go na jednym z afiszów. Figuruje tam jako jedna z gospodyń balu, który odbędzie się w Hotel-Continental na rzecz przytułku dla moralnie zaniedbanych.

— Dobrze tak pani — odparł René. Wszak nawet aktorki nie drukują adresów swoich na afiszach.

Pani de Montépreux zaczęła się śmiać, zdziwiona zdaniem księcia.

— Jakto? Książę stajesz się takim purytaninem?

— Lubiałem zawsze umiarkowanie we wszystkim.

— I szyk. Otóż dowiedz się książę, że to jest bardzo modne afiszować się na dobroczynność.

— Wszystko to dowodzi tylko — zakonkludował d'Aubreval ze śmiechem, że fotograf jankes źle się wybrał i że Gardanne nie postąpił wcale niedorzecznie. Ja, gdybym był fotografem, ja, który mówię do państwa, chętnie zdyłałbym jeden tylko jedyny portret, mianowicie hrabiny i rozbiłbym wszystkie inne szkła jak malarze — choć nigdy niczego nie łamię — a mówią, że łamię swoje pędzle.

Na scenie kawiarni, rzeźnicie oświetlonej, jakaś rosła
szansonetka, wymachując
rękoma, śpiewała cyniczne kuplety, pobudzające do
wybuchów śmiechu tłum,
siedzący na tarasie.

Jacqueline słyszała tylko niektóre wyrazy: ale śmiała się
szalenie i udawała że
zatyka uszy, gdy z niesłychanym hałasem całe audytoryum
domagało się powtórzenia

kupletu przez nieustanne i krzykliwe: bis, bis!

— Bis! bis! bis!

— Wiecie panowie, musiało to być coś ładnego, co śpiewała
ta panna, a my nie
słuchamy!.. Słuchajmyż!

— Słuchajmy! Śpiewaczka oświetlona nierównym blaskiem
lamp gazowych, z twarzą
czarną u góry, a czerwoną u dołu, powtórzyła następującą
strofę:

Jestem sobie rybka, złota,
Krocie wdzięków mam,
Lecz ta rybka nie dla ciebie
Przyznaj Guciu, sam.

A choć mama ma w pończoszcze
Groszy straszną, moc,
Nie dostaniesz z nich ni krztynki,
Boś, Guteńku, kloc.

Oj to nie szyk,

Mazgaja mina,
Kwik, kwik, kwik, kwik,
Jak prosięcina.

Próżno posiąść mnie,
Pan Gustawek chce...
Choć mnie kocha, wyznam szczerze,
Że go mam za głupie zwierzę.

Entuzjazm publiczności przeszedł wszelkie granice.
Domagano się ponownego powtórzenia kupletu; wołano o tę
niesmaczną elukubrację,
chciano usłyszeć tę piosnkę, tchnąca, ryszotkiem, chciano raz
jeszcze z ust tej
wyuzdanej dziewczyny nasycić się błazenadą, na temat:
mówię szczerze, żeś ty
zwierzę.

Jacquelina de Montépreux była zachwyconą. Śmiała się na
krześle, wsparta
obnażonemi ramionami o balustradę jak w łoży teatru, a
pomimo, że kuplet został
już powtórzony i śpiewaczka zakrzyczana oklaskami zeszła ze
sceny, hrabina
wesoła aż do szaleństwa sama powtarzała część strofki:

Bo ci, Guciu, mówie, szczerze,
Żeś ty dla mnie głupie zwierzę.

W czasie swej gestykulacji obróciła się i spostrzegła przy
jednym ze stołów na

tarasie, pięknego mężczyznę z wyszwarcowanym wąsem, siedzącego z ładną kobietą w toalecie białej; poznała go od razu i zwróciwszy się do Renégo, rzekła:

— Patrz, twój wuj!

Był to wistocie Ferdys.

Spostrzegł z dołu Małgorzatę Brunier obiadującą samotnie i przyszedł dotrzymać

jej towarzystwa, rozmawiając i patrząc jak rozbierała kurczę, sam bowiem jadł

już obiad w klubie.

Markiz doskonale widział hrabinę de Montépreux i jej przyjaciół, ale przez

wrodzoną sobie dyskrecję udał, że ich niepoznaje.

W takich razach był zwykle nadzwyczaj delikatny.

Ale Jacqueline nie chciała by najmniej się ukrywać przeciwnie, spoglądała na

Margot jaknajuporczywiej, ażeby tylko zwrócić na siebie uwagę.

Wiedziała ona dobrze, iż Małgorzata Brunier była

przyjaciołką tej panny Féraud,

dla której Reno bił się przecie w zeszłym miesiącu i w której ten szalony kwiat

szyku był gotów zakochać się powtórnie.

Rada była dowiedzieć się od Margot, co też Noris myślała o Renem i czy czasami

książę de Chantenay nie złożył wizyty przy ulicy Jouffroy, po odbyciu pojedynku.

Ale Ferdys uparcie nie poznawał ani siostrzeńca, ani pani de Montépreux, ani

żadnego z ich współbiesiadników. Gdy obiad się skończył, Renę wstał trochę podniecony szampanem, a pani de Montépreux zarzuciła na swe prześliczne ramiona lekką okrywkę, zabierając się do wyjścia; w tem na progu tarasu ukazał się Rajmund de Ferdys.

Hrabina go spostrzegła i zawołała wesoło:

— Patrz książę! Oto znowu twój kuzyn. Doprawdy, można powiedzieć, że jesteśmy w gronie familijnem!

Chantenay równie dobrze spostrzegł wchodzącego Rajmunda. Zrobił grymas, który miał oznaczać uśmiech i dał znak kuzynowi, ażeby się przybliżył.

— Oto mój drogi, stół wolny! Ustępujemy ci miejsca.

— Dobry wieczór, panie de Ferdys.

I Jacqueline wyciągnęła do Rajmunda swą drobną, piękną i delikatną rączkę.

Rajmund zdawał się być trochę niezadowolonym ze spotkania Renégo, a książę odgadując, ozwał się z ciągłym uśmiechem:

— My odchodzimy. Nie będziemy ci przerywać samotności, lejtenancie Hamlecie!...

Doprawdy masz taką postać, jak gdybyś zapożyczył wesołości u Werthera. Spojrz tylko na swego ojca, i bierz z niego przykład.

— Mego ojca?

Pani de Montépreux, kładąc rękawiczki, wskazała głową stół przy którym

Małgorzata Brunier jadła obiad obok markizę.
Nie spostrzegła, jak Rajmund zmieszał się na razie.
Gorączkowo podniósł głowę i skłoniwszy się Jacquelinie,
postąpił kilka kroków w
stronę schodów, chcąc odejść.

— Jakto? Wychodzisz? — zapytał René.

— Wychodzę.

Markiz de Perdys, ujrawszy Rajmunda, przypatrywał mu się
z ukosa, nie stracił
ani jednego ruchu syna, i czuł wlepiony w siebie wzrok
Rajmunda, pełen wymówek.

— Co ci jest, markizie? — spytała go Margot.

— Mnie?... Nic! Zamyśliłem się.

René, tłumiąc śmiech, zwrócił się do przyjaciół i rzekł do
hrabiny:

— A co? Jak się wam podoba mój kuzynek? Pyszny okaz, nie
prawdaż? Zupełnie jak
dziki.

— Ale może się jednak podobać — odparła Jacquelina.

Podług mnie, jest on bardzo
na swoim miejscu. Naturalnie, księżę masz więcej zalet —
dodała skwapliwie. Nie
bądź zazdrosny.

Hrabiątko de Marsan i wielki Nestor usunęli się, aby ją
przepuścić, i młodzi
ludzie idąc za hrabiną, popycham

przez służbę na schodach, wyszli nareszcie na ulicę, ażeby
udać się do lasku.

Jacquelina rzuciła ostatnie spojrzenie na estradę kawiarni,
gdzie jakiś duet

śpiewano przy akompaniamencie bębenków i zanuciła raz jeszcze machinalnie:

... mówię szczerze,
Żeś ty dla mnie głupie zwierzę.

Tłumy ludu stały przed drzwiami kawiarni.
Tłoczono się przy afiszach, ażeby choć z daleka usłyszeć
bodaj cząstkę piosenek,
które hrabina unosiła jak zabawne wspomnienie, jak echo
szaleństwa.

Doszedłszy do drzwi, René, który ujął hrabinę de Montépreux
pod ramię, odepchnął
zlekka jakiegoś starego jegomościa w jasnym kapeluszu,
idącego powoli, i
tamującego szerokimi krokami przejście.

Czując się obrażonym, jegomość, wsparty na lasce, obrócił się
szybko, René

ujrzał siwego starca o sutych wąsach i zmęczonym wzroku.

— Mógłbyś pan przecie zaczekać, zanim ja przejdę — ozwał
się starzec.

— Mógłbyś pan iść prędzej — odparł René tonem
lekceważącym.

— Ale ja nie mogę chodzić szybko, noga mnie boli. To
mówiąc, wskazał laską na
swą prawą nogę, obandażowaną i obutą w duży trzewik
wojłokowy.

— Kiedy się ma taką nogę — rzekł René, wstrzymując się od
śmiechu, to się nie

przychodzi do café-chantant!. Przepraszam — śpieszno mi...

To nie moja wina, że

pan

masz podagrę...

Zaczął się śmiać, ale nagle stary jegomość odwrócił się,
nasrożył brwi, przeszył
go wzrokiem i rzekł:

— Pan jesteście księciem Beaumartel de Chantenay. Znam pana
doskonale. Ja zaś,
jestem generał Robin. Czy to nazwisko nie panu nie
przypomina? Tem gorzej.

Generał wskazał na markiza de Ferdys, który właśnie schodził
sam jeden i zbliżał
się ku nim:

— Zapytaj się pan pana de Ferdys! To on i ja, czuwaliśmy nad
łożem ojca
pańskiego w ambulansie.

Renę niezadowolony, nieco blady i pomięszany, patrzył na
Robina, który wsparty
na lasce, z czerwoną wstążeczką na szarym surducie, dodał,
jak gdyby miał
przemowę do żołnierza w czasie rewii.

— Ojciec pański jedno tylko zalecał panu na łożu śmierci,
mianowicie: skończyć
jak on, uczciwie, czysto! Nie wiem, jakby mu się to podobało,
gdyby wiedział, że
pan pomiatasz starcami!

Generał podniósł rękę do kapelusza, rzekł do pani de
Montépreux "przepraszam
panią" i podał rękę markizowi, który już zbliżył się do nich.
Ferdys, powiedzże twemu. siostrzeńcowi, że nie trzeba się tak
wyśmiewać z
kulawych. Na tej drodze, po' której stąpa, nie wiadomo, czy
doczeka się starych

kości: nie będzie miał nawet czasu dostać podagry, jak się wyraził!!..

I kulejąc, Robin oddalił się, podczas, gdy tłum usuwał się przed nim z szacunkiem, a Reno, znajdując się jeszcze we wnętrzu kawiarni, zły, zirytowany, zawstydzony przy świadkach, badał spojrzeniem swych towarzyszków, jakby pragnął ich rady, jak ma postąpić.

Pani de Montépreux rzekła doń wesoło:

— Doprawdy, mój drogi księżę, nie masz jakoś powodzenia od pewnego czasu pomiędzy ludźmi!

— Posąg komendanta... dowódcy... generała!... — rzekł hrabia de Marsan. Szkoda, żeś go nie zaprosił na kolację René!

— Doprawdy! — ozwał się wielki Nestor. Pojedynek na szampańskie To zabójstwo dla takiego kuternogi.

Ale księciu nie było do żartów.

Czuł się śmiesznym, jak żak złapany na gorącym uczynku.

A markiz de Ferdys, zbliżający się doń, szepnął mu do ucha, odprowadzając go aż do powozu, czekającego na ulicy.

— Wiesz, co ci powiem, René? Otrzymaliśmy dziś obydwaj małą nauczkę! Robin palnął słowa prawdy tobie, a Rajmund mnie zrobił uwagę po swojemu, ustępując mi miejsca. Czy tylko to poprawi nas, drogi siostrzeńcze?

II.

Mała nauczka, jak się markiz wyraził, dana przez generała Robina, wpłynęła o tyle tylko na księcia Reného Beaumartel de Chantenay, że przypomniał sobie o nauczce otrzymanej od Noris. Pragnął teraz jednego tylko, ażeby otrząsnąć się

z podwójnej śmieszności, mianowicie, pragnął pokazać Marsan'owi, d'Aubreval'owi i innym, że słowa panny Féraud były mu zarówno obojętne, jak morały generała Robina.

— Cóż znowu! — rzekł doń markiz ojciec. — Ze starym wojakiem możesz się jeszcze strzelać. Przyjmie twoich świadków, jakkolwiek byłoby to absurdem... Ale Noris... Ona nie przyjmie ciebie!
— Mnie nie przyjmie, mnie?
— Tak przypuszczam.

I Chantenay uczuł, że próżność jego cierpi niepomierne. Wiedział dobrze, że mówiono mu prawdę. Był sam z siebie niezadowolony, podniecany podwójni]; żądzą ujrzenia Noris i przekonania swoich przyjaciół, że był zawsze kwiatem szyku, niezwyciężonym, nieporównanym, pogromcą paryżanek, jak stary Engelbert Saracenów: Muolt fier, mult fiert. Odwaga dopisywała mu zawsze. A więc będzie miał odwagę.

Uda się wprost do Noris. Przedstawi się u niej, złoży jej wizytę. Przekona się sam, co też ona powie, i jaką mu da odpowiedź, jeżeli ośmieli się go wypędzić.

Wypędzić! Cóż znowu!

Nie mogło mu się pomieścić w głowie, ażeby kiedykolwiek nie przestąpił progu tej kobiety, jako zwycięzca.

A zresztą, czyż miłość własna gra jaką rolę w miłości?

A była to prawdziwa miłość, albo niepohamowana namiętność dziwnie podobna do miłości, namiętność, którą uczuwał dla Noris, tak znenacka wskrzeszonej w jego umyśle.

Tak, odwiedzi ją bez uprzedniego zawiadomienia jej o tem, zjawi się niespodzianie w pałacu przy ulicy Jouffroy, tak jak ona przed" pięciu laty zjawiała się w pałacu przy ulicy Van-Dycka. Cóż za zbieg wypadków! On, on, Chantenay! ryzykował teraz być wyrzuconym za drzwi!

Ba! "Nowa kobieta" w jaką przeistoczyła się Noris, wartą była tak drobnych poświęceń!

Jeżeli zresztą przyjmowała Rajmunda, dla czegożby jego nie miała przyjąć?

I oto, pewnego dnia około czwartej po południu, Renę, udał się do Noris, a

zatrzymawszy powóz przeddrzwiami jej pałacu, podał swą kartę wizytową służącemu, który mu drzwi otworzył i oświadczył, że pani wyszła.

— Proszę wręczyć pani mój bilet! — powtórzył książę wyniośle.

— Ale pani doprawdy wyszła! — odparł wygalonowany sługus, spoglądając na bilet.

— Czy prędko powróci?

— Niezadługo.

— To ja zaczekam!

Wprowadzono go do białego saloniku, gdzie Noris siadywała zazwyczaj, jeżeli nie

była zamknięta, na pierwsze piętro, do tej biblioteki sąsiadującej z jej

pokojem, którą tak lubiła.

Renę, czekając, oglądał wszystko dokoła, statuetki z porcelany saskiej, figurki

z Tanagry, przedmioty japońskie i zatrzymał się przed obrazem, przedstawiającym

głowę żydówki czy turczynki z cekinami na czole, rażąco

Przypominającej Noris.

Zdawało mu się, że widział to już kiedyś. Ale malowidła tak są do siebie

podobne!

Stojąc przed obrazem, przypatrywał mu się jeszcze, gdy turkot powozu pociągnął

go do okna.

Z poza firanek dostrzegł Noris, ubraną jak zwykle, czarno, wysiadającą z powozu.

Przez chwilę zatrzymała się przed powozem księcia, spojrzała na herby, widniejące na drzwiczkach i szybko wbiegła do pałacu. Więc już Noris wie, że on jest u niej! Tem lepiej! Chantenay był przygotowany na wszystko.

Powie mu pewno przez służącego, że nie przyjmuje, albo prawdopodobniej, zrobi sobie sama tę satysfakcję.

Ale byłby bardzo zdziwiony, gdyby Noris nie chciała sobie zrobić tej kobiecej przyjemności, znalezienia się z nim oko w oko. Renę znał dobrze kobiety!

Drzwi salonu otwarły się z trzaskiem i Noris wistocie nadzwyczaj blada, ukazała się w kapeluszu na głowie, zdzierając gorączkowo szwedzkie rękawiczki.

Wydała mu się w takim podrażnieniu jeszcze ponętniejszą, niż owego wieczoru, gdy spotkał ją w korytarzu cyrkowym.

— Czego pan sobie życzy? — zapytała Noris, nie postępując naprzód i mierząc wzrokiem tego wytwornisia, który z widocznym wzruszeniem przygryzał swój biały wąsik.

Zdjął z prawego oka monokl, a światło z okien wyraźnie zarysowało jego blado-niebieskie oczy.

Noris wyczytała w nich pomięszanie.

Miała ochotę zadzwonić i kazać odprowadzić Reného aż na ulicę.

Ale spojrzawszy nań i dostrzegłszy w tym arogancie dawnym, jakby wyraz błagalny, przyszła jej raptowna fantazya, pełna dzikiego zadowolenia, powiedzieć temu człowiekowi wszystko, co myślała o nim, a ponieważ ukazał się, wpić weń paznogcie z całą rubasznością.

Ach, powrócił! Zjawił się przecie! Śmiał przybyć po krzywdzie, jaką mu wyrządziła publicznie!... Dowiedzmyż się po co przyszedł. Czego żąda? Co ma na swem plugawem sercu?

— Książę pragniesz ze mną pomówić? — zapytała głosem cierpkim i ostrym jak ostrze miecza.

— Tak jest, odparł René, od pięciu lat pragnę porozumieć się z panią.

Zrobił nacisk na słowach pięciu lat — przeciąg czasu, który tak dziwnie pozmieniał ich role. Noris roześmiała się okropnie.

— Pięć lat! — rzekła. O, to długi przeciąg czasu! I czy to dzięki mej...

uprzejmości owego wieczoru, zdecydowałeś się pan nareszcie na krok ten? Ha,

niech i tak będzie. Ponieważ idzie o porozumienie, porozumiejmy się. Możesz pan

usiąść; sądzę bowiem, że porozumienie nasze będzie dość długie. Dobrześ pan

trafił, właśnie mam czas wolny!

Rzuciła rękawiczki na kominek, odpięła kapelusz, i z obnażoną głową, piękna

zachwycająco przy promieniach światła, połyskujących na jej czole i czarnych kędziorkach, siadła wprost Reného i skierowała nań wzrok spokojny i zimny.

Książę ułożył sobie uprzednio plan szturmu. Wiedział on, że chwile w tego

rodzaju spotkaniach mają znaczenie godzin.

Taktyk przystąpił wprost do rzeczy: — Wie pani, miałaś pani zupełną słusność

traktowania mnie owego wieczoru tak, jak postąpiłaś pani.

— Czy być może? — zapytała Noris szyderczo. Doprawdy, jestem zachwyconą, że pan

przyznajesz mi słusność.

— Byłem z panią okrutny, Noris!

— Okrutny?... Pochlebiasz pan sobie! Byłeś pan raczej...

szukam wyrazu i nie

znajduję go... Mniejsza o to. Czasu szkoda i epitet nie

przydałby się na nic!

— Zgadujesz pani zapewne — mówił dalej René — że jeżeli przychodzę tu, to po

długim namyśle, po długim wahaniu.

— Nie, nie zgaduję... Nie chcę nic zgadywać. Pan mi to mówi, wierzę. Wiesz pan

przecie, że jestem przyzwyczajoną wierzyć panu.

Wszystko co mówiła, z uśmiechem na ustach, prawie obojętnie, policzkowało

Chantenaya, jak ironia słodka i nieszkodliwa.

Zdawało się, że Noris żartuje sobie i tylko od czasu do czasu

po jej czarnych

oczach przebiegał błysk, jak raptowny wybuch gniewu.

Największe miała zadowolenie, zadowolenie pełne goryczy jednak, drażnić po troszeczkę tego człowieka, kiedyś ubóstwianego, dziś nienawidzonego, którego próżności żądza, czy nowa namiętność — nie wiedziała jaki właściwie nieoczekiwany egoizm — popchnęły go do jej mieszka-

nia, tak jak kiedyś, ona, nieszczęśliwa, znajdowała się na jego łasce.

— Noris! — rzekł książę, przybierając w głosie dawną czułość, chciałbym, żebyś pani mogła czytać w głębiach mej myśli. Często myślałem o pani... często...

— Często?... To nie dosyć! Ja o panu ciągle myślę.

— Jesteś pani złośliwą, ale masz do tego prawo... i gdy myślę o... naszej przeszłości... to... przysięgam pani, myślę z żalem... z wyrzutami...

— Tak?... Ktoś mi to już mówił, ale nie wierzyłam.

— Ktoś? Któż właściwie?

— Gardanne. Pan wiesz, że dzisiaj wszystkie nowiny dochodzą nas przez reporterów!

— A więc, jeżeli Gardanne pani to powiedział, był więc dobrze poinformowany, co mu się rzadko zdarza. Tak żałuję owej przeszłości — żałuję... powtarzam to pani... Przeszłość nasza była tak piękną! Tak słodką!... To raj utracony!

— Jakie to romansowe w ustach takiego człowieka, jak pan!

— rzekła Noris!... Ale

pan nie utracił tego raju, jeżeli to był raj Wistocie... Paneś go zrujnował...

Opuścił go pan bez najmniejszych wyrzutów, o których pan mówisz!.. I po co

wskrzeszać dzisiaj popioły przeszłości?...

— Po co? Czyż mnie pani jeszcze nie rozumiała?

— Lękam się pana zrozumieć i wdzięczną byłabym panu, gdybyś mi powiedział, czy

przychodzisz pan zakomunikować mi co ważnego, czy tylko zabawić mnie zbyt

frazologią? Ach, widzę, że pana zadziwiam? to dla tego, że nie jestem już tą

samą kobietą, drogi książę! Powiadają, że serce pęka — to nie prawda, ono

twardnieje.

Beaumartel, głosem bardzo zniżonym, próbując zbliżyć się do Noris, rozpoczął

seryę banalnych przeprosin...

— Trzeba mi przebaczyć... moja matka... moja rodzina...

Noris przerwała mu:

— Nie mów mi pan o tem. Takie uniewinnienia dobre są dla gryzетки. A ja przecież

nią nie jestem. Kobiety takie jak ja nietylko mogą patrzeć oko w oko prawdzie,

ale i odgadywać ją nawet. Ryzykują całą swoją egzystencję wobec pierwszej

miłości. Spotkałam pana na mojej drodze. Ryzykowałam i... trudno... musiałam

przegrać. Ach, pan marzysz o tem, ażeby być kochanym! Ależ ja byłabym pana ubóstwiała przez całe moje życie! To się panu wydało zbyt długiem, zbyt nudnem...

— Zbyt niebezpiecznem — szepnął książę.

— To wszystko jedno! Oczywiście było niebezpieczeństwo, ponieważ szło o pańską

przyszłość. Jakto! Książę de Chantenay pieszczony, uwielbiany, miałby nie być dość wielkim panem, ażeby nie wziąć za nałożnicę dziewczyny wierzącej, naiwnej!

ale to pewna — mówiłam, to już zdaje mi się, panu, kiedy mnie to obchodziło —

tak, to pewna, że istnieją względy urodzenia, sławni przodkowie wobec których

niepodobna pojąć za żonę uczciwej dziewczyny, która zaufała słowu honoru!., Cóż

się wtedy robi? Oto poprostu porzuca się, zostawia się ją na łasce losów,

własnemu przemysłowi, wraz z jej rozpaczą!... A jeżeli upadnie? Czyjaż w tem

wina?... Kochałam pana tak, że byłabym oddała życie za pana, jak jaka

sentymentalna szwaczka! Nie wiele nawet brakowało, ażeby pańska krucica zwolniła

pana od moich wyrzekań! I daję słowo, nie

wiem, czy nie byłabym szczęśliwszą, umierając pańską metresą, aniżeli dziś,

stawszy się kim? Noris, metresą wielkiego księcia! To
prawda, że splamiłabym
pańskie kobierce! Ale to zmyć łatwo!
René przyglądał się jej wzrokiem błyszczącym, podnieconym
przez gniew, przez tę
ironję zachwycającej istoty, której teraz, musiał przyznać
sobie, nie był i nie
mógł być panem!
Rzecz dziwna! Pomimo wspomnień tylu, nie dostrzegał w niej
teraz ani śladu
metresy.

Była to, doprawdy, "inna kobieta", była to konketa do
zdobycia, ziemia dziewicza
dla jego żądz.

I pojąć się jej czarem, spuszczać głowę, zawołał, ze
szczerością nieudaną w
tej chwili, ze szczerością i żalem prawdziwym:

— O jakże byłem szalony! Jak byłem nierozsądny!

— Nie — odparła Noris, nie spuszczać go z oka, źle się pan
wyraziłeś: był pan
raczej nad wyraz nędznym!

Uczuł się bardziej pociągniętym, aniżeli dotkniętym tą obrazą
i zdołał zaledwie
wyszeptać:

— Nie znałem cię, pani!

— Tak mówisz, książę? — odparła wyniośle. Ach, tak,
rozumiem! Nie przypuszczałeś
pan, ażeby młode dziewiętnastoletnie dziewczę, dziecko — o
bo ufałam panu jak
dziecko — mogło się przekształcić w kobietę taką, jaką dziś
jestem,
niewzruszoną, przyznając się, i równie nienawidzącą, jak
dawniej kochała pana...

— Nienawidząca?...

— Czy panu nie dosyć tego? Mamże dodać, że pogardzam panem!

Tym razem obruszył się; ale ona dodała, przytrzymując go za ramię, ażeby usiadł

i trzymając go tak, jak zamagnetyzowanego:

— A wiesz pan za co? Bo wyrzuciwszy mnie za drzwi, skrzywdziwszy mnie na zaufaniu, wyśmiewałeś się pan ze mnie bez litości — gdyż doprawdy umiesz pan być niewzruszonym — i oto teraz, jesteś pan prawie gotów błagać, ażebym została

znowu twoją metresą!

Po twarzy jego przebiegł uśmiech szczęścia, jak gdyby ostre słowa Noris

upoważniły go do podłości nowego wyznania.

— Ja? — rzekł, ja?... O gdybyś pani wiedziała!...

— No powiedz pan, powiedz, że mnie kochasz! Bo mnie pan kochasz, nieprawdaż?

— tak, kocham cię!... Tak, tak, kocham i dla tego wróciłem tutaj... Chcę...

chcę, ażeby poszło w niepamięć wszystko, coś wycierpiała przezemnie!

— Co? Ja miałabym zapomnieć, panie de Chantenay, o, to niepodobna!

— A raczej — dodał, zbliżając się do Noris — prawie na klęczkach, jak wówczas,

przy ulicy Brochant, gdy błagał — chcę ci przypomnieć owe piękne chwile, które

przebyliśmy razem... wiesz przecie, jak..! o tak, ty wiesz!...
Takie wspomnienia
zostają w sercu!... One nie opuszczają nigdy... Powiedz, czy ci
nie przychodziła
myśl o tem, jakby to dobrze było, gdyby wróciły owe czasy...
Ty, ubóstwiana,
ja... skruszony.. ty przebaczasz mi, a ja robię wszystko, ażeby
uzyskać
przebaczenie twoje!...
Noris uśmiechała się ciągle.
— Ładny romansik, ani słowa — odparła chłodno.

Ale gdybym odebrała sobie życie? Wszak inne — taka np.
Fanny Love — które miały
więcej odwagi czy głupoty odemnie, zabiły się! A dość im
było tylko żyć i
czekać, by ten, który je zdradził czy wypędził, wrócił przecie,
skruszony jak
pan powiadasz!
— Skruszony, tak! — odparł książę, chcąc ująć ją za rękę,
którą ona jednak
cofnęła ze wstrętem.
— Och! widzę, że pan nie masz wcale zamiaru mnie opuścić.
— Opuścić cię?... Teraz?....
— Teraz, gdy nie mam wdzięków młodej dziewczyny, ale
jestem dojrzałą kobietą...
— Teraz, gdy jesteś kobietą inną — zawołał René. — Tak...
piękną...
nieporównaną... kobietą, której nie znałem.., a raczej, którą
poznaję, Noris...
zachwycającą jak dawniej, jak wczoraj, jak zawsze!

Wstała, spojrzała bezwiednie na złote ramy, obejmujące głowę
żydówki
marokańskiej, którą przed chwilą książę de Chantenay
porównywał z nią, poczem
wsparłszy się o tył krzesła, rzekła:
— Nie! nie! nie! Mówiłeś pan prawdę, inną kobietą. Masz
najzupełniejszą
słuszność — jestem inną. Zupełnie inną. Znasz pan moją
dewizę? "Chcę przejść
samą siebie." Jest ona może trochę pretensjonalną, ale jest
prawdziwą. W
kobiecie nie jedna jest tylko kobieta, jest ich tyle, ile jest
kobięcych trosk,
zachwyków!... Pan nie kochasz dawniejszej Noris — gdyż
może mnie pan teraz
kochasz! Cóż za szyderstwo — ale tę Noris, otoczoną
zbytkiem, i chcesz pan,
ażebym panu powiedziała wszystko — Noris, która należy do
kogo innego!

— Noris! — zawołał René, draśnięty do żywego.
— Pan jesteś zazdrosny o tego innego właściciela, jak gdyby
to nie pan rzuciłeś
mnie w jego objęcia. Czytam w pańskich myślach jak w
książce... O tak, nie
jestem tą samą kobietą. Te oczy, ten uśmiech, te włosy mają
nowy urok. Odwieczne
to jak świat. Gdy daruję kiedy przenoszona suknię mojej
służącej, spostrzegam
niebawem, że jedwab był jeszcze bardzo ładny i że jej w tej
sukni wcale nie do

twarzy. Otóż nie dziwię się bynajmniej, że pan wściekły jesteś na wielkiego księcia, któremu podarowałeś jak strój zużyty, pańską dawną miłośćkę.

Zobaczywszy mnie w cyrku, zagrzany wspomnieniem, spostrzegłeś pan, że w szklance, którą opuściłeś, zostało jeszcze trochę nektaru.

Przebacz mi pan te romantyczne przenośnie. To stary zwyczaj, odziedziczony po moim ojcu. A jednak, byłeś pan posiadaczem tej miłości i wzgardziłeś pan nią.

Porzuciłeś ją pan, powtarzam, jak pustą szklanekę. Czy książę teraz żałujesz?

— Z całej duszy — odparł René.

— A gdybym, przez wypadek, czy słabość, stała się tem dla pana, czem byłam dawniej?

— Byłbym najwierniejszym i najbardziej oddanym ze sług pani — odparł René.

Spojrzała nań badawczo, znajdując pewne zadowolenie, że książę tak się płaszczyl przed nią.

— Doprawdy? — spytała.

— Doprawdy.

— Słowo honoru?

— Słowo honoru.

— Honoru zakochanego, czy uczciwego człowieka? spytała Noris z ironją, równie dotkliwą, jak ostrze miecza.

— Słowo uczciwego człowieka — odparł książę Beaumartel de Chantenay. Wierzysz mi pani?

— Wierzę — odparła z wolna.

— A więc, Noris, najukochańsza moja...

Wskazała mu ruchem głowy Marokankę Delacroix w złoconych ramach.

— Czy pan poznajesz ten obraz? Patrzył, nie wiedząc do czego Noris zmierza.

— To obraz Delacroix, który wydał się panu dość mizernym przy ulicy Brochant u mego ojca. Założę się, że jesteś pan nim zachwycony... Ramy, drogi panie,

ramy... To nie mnie pan kochasz: to tę niewzruszoną kobietę, która pozwoliła

sobie mścić się na panu za przeszłość... Nie jestem ja pierwszą, którą ludzie

znajdują piękną, gdyż zapomniała o kałuży nędzy, gdzie błociła sobie nogi, dla

złota, przy którym wala sobie ręce...

Chciała oszołomić księcia, oderwać go od pani de Mentépreux, przywiązać do

siebie, czego nie mogła z większą zręcznością dokonać.

Każdy wyraz powiększał miłość Chantenay'a.

Przybywszy tu, wiedziony gorączkową ciekawością, ryzykując na wypędzenie jak

lokaj przy przedstawieniu się Noris, teraz przejęty był miłością, żądzą, nie

dającą się pohamować.

Igrając na nowo temi przygasłymi uczuciami, igrał bezwiednie z rozżarzonemi

węglami.

Jeżeli kiedyś Noris cierpiała przez niego, on cierpiał

teraz jak dziecko. Zdawało mu się, że ją utracił i że ją odnajduje zmienioną do niepoznania.

Jego twarz zazwyczaj zimna, dyplomatyczna, obojętna, stała się błagalna,

wszystkie prośby, żale uniewinnienia, złożył w jedno westchnienie:

— Ach, gdy się spotka taką kobietę jak pani...

— Pilnuje się jej, albo się jej wcale nie szuka — przerwała Noris szorstko. To

się nie da naprawić, mój panie. Nie da, nie. Dawno to już jak powiedziano, że

kobieta, która przestała kochać, mniej nienawidzi obcego człowieka, aniżeli

kochanka — zdrajcę. Otóż to i nas się dotyczy, drogi książę.

— Ach, doprawdy — zawołał René, jesteś pani bez litości.

— Byłam w pańskiej szkole, panie de Chantanay — odparła. I przypomniała sobie ten smutny wieczór, gdy szła na ulicę Van-Dyck'a, ażeby

błagać o litość tego niewzruszonego człowieka, który wyznawał jej dziś — jej,

swojej ofierze — brak litości w sercu.

O, jakże on był dziki, straszny i twardy w swej niewzruszonej ironii. A jeżeli

ona nie była tą samą kobietą, co dawniej, czyż i on był tym samym człowiekiem,

tym, który przed pięciu laty bez wyrzutów sumienia zostawił ją na łasce

Opatrzności.

Im bardziej czarne oczy Noris docierały do głębi tej istoty i tego próżnego serca, tem więcej zapalało się żądz w tym młodzieńcu zgłodniałym wrażeń, zirytowanym, trzy manym w szachu, zwyciężonym przez kobietę, którą sam przecie pragnął zwyciężyć.

Chantenay nagle ruchem nerwowym, żywym, w którym cała szkoła szyku i elegancyi zatarła się pod wpływem prawdziwej boleści, chwycił ręce Noris, których ona nie wyrywała teraz.

— A więc tak! — zawołał. Masz słuszność. Byłem ślepy i podły dawniej! Okazałem się niewdzięcznym względem ciebie!

Ona odparła z politowaniem:

— Spostrzegasz to pan?

— Gotów jestem odpokutować w ciągu całego życia — dodał René.

Wtedy ona uwolniła swe ręce z rąk Chantenay'a.

— Zapóźno, książę... Panna Féraud, która ci była posłuszną, nie żyje. Została

tylko Noris, która nie kocha pana.

René tupnął nogą z gniewem.

— Która kocha innego, powiedz pani.

— Wielkiego księcia? — spytała Noris, głos zniżając.

— Nie, nie wielkiego księcia.

— A więc kogo?

René przeszył ją wzrokiem i rzekł:

— Rajmunda!

Zadrżała, ale po chwili odparła chłodno:

— Nie lubię, gdy do tajemnic mego życia przyłącza się tych, których szanuję i którzy szanują mnie nawzajem. Przyszedłeś pan tu zapewne dla zobaczenia, co też się stało z tą, która była pańską zabawką. Dowiedziałeś się pan teraz. W przyszłości, uprzedzam pana, że się znać nie będziemy!

— To Ferdys rozkazał pani, ażebyś mnie nie przyjmowała u siebie.

Słowa te powiedział z gorączkową żywością, ale wkrótce zniżył ton, pod wpływem wzroku Noris.

— Proszę panią — wyszeptał — bodaj dla załatwienia zemsty pani, pozwól mi odwiedzać siebie.

— Dla załatwienia mojej zemsty?

Roześmiała się, ale dźwięk tego śmiechu był fałszywy.

— Eh: biedny książę, pogódź się z losem! Konie pańskie czekają!

— Pani mnie nie rozumiesz... pani mi nie wierzysz!

— Wierzyłam... Opłaciłam to młodością, to hojna zapłata! Zadzwoiła szybko. Był to znak pożegnania.

— Chcesz pani, bym odjechał? Szkoda — rzekł René — a miałem tyle rzeczy do powiedzenia pani.

— Widzisz pan przecie, że trwałoby to za długo.

— A więc, niech i tak będzie — odparł nagle. Opiszę to pani! Noris zrobiła duże oczy.

— Och! nie poznaję pana, doprawdy. Przysięgi nikną, listy zostają! Zmieniłeś się pan.

— To pani mnie zmieniłaś!

— I przyznaj pan, że skorzystałam na tem... materyalnie. Zegnam księcia pana!

— O nie, nie! Dowidzenia raczej! — zawołał Chantenay gorączkowo.

— Dowidzenia? Niech i tak będzie. Ale w owym sławnym raju utraconym!... A co najwyżej, w czyszcju!

Lokaj stał we drzwiach. Księżę skłonił się Noris, gdy zniknął i gdy usłyszała

turkot jego powozu na bruku ulicy Jouffroy, młoda kobieta uczuła wstręt i gniew

zarazem:

— Nędznik! Podlejszy, niż przypuszczałam! Dawniej niezdolny pojąć, że mogła się

w niej znajdować dusza, wiara, miłość, zaufanie.

Dziś gotów się czołgać przed tą, którą kiedyś pogardliwie wypędził.

Pragnęła nieraz pomścić się nad nim. To poniżenie było już jakby

zadośćuczynieniem. Gdy pomyśli, że mogła kochać to stworzenie... Ach!

Zadzwoiła na służące.

— Idź powiedz pannie Brunier, że jeżeli pójdzie dziś do teatru, mogę jej

towarzyszyć! Do jakiego wesołego teatru naprzykład!

— Ach! — westchnęła po odejściu Sylwiny — życie jest za brzydkie, i rzeczywistość za brudną; potrzeba szaleństwa i głupstw, ażeby o tem zapomnieć!...

III.

Pierwszą rzeczą, którą René powiedział swemu kuzynowi przy spotkaniu, było:

"Widziałem Noris!"

Rajmund otrzymał cios w samo serce. Chantenay wiedział dobrze co robi. Ponieważ naśmiewano się z niego, będzie się naśmiewał z innych.

Był pewnym, że Rajmund kochał pannę Féraud, jak niemniej przekonany, że Noris kochała Rajmunda. Otoż postanowił zmusić do cierpienia tego, który był przyczyną jego cierpień.

— Cóżes miał do powiedzenia pannie Féraud? Byłbym ci chętnie pośredniczył — rzekł Rajmund.

— Nie wątpię. Bywają jednak interesa, nie dające się załatwić przez pośrednictwa.

— Nie pojmuję, co może być wspólnego pomiędzy tobą i panną Féraud.

— Nic. Stare rachunki do załatwienia.

Ferdys miał ochotę zażądać od Chantenaya bliższych,
wyjaśnień. Ale po co? Czy
miał do tego prawo?
Czy mógł tak kompromitować Noris? Czyż René nie miał
prawa równie jak on składać
wizyt przy ulicy Jouffroy?
O! Przekleństwo! Pan de Chantenay, jeżeli już idzie o prawa,
ma ich stokroć
więcej od niego do tej pięknej kobiety, którą Rajmund
wistocie kochał
szalenie...
Tak więc, Rajmund stawał się zazdrosnym. Zazdrosnym o
Renégo!...
Obaj młodzieńcy zrozumieli się doskonale i obaj czuli, że
namiętność ich zdradza
z każdą chwilą wobec tej rywalizacji.
Namiętność, odmłodzona w Chantenayu, zbudzenie się
miłości przygasłej, żądza
przesyconego albo podniecona próżność równoważące tę
namiętność; u Rajmunda,
miłość bezbrzeżna, nie wyznana ustami, ale krzycząca,
zdradzona w każdym słowie,
w każdym spojrzeniu, miłość szalona, skrywająca przed
Rajmundem wszystko, co go
ota-

czało, nie pozwalająca mu o niczem innym myśleć,
przepelniająca go całego,
pożerająca go ponurym ogniem melancholii, smutków,
wszystkiego, co stanowi

miłość bez nadziei, miłość prawdziwą, a jednak pełną obawy wobec opinii...

Ach; René widział się więc z Noris? Śmiał się z niąwidzieć.

Dlaczego nie plunęła mu w oczy pogardą?

Teraz Rajmund nie śmiał już udać się na ulicę Jouffroy, w obawie, ażeby nie

dostrzedz, że Noris jest przekształconą, że się w niej może zbudziła miłość lat

dawnych.

Te kobiety są tak niepojęte.

I niezadowolony, Ferdys zaczął myśleć o ucieczce.

Zresztą i w ministeryum trapiły go przeciwności. Siedząc pilnie za sprawami

ukochanego kraju, nieraz marzył ze swym admirałom, o

potężnych projektach; roiły

im się kolonizacye, odkrycia krajów nieznanych, i zatknięcia w nich

trójkolorowego sztandaru Francyi.

Ale cóż. Admirał Pradier du Resnel powracał z Izby

zawiedziony: nie zrozumiano

go.

Poczcivi deputowani, adwokaci z prowincyi, przyzwyczajeni do załatwiania spraw

drogą polubowną, albo lekarze, znający się lepiej na

bezkrwistości, jak na

sprawach ojczyzny, wytrzeszczali oczy i roztwierali gęby, gdy minister, ten

żołnierz, mówił z obowiązku, o odległej wielkości, o wpływie Francyi.

— Musiemy sobie przyznać, drogi Ferdys, że wszystkie nasze prace zostaną tutaj

na miejscu. Trudziłyśmy się dla szczurów, dla robactwa, dla archiwistów.

— Lecz, gdybyś admirale, powiedział im Ojczyźnie,

ie trzeba wypełnić obowiązek, trzeba ratować francuzów?..
Cóż u licha,
wszakże...

— Odpowiedzieliby, że wyborcy nie upoważnili ich do tego i
że nie wybrano by ich
powtórnie, gdyby przystąpili do rzeczy niepewnych. Zresztą,
mówiłem im to
wszystko. Bajki. O niczem nie chcą słuchać.

— Cóż począć?

— Przybić do brzegu i rzucić projekty do dyabła.

Ta pełna rezygnacyi odpowiedź zwierzchnika, połączona ze
smutkiem na myśl o
widzeniu się Renégo z Noris, podwajała zdenerwowanie
Rajmunda.

Stał się rozdrażnionym, cierpkim i przykrym.

Doszedł do tego, że nie mógł rozmawiać z własnym ojcem,
zwłaszcza od chwili
spotkania na Polach Elizejskich, co było jedną kroplą więcej
w kielichu jego
niesmaków.

Główną jednak przyczyną tak niemoralnego stanu Rajmunda
była przede wszystkim:

Noris.

Sam się przestraszał głęboką zmianą, jaka zaszła w jego
sposobie widzenia
rzeczy, w sposobie myślenia.

Jego purytanizm stawał się rodzajem mizantropii, czarnego
pesymizmu..

Jakże był naiwnym, myśląc o poświęceniach, o zupełnej abnegacyi, w chwilach, gdy był uwiedziony radością i złudzeniami....

A najpierwszem z tych złudzeń była Noris!... Po co się Renę z nią widział?...

Rajmund zrozumiał walkę, jaka toczyła się w sercu księcia. Niezadowolony, jak Rajmund, Chantenay dziwił się, że poraz pierwszy kaprysu swego nie pragnął ujawniać

przed światem. Czarująca, czarująca ta Noris, i pełna podziwu!

Powrócił do niej, raczył złożyć jej wizytę, skruszyć się przed nią, a ona nie

rzucała mu się na szyję z radości?

Był czas, że księżę wybuchnąłby śmiechem. Ale nie, nie mógł.

Czuł się

zgnębionym, szarpanym przez żądę.

Wszystko mu było jedno, co Noris mogła sobie o nim myśleć!... Jeżeli zgodziła

się go przyjąć, jak kiedyś, pozwoli jej być niewzruszoną, byleby tylko ta

niewzruszoność zakończyła się pocałunkiem.

Ale, niestety, tak nie było! Zaostrzył jeszcze pazurki tej małej Féraud!

To go właśnie gniewało, przyprowadzało do pasyi.

I René, zupełnie tak jak Rajmund, myślał wyłącznie tylko o Noris. Reszta nudziła

go, nudziła go zapamiętałe.

Pani de Montépreux wydała mu się trywialną. Gdy pomyśli, że chciał się z nią na

seryo ożenić? Ożeniłby się? Czyby się nie ożenił?
Księżna, matka jego powtarzała mu od czasu do czasu, gdy
szedł złożyć pocałunek
na końcach jej palców, i gdy nie znajdował ją w zupełnem
obezwładnieniu przez
morfinę:

— I cóż René słyhać z twojem małżeństwem?
Małżeństwo! Ech, ma jeszcze wiele czasu!
I po co miałby się żenić z Jacqueliną? Dlaczegożby nie z tą
córeczką bankiera
żyda, z tą panną Ahrenfeld, o której wspomniała mu matka?
O ile sobie przypominał, Żydóweczka ta była znośną.
Ale dlaczego ma się żenić z tą, a nie z inną?
Dlaczego zresztą, nie miałby się wcale nie ożenić?

— Mam jeszcze dość czasu! Pragnę poślubić kobietę, któraby
mi mówiła cokolwiek!

Ale w tej chwili....

W tej chwili jedna tylko Noris była wymowną dla księcia
Beaumartel de Chantenay.

Ramy, być może, że to ramy tylko! Owoc zakazany!

Utrzymanka, własność cudza!

Tak, to było wszystko bezwątpienia. Faktem jednak było
także, i to faktem

niezaprzeczonym, że Reno nigdy nie był tak strasznie
zdenerwowanym, przejętym i
podnieconym.

I bodajby przyszło zaślubić Noris, widział, że zaślubiłby ją
jakażskwapliwiej,

bodaj "na kwadrans!..."

Poślubić Noris!

Pierwszym razem, gdy myśl tak niedorzeczna, tak niezwykła
przyszła mu do głowy,
Kwiat szyku sam się roześmiał ze siebie.
Co za żarty!
Pamiętał dobrze, jak się usunął od małego Labrignac'a, który
ożenił się z
Cecylią Chalbosse z opery Bouffes.
A jednak, zdaje się, że Leon de Labrignac był szczęśliwy we
Florencyi, w
Neapolu, Bóg wie gdzie!
Mógłby być równie szczęśliwym i w Paryżu! A ponieważ
Cecylia Chalbosse podobała
mu się, byłby zbyt naiwnym, ażeby dla jakichś szykan
kolegów z klubu, nie
postąpić wedle swego widzenia rzeczy.
Noris była przecie inną kobietą, aniżeli panna Chalbosse!
O, cóż to za piękna kobieta!
Ale myślał za wiele o Noris.
Jacqueline de Montépreux nie spostrzegła już w swo-

im kochanku, rozerwanym nową miłością, dawnych zalet, i
widziała, jak starannie
unikał z nią rozmowy o małżeństwie, które w jej własnych,
oczach miało
zniweczyć, poskromić jego słabość.
Z hrabiną, od chwili zajścia w cyrku, książę stał się
niegrzecznym, rubasznym
nawet do pewnego stopnia.
Ostatnim dniem wesela dla pięknej blondynki, upojonej wirem
Paryża, jak
haszyszem, był ten obiad na tarasie w kawiarni Ambasadorów.

Odtąd, Chantenay wynajdywał zawsze zajęcia, obowiązki, migreny i nie wychodził z nią wcale.

— Ach, jaki ma nawał roboty! mawiał.

Jakiej roboty?

Żadnej, jak zwykle. Te wszystkie zajęcia były tylko pretekstem, niczem więcej.

Wtedy zaczęła go śledzić. Dowiedziała się, że jeździł do Noris, że powrócił, i

że, nie zostawszy przyjętym, urządzał się tak, ażeby ją spotkać w Lasku, w

teatrze, i że prosił nawet swego wuja Ferdys, ażeby go poprosił na obiad, na

którym oprócz Małgorzaty Brunier znajdowałaby się Noris.

Ale panna Féraud, uprzedzona, że René otrzymał zaproszenie, nie przybyła.

Oczywiście, informacje, jakie otrzymywała pani de Montépreux, nie zostawiały

żadnej wątpliwości, że Noris unika Chantenaya.

Ale Chantenaya gniewało i podniecało to coraz bardziej.

Dowodziła tego zresztą

uporczywość, z jaką pragnął ją, bądź-co-bądź, zobaczyć.

I jako kobieta, znając wybiegi kobiet, Jacqueline de Montépreux zapytywała

siebie, czy panna Féraud nie za-

mykała swych drzwi poprostu dlatego, ażeby zmusić Chantenaya do szturmowania z

jeszcze większą furją?

Hrabina zrobiła sobie pewnego wieczoru przyjemność zirytowania przynajmniej

Renégo.

— No cóż, kochany książę — rzekła doń — musisz być od pewnego czasu bardzo szczęśliwym w grze?

— Dlaczego?

— Gdyż, za wyłączeniem mnie, nie bardzo jesteś szczęśliwym w miłości!

— Nie wiem o czym mówisz?

— O panie Noris!

— I cóż panna Noris?

— Surowa jest z tobą, jak się zdaje.

— Panna Féraud może być surową z....

— Z panem de Ferdys, nie; ale powtarzam, z tobą" mój biedny René!

— Nie wiem — odparł René nerwowo — po co wtrącasz tu pana de Ferdys....

— Jakto? Wszak on kocha pannę Féraud, jak mi się zdaje? Ma do tego prawa. Nie ma przecie metresy. Nie przyrzekał zaślubić nikogo. A kochając pannę Féraud, powiedział jej o tem. Zapewniają nawet, że i ona zachwycona jest tem wyznaniem.

Książą zdawał się być nie w humorze.

— Moja droga Jacquelino — rzekł — zrobisz mi wielką przysługę, zostawiając te zwierzenia dla siebie. Postępki Rajmunda nie powinny cię obchodzić!

— Tak, ale twoje postępki mnie obchodzą, a panna Féraud nadto ci weszła do głowy!... Daję słowo, że mówiąc o niej i o swoim kuzynie, masz minę tak zabawną, że mi-

mowoli zdradzasz zazdrość. Ach, jakże ci nie do twarzy z tą rolą Otella! Za

jasne masz włosy! A przytem, René, czyliż ci nie wystarcza to, że ja cię kocham?

Bo ja kocham ciebie, kocham cię z całej duszy, kocham, kocham! A ty! Czy mnie kochasz?

— Ja? A jakże, a jakże! — odparł Chantenay tonem, który drasnął do żywego panią de Montépreux.

A więc już teraz mogła się nie łudzić.

Ujrzawszy Noris, René zakochał się znowu, jak dawniej.

Cóż to właściwie była za kobieta?

Jacquelina wiedziała, że Noris wistocie była piękną, a co gorsza, wyniośle piękną.

Ale czy ona nie była piękniejszą, z jej włosami jasnymi, w sutych kędziorach

spadającymi na jej posągowe ramiona?

Hrabina była gotową popełnić jakie szaleństwo, pójść do

Noris i zapytać się jej,

jakiem prawem porwała jej tego człowieka....

Ale wstrzymała się, śmiejąc się sama z tak niedorzecznej myśli:

— Tegoby jeszcze brakowało! Może ją mam prosić, ażeby mi ustąpiła swego

kochanka, tak jak prosiłam ją o adres magazynierki! Jakże nierozsądną jestem! Że

Renému się zdaje, iż ją kocha, cóż mnie to obchodzi! Ona go nie kocha! Ona kocha

Rajmunda! Tem gorzej dla Renégo. Niech sobie pochodzi troszkę na ulicę Jouffroy.

Powróci do mnie! Jestem zbyt piękna, ażeby się inaczej stać miało!

Szkoda, że mówiła księciu o Ferdys'ie. Było to po-

drażnienie najczulszej struny: próżności! Tak, bo i on o tem wiedział, wiedział, że Ferdys po tygodniu wahania, czy smutku, zjawił się znowu przy ulicy Jouffroy.

Dnie mijały i znowu codziennie młody oficer bywał u Noris, a Noris czekała go pewnie....

Czekała na niego, na tę istotę zimną, zapiętą, sztywną w zakiecie, jak w

mundurze, z ustami zaciśniętymi, z cerą spaloną, bez elegancyi, bez szyku

Myśl ta trapiła księcia Beaumartel de Chantenay, który rzucił się teraz w wir

zabaw, wyścigów, szaleństw, ażeby się oszołomić, ażeby zapomnieć, i stał się

mimowoli podobnym do tego samotnika Rajmunda de Ferdys.

Rajmund zresztą, nie opierał się już wcale miłości, a przejęty myślą o Noris,

chciał jej się oddać całkowicie. Byłby nadto nierozsądnym, pozbawiając się

rozmowy z nią, pojenia się miłością z jej uśmiechu, z czułego rąk uściśnięcia.

Za kilka miesięcy nie będzie go już może w Paryżu. Gdzie go bogi poniosą? Otóż

dla długich marzeń w ciągu odległych wycieczek, musi sobie
zrobić zapas
rozkosznych, wonnych, drogich wspomnień.
Nie mówił jej nic o tych czarnych smutkach, o tym niesmaku,
który go otaczał, a
który u tego nerwowego młodzieńca stanowił rodzaj
namiętności; nie mówił jej, że
ją kocha, nie, ale wszystko w nim, głos, wyciągnięta ręka,
spojrzenie mówiło o
tem Noris.
Raz tylko, gdy w rozmowie Noris rzuciła tych kilka słów,
które świadczyły, jak
się czuje szczęśliwą z tego lojalnego uczucia, tak licującego z
jej lojalnością:
— Ach, gdyby wiedziano, że przyjaźń kobiety może

stać się pożyteczną, nie miałabym jednego przyjaciela, lecz
całe tłumy
przyjaciół.

Rajmund ośmielił się odpowiedzieć:

— Przyjaźń nie warta jest miłości.

Ale Noris dodała szybko z uśmiechem:

— To pewna; ona warta jest sto razy więcej!

Uczuwała rodzaj upojenia, zadowolenia z samej siebie,
niejako oczyszczenia,

wiedząc, że jest kochaną przez takiego człowieka i nie słysząc
z ust jego

wyznania miłości.

To czarowne słowo, to czarowne słowo: miłość, tak
sprofanowano w jej oczach,

tamten tak je obłudnie szeptał jej do ucha, jakby jej wsączał
truciznę,
sięgającą głębi serca, że przyjaźń Rajmunda — a raczej miłość
pod maską
przyjaźni — wystarczała jej.
I Noris, która Renému wydawała się inną kobietą, była
wistocie inną dla
Rajmunda. Było to o tyle prawdą, że nie chciała, ażeby Ferdys
nazywał ją tem
imieniem Noris, które biedny marzyciel, śpiący na cmentarzu
Montmartre nadał
jej, jak piętno romantyzmu, jak stygmat fantazyi, znak
szaleństwa, wiary, za
którą musiała pokutować.
Pragnęła, ażeby ją nazywał "Zuzanną," imieniem jej matki, i
tak jak Marion
przekształcająca się na Maryę, Noris nie była już Noris,
dziewczyną upadłą, gdy
Rajmund mówił do niej: "A więc dobrze, będę panią nazywał
Zuzanną!"
Nikt, ani René, ani Wasyl nie nazywał jej tem imieniem, nikt,
oprócz jej
zmarłych rodziców, gdy była małą.
Zuzanna! Było to dla niej, jakby odmłodzenie wio-

sny; cała jej dziewiczość odżyła w tem imieniu, wonna jak
jaśmin.

Zuzanna! Była Zuzanną dla Rajmunda, przyjaciółką,
najprzywiązańszą z
przyjaciółek, świętym ideałem tego młodzieńca o sercu
bohatera.

Dlaczegożby nie miała nazywać się Noris dla innych?
Codziennie mogła z radością
widywać tego Ferdys'a który, jej zdaniem, tak się różnił od
innych ludzi, i
który ją poważał i ubóstwiał.
Miała więc teraz jakiś cel w życiu. Dla niej był on niejako
schronieniem przed
burzą.
Od czasu ponownego zjawienia się księcia de Chantenay,
uczula wistocie żywy
niepokój, potrzebę silnych wrażeń, jednej z tych burz, która
przed pięciu laty,
owego wieczoru, gdy rozgorączkowana szukała Reportera i
Żywicy, chodząc od
kiosku do kiosku, wprowadziła ją w stan walki przeciwko
całemu tłumowi osób z
towarzystwa, nie umiejących jej dać sposobu do życia, ani jej
obronić, a
tembardziej pomścić.
Powrócił więc niebieski książę!
Powrócił ten pogromca serc, ten cynik dziewiętnastoletni, ten
zimny morderca
miłości, ten dyplomata i, dżokej zarazem!
Powrócił skruszony, zakochany, błagający, podły w swej
żądzy zarówno jak był
nieprześląganym w pogardzie i powrócił, aby wyzebrać
miłość — miłość, nie,
raczej zadowolenie próżności i apetytu — był u niej na
odległość ręki i dość jej
było zapuścić paznokcie i podrzeć tę maskę obrzydłą.

Dawniej ona była jego ofiarą, dziś on sam zdaje się jej na łaskę i niełaskę.

Miałaby się wahać?

Ona cierpiała przez podeptanie jej wiary, jej szczerości, jej zaufania; on

podrażniony został przez wzrastającą żądzę, przez dumę pogardzonego uwodziciela.

Nie mogąc być przyjętym, pisał, jak mówił. Miała te listy, listy, któremi ją

zasypał od chwili swych ostatnich odwiedzin.

I jakie listy! Pełne próśb, wynurzeń i poniżenia. Ach, ależ on ją prawdziwie

kochał teraz, kochał tę, którą dawniej pogardził?...

Kochał.... Tem lepiej!...

I stanął jej znowu przed oczyma z tym monoklem, w chwili, gdy ona płakała,

niewdzięczny!

Jeżeli więc cierpi teraz, to słusznie. To odwet za jej łzy!

Ale pragnęła jeszcze większego odwetu. Odgadywała — widziała z tych listów

księcia — że mogła się wszystkiego domagać, o wszystkim marzyć.

Z oszołomionym księciem można było wszystko teraz zrobić, o wszystko prosić;

choćby prośby były najokrutniejsze. Chantenay przystanie na wszystko.

Spotkała go raz jeszcze w Gymnase, gdzie powitawszy ją w jednej z sal, szepnął

jej przez zaciśnięte zęby, roznamiętniony i zły, jak dziecko zepsute,

nieprzyzwyczajone do opozycji:

— Gdyby inna kobieta postępowała ze mną tak jak pani, byłbym zdolny do

zglądzenia jej, do zamordowania! Noris rozśmiała się serdecznie:

— Co, co? Już kilka razy spostrzegłam, że pan teraz używasz frazesów romansowych
To zabawne.... Nie, drogi książę, pan nie zabijesz nikogo!...
Pan nie zdolny
jesteś zakochać się tak dalece!... Nawet gdybyś podwoił
starań, nawet po
pięcioletnim namyśle!... Dobranoc!
Robiła wszystko, ażeby doprowadzić go do rozpacz, a nawet,
koniec końcem, bodaj
do pomieszania zmysłów!
Pani de Montépreux miała słuszność: upór w postępowaniu
Noris był niczem innym,
jak tylko chęcią przykucia do siebie Renégo.
A ponieważ uczuła, że książę jest już na jej usługi, tem
skwapliwiej skorzystała
z przywiązania Rajmunda de Ferdys, ażeby nie zamarzyć
nawet o skorzystaniu z
okazyi, jaką jej dawał Chantenay.
Rajmund był niejako hamulcem dla jej sumienia, i gdy
zostawała z nim sam na sam,
zapominając o przeszłości, o terażniejszości, o wielkim
księciu, była Zuzanną i
nie myślała o pomszczeniu Noris.
Pewnego popołudnia rozmawiała z Ferdys'em w tej bibliotece,
gdzie zwykła była
zamykać się ze wspomnieniami, i gdzie dopuściła tylko
Rajmunda, spoglądając na

bogate oprawy książek za szkłem w szafach i pomiędzy dwoma oknami różnokolorowemi, nadającemi temu kącikowi światowego apartamentu pozór kaplicy, na portret starca o siwej brodzie, którym był Feraud. Siedzieli tam przy sobie, rozmawiając bez końca o niczem, co dla nich jednak stanowiło treść niezmierniej wagi. Rajmund, wyliczając swe obowiązki żołnierza i przechodząc do owych poufnych smutków, do tych zwierzeń cichych, które jednak nie były wyznaniem, a jednak mówiły wie-

cej, aniżeli wyznania; gdy wtem, zastukano zlekka do drzwi, a na odpowiedź

Noris, weszła służąca, trzymając na tacy opieczętowany pakiet.

— Co to jest, Sylwino?

— To od pana Hirschlera, jubilera.

— Nie potrzebuję niczego.

— Nie, pani, ale pan Hirschler chce pani pokazać ten sznur pereł.

— Pan Hirschler nudzi mnie — odparła Noris. — Niech sobie zabierze te perełki. Nie potrzebuję ich.

— Jubiler oszczędł już, proszę pani. Jutro dopiero wróci.

Noris rozpieczętowała pakiet, otworzyła pudełko i ujęła na aksamitce sznur

przepysznych pereł, które oglądała przez chwilę, podczas gdy białe, fioletowe i

czerwone szkła okien nadawały perłom odcienia rubinów, turkusów i ametystów.

— Wistocie, prześliczne są te perły — ozwała się Noris.

— Pan Hirschler zapewnia panią, że ten naszyjnik nie ma sobie równego — rzekła

Sylwina.

— Wiem o tem. Markiza de Brignolles nabyła go na licytacji u Blanki Marigny i

pewno chce go odprzedać.

I Noris wskazując perły Rajmundowi, dodała:

— Powierzają mi skarb taki, patrz pan!.. Przed pięciu laty nie wyciągnięto by

nawet do mnie końca paznokcia, ażeby mnie z nędzy wydobyć!

Sylwina wyszła, a Ferdys rzekł zwolna do Noris:

— Czy się pani podoba ten naszyjnik?

— Bynajmniej.

— Jest prześliczny.

— Prześliczny! Dlatego, że drogi? Najmniejszy kwiatek dla mnie ma więcej uroku!

Gdy byłam młodziutką, gdy nosiłam muszlinowe sukienki z ozdobą z fijołków, było

mi daleko więcej do twarzy, ale nikt nawet nie spojrzał na mnie!

— Chcesz pani mieć ten naszyjnik?

— Co też panu do głowy przychodzi? On kosztuje bardzo... zanadto drogo!

— Chcesz go mieć pani?

— Co? Pan pragniesz się rujnować dla mnie?

— Wszystkobył uczynił dla pani — odparł Rajmund z powagą.

— Jestem tego pewną, mój drogi Ferdys. Ale pan mi dałeś już więcej, niż ten naszyjnik, dałeś mi pan fijołki w Wersalu!.. Umówiliśmy się chować fijołki te zawsze...

— Zawsze!

— Nawet gdy zwiędną. Ale zobaczysz pan, że mi je pan odeszlesz pewnego poranku!

— Nigdy!

— Tak to się mówi, a potem....

Zrobiła ruch swą piękną rączką w powietrzu, trzęsąc paluszkami, jak skrzydła ptaka, zabierającego się do odlotu:

— Frrrr!...

— Nie, nie, nigdy! — odparł Ferdys, starając się ująć tę piękną rączkę dla złożenia na niej pocałunku.

Ale Noris zaczęła się śmiać, gdyż Sylwina znowu zastukała do drzwi.

— Cóżto? Czy znowu jaki jubiler? Proszę wejść!

Sylwina wniosła na tacy list.

— Mogłaś przecie oddać mi ten list później — rzekła Noris.

— Przepraszam panią. List jest pilny....

— Kto go przyniósł?

— Kamerdyner w liberyi księcia de Chantenay-Beaumartel!

— Księcia! — rzekła Noris.

Spojrzała na Rajmunda, który zacisnąwszy wargi, odwrócił się szybko:

Od Renégo, ach! — szepnęła półgłosem.
Rozpieczętowała list z uśmiechem pogardliwym i odczytała
go z niezwykłym
zajęciem, podczas gdy Ferdys śledził grę jej rysów i przerażał
się wzruszeniem,
jakie się w nich malowało.

— Ach! — rzekła nagle Noris, śmiejąc się gorączkowo: —
tegoby tylko
brakowało.... Gdybym chciała teraz....

Rajmundowi omal serce nie wyskoczyło z piersi.

— Czy pani da odpowiedź?

— Odpowiedzi nie będzie — odparła Noris.

— Książę de Chantenay kazał bądź-co-bądź domagać się
odpowiedzi...

— Nie będzie żadnej, mówiłam!.. — powtórzyła Noris
wyniośle. — Zostaw nas!

Rajmund wstał, spoglądając co chwila na list, drżący w
palcach, które go
trzymały, to znowu na twarz Noris, fantastycznie oświetloną
szybami.

Ale czy ją kolory te drażniły, czy też machinalnie, dość, że
zapuşciła różowe

rolety, przez co pokój pograżył się w uroczym półcieniu.

— Cóż to za list? — zapytał wtedy Ferdys.

— List od pana de Chantenay — odparła Noris. — Słyszałeś
pan przecie!

— Słyszałem. Ale co pisze do pani Chantenay?

Noris wydała się zdziwioną tonem, jakim zadane było pytanie.

— Co takiego, drogi Ferdys?

— Pytam, co pisze do pani książę?

Spróbowała się uśmiechnąć.

— Oh, głupstwa... Gdybym panu powiedziała, nie uwierzyłbyś mi ani słowa!

— No, ale mniej więcej.

— Ach, drogi panie Rajmundzie, to mój sekret. Nie mogę przecież wtajemniczać pana we wszystkie nonsensa, jakie przychodzą do głowy waryatom...

— Ja pani jednak mogę odkryć wszystkie tajemnice mego życia i mego serca...

— Pan?... O gdyby tu szło o pana, to zmieniałoby postać rzeczy!... A zresztą, pan, to rzecz inna.

— A wie pani dlaczego inna... Chcesz pani, bym ci powiedział?

Zatrzymała się przed nim, trzymając ciągle w ręku list od Chantenay'a.

— Dlaczego? Powiedz pan.

— A więc, dla tego, że ja panią kocham, a pani mnie nie kochasz.

Pierwszy to raz wyznał jej tę miłość, pierwszy raz, a jednak ona nie doznała wrażenia niespodzanki ani szczęścia. Wiedziała, że ją kocha. Wiedziała o tem już od kilku miesięcy.

— Nie kocham pana dla tego, że panu nie chcę pokazać tego listu?

— Tak, dla tego.

— Ależ nic bardziej pustego, jak treść tej bazgraniny, przysięgam panu, drogi

mój Ferdys... Pan mnie kochasz... jak mówisz... a pan de Chantenay domaga się odemnie miłości: to wszystko!...

— Ale uśmiech pani, gdyś czytała list, przekonywa mnie, że pan de Chantenay nie jest ci obojętnym — odparł Rajmund z gniewem.

Rzuciła list księcia na stół, podeszła wprost do Rajmunda, położyła obie ręce na jego ramionach i podczas, gdy oddech jej muskał twarz Ferdysa, oczy zaś szukały jego oczu, rzekła:

— Spójrz pan na mnie, czy wistocie uśmiech widzisz pan w moich oczach? Spójrz tylko dobrze!

W głębi smutnych źrenic Noris, tych źrenic istnej Arabki, Rajmund dostrzegł ogień żywy, coś ponurego i złego zarazem:

— Nie — odparł ze drżeniem. Nie, Zuzanno, jeżelibym nie wiedział, że pani jesteś tak dobrą, tak szczerą, mógłbym przypuszczać jakąś straszną nienawiść!

Stała tak jeszcze przez chwilę, prawie wisząc nad nim, z ironją na ustach,

poczem łagodnie, patrząc mu w oczy, rzekła:

— Przerażam pana teraz!...

— Mówiłem przecie, że panią kocham. Pani jesteś dla mnie wcieloną dobrocią. Dla czegoż miałabyś mnie pani przerażać?

Dziwnie jej błogo było obok Rajmunda; stojąc, on przyciągał ją do siebie; a ona

łagodnie mówiła zcicha:

— Dlaczego?... Dlatego, że mnie pan nie znasz... Dla tego, że pan nie wiesz, ile cierpienia, ile gniewu, ile zrujnowanych nadziei, ile snów gorzkich i okropnych przeżyłam!.. Pan, panie Rajmundzie, gdybym panu się oddała całym sercem, byłbyś mi także poświęcił całe swoje życie, nieprawdaż?...

— O tak, całe życie!..

Wyrwała się nagle z jego objęć i zawołała śmiejąc się oschle i z boleścią:

— Pan jesteś szalony!... To coś mi pan powiedział, to bardzo ładne, ale... myśmy żartowali tylko!

— Zuzanno!

— W każdym razie ja żartowałam... Chciałam wiedzieć, czy pan mnie kochałeś prawdziwie.

— Chcesz pani także dowiedzieć się pewnie, czy jestem zazdrosny? — rzekł

Rajmund, którego gniewał śmiech Noris.

— O kogoż byłbyś pan zazdrosny?

— O Renégo.

— O Renégo?

— Tak... Pokaż mi pani ten list.

— I po co?

— To oświadczyń! — zawołał Ferdys.

— A naturalnie — odparła, ujmując znowu ze stołu list Chantenay'a.

— I pani nie podarłaś tego listu?

— Widziałaś pan, że nie.

— Wiem dla czego!

— Ciekawam bardzo?

— Bo pani zawsze kochasz Renégo! Tak, tak... bo pani go zawsze kocha!...

— Nie!.. Bo go nienawidzę — zawołała Noris, odrywając zębami połowę listu księcia — bo nim pogardzam, bo chciałabym się zemścić na nim, bo ten list, w którym mnie błaga, molestuje — list o mało nie zwilżony łzami — łzami Kwiatu szyku! — list ten przekonywa mnie, że księżę jest mój i że mogę z nim teraz robić, co mi się rzewnie podoba!

Miała w oczach taki wyraz tryumfu, że Rajmund głosem drżącym, gotów wyrwać jej ten list i podeptać go nogami, wyszeptał.

— A więc... a więc ten list takim szczęściem napawa panią?

— O tak, szczęściem!

Podniosła głowę, a bladą jej płeć zaróżowił odbłask rolety. Poczem rzekła:

— Gdybym nie spotkała na mej drodze tego człowieka, o którego pan jesteś zazdrosnym panie de Ferdys, wiesz pan kim bym była dzisiaj?... Byłabym uczciwą żoną uczciwego człowieka... Żoną jakiego literata albo urzędnika, ale zawsze żoną, matką, istotą którą szanują i której się kłaniają bez wstydu. A dziś!.. O nędznik!...

Spojrzała na list, zmiętoszony w swych palcach:

— A teraz on mnie kocha! Kocha! Ach on mnie kocha...

Założę się z panem, że nie

zgadniesz, co może ten list zawierać. Coś komicznego,
zadziwiającego,
nieprawdopodobnego... Tak, tak... nigdybyś pan nie zgadł!..
Trzeba tyć tak jak
on niewolnikiem namiętności, kaprysu... Czy

pan wiesz, co pisze do mnie pański kuzyn, co mi proponuje, z
jaką śpieszy
ofiara?

Miała jeszcze na ustach śmiech gorączkowy, chorobliwy.

— Kocha mnie, błaga, płacze niemal... chce zmazać
przeszłość! Śmiać się pan

będziesz... On chce mnie pojąć za żonę!..

Ferdys cofnął się z sercem trapieniem zazdrością i zawołał:

— A pani? — On chce pojąć za żonę... swoją dawną metresę!

Ten romans miłości, podeptany i zmiażdżony przed pięciu
laty, on chce wskrzesić,

chce go oprawić we własne herby i nadać mu swoje nazwisko.

A więc dobrze

zresztą! Niech się narazi na ten skandal: kiedy się nie lęka.

Porwał mi młodość,

ja mu zabiorę imię. Skwitujemy się. Rajmund struchlał.

— Pani nie uczynisz tego.

— Dlaczego? Czy dlatego, że zbeszcześciłabym księcia de
Chantenay? No, a gdyby

opłacił swoją ostatnią miłość tem, czem ja opłaciłam pierwszą:
życiem?

Dodała, kręcąc głową:

— Nie lękaj się pan, Chantenay pogodziłby się prędko ze
skandalem. Mniej by się

wstydził swej żony dzisiejszej jak dawniejszej metresy.

— A więc — powtarzał Ferdys — on panią kocha... i pani wierzysz, że on panią kocha?...

— Wierzę... Ponieważ stałam się owocem zakazanym... Tylko dla tego!

— I na ten list odpowiesz pani twierdząco?

— Dla czegóżby nie. Nie lękaj się pan, nie z miłości. Miała w głosie taką oschłość, że Rajmund pytał siebie, czy to ta sama Noris, którą znał i która stała przed nim.

Zdawało mu się, że ją nienawiść przekształciła nagle, to też, z jedną myślą

natychmiastowej ucieczki z tego domu na zawsze, odparł:

— Wie pani, panno Zuzanno, mszcząc się na Reném nie jego jednego dosięgniesz pani.

— Wiem o tem. Inni będą cierpieć. Ja naprzykład.

— I inni także...

— Któż taki?

— Ależ...

Rajmund chciał nazwać siebie: nie śmiał.

— Kobieta — odparł.

— Jaka kobieta?

— Kobieta, która kocha Renégo.

— Ach — odparła Noris — to zapewne pani de Montépreux.

— Wistocie, hrabina de Montépreux.

— Miała męża. Nie ma nic na swoje usprawiedliwienie, tem gorzej dla niej —

odparła Noris obojętnie

Wtedy Rajmund wydał jęk, jakby z samej głębi duszy.
Ujął Noris za ręce, przeszył ją wzrokiem i skupiając całą
swoją miłość w jedną
błagalną proźbę, zawołał:
— No, a ja, Zuzanno, a ja?
Tyle było namiętności w tym krzyku, w tem wyznaniu, że
Noris przymknęła oczy,
lękając się o samą siebie, pociągnięta ku niemu przez
magnetyzm młodości i
żądzy.

Nie śmiała spotkać się ze wzrokiem tego zakochanego
dwudziestopięcioletniego
młodziana, który ukląkł, błagając, w obawie, że Noris kocha
Renégo, i szepcząc
namiętnie te tylko wyrazy:
— Kocham cię! Kochaj mnie jednego!
Gdy podniosła przymknięte powieki, była już panią siebie.
— Spotkałam pana zbyt późno, panie Rajmundzie — odparła
stanowczo. Odejdź pan! I
zostaw mnie z moją przeszłością.
— Zaślubisz pani Renégo?
— Cóż to pana obchodzi?
— Zaślubisz go pani?
— Tylko wielki książę może żądać odemnie sprawy z moich
postępów, jakkolwiek
stał się teraz dla mnie przyjacielem tylko, niczem więcej. Ale
nie przypominając
mi wcale, że jemu wszystko zawdzięczam, dał mi dostatecznie
do poznania, że

obchodzi go to, co mogłabym zrobić ze sobą nadal. I gdybym przyjęła propozycję pana de Chantenay, to jeszcze raz powtarzam, że obchodzi to tylko wielkiego księcia i mnie samą, a raczej mnie wyłącznie!

— A więc pani zaślubisz Reného? — powtórzył Ferdys, przejęty nawskróś tą myślą, jak wszyscy bojaźliwi, których trapi namiętność. Powiedz mi pani, że to niepodobieństwo.

— Najlepszym dowodem, że małżeństwo to mogłoby dojść do skutku, skoro René sam się oświadcza.

— Niemowię, że byłoby niepodobieństwem, dlatego, że pani jesteś go niegodną, przeciwnie — jest niepodobieństwem dla tego, że on nie wart pani.

— To też ja nie jego biorę sobie, ale jego nazwisko! Odwet jest, zdaje mi się, zupełny! Takiej okazji się nie pomija.

Rajmund porwał za kapelusz, poczem wskazawszy ręką na portret Férauda, zawołał:

— Nie poznaję córki tego szlachetnego męża.

Błada, z okiem błyszczącym, ujawszy Rajmunda za rękę, którą ścisnęła z całej siły, Noris odparła, teraz dopiero obnażając mu krwawą ranę swego życia:

— I pan nie pojmujesz, że byłoby to największą pomstą mego męczeństwa. Idź pan,

i nie myśl już o mnie, zostaw mi tę swobodę w życiu, jaką sam
posiadasz! Nie
powracaj, Rajmundzie! Nie zjawiaj się na mojej drodze.
Kochasz mnie zanadto, a
ja... ach! ja nie mam prawa cię kochać!
Ostatnio słowa wypowiedziała tak, jakby mówiła: "kocham
ciebie," odpychając go
zlekka rozgorączkowanymi rękoma, które on chciał podnieść
do ust, okryć
pocałunkami, a które łagodnie wypędzały go prawie,
jakkolwiek miały
niepohamowaną chęć go zatrzymać.
Wtedy, czując, że może zacząć błagać tę kobietę, że może ją
znowu upraszać ze
łzami słabości i gniewu, ażeby nie zaślubiła Renégo,
zawstydził się samego
siebie.
I odszedł, wołając jeszcze do Noris:
— Pozbawiasz mnie pani zmysłów i kruszysz mi serce!
— Być może — odparła. — Tak bywa!
I ona tłumiała łkania. Siły ją opadały. Ach, ileż ją kosztowały te
odpowiedzi,
dawane Rajmundowi, pełne drwiącej ironii.

Tak, chciała być panią swej woli, pragnęła mieć swobodę
przyjęcia tej
bezsensowej propozycji księcia de Chantenay, zostania, jeżeli
zechce, księżną.
Księżną! Mogła nią być. Ach, po nad ten pusty tytuł,
przekładała sto razy miłość
Ferdys'a.

Kochała go.

Ale z głębi duszy mówiła prawdę: czuła, że nie jest godną
tego młodzieńca i

chciała, kto wie, skorzystać z nieprawdopodobnej ofiary
księcia.

Zresztą, czuła się być zgnębioną i był już czas, ażeby
Rajmund odjechał.

Stała się nerwową. Nabrzmiąte serce bolało ją. Wyszła pieszo,
bez celu,

oddychając świeżem powietrzem i powtarzając sobie z
gniewem, który wzrastał jak

u szalonej:

— Ach, on mnie kocha.... On chce mnie pojąć za żonę!... Chce
mnie zrobić

księżną.... On, który pogardzał uczciwą dziewczyną, czołga
się u stóp

kurtyzanki!

Szła prosto przed siebie i zmęczona przybyła do parku

Monceau, gdzie zatrzymała

się, wynajęła krzesło i siedząc, marzyła o tem, jak kiedyś...

kiedyś szła tą

samą drogą.

Wobec budzącej się do życia wiosny, Noris czuła się być
wzruszoną i przypominała

sobie ten wieczór majowy pochmurny i smutny, gdy szła, tak
niedaleko ztąd, na

ulicę Van-Dicka, błagać — i z jakim upokorzeniem! —

błagać księcia Beaumartel

de Chantenay o litość!

Atmosfera szczęśliwego życia odbiegła ją teraz, a chociaż
wietrzyk słodki i

świeży owiewał jej czoło, była ponura, czuła, że duszę jej
przepełnia gniew i

smutnie spoglądała na te wszystkie rozkwitłe kwiały, te
rośliny, te

bukieta lilii, te białe gałązki kasztanów, ten posąg
marmurowy, który zdawał się
uśmiechać na słońcu, i te szare gołąbki, spacerujące z wolna po
trawnikach obok
wesołych wróbelków.

I z jednego przedmiotu na drugi, z kłębka kwiatów na garstkę
dzieci bawiących się
w piasku, biegały oczy Noris, patrząc na wszystko i nie
zatrzymując się na
niczem, błędne, rozmarzone....

— Mogłabym się zemścić, gdybym chciała! Zemścić się!...
Zemścić!...

Ale zatrzymała się, bardziej zamyślona, na tej grupie małych
istot o czerwonych
buziakach, których krzyki zupełnie licowały ze szczebiotem
ptasząt.

Stopniowo, zaczęła się im przypatrywać coraz uważniej i
dłużej.

Dzieci!

Niektóre spały w powijakach na kolanach mamek; wysmukłe
drzewa zdawały się
całować swym zielonym cieniem ich białe twarzyczki i
zarumienione czołka.

Inne bawiły się, robiąc dziury w piasku, napełniając ziemią
kubki blaszane,

pomalowane na czerwono i niebiesko.

Miały na sobie białe sukienki, czerwone paski, niebieskie
zarzutki i duże

kapelusze z wstążkami, z pod których spadały włoski białe,
jak jedwab złocony.

Jakże piękne były te dzieci!

I zabawne, i dobre, i zadziwiające z ich wielkimi
badawczymi oczyma, któremi

przechodząc, spoglądały na zamyśloną panią.

Zapomniała prawie o szalonym liście księcia, o tłu-

mionych wyznaniach Rajmunda i zaczęła śledzić za ruchami
tych malców, czując
niezwykłą chęć ucałowania ich pucułowatych poczciwych
buziaków.

Zbudziło się w niej mimowoli uczucie macierzyństwa.

Tak, mogłaby zostać matką; miałyby własne ognisko rodzinne,
gdyby nie Chantenay,

Chantenay, który ofiarowuje jej to ognisko, ale bez świętości,
bez kochania —

ognisko, ofiarowane jej, jak jaki prezent bezwartościowy.

Chciała przyciągnąć te dzieci, jedno za drugim, porozmawiać
z nimi, ucałować

je, zapełnić ich kieszonki cukierkami, obciążyć ich ramionka
mnóstwem

zabawek.... Chciała zabawić się w matkę, jak oni bawili się w
konie, albo w

zamek z piasku.

Ach, macierzyństwo to zamek z piasku dla niej!

Wtem, z pomiędzy grupy malców, popchnięty przez
guwernantkę, która zapewne nie

chciała, ażeby się jej pupil bawił z nieznajomymi dziećmi,
wybiegł ładny

chłopczyk cztero czy pięcioletni, w kostiumie a la muzyk —
bluzce aksamitnej
zapiętej na haftki i w czerwonych spodenkach — i zbliżył się
do niej, szukając
zapewne cieniu, a w miarę zbliżania się, spoglądając na nią
coraz uważniej,
zdziwiony zapewne wlepionym w siebie wzrokiem tej
nieznajomejdamy.
O tyle był zdziwiony, że przybywszy do Noris, machinalnie
cofnął się w stronę
guwernantki i ujął ją za spódnicę.
Wtedy Noris ozwała się łagodnie:
— Czy mnie się kawaler boi?
Zatrzymała się, a guwernantka, która go przyzwycza-

jała do grzeczności, rzekła po angielsku, tak, że Noris
słyszała:
— Trzeba zawsze odpowiedzieć, Charley, gdy mówią do
ciebie! Powiedzże pani:
"Nie, pani, ja się pani nie boję!"
Dziecko zawahało się, spojrzało na guwernantkę i powtórzyło
prawie szeptem:
— Nie pani, ja się pani nie boję!
Wtedy Noris wyciągnęła do niego rękę.
On podał jej swoje.
— Pozwolisz mi się pocałować?
— With pleasure!... Powiedzże, Charley: "Z przyjemnością!"
— Z przyjemnością — powtórzył chłopczyk nieśmiało.
— A jak się nazywasz?
— Karolek..
— To bardzo ładne imię.

— Nazywam się także Charley... po angielsku! — dodał malec.

— Ach, więc ty umiesz po angielsku... You speak english, master Charley?

— A little! — odparł malec, którego łagodność Noris ośmieliła.

— Jesteś bardzo ładnym chłopczykiem — rzekła Noris. — Twój ojczulek musi być bardzo dumny z ciebie?

Dziecko odparło:

— Ja nie mam ojca!... On jest tam... pogrzebany w zamku! Wskazał rączką punkt jakiś w przestrzeni.

— Pan Charley — rzekła z powagą guwernantka, kła-

dać swą suchą rękę na jasnej główce chłopca — jest panem hrabią, de Montépreux.

— Montépreux?

Noris przy tem nazwisku spojrziała to na guwernantkę, to na chłopca.

Wistocie, Charley miał oczy i płęć matki.

Dziecko pani de Montépreux! Ta kobieta była matką takiego dziecka, dziecka,

które tak było ładne, że Noris z rozkoszą chciała je ucałować.

Mogła je kochać, miała takiego syna i stała się metresą

Chantenay!

— Kobiety są głupie, albo szalone!

I Noris wstała nagle, poczem schylając się do Charleya, który, zawsze elegancki,

zdział z jasnych włosów czapkę z piórem pawiem, rzekła:

— Powiedz mamie, że spotkałeś pewną panią, która prosiła cię, ażebyś jej

powtórzył, że na tym świecie nic nie jest warte ciebie...
ciebie... słyszysz?

Wtedy guwernantka wmieszała się, mówiąc uszczypliwie:

— Och, nie trzeba takich rzeczy mówić dzieciom, one i tak się już dają we znaki.

Po chwili zapytała:

— Jeżeli mnie pani hrabina zapyta o naswisko pani, jak mam powiedzieć?

Guwernantka czekała współuśmiechnięta ironicznie.

— Moje nazwisko? Panna Féraud — odparła Noris, odchodząc.

Gdy odchodziła, przyszło jej na myśl, że może w tej chwili, gdy mały Karolek,

"pan hrabia," jak mówiła gu-

wernantka, znajdował się w parku Monceau, jego matka hrabina była może tam, przy ulicy Van Dycka u Chantenaya!...

Imaginacya Noris mówiła jej, że nie może być inaczej.

Tak, tak.

Dziecko budowało zamki z piasku o kilka kroków od kochanka matki, podczas gdy ojciec pogrzebany w pałacu....

I Noris widziała jeszcze tajemniczy ruch sieroty: "Ja nie mam ojca! On jest tam."

Pani de Montépreux u Chantenaya! Napewno! I kto wie?

Może błaga księcia tak, jak

Noris przed laty.

Tak, Jacquolina dowiedziawszy się zapewne, i może od samego Renégo nawet, że

Chantenay marzył o nieprawdopodobnym związku z panną Féraud, udała się bezwątpienia na ulicę Van Dycka. Ta myśl ironiczna przychodziła do głowy Noris, w chwili, gdy opuszczała park Manceau.
— Biedny chłopcze! — szepnęła, marząc o Karolku w kostiumie ruskim — mnie może będziesz zawdzięczał, że książę de Chantenay nie zostanie twoim ojczymem!

List, który Noris otrzymała w obecności Rajmunda, René napisał nie bez namysłu i wahania; ale mały Chantenay wziął sobie za zasadę w życiu postępować według własnego upodobania. Otoż, gniewało go i nudziło, że matka nakłania go ciągle do małżeństwa, i że Jacqueline de Montépreux staje się coraz zazdrosniejszą i coraz częściej dopomina się spełnienia obietnicy.
— Chcą, bym się ożenił, a więc ożenię się, ale z tą, którą sam sobie wybiorę!
Stawał się coraz bardziej pochmurnym i rozdrażnionym; znajdował się w stanie takiego zdenerwowania, że ery to dla przesytu, czy przez gniew, czy na złość sobie samemu, mógł popełnić wiele niedorzeczności: "Dlaczegoż miałoby to być niedorzecznością? — pytał sam siebie, starając się rozważyć własny projekt.

To tylko jest niedorzecznością na tym świecie, co nie sprawia przyjemności.

Otóż, przyjemnie mi będzie mieć przy sobie istotę, której przez głupotę nie umiałem dawniej należycie ocenić!"

Przyszły mu na myśl te wartościowe obrazy, na które zrazu nikt spojrzeć nie chce, a potem kupujący gorączkowo prześcigają się w podnoszeniu ich ceny, ażeby tylko mogły się dostać do ich galeryi.

— Idyotyzm!.. To prawda — myślał Chantenay — ale w każdym razie fakt!

Zaślubić Noris!

Z chwilą, gdy myśl ta przyszła mu do głowy, pewnego wieczoru, po natrętnym dopominaniu się Jacquelines o przyspieszenie ich ślubu, już go nie opuściła.

Przeciwnie, wzrastała z każdą chwilą, absorbując go w zupełności i budząc w tem

zepsułem dziecięciu Paryża, coraz gorętsze żądze.

A nadomira wszystkiego, Rajmund stał mu na zawadzie i pobudzał do wściekłej

zazdrości. Chantenay rad był go się pozbyć jaknajprędzej.

Zdawało mu się, że Ferdys intryguje przeciwko niemu. Nie dla tego, ażeby sądził,

że Noris jest nałożnicą Rajmunda, bynajmniej. Ferdys jest zanadto człowiekiem

honorowym, zanadto trzyma się sztywno na to... Ale on kocha Noris!

Ach, on ją kocha! Rajmund był jej faworytem, gdy tymczasem
na Reného nawet
patrzeć nie chciała.... Co za ironia!
Kwiat szyku zwyciężony przez tego marynarza. W klubie
nazwanoby to paradoksem.
Bądź-co-bądź, René musi odnieść tryumf i jednym zamachem
powali wszystkie
przeszkody.
A przytem, René bądź-co-bądź chciał raz już skończyć, tak
czy owak. Znadto go
dręczono i prześladowano tym wyrazem: małżeństwo.
Jacquelina? Znajdował ją dawniej zajmującą, teraz już nią nie
była.
Szał za szal, ślub z Noris był mniej ryzykownym.

Pani de Montépreux była kobietą z towarzystwa, to prawda,
ale waryatką,
absolutnie waryatką. Przepyszna na metrese, ale nigdy na
żonę.
Wyborna do śpiewania kupletów w kawiarni Ambasadorów
między przyjaciółmi... Ale
u siebie mieć ją na zawsze.... Nigdy!
Zresztą, istniał przecie i ten mały Charley, którego René nie
znosił, nie
wiedząc, czy kiedykolwiek mógłby się przyzwycząić do
własnych dzieci, ale
nienawidził cudze.
Doprawdy, już wolałby tę małą Ahrenfeld z jej spłaszczonym
garbatym nosem, z jej
przykrym niemieckim akcentem i jej milionami!... Wszak
matka, księżna de

Chantenay, dość mu nagadała o tych milionach, dodając
wszakże, że ksiązę
Beumartel de Chantenay nie powinien się żenić dla
pieniędzy, to jest sprzedać
się.

— A jednak, René — mówiła — jeżeli tak dalej, będziesz
postępował jak dotąd,
majątek ojca rychło pochłoniesz, bądź pewien... A jeżeli
myślisz o moim, to,
pomimo migreny, możesz jeszcze długo poczekać...
uprzedzam cię!

Nie były to zbyt uciążliwe kazania i Chantenay słuchał ich bez
gniewu; ale

najwięcej gniewało go wieczne widmo małżeństwa.

Ożenić się! Dobrze! Ale przynajmniej — powtarzał
gwałtownie — przynajmniej

ożenić się z kobietą po swojej myśli.

Ze wszystkich kobiet jedna mu się teraz podobała najbardziej,

Noris. Było to

szaleństwem nie do darowania, ale jednak faktem było.

Wszystkie wspomnienia przeszłości szarpały mu serce.

Przytem, jakby los chciał

go koniecznie pozbawić zmy-

słów, wszędzie, gdzie się tylko obrócił, mówiono o Noris, a do
imienia Noris

dołączono zawsze imię Rajmunda.

Ta tajemnicza piękność, niedostępna dla tylu hołdów,

miałaby się wzruszyć

nareszcie? — pytano.

Rozbiła więc nareszcie — mówił hrabia de Marsan —
szklany kirys, w który stroił
ją wielki książę, przy każdym swoim odjeździe.
Chodziły nawet pogłoski, i to z ust wiarogodnych, że Noris
nie była metresą
wielkiego księcia.
Miał dla niej głęboki szacunek, protegował ją widocznie,
pozwalał jej na
uzurpowanie swego tytułu, ale w zamian nic nie żądał.
I ten Rajmund de Ferdys przybywał z Indyj umyślnie dla
uwiedzenia młodej
dziewczyny i zwyciężenia wszystkich jej wielbicieli.
Nic dziwnego tedy, że umysł, próżność, wszystkie zmysły
Renégo były zarazem
zgniewane i podniecone, i młody książę stał się wistocie
blizkim szaleństwa.
Pożądał tej kobiety, którą wypędził.
Byłby ją okupił całym majątkiem, zapłaciłby za nią więcej
jeszcze, zaprzedałby
jej osobistą wolność i własne nazwisko.
Jednakże wahał się, czując, że dla Chantenaya byłaby to zbyt
śmiała abdykacja, a
gdy spacerował po swoim gabinecie zdawało mu się, że z
głębi ram, książę Gerard,
wymalowany przez Flandrina, urągał synowi z pod jasnego
wąsa.
Ale żywa rozmowa z Rajmundem, nowe starcie księcia z
markizem, znagliły Renégo
do "ostatecznego szturmu" jak mówił, śmiało, otwarcie i
stanowczo.

Biada temu, kto by go chciał powstrzymać!
Książę miał pistolety wyborne i szpady pojedynkowe niemniej
pyszne dla dania
odpowiedzi śmiałkom.
Ach, Rajmund ośmielił się powtarzać jemu, Chantenayowi, że
Noris, raz
zawiedziona, nie miała, nie mogła mieć nic do czynienia z
tym, który ją zgubił!
Ten dobry Rajmund twierdził, że mężczyzna może sobie
wówczas tylko rościć jakie
prawa do kobiety, jeżeli wypełnia względem niej wszystkie
obowiązki; ten
okrętowy lejtenant stawał się moralistą, pomimo, że sam, jak
inni, lubiał życie
paryzkie i smakował w młodych dziewczętach.
A więc, Ferdys zobaczy! Tak, zobaczy! Rajmund nie zna
jeszcze swego kuzyna.
— On nie wie, do czego jestem zdolny!.. To, czego chcę, to
chcę! Chcę na złość
wszystkim i każdemu!
I książę, z gniewem w niebieskich oczach, z zębami
zaciśniętymi pod małym wąsem,
zakończył, zdecydowany na wszystko:
— A ja chcę posiąść Noris!
Wstanie tego gniewnego rozgorączkowania, które ogarnęło go
po tej ostatniej
rozmowie z Ferdys'em, Chantenay napisał list do Noris,
odebrany przez nią w
obecności Rajmunda.
Czekał w strasznym niepokoju na odpowiedź, której Noris nie
dała.
René był przekonany, że panna Féraud przyjmie jego
niespodziane oświadczyzny ze

zwycięzką radością.

Jakto, więc nie? nie odpowiedziała?

Chantenay spędził wieczór w klubie, w teatrze, na

operze, pewny, że wieczorem zastanie list przy powrocie na ulicę Van-Dycka.

Na operze spostrzegł panią de Montépreux i powitał ją nad wyraz oschle, prawie rubasznie.

Łzy zakręciły się w jej oczach.

W loży hrabiny znajdowała się pani de Blignac.

Jacquelina wstydziła się płakać przy niej.

— Co panu się stało? — zapytała zcicha i szybko Renégo. —

Com ci zawiniła,

książę?

— Nic.

— Już mnie nie kochasz?

— Owszem. Ale...

W tem ale tkwiła cała groźba porzucenia i niechęci, które nie uszły oka

Jacqueliny.

— Odwiedzisz mnie jutro?

— Jutro?

Zdawał się szukać w myśli, czy jutro nie będzie miał ważniejszego zajęcia.

— Nie namyślaj się pan, wiem, że nie przyjdiesz. A więc ja przybędę do pana.

Czy mnie przyjmiesz przynajmniej?

— Z największą przyjemnością.

Księżę odpowiedział z uśmiechem wymuszonym, jak przy ziewnięciu.

Jacquelina wiedziała dobrze, że René przejęty był nową miłością, a przez jasnowidzenie zazdrości przewidywała, że zajął się panną Féraud z chwilą, gdy Noris zaczęła go abnegować. Światowiec ten stał się teraz podobnym do kurtyzan-

ki, do prostej dziewczyny, kochającej policzkującego ją kochanka.
Pani de Montépreux, po tym chłodzie Renégo, po tej jego oschłości i niezadowoleniu, spostrzegła z przestraczem, że chwilowy kaprys księcia zmienił się w szal, nie dający się pohamować.
Rana zwiększała się i trapiła nieszczęśliwego. Głód dręczył go; dla zaspokojenia tego głodu potrzebował żywego ciała!
Wtedy Jacquelinie przychodziły do głowy myśli najniedorzeczniejsze.
Raz, miała chęć zrobienia skandalu, to znowu pragnęła, zamknąć się w klasztorze.
Pytała siebie, co ma uczynić, czy poszukać innego kochanka, czy zostać zakonnica?
Ale nie, nie: całą duszą, całą siłą uczucia kochała jednego tylko Renégo, jednego, wyłącznie!
Gdyby kazał jej opuścić wszystko: zbytek, dziecko i iść z nim na koniec świata, nie wahałaby się ani chwili.

Próbowała się uspokoić. Ponieważ Noris odpychała Reného, czego się miała lękać?
Czego się miała obawiać po tak próżnym człowieku jak on?
Wszystkiego!
René był zdolny do oświadczenia się Noris, do poślubienia jej, ażeby tylko
zadość uczynić swej żądzy.
Ta nadzwyczajna myśl przychodziła do głowy zazdrosnej hrabiny właśnie w tym samym czasie, co i zrozbaczonemu księciu.
Obawa Jacquelines o takie szaleństwo, zmusiła ją do odgadnięcia zarazem, że myśl ta już tkwi w głowie księcia Chantenay-Beaumartel.

— Tak — myślała pani de Montépreux — on byłby zdolny do takiej infamii!...

Przyrzeknie jej to tak samo, iak mnie kiedyś!.. Na szczęście, ona go nie kocha,
ona go już nie kocha, ona kocha Rajmunda!

Jak widzimy, hrabina rozumowała dobrze. Ażeby oprzeć się szaleństwu Reného jedynym lekarstwem miała być obojętność panny Féraud.
Noris, nie dawszy odpowiedzi pierwszego dnia, nie odpowiadała również dni następnych na szalony list księcia.
Robiła sobie przyjemność pytając siebie samej, czy powinna była zrobić swoją ofiarą tego podłego nędznika, a wiedząc dobrze, że René znajduje się w okropnym niepokoju, zachowywała milczenie i przedłużała karę.

Chantenay tracił cierpliwość. Miał wielką ochotę poróżnić z kimkolwiek Rajmunda.

Sam René miał żal jedynie tylko do Rajmunda.

Zdawało mu się, że gdyby nie on, Noris niezwłocznie wróciłaby do tego, którego

kochała dawniej, kochała prawdziwie przed pięciu laty.

A ze swej strony, Ferdys uczuwał względem Reného pogardę.

On to, on, ten

Pasożyt, ta lalka, on dla kilku godzin przyjemności, dla błahej przygody, dla

spędzenia czasu, dla szyku, dla zadowolenia próżności zrobił z panny Féraud

kobietę upadłą, kobietę, której się nie zaślubia.

Nie zaślubia? A jednak teraz Chantenay chce ją zaślubić!

Ofiarowywał jej teraz,

gdy stała się go niegodną, to nazwisko, którego odmówił jej wówczas, gdy była

najuczciwszą i najmniej wymagającą ze wszystkich kobiet.

— Nie wymagającą! Uczciwą?... Czyż Noris i teraz nie była taką?

Co za idea!

Dość było Rajmundowi zadać sobie takie pytanie, ażeby odpowiedzieć z całą wiarą

o prawości panny Féraud.

Nigdy nie spotkał istoty sumienniejszej, umysłu bardziej stałego, serca bardziej

szlachetnego.

Czuł się wobec Noris, jak wobec żyjącego echa własnych myśli, własnych poglądów

na stałość, własnego zdania o honorze.

Może zbyt romantyczna, w każdym razie Noris nie była
więcej romantyczną od
niego. Śniła przecie romans dusz podniosłych, poświęceń i
przywiązania. Śniła o
romansie jedynej miłości z Reném, miłości, która absorbuje
całą przyjaźń osoby
poddającej się i wiernej na całe życie.
Śniła tak jak sam Rajmund; ale on, szczęśliwszy od niej,
ureczywistnił swoją
fantazyę: nie kochał żadnej kobiety oprócz Noris i żadnej
innej, oprócz niej,
nigdy kochać nie będzie!
Ach, biedna dziewczyna! Gdyby zamiast spotkania Reného,
spotkałaby jego na
drodze życia, jego, Rajmunda, nie byłaby tą Noris, o której
mówiły kroniki, jak
o tajemnicy półświatka, i o której Gardanne opisał
niestworzone rzeczy, jej
salony, jej otoczenie i ogródkowo zdradzał tajemnicze życie
tej kobiety w
artykułach zamieszczanych w Paryżaninie.
— Nie byłaby — mówił Rajmund do siebie z gniewem —
nałożnicą wielkiego księcia!

I on także, jak plotkarze klubowi, zadawał sobie teraz to
pytanie z niepokojem,
trapiącym jego serce:
— Czy Noris jest wistocie metresą tego człowieka?
Ten portret wielkiego księcia Wasyla, w białym surducie, z
czapką białą na

czole, z krzyżem na piersiach, portret, wiszący na ścianie
salonu u Noris,
Ferdys miał ochotę rozbić na szczątki.
Metresa wielkiego księcia!
A więc Chantenay nie wahał się nadać swe nazwisko kobiecie,
którą cały Paryż
nazywał metresą wielkiego księcia?
A gdyby tytuł ten był tylko kalumnią?
Gdyby Noris pozwalała światu sądzić, że bohater z pod
Plewny był jej panem,
ażeby tylko trzymać w przyzwoitem oddaleniu wielbicieli
swych wdzięków?
— Przyjacieli, wyrażała się o wielkim księciu, mówiąc o nim.
Oryginał, magnat,
który powziął kaprys pozwolenia tej kobiecie na odzyskanie
dawnych swobód.
Co za szaleństwo! Noris dziś nie jest już może metresą
wielkiego księcia Wasyla,
ale nią była; jak można wątpić o tem?
I Rajmund czuł, że mu naraz pęka głowa i serce.
Poczem, stopniowo, tonąc w masie zwątpień, rozbierając
nową sytuację, w jaką
stawiała Noris propozycja Renégo, a raczej nie rozbierając
nic, dając się uwieść
miłości, która była równie bezwzględna jak miłość
Chantenaya, ale która była
inaczej szlachetna, nawet w zazdrości, Rajmund doszedł do
tego, że się zapytał
siebie, czy ubóstwiając Noris i pewnym będąc jej
wzajemności, nie dobrze

by postąpił, wchodząc w ślady Renégo i ofiarując swoje nazwisko na całe życie?

Dla Rajmunda, jak i dla Chantenaya, wszystko, co nie było Noris, nie miało uroku.

Uczuwał chęć porwania Paryżowi tej kobiety i uwięzienia jej na koniec świata.

Paryż i życie paryzkie przejmowały go wstrętem. Wir tego życia publicznego, które nużyło także i admirała Pragier du Resnel, odejmowało temu żołnierzowi

wiarę w własną przyszłość i zamiłowanie swego zajęcia.

Ale Noris wystarczała do zapełnienia jego myśli i do zaabsorbowania jego młodości.

Przy Noris zapominał o goryczy. Miał jeszcze miłość na świecie: miał żonę, uśmiech kobiety kochającej, jeżeli nie więcej.

Najwyższe rozdrażnienie ministra, w jakim powrócił z pewnej sesji, na której odmówiono mu kredytu na pewne ulepszenia w marynarce, znowu pesymistycznie usposobiło Rajmunda.

Minister podał się do dymisji, a Ferdys również uczuł radość, że może uwolnić się od tych zajęć biurowych, gdzie wszystkie projekta napotykały odmowę.

Ach, z jakąż rozkoszą odetchnie teraz wiatrem zachodnim....
— Dusilem się tu, admirale!

Więc znowu uda się na morze. Będzie błądził znowu, na oślepie, samotnie.

Dlaczego samotnie?

Opuści Noris. Usunie się od niej, jak przed pięciu

laty, ale wiedząc już teraz, że ta kobieta kocha go? Nie —
marząc o tem — nie,
to było niepodobieństwem!...

To kochanka Renégo, z którą Rajmund żegnał się przed pięciu
laty.

Ale dziś!...

Dziś, Noris była panią swego przeznaczenia....

Noris, bez złudnych marzeń o Niebieskim księciu, mogła
rozporządzać swoim losem,

a on Ferdys, czyliż nie może ofiarować pannie Féraud,
wdowie po pierwszej

miłości, tego, co jej ofiarował, tytułem wynagrodzenia przy
nowym targu, René

Beaumartel de Chantenay, to jest, swego nazwiska?

Wistocie, Rajmund mógł to uczynić. Ona była jedyną miłością
w jego życiu. Inny

chciał ją poślubić. I dla czegożby, on, markiz de Ferdys, nie
miałby jej pojąć

za żonę?

Nie znał w życiu istoty ludzkiej, którejby pewniej mógł
powierzyć swój honor,
pomimo nawet jej upadku.

— A gdyby zrobił niewielką ofiarę z samego siebie dla
zbawienia jednej

duszy?...

Lecz Noris, miłość Noris wartą tego była!

Rajmund był zbyt otwartym, zbyt kochał swego ojca, ażeby
mu nie powierzyć

tajemnicy i postanowienia, jakie zamierzał powziąć właśnie
po długich chwilach

namysłu.

Markiz osłupiał.

Zdawało mu się, że Rajmund dostał pomięszania zmysłów.

— Czy oświadczyłeś się panie Féraud? — zapytał niespokojnie.

— Nie.

— To całe szczęście! Sądzę, że tego nie uczynisz przecie! Toż to szaleństwo,

piękne być może, ale w każdym razie szaleństwo!

— Bynajmniej — odparł Rajmund z powagą. Kocham pannę Féraud, namyślałem się długo, kocham ją z całego serca, i powziąłem zamiar stanowczy.

— Ależ Rajmundzie, toż to metresa wielkiego księcia Wasyla! I markiz wzruszył ramionami, śmiejąc się prawie.

— Jesteś fantastą! Nie zaślubia się cudzej metresy.

— Panna Féraud nie jest metresą wielkiego księcia!

— Wierzysz temu?

— Wierzę — odparł Rajmund.

— Bo ona ci to powiedziała?

— Nie pytałem jej o to. Wielki książę jest równie obcym w jej życiu, jak sam

René.

— Przed pięciu laty, panna Féraud była biedną. Dziś jest bogatą. Skądże ma na taki zbytek?

— Opuści swój pałac, jeżeli zgodzi się wyjść za mnie, również biedną, jak

najswobodniejszą, o tem nie wątpisz przecie, mój ojczy!

— Poczekaj.. Porozumiemy się... Panna Féraud zostanie znowu biedną, zgoda; nie jest, czy nawet nie była metresą wielkiego księcia, i na to zgoda; ale była przecie metresą Renégo.

— Który postąpił jak nędznik, jak człowiek podły!

— Ach, drogi Rajmundzie, jesteś niedorzeczny! Czy

powracasz z Markizów po to, ażeby zreformować Paryż i brać na swoje barki winy innych.

— Przybywam do Paryża po to, ażeby postępować tak jak mi nakazuje sumienie, i nie tylko przyczynić się do swego szczęścia, ale i do szczęścia kobiety, którą znajduję godną siebie.

Markiz pogładził delikatnemi rękami swe kędzierzawe, włosy, jak gdyby szukając nowych zarzutów w swej siwej głowie.

— Namiętność cię zaślepia — rzekł w końcu — waryujesz.

Nie przeżyłbyś czterdziestu ośmiu godzin z panną Féraud, a już by cię osławiono; przypominam ci imię, które nosisz...

— Tak więc — odparł Rajmund — traci się honor, dając swe nazwisko kobiecie, którą się kocha, którą się szanuje, i nie traci się go, biorąc ją sobie za metresę?

Ojciec patrzył przez chwilę na syna przed odpowiedzią.

— Czy masz na myśli pannę Brunier? — zapytał pan de Ferdys, blednąc trochę.

— Nie mam nikogo na myśli. Mówię, że wasz świat jest niesmaczny, że wasze konwenanse nie mają za grosz sensu, i że są nieuczciwe! Mężczyzna zdradza

bezkarnie kobietę i za to mu włos z głowy nie spada. A zdradzonej kobiecie czyż nikt nie może podać ręki?

— Podaj rękę panie Noris — odparł markiz — ale nie żeń się z nią.

Rajmund pokręcił głową.

— Tak, to bardzo ładnie powiedziane, ale nie w ten sposób, jak chce Paryż, rozstrzyga się tego rodzaju kwe-

stye. Kocham Noris. Kocham. Jeżeli zgodzi się wyjść za mnie, poślubię ją.

— Jeżeli zgodzi się?... Ależ — zawołał markiz — byłaby chyba zbyt nierozsądna, gdyby się nie miała zgodzić.

— A jednak była nierozsądną — odparł Rajmund — o tyle, że dotąd nie odpowiedziała tak Renému, który prosił o jej rękę.

— René prosił o jej rękę?

— René!

— A to doskonale! — zawołał markiz... Ten nic dobrego René sądzi, że jest zakochanym w Noris, gdyż ona wyśmiewa się z niego, on ożeniłby się z nią na

przekór — tak bywa — a ty gorączkujesz się przez zazdrość..
Robicie na mnie
wrażenie dwóch dogów, którym rzucono jedną kość do
obgryzienia!... Panna Féraud
zachwyca cię, ja to rozumiem dobrze... I ja także szanuję ją,
jak powiadasz...
Ale ty jesteś więcej zazdrosny o Reného aniżeli zakochany w
Noris! Wierzaj mi!
Nie mów i nie rób głupstw! Pomyśl! Za pół roku René poślubi
panią de Montépreux,
ty zaś odbędziesz nową wycieczkę morską i doznasz nowych
wrażeń. Co do mnie —
dodał markiz z powagą, prawie ze smutkiem, wyciągając rękę
do syna — dziękuję
ci, żeś mi przypomniał, że mając włos siwy, czas już nie
myśleć o zbyt
młodocianych wybrykach!... Tak — dodał wesoło — to mi
poskutkuje. Od jutra —
wszystko skończone. — Zamiast ojca, będziesz miał dziadka!
Uśmiechnął się, a ujmując Rajmunda za obie ręce, rzekł:
— No, jakże, markizie, czy poślubisz pannę Féraud?
— Kocham ją! — odparł młodzieniec.

— Radbyś, żebym ci powiedział: "Tem gorzej dla ciebie,
spełnij twój obowiązek!"

— Kocham ją — powtórzył Rajmund.

— Ale przecie warto byłoby uczynić coś i dla świata...

— Czyż mniejszy byłby skandal, gdyby René pojął ją za
żonę?

— René! Zawsze René! Ech, raz jeszcze ci powiadam, że
René spłaciłby stary dług,

dług honorowy, jeżeli chcesz... A zresztą, René to René... Ale ty!...

— Ja kocham ją! — odparł znowu stanowczo Rajmund de Ferdys.

Markiz był zakłopotany.

— Ach, do licha! — zawołał z gniewem na samego siebie. —

Nie ja ci będę prawił

morały... Jakie mam prawo do ciebie? Ładny moralista —

grzesznik! Ale gdyby

twoja matka żyła — o, toby ją dotknęło... tak... dotknęło boleśnie...

— Moja matka domagałaby się odemnie tylko dwóch rzeczy:

być uczciwym i

szczęśliwym!

— Sądziś więc, że zaślubiając Noris byłbyś szczęśliwym? I

czy myślisz, że świat

miałby cię za uczciwego człowieka?

— Pogardzam waszym światem — zawołał Ferdys.

— Niech i tak będzie. Ale nie dawaj jemu pretekstu do

pogardzania tobą. Pojmij

za żonę kogokolwiek, kobietę nie wartą może pod względem

moralnym panny Féraud,

owszem, ale nie ją!.. Twoje szczęście?.. Ależ właśnie jesteś na

drodze do

zrujnowania go!.. Szczęście stanowi młoda dziewczyna, która

nie znałaby, nie

kochała i nie po-

żądała nikogo prócz ciebie, dziewczyna, której ty byłbyś

marzeniem, snem,

ideałem... mężem i kochankiem.... Twoje szczęście jest w klasztorze! Twoje szczęście tańczy może pod białym welonem. Ono nie jest daleko! Ma lat ośmnaście, a jeśli chcesz, ażebym je przywołał, dam znak, a w tej chwili przybędzie!., Ale, ty wiesz dobrze, mój drogi, że szczęście to materya wiotka: jeśli go się nie pochwyci, może umknąć. Biedny markiz miał łzy w oczach, które czuł dobrze, i które wydawały mu się śmiesznymi. Frasunek jego nie miał granic, gdy pomimo wszelkich argumentów i przekładań, Rajmund odparł mu ostatecznie: — Kocham Noris! Kocham ją, kocham i wszystko, co rai ojciec mówi nie zdoła oderwać ranie od tej miłości. Nazajutrz, Rajmund de Ferdys spostrzegł, że markiz dotrzymał słowa: wąsy pana de Ferdys były białe. Markiz rzekł do syna: — Mam ci powiedzieć nowinę. — Jaką? — Wielki księżę Wasyl przybył do Paryża. Pewno będzie się ubiegał o Wielką Nagrodę. — Ach! — odparł Rajmund. Był blady jak płótno. Markiz zapalił cygaro. — Tak — dodał obojętnie — powtarzała mi to właśnie ta biedna Małgorzata Crunier.... Winienem ci przytem dodać, że możesz już jeść obiad u Ambasadorów,

kiedy ci się tylko spodoba.... Już mnie tam nie zobaczysz z
Margot! Zerwałem z
nią!.. Płakała, dając ci słowo! Do, licha,

przyzwyczajenie!.. Poczciwa dziewczyna!.. O, bywają takie....
A podczas, gdy Rajmund, dotknięty do żywego, myślał o tej
niespodziance, mającej
zrujnować wszystkie jego nadzieje: "Wielki książę przybył do
Paryża!" Markiz de
Ferdys dodał:

— Wiesz, jeżeli będziesz grał na wyścigach, trzymajże za
Frontignanem. To
zwycięzca z Derby.... każdy żokej faworyzuje go od czasów
Chantilly. Do
widzenia, Rajmundzie!

V.

— Co tobie, droga Noris?

— Mnie? Nudzę się.... Wbrew własnej woli i pomimo, że
wasza wysokość jest przy
mnie, nudzę się, ten tłum, ten hałas denerwują mnie!...

— Jeżeli jesteś cierpiącą, może przejdziemy do cieniu....

Wistocie dzień jest
nadzwyczaj gorący.

— I będzie długi!

Noris wypowiedziała te ostatnie słowa szeptem, jakby
ziewając, a oczy jej
patrząc dokoła na tłum wyścigowców, przybierały wyraz
znudzenia i smutku.

Było to na Longchamps, w dzień ubiegania się o Wielką Nagrodę.

Noris wstała tego dnia gorączkowo, niebieskie motyl-

ki biegały do koła jej głowy, to po wspaniałych czarnych włosach, to po

koronkowej pościeli.

Prześliczna była pogoda; gdy służąca rozsunęła ciężkie firanki, słońce zajrzało

do sypialni, a niebo było uśmiechnięte, całe lazururowe, piękne czerwcowe niebo

jeszcze wiosenne, jak dzień majowy, tak, że nawet wspaniały kostium Noris,

leżący na szeszlunku, arcydzieło elegancji, stracił wiele na swej piękności.

Jakże ją będą lornetować!.. Jak to imię: "Noris" obiegać będzie wszystkie usta.

Imię, które zdawało jej się już nie należącym do niej od chwili, gdy Rajmund

nazwał ją imieniem z lat dziecińczych: Zuzanną!

W roku zeszłym, o tej samej porze, Noris obudziła się prawie wesoła, pomimo

całej goryczy swego usposobienia.

Ten hałas o Wielkiej Nagrodzie, ten kiermasz zbytku, przyciągały ją, jak

gorączka, która mogła dać zapomnienie.

Ale "czyliż można zapomnieć?" Cieszyła się ironicznie, że dzienniki i kronikarze

opiszą jej kostium i powtórzą jej rozmowę.

Ta pewność powodzenia, stwierdzonego przez tych, co pastwili się nad jej ojcem,

napawała ją pewnym rodzajem rozkoszy.
Ale dziś, dzień Wielkiej Nagrody wydawał jej się poprostu nudnym, gniewał ją nawet.
Wielki książę pragnął być koniecznie na tym spektaklu!
Uważał się za Paryżanina,
bo już nieraz był w tym tłumie.
A pewność powodzenia Noris dodawała dlań wiele uroku w tym dniu uroczystym.

Prosił ją, ażeby koniecznie udała się na Longchamps. Nigdy przecie nie wymagał od niej wielu poświęceń.
Przybywał z Petersburga, miał bawić tylko trzy tygodnie w Paryżu i zniknąć aż do sezonu w Nizy.
Ale przyjeoielska życzliwość, jaką miał dla Noris, domagała się dla niej nieustannych sukcesów.
Dla wielkiego księcia, Noris była jego dziełem. Pochlebiało trochę jego wysokości, że znalazł paryżankę, która umiała imponować całemu Paryżowi. Dawniej pożądał jej dla jej piękności, dziś powracał do niej jedynie dla jej rozumu.
Wielki książę, dawniej pociągnięty przez kaprys, dziś lgnął do niej przez przyjaźń.
Ta kobieta, w której przeczuwał duszę wyższą, a która mówiła doń językiem

fantastycznym, podobała mu się; ale nie szukał przy jej boku,
tego, co mieć mógł
przy boku innych: przyjemności.
Wymagał od niej, przeciwnie, tego tylko, czego inne dać mu
nie mogły: rozumu,
rozmowy, marzeń, a także zapomnienia.
Mówiono, że wielki książę kochał się bez wzajemności w
jednej z kobiet wielkiego
świata w swojej ojczyźnie.
Noris zachwycała go, jako urzeczywistnienie ironicznego
paradoksu, zachwycała go
ta jej umiejętność trzymania ludzi zdaleka od siebie.
— Tylko w Paryżu — mówił Wasyl — można znaleźć w
mieszczaneczce tę dumę księżny
i tę czystość rasy!
Nawet artykuły, które gazety poświęcały metresie wielkiego
księcia nie były
przykre dla jego wysokości.
Jego metresa! Pochlebiano mu bardzo. Ale jego

próżność znajdowała pewne upodobanie w tem, że ludzie
myśleli, że ta piękna
istota, nie należąca właściwie do nikogo, należała do niego.
To też, za żadną cenę, nie opuściłby kobiety, która w jego
oczach grała rolę
pani jego domu, a tembardziej rad był pochwalić się nią
publicznie pewnego dnia
na wyścigach, dnia Wielkiej Nagrody.
Przez chwilę, Noris miała chęć zabrania ze sobą na
Longchamps Małgorzaty

Brunier, ale znalazła młodą dziewczynę w dziwnym rozdrażnieniu. I ją także męczyły już te widowiska, i ona była znużoną, osamotnioną i zbolaną.

Margot była już tyle razy obecną przy zdobywaniu Wielkich Nagród, uroczystości

tak podobnych do siebie, jak wszyscy wielcy książęta!

Wszystkie te biegi, jedno podczas deszczu, drugie na słońcu, jedno, przy których

błoto bryzga całymi plastrami, drugie, przy których kurz kłębamii osiada na

piersiach — wszystkie koniec końcem nie miały uroku nowości i dawały się opisać

zawczasu.

— Nie, droga Noris, tego roku będą się ubiegać o Wielką Nagrodę bezemnie. Mam

dosyć tego dobrego! Starzeję się, doprawdy. Usypiają mnie te widowiska.

Stara! A w jakim wieku była Margot? Lat dwadzieścia sześć!

Małgorzata nie mówiła, co ją rozdrażniło więcej, aniżeli przypuszczać mogła, to

mianowicie postanowienie Markiza de Ferdys zerwania z nią poprawnie, elegancko,

ale zerwać nagle i stanowczo! Wybryk, facecya?? Nie, nie, raczej silna wola!

Stary Ferdys przyrzekł synowi wóz zatrzymać — dotrzymał słowa i odprzągnął konie.

Margot nie miała prawa robić mu wymówek: przecinał łańcuch złotymi nożycami.

Ale ta biedna Margot przyzwyczała się prowadzić życie łatwe, bez trosk i kłopotów, a przytem ten markiz z siwemi włosami i zmarszczkami w kątach oczu podobał jej się.

Kochała go wistocie pocziwa dziewczyna, marzycielka jak inne z ich rumianemi twarzyczkami i uśmiechnietemi oczyma.

A teraz, musiała znowu rozpocząć życie kobiet upadłych, życie rozpaczliwe, musiała szukać nowego kochanka, nowej miłości — jakby to było miłością! — i spacerować przy boku innego mężczyzny z tą samą fałszywą wesołością i tym samym uśmiechem, nieodzownym argumentem jej piękności.

Stopniowo, nie chcąc na razie zwierzać się nikomu, Margot wtajemniczyła Noris w swoje położenie; i nawet ten pałacyk, w którym Małgorzacie wymknęły się te zwierzenia, dodawał ironii do ich smutku.

Ach, jakąż miała ochotę sprzedać wszystko, wszystko stopić — jak mówiła żargonem prostej dziewczyny, zmuszonej znowu malować policzki — jakąż miała ochotę zakopać się w jakim wiejskim zakątku z psami, kurami, w płóciennym kaftanie na plecach, ale przynajmniej ze swobodą i z prawem życia, jedzenia i spania dowoli...

— Ach, babka Brunier, która popchnęła mnie na tę drogę, była obrzydliwą kobietą!

— mówiła Margot, wskazując palcem na jakieś niewidzialne widmo, widmo starej.

kobiety, śpiącej obok mogiły Eugeniusza Féraud pod murem na Montmartre.

W głosie dziewczyny czuć było tragiczne łkania, a Noris drżała, myśląc o tym,

który ją popchnął na drogę nie mniej wstrętną!

Noris, od chwili, gdy Chantenay oświadczył się jej, czuła, że się znajduje w

gorączce, że jest słabą, i złe myśli przychodziły jej do głowy.

Poślubić księcia — to byłaby zemsta! Nigdy nie śniła o takiej zemście. Byłoby to

i głośne i zabójcze!

— Wiem dobrze, dlaczego on pragnie popełnić takie szaleństwo! Ten człowiek

dotychczas mógł robić wszystko, co chciał. Brnie więc dalej!

I z odcieniem złośliwości w głosie, powtarzała nieraz sobie:

— Księżna!... O, cnota moja byłaby hojnie opłaconą!...

Przybycie wielkiego księcia odwróciło te myśli i pragnienia Noris.

Przyjęła go z chłodną grzecznością, ale przyjęła go, a obecność jego wysokości,

oddaliła na chwilę z jej myśli, oświadczyny Renégo.

Co zaś do Rajmunda, rzecz dziwna, ten już nie przybywał.

Noris była niespokojną, pytając się, czy młody markiz opuścił Paryż, ale

Małgorzata Brunier przekonała ją, że nie.

— Nie przybywa! — mówiła do siebie — może mnie już nie kocha!

Nie, nie. nie mogła wątpić. Rajmund nie przybywał,

bo się jej lękał i miał rację, że się lękał, gdyż ona czuła się w takim usposobieniu umysłu, gdzie szaleństwo stoi tuż, groźne, gotowe popchnąć do postanowień niedorzecznych, mogących stać się ruiną całego życia.

Bóg raczy wiedzieć, co wybrałaby Noris, czy Rajmunda, którego kochała, czy Chantenaya, którego nienawidziła, a który zdawał się jej na łaskę i niełaskę, czy wreszcie wielkiego księcia, który przybywał, jakby dla odłączenia jej od jednego i drugiego.

— Gdybym była odważną, wiem, co bym uczyniła: to, o czym marzy Margot!...

Znikłabym, zakopałabym się, zestarzałabym i umarłabym na folwarku, jak wieśniaczka!..

Ale wkrótce prawda tego niewolniczego życia w zbyt kownem otoczeniu oprzytomniła ją, i zawahawszy się z wstąpieniem w ślady Małgorzaty, która nie chciała pojechać na uroczystość Wielkiej Nagrody, znalazła się na Longchamps, wpół leżąc w powozie, lornetowana, podziwiana, witana ukłonami, a wielki książę zbliżył się piechotą pomiędzy ekwipażami, by porozmawiać z tą piękną Noris, która przy promieniach słonecznych wydawała się jeszcze piękniejszą. Tylko była rozdrażnioną i ponurą, myśląc o wszystkim, z wyjątkiem o ścigających się koniach.

Nic jej nie zajmowało.
Tłum ją drażnił, a od słońca dostała migreny.
Uczuła potrzebę spokoju, wypoczynku, chciała pozbyć się
widoku tego tłumu, tych
okrzyków i tych biegów końskich; i im bardziej wielki księżę,
zdziwiony jej
smutkiem, pytał się jej, czy cierpi i dlaczego spogląda na tory,
na jockey'ów,
na stroje, na powozy, wzrokiem tak obojętnym,

jakby miała przed sobą jakiś nieudolny obraz, albo aktorów
nudnej operetty, im
bardziej pragnął ją rozerwać w jej raptownej niedyspozycji,
tem bardziej Noris
czuła się w tym hałasie tłumu samotną i zgubioną, doznając
stopniowo
wzrastającego wrażenia ruiny i ponurej samotności....
Byłoby jej tak dobrze w jej bibliotece przy ulicy Jouffroy, po
za roletami z
różowego jedwabiu, gdy czytała marzyła, albo leżała w cieniu
w ogrodzie swego
pałacu, w lubym spoczynku jak po kąpieli.
Tam, z współprzymkniętymi oczyma, sama jedna, w obawie,
ażeby nie usłyszała
odgłosu dzwonka, któryby ją zbudził z tego zapomnienia,
spędzała nieraz chwile
marzeń, w ciągu których rozbierała całą rozkosz i smutek
swojego życia; i
właśnie dzisiaj była usposobioną do spędzenia całego dnia
wśród smutnych
wspomnień i marzeń o przeszłości....

Wasył uważał to za śmieszne. Dlaczego pragnął koniecznie, ażeby pojechać na Longchamps? Była to uroczystość wielkoświatowców. Trzeba było odegrać komedię; w dzień zdobywania Wielkiej Nagrody nie wypada być w domu, i sądząc, że ją rozerwie, wielki książę zapragnął, ażeby Noris powiększyła liczbę figurantek w panoramie światowej Longchamps'u. Ale właśnie ogłuszający gwar tłumu powiększył jeszcze rozdrażnienie Noris, pogrążając ją niejako w mgłę smutku. Nawet jego wysokość, wielki książę, nudził ją. Ale nie więcej jak wszyscy, nie więcej, jak ci żokeje, jak całe towarzystwo. Wszystko ja, nudziło. Od czasu do czasu doznawała

gorączki nerwowej, co widząc wielki książę, odzywał się z akcentem rosyjskim:
— Noris jest najdziwaczniejszą ze wszystkich stworzeń!..
Tak, wiedziała o tem dobrze. Miała poczucie nie być podobną do innych kobiet. Wistocie, różniła się od tych pięknych dziewcząt, które spoglądały na nią z zazdrością i z nienawiścią zarazem, zwłaszcza przeszywał ją wzrok jednej kobiety, o postawie wyniosłej, dumnej i okazałej, kobiety prześlicznej, siedzącej w trybunie w sukni pąsowej na tle koloru słoniowej kości, a którą była Jacqueline de Montépreux.

Noris czuła na swej twarzy wzrok hrabiny, palący jak szkło wypukłe na słońcu.

Ta biedna pani de Montépreux nie spuszczała z niej lornety, ani oczu. Musiała ją bardzo nienawidzić.

— Biedna kobieta! — pomyślała Noris — gdybyż wiedziała....

A gdzież był Chantenay? Wszakże Wielka Nagroda nie mogła być zdobytą bez księcia de Chantenay?

Gdzie księżę? Noris szukała księcia. Kwiat szyku znajdował się przy wadze. Nie spostrzegła go.

Ale był! Przed chwilą ktoś wymienił jego nazwisko.

Ludzie przechodzili, a dwóch dziennikarzy mówiło:

— Chantenay zawsze w aureoli szyku!

— Zawsze! — odparł drugi.

Chciała go zobaczyć, ciekawa, jakby się zachował pomiędzy nią i hrabiną, wobec

tych dwóch kobiet, którym jednakowo nakłamał.

Jakby się zachował? Ależ poprawnie, arcy poprawnie.

To już jego taki zwyczaj Chantenay zawsze bez zarzutu!

Tego rodzaju spotkania nie krępują go bynajmniej. Był do nich przyzwyczajony.

Ale przy tem wszystkim cóż René obchodził Noris? Co ją obchodziła pani de

Montépreux? I całe to towarzystwo!

Czuła nie dającą się pohamować chęć odjechania, tak była rozdrażniona....

Nagle uderzyła wachlarzem po dłoni i rzekła:

— Odjeżdżam!

Wielki książe spojrział na nią.

— Jakto? Na seryo? Odjeżdżasz? Byłażbyś chorą? — Nie, nie jestem chorą....

Jestem nie w usposobieniu... Nerwy... Przepraszam waszą wysokość!...

— Och, ja przebaczam!... Ale Wielka Nagroda?...

— Wielka Nagroda! Zostawię ją sobie na rok przyszły!...

Ruszaj! — rzekła do

woźnicy, który z niezadowoleniem wyjechał z pośród stojących w szeregu powozów.

Noris była już daleko, szczęśliwa, że może uciec.

Zdawało jej się, że głos, pełen niekłamane go szacunku z akcentem rossyjskim,

powtarzał po kilkakroć to imię: Noris!...

Ale jedno imię powstrzymałoby ją tylko.

A tego imienia nie znał wielki książe, jeden tylko Rajmund znał je, mianowicie:

Zuzanna!

Przytem istotnie cierpiała w tym tłumie. Pragnęła znaleźć się w samotności,

ażeby pomarzyć trochę.

Już uniknęła tłumy, już woźnica przebywa most, zatłoczony powozami, podczas gdy

Noris z bezmyślnym

uśmiechem spoglądała na siną wodę, płynącą tam z szybkością iskry.

Niebawem znalazła się w wiosce. Przyszła jej fantazyja przyjrzeć się tym ludziom,

dążącym od strony Suresnes ku murawie, którą opuściła przed chwilą.

— Jedź wybrzeżem! — rzekła do zdziwionego woźnicy.

— Ale, proszę pani, koń....

— Jedź!

Bawiło ją teraz patrzeć na te wązkie uliczki Suresnes, gdzie ludzie płynęli tłumem jak potok.

Droga z Paryża, tam w górze, przepelnioną była spieszącymi ludźmi:

małomieszczenie, komiwoyazerzy, wypadkowi sportsmeni, spieszyli z lornetkami, ażeby zakładać się, przegrywać dochody miesięczne, tygodniowe, całą zawartość swych sakiewek.

Lubo w pośpiechu, patrzyli jednak, wciąż obcierając spocone czoła, na tę piękną kobietę, która w spółkę w powozie, uciekała od tego, co ich nęciło, uciekała z pogardą.

Noris w przelocie dostrzegła niekiedy ironiczne spójrzenia, słyszała gorzko-słone docinki kochanych paryżan.

Co ją dziwiło, to ta radość, ta wesołość tych ludzi, którzy pomimo czerwcowego upału idąc ręka w rękę, albo pojedynczo, śmieli się na całe gardło.

Przed niektórymi karczmami w Suresnes, stały na otwartym powietrzu ławki i stoły, na których pito rozcieńczone wino w grubych szklankach, nie zajmując się wcale polem wyścigów, rezultatami wagi i całym high life'm. Ładne dziewczęta

wystrojone odświętnie, o cerze opalanej i czerwonych rękach
usługiwały gościom,
a "towarzystwa", siedzące w głębi ogródków przy stołach,
miały

pozór zdrowej wesołości, która przypominała Noris wycieczki
zamejskie biednych
ludzi na plac Clichy, pod altanami, gdy z ulicy Brochant
kiedyś chodziła w tamte
strony na spacer z ojcem.

Na placyku przed kościołem inne widowisko uderzyło ją i
kazała zatrzymać powóz.

Przybywszy tam, zdziwiła się, widząc przed Portykiem tłum
czekającego ludu.

Wyrostki, dziewczęta, tłoczyli się gwarno, a z ponad białych
czepców mnóstwa

kobiet starszych, widniał wygalonowany złotem kapelusz
szwajcara, błyszczący jak

żółte słońce na polu czarnego zboża.

Mimowoli zbliżyła się z zaciekawieniem.

W kościele była uroczystość. Wyrostki w ładnych ubiorach
czekali na przodzie

przejścia jakiegoś orszaku i mało ich zajmowała zdobywana
opodal Wielka Nagroda.

Ich duże oczy otwierały się, chciwe zobaczenia.

Widocznie jakaś procesya.

— Co to takiego? — spytała Noris jednej z dziewcząt.

Mała zarumieniła się po uszy, spojrzała na piękną damę i
odparła:

— Uwieńczenie królowej róż, proszę pani. Królowa róż,
dziewica cnoty! Noris

uśmiechnęła się.

Więc jeszcze istnieje zwyczaj wieńczenia królowej róż i to w dzień zdobywania

Wielkiej Nagrody?.. Więc są jeszcze cnotliwe dziewczęta na tym świecie?..

Królowa róż!.. Nigdy tego nie widziała, nigdy!..

— Czy można wejść, moje dziecko?

— Tak, proszę pani, z kartką podpisaną przez pana mera....

Co za szkoda. Noris nie miała kartki.

— A bez kartki?

— O, nie można, proszę pani.

Noris uczuła, że ktoś ją trąca, a mały chłopczyna lat siedmiu czy ośmiu rzekł do

niej, czerwieniąc się i podając jej papier zadrukowany:

— Ja mam dużo kartek proszę pani... oto jedna! Wzięła papier; poczem, dawszy

dziecku monetę srebrną na cukierki, rzekła do woźnicy:

— Poczekasz tam, obok kościoła, w cieniu!

Następnie weszła do kościoła. Przy drzwiach oddała bilet, noszący pod egidą

komuny w Suresnes ogłoszenie ceremonii wyboru i uwieńczenia królowej róż

"punktualnie o godzinie -ciej po południu, w niedzielę, dnia -go czerwca."

Umieszczono ją w głębi trybuny na górze, gdzie przez chwilę znalazła się sama

ogładając na dole ten kościół pełen ludzi, jak gdyby patrzyła na widowisko

teatralne.

Z początku widziała tylko same ozdoby... Kościół, rzęsiście oświetlony i

zapełniony ludźmi wyglądał bardzo ładnie.

W górze! jak wiązanie okrętu, widać było pod sklepieniem kościoła, belki z

czarnego rzeźbionego dębu.

Z po za wysokich okien w głębi chóru wchodziło światło,

łącząc promienie

słoneczne z jaskrawem czerwonym światłem płonących przy ołtarzu świeczników,

okręconych purpurowym sukniem, podczas gdy z ołtarza bił od-

blask bieli, a cyboryum mieszało swój połysk złoty z tą masą światła.

Przed ołtarzem tłumy.

Krzesła i ławki rozdzielone białą linią dla łatwiejszej defilady orszaku.

Tu i owdzie, komisarze w naramiennikach z zielonego jedwabiu, usadawiający

nowoprzybyłych po obu stronach odprowadzający ich aż do trybuny, w której

siedziała Noris, drżąca dziwną radością, wzruszeniem ciekawości, zachwycona,

czując się być na wskroś przejętą tem, co widziała.

Wieśniaczki okoliczne, praczki albo przekupki siadały tuż przy niej, na tej

samej ławce, a Noris usunęła swą suknię, ażeby nie zabierać zbyt wiele miejsca

tym pocziwym kobietom, będącym u siebie.

— Trzecia godzina! Nie spóźnią się — rzekła jedna z nich —
pan mer jest
punktualny.

Noris spostrzegła wtedy pewne poruszenie w tłumie;
widocznie, drzwi, wiodące na
plac, otworzono.

Dały się słyszeć odgłosy dzwonów, a do kościoła w pośród
wystrojonych ludzi
wszedł powoli orszak młodych dziewcząt komuniantek w
białych sukienkach.

Noris uczuła w sercu jakąś dziwną boleść przy tym wyrazie:
komuniantki.

Patrzyła na nie, w duszy jej działo się coś niespodziewanego.

Był to jakby
orszak duchów, w których poznała siebie samą, siebie albo
widmo swego
dzieciństwa.

Widziała się ubraną tak samo w kościele, gdzie ojciec jej
patrzył na nią i
czekał na boku, przejęty i wzruszony do głębi.

Jej piękny biały welon! Jej suknia, w którą matka ustroiła ją
własnoręcznie,
gdyż szwaczki zawsze czegoś zapomną, ściegu, jednego nic,
które jednak jest
wszystkiem!

O, jak to dawno, jak to już strasznie dawno!

Ta sukienka dziecinna i ten welon biały, to było jedynym
welonem jej
dzieciństwa, jedynym, którym kiedykolwiek biedna Noris
zdołała swe skronie.

Komuniantki weszły zwolna, nieśmiałe, bojaźliwe.
I jak wtedy, gdy grała Mendelssohna, córkę Férauda doleciał
ironiczny dźwięk
przeszłości.
O, nędzny Chantenay, nędzny!
Teraz, w orszaku, szły cztery aspirantki królowe róż, z
czerwonemi wstążkami,
pod białym welonem, a za niemi, królowa róż z roku
poprzedniego, dotąd jeszcze
uwieńczona różami.
Pocziwe kobiety, siedzące obok Noris, tłumaczyły to
wszystko paryżance.
A teraz przechodził pan mer. Za nim podążali wystrojeni
odświętnie członkowie
rady municypalnej, i wszyscy zasiedli przy stole, pokrytym
zielonem suknem,
ustawionym naprzeciw rodzaju stali, gdzie zajęła miejsce
wraz z córką pewna
dama z okolicy, która przyjęła na siebie zaszczyt być
koronującą.
Następnie wszedł ksiądz.
Noris widziała, jak stanął przed ołtarzem w złożonym ornacie.
Dokoła ołtarza i z obu stron kościoła, wisały na wysokich
kijach chorągwie,
muskając obnażone głowy mężczyzn i kapelusze o barwach
jaskrawych lub białe
czepki kobiet.
Jedne z tych chorągwi były czerwone z wyhaftowa-

nym wypukłe Duchem Świętym, to znowu białe z Matką
Boską w niebieskiej sukni z

białymi kwaścikami.

Wszystkie te kolory mieszały się z czarną masą tłumu, w którym zielone wstęgi komisarzy, ruszających się co chwila, wydawały się gałązkami drzew, poruszanych wiatrem.

Noris, wzruszona, chciała wszystko obejrzeć i już wzięła do rąk wyścigowe binokle, gdy mimowoli zmuszoną była opuścić je na kolana. Zagrały organy, a ich rozdzierające jęki, niby skargi, zbudziły w niej wszystkie uśpione smutki.

Ta żałosna muzyka, te dziwne dźwięki przejmowały do głębi serce młodej kobiety i machinalnie opierając się o przód trybuny, wzięła udział w uroczystem usposobieniu obecnych, dzieląc wrażenia i bicie pulsów tych biednych dziewcząt, które miano sądzić — wybrać jedną! — a których prostaoze dzieje słyszała z ust swoich sąsiadek.

Po każdodzienniej pracy, po znojnym trudzie w polu, po zabiegach około młodszego rodzeństwa, około starych rodziców, cnota i wytrwałość decydują o przyszłym losie tych biednych dziewcząt, z których grona prawie wyszła Noris, Noris, metresą wielkiego księcia Wasyla!..

Zbliżyła się chwila wyboru.

Kandydatki musiały być bardzo blade pod białymi zasłonami. Po wygłoszeniu każdego z ich imion, napisanych na czterech kartkach — po

wyłoszeniu ich kolejno przez proboszcza, potem przez mera i wreszcie przez członków rady — wrzucono je złożone w czwórnasób do urny, trzymanej przez dwoje maleńkich dzieci.

I kartki jedna po drugiej wpadały; i siedząc u stóp estrady, na której tronowała dama koronująca, kandydatki marzyły, nieruchome jak posągi. Noris chętnie zastąpiłaby jedną z tych dziewcząt, gotowa podzielić ich los, zaprządz się do pług ich pracy, ale tem samem mogąc śmiało patrzeć i bez skandalu nosić ten biały welon, którego René chciał ujrzyć na jej czarnych włosach...

Welon dziewicy! Ach, nieszczęśliwa! Jakże chętnie ozdobiłaby nim skronie dla

Rajmunda, gdyby miała prawo po temu!

Nagle dał się słyszeć głos w kościele....

Ksiądz wszedł na ambonę. W ręku trzymał papier. Wybór został już dokonany

Królowę róż wybrano.

Głębokie milczenie zapanowało w zgromadzeniu, a Noris usłyszała następujące

słowa:

— Większością głosów królową róż na rok wybraną została....

Ksiądz zatrzymał się przez chwilę i dodał:

— Zuzanna Lestrade!

I niezwłocznie królowa róż z roku poprzedniego zdjęła swój wieniec z róż przewiązanych czarną wstążką, którego już nie miała prawa nosić, cofnięta przez nowow wybraną królowę.

Zuzanna Lestrade!

Noris zadrżała. Królowa róż miała to samo imię co ona, co jej matka: Zuzanna!

Zdawało się Noris, że w tym wypadku tkwiła ironia.

Zuzanna, prawdziwa Zuzanna, Zuzanna Lestrade zarumieniła się, poczem nadzwyczaj zbladła; teraz, mer przed-

stawił ją koronującej, która uklękła na estradzie przed klęcznikiem, a w drżące nieco ręce królowej róż, dama z ładnym giestem macierzyństwa i łagodności, złożyła powoli zegarek, nakrycie srebrne i w kawałku papieru zwitek złota.

— Majątek! — ozwała się jakaś praczka, siedząca obok Noris. Zuzanna Lestrade stała się posiadaczką franków, franków renty, które

pewna dama, na pamiątkę przyjścia na świat dziecka swego, legowała na rzecz królowej róż z Suresnes.

I kobiety, sąsiadki Noris, zdawały się być zadowolone.

Dobry zrobiono wybór! Dziewczyna wistocie jest pocziwą!

Z tymi frankami zaślubi swego narzeczonego, który jest żołnierzem i otrzyma

wiadomość o swoim szczęściu w pułku.

Królowa róż, praczka z okolicy, ma matkę, cierpiącą na pomieszanie zmysłów.

Ach, gdyby matka mogła być obecną przy uwieńczeniu jej córki!..

W każdym razie wybór trafny, ani słowa!

I Noris słuchała, patrząc na królowę róż, mając ochotę odpiąć bransoletę i

dołączyć ją do prezentów, jakie uwieńczona miała wnieść w posagu swemu

narzeczonemu żołnierzowi.

Nie miała jednak prawa do tego. Była tu obcą — i jak obcą!

Nigdy nie czuła się

równie osamotnioną.

Duszno jej było, pragnęła copędzej wyjść ztąd, uciec jak niedawno z wyścigów.

Zeszła po wązkich drewnianych schodach z trybuny.

Dzwony biły zamasyście; placyk przed kościołem zatłoczony był ciekawymi.

Trzeba sobie było przebić drogę pomiędzy żywopłotem z małych dziewcząt,

rzemieślników w wykrochmalonych bluzach i starych kobiet w białych sztywnych

czepcach.

Zanim weszła do powozu, Noris stanęła na uboczu i wsparta o węgiel jednego z

domów patrzyła na tłum.

Zwróciła jej uwagę fanfara, przygotowana przez muzykantów w czapkach wyszytych

złotem, którzy czekali z instrumentami miedzianymi,

błyszczącymi na słońcu.

Gdy, poprzedzona przez komisarza, królowa róż ukazała się
na progu kościoła,
niosąc już na białym welonie wieniec, fanfara zagrzmiała,
grając jakiś marsz
wojenny, krzykliwy, jakgdyby cały pułk szedł zdwojonym
krokiem.

Z tłumu dały się słyszeć głosy.

— To ona! królowa róż!

Pchano się, ażeby ją zobaczyć, a ona na czele komuniantek,
swych rywalek w
białych sukniach i królowej z roku poprzedniego przebywała
plac po za fanfarą; a
tłum wzrastał, wiedziony odgłosami trąb, i zdawało się Noris,
nieruchomie

stojącej, że była obecną ironiczną ucieczką czegoś, co
należało do niej: —

złudzenia, wspomnień, wiary, dymu, widma.

— Królowa! królowa róż! — wymówiły teraz tuż przy niej
jakieś inne głosy, jakby
ironiczne.

Noris spojrzała na tych, co krzyząc tak, śmieli się.

Było to kilku młodych ludzi, młodych dziewcząt, które
wyśmiewały się, ale
których śmiech brzmiał fałszywie których ironia była nie
szczerą, i które
zapewne — Noris Féraud odgadywała to po smutku i
wzruszeniu swego własnego serca
— czuły całą gorycz upadku wobec tej cnoty, przechadzającej
się jak podczas
maskarady i prowadzonej w apotcozie.

Fanfara oddalała się. Orszak znikał w głębi ulic.
Noris weszła do powozu.
— Do Paryża!
— Jedźmy! — marzyła. — Tego jeszcze nigdy nie
widziałam!.. Dobrzem zrobiła, że
nie została na wyścigach!
I podczas, gdy powóz ją unosił, Noris uśmiechała się jeszcze
smutnie z tego
przeciwstawienia high-life'u z tą wiejską dziwaczną
uroczystością i tem
szczerem zadowoleniem pocziwych maluczkich.
— Zuzanna Lestrade! — szeptała Noris z goryczą: — ona nie
jest w obiegu, jak
mówią na bulwarach! Gardanne nie mógłby opisać jej
apartamentów! A jednak niech
tylko zechce zamienić się z Noris na stanowiska — fakt
zostanie dokonany!
Potem, gdy powóz zbliżał się już ku Paryżowi, z okiem
błędnie zwróconem na
uciekające drzewa z obu stron drogi, których nie widziała
wcale, Noris czuła, że
napłyn wspomnień przepęlnia jej serce.
Dość więc było tego wypadkowego spotkania — tej
uwiecznionej wieśniaczki — ażeby
przypomnieć biednej kobiecie szczęśliwą przeszłość,
nieświadomą i niewinną:
matkę, ojca, ognisko mieszczańskie i uczciwe starego
romansopisarza.

Ten biały welon wieśniaczki (myśl ta powracała doń uparcie,
ironicznie), i ona

miała go na czole, i dotąd jeszcze widziała się z wiarą i
nadziejami dawnymi,
patrzac w życie przez szparki muślinu komuniantek!
Ach! Niebieski książę! Sny! Marzenie! Przeszłość!
Wszystko, co przeżyła w ciągu tych pięciu lat, stanęło jej
znowu na myśli.
Widziała znowu wszystko, małe mieszkanko przy ulicy
Brochant, skwer, ojca
piszącego ostatnie dzieło p. t. Dzieje ofiary i Chantenaya, jak
przybył do tej
ciszy, jak ona go już kochała, gotowa upaść, nieświadoma
jeszcze tego co było
występkiem; potem śmierć Férauda, Chantenay porzucający
niezależną; a potem,
potem, pragnienie śmierci, dzika chęć zemsty, wielki książę,
nowe życie,
Rajmund, Margot, pani de Montépreux!
Mężczyźni i kobiety wydawały się jej osobami komedyi
satyrycznej, źle napisanej.
Tłoczyli się, darli się ze sobą nie wiedząc dla czego, a każda
łatwowierność
stawała się łupem każdej żądzy.
Słabość u Margot, nieświadomość u Noris, nietakt u
Jacqueliney, upadek wszędzie
był jednakowy, a przyczyną była zawsze żądza albo
próżniactwo jakiego łotra,
młodego czy starego.
Wtedy raz jeszcze to zdanie odwieczne stanęło na jej ustach.
Szeptala je i
powtarzała sobie samej:
— Występek kobiety jest zbrodnią mężczyzny!...
Tak! Ale dla czegoż mężczyzna nie płaci długu mężczyzny?
Przed pięciu laty mogłaby się zemścić na panu de Chantenay.

— Pięć lat! Nie ma nawet przedawnienia prawnego Mówiła z tą ironją, która raniła jej marzenia i niekiedy przyprawiała ją o złość, ją, tak dobrą! Potem odrywała swą myśl nawet od oddalonego wspomnienia o Chantenayu, powracała do kościoła, do Zuzanny Lestrade i zwracając głowę w stronę tego zakątka, który opuściła przed chwilą, patrzyła na pagórki niknące na horyzoncie, na czerwone dachy malejące w oddali i nadstawiała ucho, jakby pragnąc raz jeszcze usłyszeć głos, powabny głos dzwonów w Suresnes. I w dniu tym wiosennym, w którym słońce zdołało zieleń drzew, wisien rosnących na prawo i na lewo, a tam, poza pagórkami Puteaux, ten wielki Paryż, cały biały, ze złotymi promieniami, przyczepionymi do swych kopuł kościelnych, pod tem pięknem niebem, w tę szczęśliwą niedzielę, gdy wszystko śpiewało hymn do życia, Noris, Noris Feraud czuła się być smutną aż do śmierci. Przybywszy do domu, natknęła się na Sylwinę, która zdziwiona, rzekła do niej:
— Jakto? Pani, tak wcześnie?... Więc się pani nie bawiła?...
— Nie, wcale nie! A raczej tak! Widziałam coś ciekawego: uczciwą dziewczynę, którą nagradzano! To się nie częste trafia! Czy jest co nowego?
— List, proszę pani. Służąca podała list na tacy. Noris zbladła.

Rajmund de Ferdys prosił "Zuzannę", ażeby go raczyła przyjąć tego wieczoru.

— Pan de Ferdys przybędzie dziś wieczorem. Nie przyjmuję więcej nikogo.

Pamiętaj, Sylwino!

— A wielki ksiązę, proszę pani?

— Nikogo! — powtórzyła Noris z niesmakiem. Tembardziej wielkiego księcia.

VI

Gdy Sylwina weszła do białego saloniku, gdzie znajdowała się tego wieczoru

Noris, Zuzanna była jeszcze wzruszoną, domyślając się, że Rajmund musiał mieć jej coś ważnego do zakomunikowania.

Wydała lekki okrzyk gniewu, gdy służąca rzekła:

— To nie pan Ferdys, proszę pani.

— Mówiłem ci przecie że... nie przyjmuję nikogo!

— Ale gdyby pani wiedziała... możeby pani...

— Któż więc jest? — zapytała Noris.

— Pani hrabina de Montepreux, proszę pani!

Noris, zerwała się z fotelu.

Hrabina! Cóż za fantazyja albo raczej co za szaleństwo przyszło do głowy

Jacquelinie de Montépreux przybyć do Noris i co chciała powiedzieć pannie

Féraud?

Noris zauważyła dobrze opór, z jakim hrabina lornetowała ją na wyścigach z trybuny.

W tym upartym wzroku widniał gniew albo nienawiść.

Pani de Montépreux musiała zapewne wiedzieć już od Reného o bezsensownym zamiarze księcia de Chantenay, i pchana zazdrością przybywa zapewne błagać albo grozić — Noris dowie się za chwilę — tej, która była jej rywalką.

— Dziwna rywalka! — myślała Noris. Rywalka nienawidząca i pogardzająca tym, którego ta inna kochała może!

Z początku Noris uczyniła nerwowe poruszenie niechęci.

Po co ją oszukują i zakłócają spokój w pożądaney samotności?

Czyż po to opuściła przed chwilą "towarzystwo", ażeby prześladowało ją aż tutaj?

A zresztą czekała na Rajmunda, Czekala wyłącznie na niego.

Niespokojną była o

to, co jej Ferdys ma do zakomunikowania. Reszta, nietylko, że ją nie obchodziła,

ale przejmowała ją nawet wstrętem.

Miała prawie ochotę odpowiedzieć pani de Montépreux, że wyszła, że nie

przyjmuje. Ale zdjęła ją litość.

Ta kobieta, zgnębiona pewnie, decydująca się złożyć wizytę takiej Noris, musiała cierpieć.

Zresztą, Noris była ciekawą dowiedzieć się, co miała jej do powiedzenia hrabina

de Montépreux, czy przybyła ją prosić, czy rozkazywać...
zobaczy niebawem!
Dała znak Sylwinie, ażeby wprowadziła przybyłą.
Poczem, stojąc, czekała, spoglądając przez okna na wieczór
zapadający, srebrną
szarością na drzewa i aleje ogrodu.
Tak samo patrzyła w salonie pałacu Chantenay na

drzewa parku Monceau, czekając na księcia przed pięciu
laty!...
Teraz, ach, teraz, ją przybywają prosić!
— I dlaczego?... Bo mam pazurki.
Wchodząc do salonu Noris, Jacqueline de Montépreux nie
miała jednak pozoru
proszącej.
W sukni czarnej, zlekką przybraną w czerwone wstążki,
weszła z dumnie
wzniesioną głową imponującej bogini.
Skłoniła się Noris zlekką, szybko prawie nieznacznie i
mimowoli rzucając dokoła
siebie ciekawe kobiece wejrzenie, ozwała się nagle, siadając
naprzeciw panny
Féraud która wskazała jej fotel:
— Zgadujesz pani zapewne, w jakim celu zrobiłam do pani
ten krok szalony...
nierozważny.,.
— Za pozwoleniem, pani hrabino — odparła Noris chłodno.
— Mało brakuje, żebyś
pani nie powiedziała... kompromitujący!
Uśmiechnęła się, wyglądając bardzo ładnie w szlafroczy z
czarnego atłasu,

zgrabnie przylegającym do jej wiotkiej postaci i ciągnącym się w długim trenie po dywanie.

I te dwie kobiety, w ciemnych strojach, siedząc naprzeciw siebie, zdawały się być w żałobie po jednej i tej samej miłości.

Jacquelina de Montépreux, pomimo całej swej wyniosłości i wybryków całego życia, czuła się trochę pomieszana wobec tej Noris, a ton pewny siebie i uprzejmy chłód panny Féraud, tamując impertynencję na ustach hrabiny, zadziwił ją trochę i zmieształ.

Przybywała rozegzaltowana, rozjątrzona, podniecona gniewem do żywego na Longchamps, gdzie w ciągu niełitościwie długiej godziny widziała jak otaczano tę Noris jak ją podziwiano, tę Noris, z ponowną miłością do której nie krył się bynajmniej książę de Chantenay. Jacquelina przebyła tam i przetrwała jedno z tych cierpień, które prowadzą wprost do kryzysu nerwów, a gdy zdobyto już wielką nagrodę, powróciwszy do domu, szalona, z gorączkową żądzą poznania tajemnicy Noris, wyjechała, wmawiając w siebie, że jeżeli hrabina de Montépreux przybywa do prostytutki, powinna zachować postawę rozkazującą, właściwą swojej pozycji.

A zresztą ta zparyżaninowana wiedenka nie miała przesądów.
Przedewszystkiem
kaprys. Przedewszystkiem szczęście.
Ponieważ panna Noris chciała porwać jej to szczęście, a więc
pójdzie go jej
odebrać — albo opłacić.
Nie wiedziała jeszcze, jak będzie traktować te metresę
wielkiego księcia Wasyla,
z której książę Beaumartel de Chantenay chciał zrobić
księżnę.
Uśmiech Noris, uprzejmy, pomimo swej złośliwości,
powstrzymał nieco Jacquelineę.
Przybywała zażądać od panny Féraud sprawy z jej
postępowania, spodziewała się
zastać tę istotę zmieszaną lub nieśmiałą wobec pojawienia się
u siebie wielkiej
damy a trafiła na kobietę, której postawa, ton, głos —
wszystko tchnęło
wykwintem i elegancją.
Niech i tak będzie. Jacquelina bądź co bądź, nie chciała, ażeby
miano się korzyć
przed nią, byleby ustąpiono.

— Nie pragnę z panią — rzekła, zabierając głos po przerwie,
uczynionej przez
Noris i robiąc nacisk na każdym słowie — z panią, którą, jak
mi mówiono, jesteś
kobietą szczerą i... szlachetną, bawić się w kobiecą
dyplomacyę... Kochani pana
de Chantenay!
— Wiem o tem, pani.

— Pan de Chantenay oświadczył mi się.

— To jest u niego we zwyczaju — odparła łagodnie Noris.

— Pan de Chantenay musi mnie zaślubić!

— Ach! — rzekła Noris, szybko uderzając palcami pięknej rączki po poręczy fotelu.

— Pan de Chantenay przysiągł mi....

— Dać pani swoje nazwisko?... O, to jego zwyczaj dawać takie przysięgi. To już jest jego taktyką. Pan de Chantenay jest okrutnym dyplomata w miłości.... I pani uwierzyłaś jego słowu?

— Mówię pani, że go kochałam — odparła Jacquolina de Montépreux.

Noris uczuła jakby chłód smutku, słysząc dźwięk tego głosu, wyniosły przed chwilą, a teraz, gdy była mowa o Chantenay'u, tym posągu egoizmu, przybierający wyraz czułości.

— Przed pięciu laty — zawołała Noris — on i mnie przysiągł, że pojmie mnie za żonę!

Błysk zazdrości przebiegł w oczach Jacguoliny, z którychomal łzy nie wytrysnęły.

Hrabina podniosła głowę, nie zrozumiałwszy smutku w tym bolesnym okrzyku Noris, którą uważała za śmiałka.

Cały gniew, w jakim przybyła na ulicę Jouffroy, wy-

buchnął znowu nagle z taką siłą, jak piasek na raptownym wietrze, a przybrawszy postawę dumną i patrząc prosto w oczy pannie Féraud, rzekła: — A więc doprawdy zamierzasz go pani poślubić? Pogarda i wstręt tkwiły w tem pytaniu.

Noris uśmiechnęła się chłodno:

— Któż pani zakomunikował tę nowinę?

Teraz ona ze swej strony dotknęła swem pytaniem do głębi serca Jacqueline, ażeby

ironią odpłacić za dumę, a hrabina wstała szybko i rzekła do Noris, która

siedziała jakby wpięzając na fotelu:

— Sam pan de Chantenay!

— Ach! — odparła Noris — widzę, że myśli o tem na seryo....

Więc to dla

pomówienia ze mną o tem małżeństwie mam przypisać

zaszczył widzenia pani u

siebie?

— Tak jest... Niechcę, ażeby to małżeństwo przyszło do skutku!

— Dla czego?

— Dla tego, że jest niepodobieństwem!... Dla tego, że pan de Chantenay jest szalony!...

— Czy pan de Chantenay kocha panią jeszcze? — przerwała Noris, zawsze chłodno.

Podniosła swe piękne czarne oczy na wyniosły wzrok hrabiny.

— Nie sędzę, ażeby kochał panią! — dodała z okrutną powolnością, która lekkim

dreszczem przejęła Jacquelinę

Noris dodała z uśmiechem:

— Nie dla tego, ażeby pani nie była piękną, bynajmniej, ale dla tego, że miłość pana de Chantenay jest

zawsze tylko fantazyą... On nie kocha, pożąda raczej!... Pani kochałaś go... on pani już nie kocha!

— Za to panią kocha, panią — oschle odparła pani de Montépreux — pani była jego metresą!

Noris chciała zachować uśmiech, ale cios był zbyt szorstki, to też po twarzy jej

przebiegł lekki odcień pomieszania, ale znikł niebawem.

— Jeżeli mnie kocha, albo jeżeli przypuszcza, że mnie kocha — odparła łagodnie —

to właśnie dla tego, że ja go nie Kocham, i że go nie chcę przyjmować u siebie.

Hrabina pokręciła swą piękną głową o bursztynowych włosach.

— Jeżeli on kocha panią — rzekła — to dla tego, że nie wie, jaką pani jesteś

kobietą, że nie wie, iż pani jesteś nałożnicą...

Zatrzymała się, uniesiona zrazu zazdrością i wstrzymana teraz bezwiednym

uczuciem politowania.

Ale teraz Noris powstawszy, wyniosła i dumna, patrzyła na nią z odcieniem

pogardy na ustach:

— Nałożnicą wielkiego księcia? Czy pani sądzisz, że pan de Chantenay nie wie o

tem? A ja pani daję słowo, że on właśnie dla tego pragnie mnie poślubić!..

To słowo "poślubić" dotknęło Jacquelinę jak ostrzem noża. Przymknęła oczy pod wpływem bólu, rozdrażnienia, gniewna, a otwarczy je, rzekła

do Noris:

— Ale czego nie wie zapewne pan de Chantenay, to tego, że pani jesteś metresą jego kuzyna!

— Pana de Ferdys?

— Tak! Widzisz pani! — odparła hrabina.

Ferdys! Ta kobieta, której koniec końcem nie znała przychodzi jej mówić nie już o Chantenay'u, nie obchodzącym ją zresztą, ale o Ferdys'm, o tym Rajmundzie,

którego kochała całą siłą swych uczuć!

Noris spoglądała na nią wzburzona, zdumiona, pytając siebie, jakim prawem ta

Jacquelina przybywa do niej i rzuca jej w oczy jak obelgę tem ukochanem

nazwiskiem: Ferdys!

Co uczyniła tej pani de Montépreux? Hrabina myślała pewnie, że Noris porwała jej

Chantenaya!

Chantenaya? O, tak, Chantenayat Ależ on obchodził Noris tyle, co ziarnko piasku,

leżącego tam po za oknami w alei ogrodu... Chantenay!...

— I gdybyś mu pani powiedziała, że jestem metresą pana de Ferdys, czy sądzisz

pani, że kochałby cię więcej? — spytała.

Jacquelina poruszyła głową.

— Przynajmniej będzie wiedział prawdę!

— Prawdę? — zawołała Noris, wybuchając śmiechem. — A więc pani, któraś tyle

wycierpiała, pani wierzysz wszystkiemu, co wychodzi z ust próżniaków i

głupców?.. Powiedziano pani, że jestem metresą pana de Ferdys i pani nie

krępujesz się wcale powtarzać tego, mówić to w oczy mnie, mnie! że jestem jego

metresą!.. Pomówmyż szczerze, otwarcie, ponieważ przybyłaś pani żądać odemnie

otwartości.... Jesteś pani dobrą, piękną, stworzoną na to, ażeby cię kochano i

szanowano.... a czyja zwracam pani uwagę na to, co zazdrośni lub głupcy mogą

mówić o pani, o pani,

o której równie wiele mówią jak o mnie, i którą równie jak mnie szkalują?

— Tak, wiem — mówiła dalej Noris, dostrzegłszy, że hrabina blednie, słysząc, że

taka "panna Féraud" śmie ją zestawiać ze sobą — pani i ja, to nie wszystko

jedno!... Wiem o tem aż nadto dobrze!... Ale nie lękaj się pani, języki ludzkie

nie szcędzą nikogo!... Posłuchaj mnie pani.. Prawdopodobnie nie zobaczymy się

nigdy ze sobą. Tylko boleść przywiodła panią do mnie.... Pani sądzisz, że ja

ukradłam miłość pani narzeczonego, pani wielbiciela, pani....
wybierz pani sobie
sama przydomek dla pana de Chantenay; dość, że pani
domagasz się czegoś odemnie.
Czego? Ja sama nie wiem!... Pragniesz pani zapewne, ażebym
za pani pieniądze
zaniechała związku, który mi ofiaruje książkę? Ile też wart jest
tytuł księżny?
Nie mów mi pani liczby, bo wypędzę panią od siebie, jak się
wypędza potwarców!
Czy pani przybywasz mnie prosić? Nie, nie wyglądasz pani na
to. A więc grozić
mi.... spróbować, może się uda mnie przestraszyć.... Czegóż
więc pani pragniesz?
Chcesz pani zemścić się na mnie, powiedz pani!
— Zemścić się, nie! Zdemaskować panią raczej!
— Zdemaskować?
Noris zaczęła się śmiać.
— Tak — rzekła pani de Montépreux — i ostrzegam panią, że
powiem panu de
Chantenay kim pani jesteś!
— Kim ja jestem?
— Tak!
— Pani to powiesz panu de Chantenay?
— Panu de Chantenay!

— Jemu pani to powiesz? Ależ on wie o tem dobrze! To on
zrobił mnie taką, jaką
jestem!

Noris te ostatnie słowa wypowiedziała z gniewem, który
streścił w sobie całą jej

przeszłość.

— O, możesz mu pani powiedzieć — mówiła dalej — że jestem spodloną, poniżoną!...

Jestem taką, gdyż jego spotkałam, jego, i jeżeli pani wierzysz w jego miłość,

pani, tak, jeżeli pani go kochasz, jeżeli przywiązałaś się pani do życia tego

przesyconego pasorzyta, zginiesz pani tak samo, jak ja upadłam! Dla mnie dziś

już wszystko jedno! Jedna plama więcej, mnie nie zaszkodzi, ale błoto na pani

gronostajach, to śmierć honoru twego!

Teraz Jacqueline de Montépreux stała pomieszana wobec Noris i bardzo blada

patrzyła z mimowolnym szacunkiem na tę wysmukłą brunetkę, chodzącą wzdłuż salonu

ze skrzyżowanymi rękoma, z gwałtownymi poruszeniami głowy, jak gdyby walczyła z

jakim niewidzialnym wrogiem.

— Mnie zdemaskować!... Czy pani przypuszczasz, iżbyś zdemaskowała mnie,

powtórzywszy panu de Chantenay plotkę, jakobym ja żyła z panem de Ferdys?... I

czy pani sądzisz, że przy takiej wieści pan de Chantenay cofnąłby uczynioną mi

propozycję? Mylisz się pani! Jeżeli księżę mnie nie zaślubi, to nie dla tego,

żeby się miał lękać śmieszności, albo niesławy... nie! lecz dla tego jedynie, że

ja go nie chcę!... Że ja nie przyjmuję jego oświadczeń!... że ja nigdy nie

przyjmę u siebie pana de Chantenay! Bo on nie godzien mnie!

— dodała Noris ze

straszłą pogardą.

Nagle stanęła przed Jacqueliną de Montépreux i dodała z mocą:

— Nie godzien ani mnie, ani pani! Tak! on nie wart miłości pani, miłości, która oddała całą pani piękność, wiarę, młodość na pastwę tego człowieka, najnędnieszego z ludzi!... Najnędnieszego, gdyż odepchnął mnie wówczas gdy byłam uczciwą dziewczyną, a pragnie mnie zaślubić splugawioną!... Wiem, że pani przybyłaś zaproponować mi handel, bardzo taktownie postąpiwszy, nie zakreślając mi z góry warunków. Handel!.. A więc, chcesz pani, abym ci dała radę? Tak, ja,

Noris, radę dam pani de Montépreux.

Jacquelina milczała, zdziwiona, że spotyka uczucie, boleść, sumienie, tam, gdzie spodziewała się tylko napotkać wyuzdanie upadku! A przytem sumienie, które budziło w niej echa cnoty, obowiązków i zrujnowanego szczęścia.

Zdawało się hrabinie, że w gwałtowności słów Noris tkwiła czułość, smutek, jakaś mimowolna życzliwość, jak gdyby w bólu mogły być hamulce!

— Radę?

— Tak, radę! Radę, ażebyś pani wypędziła pana de Chantenay! Wypędziła albo

uciekła od niego! Och, nie myśl pani, że jestem zazdrosną, i że mi zależy co na waszem rozłączeniu!... Ja zazdrosną? zazdrosną o Chantenaya?...

Jacquelina zrobiła ruch, który Noris zrozumiała.

— Dzięki Bogu, znikł on już z mego życia!... Ale widzę, że pani jesteście z nim ściśle związaną, związaną aż do szaleństwa, ponieważ ośmieliłaś się pani przybyć aż do mnie! Jestem kobietą, i okazuje pani życzliwość jako kobieta! Pomimo cierpień, jakiebyś pani znieść musiała, odepchnij pani tę miłość od siebie! On mówił pani, że pa-

nią kocha? Skłamał! Przysiągł, że panią poślubi? Skłamał! Pan de Chantenay zawsze kłamie!... Pani jesteście wolną, bo masz życie tak urządzone, jak ja nie miałam!... Ach, gdybym miała syna jak pani, całą istotność swoją jemubym poświęciła! Miłość prawdziwą, miłość, która przepelnia całe życie, pani ją znalazła! Tej miłości zazdroszczę pani, bo jest nią dziecko pani!...

— Charley?

Jacquelina pomimowoli wyszeptała angielskie imię dziecka i wistocie widziała, podczas gdy Noris mówiła jej o dziecku, widziała przed sobą jasną główkę, duże słodkie oczęta Charleya, smutne i poważne....

Tego słodkiego Charleya, którego tak niewiele pieściła, który
milknął wobec
matki, który kłaniał się poprawnie panu de Chantenay,
biednego Charleya, którego
dzióbek śpiewał tylko dla guwernantki, służącej, obcych....
Drogi Karolek!

I teraz, w tym salonie, dokąd weszła dumnie, Jacqueline de
Montépreux czuła się
rozdrażnioną, zmieszaną i rada była cożywo go opuścić,
mówiąc do Noris:

— Tak, być może... Masz pani słuszność... To
prawdopodobne....

Wtedy Noris odparła smutnie, próbując się uśmiechnąć:

— Mam słuszność, a jednak pani go kochasz!... Nie słuchasz
mnie pani!.. Widzę,

że pani nie znasz jeszcze pana de Chantenay!

— Znam za to panią teraz — odparła Jacqueline. —

I przepraszam panią, że tu przybyła....

— Przekupić mnie? — zapytała Noris ironicznie.

— Czy mi pani pozwoli uścisnąć swoją rękę? — zapytała pani
de Montépreux, nie
chcąc dać odpowiedzi.

Noris położyła swą rękę na urękawiczonej dłoni Jacquelinie.

— Żegnam panią hrabinę — rzekła.

— Żegnam panią.

— A ucałuj pani odemnie pana Charleya, proszę bardzo!

Łagodnie przypomniała metce o synu.

— To są nasi prawdziwi kochankowie — dodała — nasze
dzieci!...

Wtedy Jacqueline de Montépreux, wychodząc, rzuciła naiwnie
te słowa, będące
jakby mimowolną wymówką, w których jednak Noris nie
chciała dopatrzeć się i nie
dopatrzyła nic innego, jak tylko rozczulenia:
— Pani jesteś prawdziwie uczciwą kobietą!
I z gorzkim uśmiechem, czując, że serce jej przepełnione jest
znowu dawnymi
smutkami, Noris odparła:
— Tak. Sądzę, że w tem czem jestem, istnieje jeszcze wiele z
tego, czem byłam!
Była zadowolona ze siebie.
Ale jakże pragnęła pozostać samą! Z jaką radością usłyszała,
że w prawie pustej
ulicy znikł już powóz hrabiny!...
I po co przyszła do niej Jacqueline de Montépreux? Czy po to,
ażeby ją
rozdrażnić i obudzić wszystkie hydry wspomnień?
Noris przejętą była wspomnieniem o Reném. Pragnęła pozbyć
się tego ciężaru, jak
się pozbyła wielkiego księ-

cia, i odżyć w czystości ducha owej biednej dziewczyny, na
którą czekał
narzeczony w pułku.

Narzeczony!

Imię to było słodkie, czułe, jak owe poetyczne imię, które
budziło zazdrość

szalonych dziewcząt na placu Suresnes: imię królowa róż!

Wspomnienie Zuzanny Lestrade prześladowało uparcie Noris
przez cały wieczór tej

niedzieli, którą Paryż świętował w restauracjach, na balach,
tego dnia Wielkiej
Nagrody.

Uparcie stawały jej przed oczyma białe welony komuniantek,
dotąd słyszała
jeszcze dźwięk organów.

Zdawało jej się, że pani de Montépreux nie była u niej, że nikt
jej nie mówił o

Reném, że tylko dotąd śni jeszcze z naiwną radością o tej
uwieńczonej cnocie,
którą widziała w kościółku Suresnes.

Będzie szczęśliwą, bardzo szczęśliwą ta chłopka, imieniem,
jak ona, Zuzanna, nie

marząca o niczem, co przechodzi po za prawdę życia:

małżeństwo, praca,

macierzyństwo, a potem, z wiekiem, starość, którą przyspiesza
bezwiednie

praca....

Ach, gdyby życie można było rozpocząć na nowo, taki los
dostałby się w udziale

Noris; zarówno jak Zuzanna Lestrade wyszłaby za mąż, za
tego, którego by

pokochała i byłaby matką, matką, jak Jacqueline de
Montépreux, matką, jak

tysiące innych kobiet, godnych zazdrości!

Wśród tych nie dających się urzeczywistnić mrzonek, trapiła
ją gorączka; czując,

że pulsa jej biją, weszła do gotowalni, ażeby zwilżyć wodą
rozpalone czoło, i

tam, pośród bogatych cacek, z jej cyframi, przy srebrnej
miednicy, do

której woda sączyła się z pyszczków smoczych, usiadła rozmarzona.

I tak wpołleżąc na szezlongu myślała, pośród zbytkowego otoczenia, o tem nędznem życiu biednej dziewczyny z Suresnes.

Gdy tak leżała w tym gabinecie, umeblowanym wykwintnie, w tym wonnym buduarze kobiecym, nagle, przy drzwiach pałacu dał się słyszeć odgłos dzwonka.

Zadrżała.

Była pewną, że dzwonił Rajmund i doznała uczucia przestachu, jak gdyby za chwilę miały się dla niej rozegrać losy całego życia, całej przyszłości.

Zazwyczaj, gdy Ferdys chciał się z nią widzieć, nie pisał do niej. Przybywał, jak przyjaciel do przyjaciela.

To też, zawiadomienie piśmienne nadawało dzisiejszym jego odwiedzinom pozór niezwykle uroczysty.

Noris nie miała nawet siły zejść do saloniku, w którym przed chwilą przyjmowała panią de Montépreux.

Czekała w tym gabinecie, o otwartych oknach, przez które wchodził wiatr ze dworu, mieszając się z wonią pachnideł.

A podczas, gdy czekała, organy z Suresnes brzmiały w jej uszach i zdawało jej

się, że jakiś niewyraźny głos, głos innej Zuzanny, szepcze pocichu: — Mam

narzeczonego! i że Marsz ze snu nocy letniej Mendelssohna witał zaręczonych przy

wejściu ich do kościoła.

Potem, Noris słyszała po dywanie na schodach i w korytarzu kroki Rajmunda de Ferdys, zbliżające się i z każdą chwilą przestraszając ją coraz bardziej.

Spojrzała na Rajmunda badawczo i nieśmiało zarazem gdy ukazał się za Sylwiną, a po bladości jego i piętnie stanowczego postanowienia, poznała, że i dla niego chwila ta będzie niezmiernej wagi.

Zdawał się być bardzo wzruszonym, w surducie czarnym, zapiętym na wszystkie guziki, a gdy Noris podniosłszy się do połowy z siedzenia, podała mu rękę, on machinalnie, zanim ją ujął, położył kapelusz na marmurowym blacie toalety, z której owiała go prześliczna woń pachnideł.

Poczem przybliżył się do Noris, stanął przed nią, a trzymając w swem ręku tę białą rączkę, wysuniętą z atłasowego rękawka, powiedział szybko, głosem wzruszonym, w którym drżała cała namiętność jego podniosłej duszy:

— Przybywam pomówić z panią po raz ostatni może. Ale, Zuzanno, to co powiem, jest święte jak przysięga. Kochasz mnie, nie prawdaż, Zuzanno?

— Z całej duszy — odparła.
Probowwała się uśmiechnąć.

— Ale kochany panie Rajmundzie, co znaczy ten nastrój uroczysty?

Tak, chciała się uśmiechnąć, a to imię, to drogie imię Zuzanna, przy którym drżała, ilekroć je Rajmund wymawiał, to imię nieświadomego dzieciństwa, wydało jej się stokroć miłszemi w tej chwili.

Znowu stanęła jej przed oczyma Zuzanna Lestrade, w białym welonie, klęcząca i wieńczona różami.

Ale przestała się śmiać i została oblaną jakby zimną wodą, strach ją przejął, gdy Rajmund de Ferdys, zawsze z powagą, mówił dalej:

— Jeżeli mnie kochasz, to i ja cię kocham, Zuzanno! Kocham cię, jak nikt kochać nie umie. Żyłem twojem wspomnieniem w ciągu lat pięciu. Żyję niem od dziesięciu miesięcy przy tobie, przy twoim wdzięku i twojem tchnieniu. O tem, czem jesteś nic nie wiem, chcę o tem zapomnieć. Żyję tylko przez ciebie, z tobą i dla ciebie! Namyslałem się długo i rozważyłem wszystko, co wpłynęło na moje obecne postanowienie: Kocham cię aż nadto, ażeby nigdy nie żałować mego kroku, ażeby być szczęśliwym zawsze, przez całe życie... całe życie — i pytam się ciebie, Zuzanno — a wszystko co mówię jest szczerą prawdą — pytam się ciebie, czy

kochasz mnie o tyle, ażebyś mogła zostać moją żoną! Co do mnie, nie będę miał nigdy większej radości, większych pragnień, jak tylko zostać twoim mężem!

— Ja mam zostać... pańską żoną!..

Wyrwała ręce z rąk Rajmunda, jak gdyby paliły je elektrycznością.

Była blada jak śmierć.

A de Ferdys przeszywał ją wzrokiem aż do głębi duszy.

— Pańską żoną?

Jego żoną!

Czy Rajmund postradał zmysły?

Jakiż grom spada na nią?

Czuła, że myśli jej kołują się pomiąszane i jakby szalone.

Jego żoną!

Miałżeby to być zakład? Jakto? Co Ferdys mówi? Jego żoną?

— Powtarzam ci, że postanowienie moje jest powzięte po walce z sumieniem, jak całe moje życie. Kocham cię. Jeżeli zgodzisz się iść za mną — ja, twój mąż, ty żona moja — uwiozę cię ztąd daleko, oderwę cię od tego życia, do którego nie jesteś stworzoną, od tego fałszywego zbytku, od tych fałszywych radości, od tego wszystkiego, co zarówno jak ja nienawidzisz, ukryję cię z przed oczu wszystkich, będę żył z tobą sam nie wiem gdzie, — ale znam na końcu świata miejsce, gdzie można żyć w spokoju i zapomnieć, zapomnieć — i niczego więcej nie pragnę od

losu, niczego, niczego, Zuzanno, niczego, jak tylko widzieć
cię uśmiechniętą i

kochać cię na klęczkach!

— Ach, panie Rajmundzie! — odparła Noris drżącym głosem

— mówisz mi to wszystko,
ażeby się naśmiać ze mnie!..

— Mówię ci to, bo cię kocham i żadnej innej nigdy kochać nie
będę, mówię ci to,

bo chcę ci poświęcić całe moje życie!

— Życie?... Czy to kuzynek popchnął pana na drogę takiego
szaleństwa?

— Nie mów mi o Chantenay'u — odparł szorstko marynarz.

Mówiłem ci, że

zapomniałem o nim, że zapomniałem o wszystkim. O

wszystkiem, czy słyszysz?

(Zrobił nacisk na tem słowie, jak na ranie). Chantenay jest
winą twojego upadku.

A jeśli mnie podoba się być twoim wybawcą? Jestem panem
swej woli, nie zależę od

nikogo. Chcę kochać, kocham. Ubóstwiam cię. Zostaw w

Paryżu to mieszkanie, ten

dom, wszystko, co cię otacza i jedźmy!

— Oszalałeś, Rajmundzie?

— Powiadam ci, że rozważyłem wszystko i że cię

kocham! Moja dymisya jest już prawie gotową... Potrzeba
tylko jednego słowa od

ciebie. Posełam ją ministrowi i znikam, ale znikam z tobą, a
ten Paryż nie

usłyszy już ani o Noris, ani o Rajmundzie! Za to, daleko,
bardzo daleko, będą

dwie istoty, kochające się i szczęśliwe!

Nachylił się ku niej, mimowoli padając na szeslong tuż przy niej, a okoliwszy ją swemi ramiony, zdawało mu się, że nie atlas sukni, lecz ciało jej szeleszcze mu pod palcami.

Teraz już przy usteczkach do różowego uszka młodej kobiety, szeptał te słodkie wyrazy, które miłość dyktowała jego ustom, przywykłym do szorstkich słów rozkazu, obowiązku, niebezpieczeństwa:

— Droga Zuzanno, postarzałem o jakie dziesięć lat po powrocie do Paryża, i w ciągu tego nowego życia zrozumiałem, odgadłem cię w zupełności. Jesteś uczciwą i szlachetną... Dumnie znosisz błąd, którego nie byłaś przyczyną...

— Chcę przeżyć sama siebie. — odparła gorzko Noris, cytując swoją dewizę.

— Otóż, zamiast poświęcać życie dla innych, chcę je poświęcić dla ciebie i tobie je oddaję!

Noris drżała.

Ten głos gorący sprawiał na niej uczucie rozkosz y a głowa jej, czując zawrót, jak od woni pachnideł, spadła powoli na ramię Rajmunda.

— Ale karyera twoja? — spytała łagodnie:

— Moja karyera? Ach! Głupstwo! — zawołał Rajmund.

Jestem niedorzecznym, powierzając życie moje lu-

dziom, którzy mnie wyśmiewają, którzy mnie mają za
głupca.... marzyciela..
fantastę... Twój ojciec złożył swoje kości dla tych samych
powodów... Ja
widziałem zbliżoną głupotę i egoizm... Jestem zgorszony,
powiadam ci,
rozdrażniony do żywego... Szlachetny mąż, który mnie
powołał do pracy aby znieść
to, co jest rutyną, kurzem, głupstwem, admirał Pradier du
Resnel, znużył się jak
ja, opuszcza ojczyznę i odjeżdża, het, na morze... Ma
słuszność!.. Niech ludzie
ratują się lub giną sami, jeżeli chcą tego, jeżeli nie chcą
zrozumieć wysiłków
innych, najlepiej zostawić ich własnej płytkości i
ograniczeniu!... Ja mam dosyć
tego — i chcę być egoistą, chcę być szczęśliwym...
Szczęśliwym z tobą... z tobą,
Zuzanno, tylko z tobą!..
Przymknęła oczy. Czuła na swych policzkach oddech,
pieszczotę jego.
Miała ochotę zawołać, rzucając mu się w objęcia i tonąc w
długim pocałunku; "O
tak, tak, masz słuszność, jedźmy, uciekajmy, kochajmy się,
żyjmy sami, zupełnie
sami, we dwoje, świat nie wart poświęceń i żalu!"
I spojrzała na Rajmunda, i w oczach jego dostrzegła płomień
namiętności i
gniewu.
— Ach! — rzekła. — Gdybym przystała, jakżebyś pan
zniecierpliwiał mnie z czasem!
— Ciebie? Ciebie nienawidzić? Ciebie? Chciał ją skruszyć w
swoich objęciach.

— Jakże będę przeklętą, ja, na którą ty patrzysz z taką miłością!

— Będiesz zawsze, zawsze tem, czem możesz być jutro, jeżeli zechcesz: moją żoną... czy słyszysz, moją żoną!

Dzień się kończył. Szarość zmierzchu otoczyła rozmawiających.

Biedna Noris czuła, że serce jej bije, bije aż do pęknięcia.

Jego żoną!

O jakże ją zgębił, podszeptując jej tę myśl radosną!

Jego żoną!

I w tej ciszy wieczornej, przez otwarte okno, zdawało się córce Férauda, że

głuchy dźwięk kościelnych dzwonów dolatuje zdala... dźwięk tak podobny do

dźwięku dzwonów z nowego kościołka w Suresne...

Zerwała się szybko i nagle jęknęła wielkim głosem:

— To niepodobna!

— Dla czego? — zapytał Ferdys.

— Dla tego, że pana inny los czeka, niż los męża panny Noris.

— Mój los? Moje stanowisko ciąży mi. Nie dbam już o karyerę. Patryotyzm — to

głupota. Przyszłość mieć mogą tylko intryganci! Nie chcę walczyć sam jeden jak

głupiec i poświęcać się dla innych.

— Mylisz się pan. Ludzie tacy jak pan, są zawsze wyjątkami i powinni pracować

dla dobra ogółu. Ale dajmy na to. Nie pragniesz pan karyery.

To w każdym razie

żaden Ferdys nie porzucił kraju swego w nieszczęściu. Masz pan przed sobą obowiązek.

— Wypełniłem go. Pragnę teraz szczęścia!

— Szczęścia? Ach. Więc to szczęścia panu potrzeba? Jesteś pan bardziej ambitny, niż pan sądzisz, panie Rajmundzie... Tu nie znajdziesz szczęścia, mój biedny przyjacielu!

— Znajdę je, ponieważ ciebie kocham.

— Wszak kocha się tylko to, co się szanuje. Jestem metresą wielkiego księcia

Wasyła. Chcesz pan, ażeby panem pogardzano, za to, żeś mnie poślubił?

— Kto mną będzie pogardzał? Pasorzyty, jak Chantenay, waryatki, jak pani de Montépreux. W ustroniu, do którego pragnę cię uwieźć, nie dosięgnie nas ta pogarda... Tam, będzie inna ziemia, inne niebo... Tu jesteś prawie obumarłą.

Jedźmy, tam odżyjesz napewno.

Serce jej przepełnione było radością, miłością bez granic i chęcią odpowiedzenia

na szaleństwo Rajmunda innem szaleństwem, mówiąc tak, nie namyślając się dłużej,

rzucając się w objęcia tego męża, który, w mizantropii swych lat dwudziestu

siedmiu, zgłodniałych nadzwyczajności, lat wyjątkowo fanatycznych, widział ją

jedną tylko, korzył się do jej stóp i gotów był zmiażdżyć
wszystko, co nią nie
było.

Ale zdawało jej się, że Rajmund zawiódłby się na tej męskiej
ufności, jak jej
ufność dziewczyną zawiódł Chantenay.

Cała jej uczciwość i szczerłość, wystawione na straszną próbę
przez tego
ubóstwianego, buntowały się przeciw niej samej i okrutna dla
własnej żądz,
tłumiąc głos miłości, nawijający się jej na usta; pragnąc, ażeby
powrócił do
niego, ażeby wyrwał z jego mózgu tę myśl szaloną,
niedorzeczną, myśl o
małżeństwie niepodobnem, rzekła starając się być spokojną, z
sercem
przepełnionem rozpaczą przez tę chęć obrzydzenia siebie
przed nim i zmuszenia go
do ucieczki.

— Pan nie żyłeś jeszcze. Pan nie wiesz, co to jest

świat, żeniąc się ze mną, ugrzązłbyś pan w bagnie... Pragnę
mnie ocalić, sambyś
zginął...

— Będę szczęśliwym. Będę szczęśliwym — powtarzał
Ferdys.

Wydała gwałtowny okrzyk, w którym chęć zawołania: "A
więc tak, przystaję, kocham
cię" zmieniło się na gniew nerwowy:

— Ach, i on w to wierzy.

A skrzyżowawszy ręce, patrząc na Rajmunda, dodała:

— Ach, pan mniemasz za kobietę idealną, uczciwą, ta
znękaną, dla której dusza
tak rycerska, jak pańska, powinna wywalczyć przebaczenie i
odwet. Mylisz się
pan. Czyż miałam cierpliwość do cierpień? Czyż miałam
odwagę do walki? Spójrz
pan dobrze dokoła siebie. Czy pan jesteś u nieszczęśliwej,
którą się podnosi,
czy u nędznicy, którą się kupuje? Tak, byłam o tyle słabą, że
uwierzyłam w
prawość pana do Chantenay. W moich oczach to nędznik,
przypuśćmy. Ale czyliż
nazajutrz po tym upadku, przyjełam jak uczciwa dziewczyna,
życie, które
zgotowałam sobie, które mnie zgotowano, jak pan mówisz?...
gdzie zaś. Byłam
posłuszną mojemu wzburzeniu, które może być poprostu
instynktem złego, kto wie?
Rzuciłam się w wir tego podłego życia popchnięta chucią
zemsty, gniewem. Ale
czyliż nie utkwiałam w tej otchłani? Czyż więcej warta jestem
od innych? Czyliż
nie sprzedaję się, jak Małgorzata Brunier, ta ex-metresa
pańskiego ojca? I ona
została oszukana, rzuconą w rynsztok przez nędznika... jak i ta
pani de
Montépreux, o której mi pan wspominasz, jak wszystkie
kobiety upadłe, gdyż dla
zgubienia

kobiety zawsze się znajdzie mężczyzna upadły. Ale przy całym moim szaleństwie,
przy żądzy odwetu, gdybym nie spotkała była wielkiego księcia Wasyla, który mnie otoczył zbytkiem, czyż nie zabrałabym w błoto jak tyle innych?...

— Nie! — zawołał Rajmund. Byłabyś umarła.

— Widzisz pan jednak, że nie, skoro żyję. Wierzaj mi, Rajmundzie, odejść, ja nie zasługuję na to, ażeby człowiek taki jak ty, marnował życie swoje dla takiej jak ja kobiety. Czy pan nie wiesz co to jest dziewczyna publiczna? A więc spojrz na mnie, oto jedna z takich dziewcząt.

Sama zrywała ze siebie, ze straszną gwałtownością, aureolę, którą on ją otaczał będącą tylko poświęceniem — niejako białą koroną, którą sama zbrukała.

Poniżała się w jego oczach, ażeby nią pogardził i uciekł. Stojąc przed nim, robiąc umyślny nacisk, lubo nie bez krwawej boleści, na wyrazie publiczna, dostrzegła teraz przy słabem świetle zmierzchu, bladość Rajmunda, którego usta drżały, i który patrzył na nią jak oszołomiony....

Wtedy wyciągnął do niej ręce błagalnie — jak gdyby chcąc pochwycić wymykające mu się widmo: drogie widmo swej jedynej miłości, miłości całego swego życia, miłości w dwudziestym szóstym roku.

Ale Noris odskoczyła, jakby draśnięta i głosem zgnębionym, streszczającym w sobie całe jej cierpienie, zawołała:

— Pogardzam sobą zanadto, ażeby zostać twoją

żoną... ale pogardzałabym tobą, gdybyś chciał mnie zrobić swoją metresą. Odejdź.

Powtarzała, głosem rozdzierającym, w drzeniu i w bólu całego swego organizmu:

— Odejdź.

I wskazała, temu ukochanemu, temu Rajmundowi, który był jej całym życiem, drzwi wpółotwarte przez które miał wynieść wszystko, co stanowiło szczęście w opustoszołym pałacu.

— Zuzanno zawołał z wybuchem... Więc niechcesz mojej miłości, mojego nazwiska... mojego całego życia...

— Nie chcę, markizie! — odparła chłodno. — Uczciwe nazwisko powinny tylko nosić kobiety uczciwe!

— Nie wiem dokąd się udam — rzekł jeszcze zgnębiony — ale każę się zabić, jak pies!

— O, mój drogi Rajmundzie, ta śmierć godna markiza de Ferdys, będzie bardziej chwalebna i użyteczna, aniżeli życie, jakie moglibyśmy pędzić nie wiem gdzie... daleko od Paryża!

— Daleko od twego zbytku, od twego wielkiego księcia Wasyla! — zawołał Rajmund w rozpacz.

Na pięknej bladej twarzy biednej Noris przebiegł uśmiech tragiczny, słodki

uśmiech męczennicy.

— Widzisz pan — ozwała się łagodnie — dobrzem zrobiła, powiedziawszy nie!

Podejrzujesz mnie teraz! Przeklinałbyś mnie potem.

— Zuzanno!... To prawda — rzekł Rajmund — jestem szalony! Ale przez moje usta przemawia zazdrość! Przebaczone mi, Zuzanno!

Ona uśmiechała się ciągle swym smutnym uśmiechem.

— Och, przebaczone panu — odparła.

— Odchodzę!... Nie chcesz iść ze mną?

— Nie — odparła znowu stanowczo.

— Ach! — rzekł Rajmund z łkaniem. — Życie moje skończyło się!

— Zapomnisz pan o mnie — szepnęła Noris. Wtedy, na progu, w cieniu coraz gęstszym, Rajmund de Ferdys powtórzył zdanie, które ona powiedziała doń owego kwietniowego poranku, gdy spotkał ją galopującą pod zielonemi gałęzmi, w alei akacyj na świeżej ziemi:

— Czyliż można zapomnieć?

— To zależy od serc! — odparła. Rajmund wyszedł.

Ona przez chwilę stała, czekając, czekając sama nie wiedząc na co, czekając,

ażby powrócił, ażby błagał, z okrzykiem: "Oskarżyłaś się!

Obmówiłaś siebie,

ażby mnie wypędzić! To fałsz! Ty nie jesteś tak nędzną istotą, jak mówisz!"

Ale Rajmund nie powrócił.

Kroki jego oddalały się na korytarzu, nikły na schodach...

Odjechał!

Drzwi główne zaparły się z trzaskiem, jak zapadające wieko trumny, ciężkie i zimne.

Wtedy Noris Féraud zsunęła się przy tym szeslongu, na którym on siedział przed chwilą, a gdy Sylwina wniosła światło, znalazła, leżącą na ziemi jak umarłą, płaczącą nieszczęśliwą Noris.

Służąca dotknęła rąk pani, podejrzewając nieszczęście.

Było to jak iskra elektryczna.

Noris wstała, napozór zawstydzona, otarła szybko oczy, te oczy smutne i czerwone, a gdy Sylwina zapytała troskliwie o zdrowie pani, Noris odparła:

— To nic, nic, wcale nic. Miłość, to jak zęby. Boli tak, że aż trzeba rzucać się

i padać. Zostaw mnie samą moja droga!

Nazajutrz, po nocy spędzonej na krwawych wspomnieniach zmarłych złudzeń, Noris

wstała, zgnębiona, z głębokim wstrętem do życia.

Zapytała, czy nie było listu...

Listu? Był właśnie.

Rzuciła się na kopertę i wpatrywała się w adres.

To nie był on.

To René Beaumartel de Chantenay, który nie otrzymawszy odpowiedzi, śmiał jeszcze

pisać i jak Ferdys dnia poprzedniego, pragnął widzenia się z Noris.

Wtedy panna Féraud, w rozpiętym szlafroku, wpólnaga,
gorączkowo zbliżyła się do
biórka i drżącą ręką skreśliła szybko, co następuje:
"Od wczoraj stokroć bardziej nienawidzą człowieka, który
mnie oszukał i uwiódł!
Po raz ostatni wymówiłam pańskie nazwisko w obecności
kobiety kochającej pana
dzisiaj jeszcze, ale która jutro wypędzi pana, i przed mężczyzną
który, gdybym była
chciała, miałby odwagę zrobić z pańskiej dawnej metresy
swoją żonę. A teraz, idź
pan swoją drogą i zostaw mi spokój i swobodę. Wszystko, co
mogę uczy-

nić dla księcia Beaumartel de Chantenay, to mogę uwierzyć,
że umarł, pogrzebany
moją pogardą.
I podpisała tem imieniem romantycznym, nienawistnem, które
nadał jej ojciec, nad
którym pastwili się kronikarze w artykułach dziennikarskich, a
którego nie
nadawał jej Rajmund:
Noris."

VII.

Dzień majowy, chłodny jak dzień jesienny, szary, smutny,
nadający ogrodowi przy
ulicy Jouffroy nieponętny pozór zaniedbania.

Noris kazała napalić w piecu w tej biblioteczce, gdzie zawsze według zwyczaju przebywa najchętniej, pomimo, że pałac jej pustoszeje coraz bardziej.

W ogrodzie, wicher otrząsa z kasztanów deszcz śnieżnych kwiatów i gwizdże jedną z tych melodyj ponurych, które zwracają myśl szczęśliwców ku marynarzom płynącym po morzu.

Już rok, prawie rok upłynął od chwili odjazdu Rajmunda. Ferdys ani razu nie pisał do niej od owego pamiętnego wieczoru w czerwcu, gdy na progu drzwi rzucił jej ostatni krzyk, jęk czy łkanie: — "Czyliż można zapomnieć?"

I od roku, Noris żyła tem życiem, jakie zgotowała

sobie, monotonnem, smutnem, pomimo zbytowego otoczenia, samotnem, zamkniętem;

cisza pałacu dorównywała ciszy klasztornej.

Tak chce. Taki rodzaj życia wybrała sobie.

Bynajmniej nie żałuje, że powiedziała Rajmundowi, ażeby uciekł od niej. Nie

mogła być jego żoną.

Chybione życie nie rozpoczyna się na nowo.

Jest to przeznaczeniem wszystkich istot upadłych dźwigać do grobu brzemie

pierwszego błędu, ranę pierwszego upadku.

Nie żałuje, że zdobyła się na tę dumną szlachetność

wypędzając Renégo i tracąc

zarazem miłość Rajmunda.

Nie żałuje niczego, oprócz swej zwichniętej młodości, i tej
pierwszej miłości,
która na zawsze zrobiła z niej istotę opuszczoną, upadłą!
Chciałaby tylko, ażeby Rajmund jej nie zapomniał i ażeby
zawsze kochał biedną
dziewczynę, która miała odwagę zabrukać się wobec niego,
ażeby się tylko odeń
oderwać.

Czy też on o niej zapomniał?

Czyliż się zapomina?

Raczej, czyliż się nie zapomina?

Zapomina się o wszystkim, przy biegu życia tyci dni i godzin
zastępujących
poprzednie.

I Noris siedzi tak, w półpochylona ponad tym ogniem,
płonącym w wilgotnej
atmosferze tego ponurego poranku wiosny, wchodzącej przez
otwarte okno.

O nim to ona marzy, gdy marzy, gdyż w moralnym zgnębieniu
całego jej jestestwa,
nie ma nawet już siły myśleć.

Żyje, bo wie, że życie kończy się kiedyś, znajduje tylko, że
droga życia jest za
długą!

Patrzy na ścianę, na miły uśmiech ojca — ofiary.

On i ona, oboje zostali ciężko porażeni twardą dłonią losu!

Ale po co się ma skarżyć.

Wszakże posiada to, czego inne nie mają.

Ludzie jej zazdroszczą, a przyjaźń wielkiego księcia, którą
ona traktuje tak jak

on powinien traktować tam swoich Czerkiesów i kozaków,
posiada dotąd. Przyjaźń
nie krepującą, czuwającą z oddali, prawie ojcowską.
Kto wie? Może Noris skończy na tem, że poprosi Wasyla,
ażeby ją zawiózł gdzie w
głęb Azyi, do kirgizów, na koniec świata.
Być niewolnicą tu czy tam, wszystko jedno! Lepiej już znosić
ból w prawdziwej
pustyni, aniżeli w tej samotności, do której zmuszała się w
ludnym Paryżu.
Służba pałacu znajduje, że pani jest dziwaczką,
niedysponowaną, mówiąc stylem
urzędowym, ale bardzo dobrą...
Otacza ją wzruszającą opieką, jak słabe dziecko.
Ona nie podobna jest do tych innych.
Z niepojętą radością zagłębia się ona codziennie we własne
wspomnienia i żale.
Spadła zanadto z wysoka, ona, kochanka niebieskiego księcia,
ażeby nie rozbić
sobie czegokolwiek na szczątki. Żałuje często, że dożyła do tej
próby. Tak, gdyż
w tem nowem życiu, które miało być szeregiem odwetów, nie
pomściła się nawet —
nie chciała. I dla czegoż nie umarła? Umrzeć u Reného, być
wywiezioną i
pochowaną w ja-

kimkolwiek zakątku ziemi, pod kwiatami, ach, coby to była za
rozkosz!...

Albo być uczciwą, wyjść za mąż, poić się szczęściem, jak owa
wieśniaczka z

Suresnes, której obraz od roku jej nie opuszcza!

— Zuzanna Lestrade!

I niekiedy Noris chce ironją spoliczkować pamięć królowej róż:

— Ba! Ona teraz ma dziecko, a mąż żołnierz, wracając z karczmy pijany, wymyśla jej i bije!

Ale nie: dlaczegożby ten poczciwy chłopak miał być łotrem?

Dlaczego Zuzanna nie miałyby być szczęśliwą?

Jest szczęśliwa, jeżeli ma przy piersi małą istotkę wyciągającą swą pulchną

buzię, żądną mleka!

O matki są szczęśliwe!

I niekiedy, w chwilach takich marzeń, Noris widzi jasne włoski i słyszy

pieszczotliwy szczebiot Charleya!

Siedzi tak, w czarnej sukni, przed gałęziami płonącymi na kominku.

Siedzi samotna, w żałobie, jak owego dnia w lutym, gdy czekała w izbie hotelu,

wyroku na ojca; ale teraz nie czeka na nic. Życie jej skończyło się. Wyrok

zapadł. Nie ma już jutra przed sobą.

W dwudziestym piątym roku życia!

Poczem, nagle podniosła głowę. Zastukano do drzwi biblijoteki.

Kto tam? Nikt.

Noris nie czeka na nic i na nikogo.

Wielki ksiązę bawi w Londynie. Ma dopiero powrócić za dni kilka.

To służący.

Na tacy wnosi dzienniki poranne, a z dziennikami list.

Noris sponsowała. Krew zabarwiła jej twarz matowej bladości. Pieczęć na liście

była z Brest.

Poznała pismo.

List pochodził od Rajmunda de Ferdys.

Nie zapomniał!...

Czyliż się zapomina?

Wtedy, sama, jakby przygotowując się do otrzymania olbrzymiej radości,

nieoczekiwanej i pocieszającej, Noris zbliżyła się do ognia, siadła i patrzyła

na list, lękając się teraz złamać pieczętkę i odczytując po kilka razy to imię,

imię pisane jego ręką: Wielmożna Zuzanna Féraud, ulica Jouffroy w Paryżu.

Dla Rajmunda, dla niego jednego była zawsze Zuzanną!

I Zuzanna rozdarła kopertę; szukała w niej listu od Rajmunda.

Sądziła, że jest daleko. On jednak bawi w Brest. Może powróci do Paryża. Ach

nie, niech nie powraca! Niech nigdy nie powraca!

Ale nagle, Noris zbladła.

W kopercie nie było listu do Zuzanny, nie było nic, nic, bukieciku zeschniętych

fijołków, fijołków z Wersalu, wyblakłych i zwiędłych, biednych fijołków, z

czasów miłosnego spania, wtedy, gdy mówiła: "Gdy mnie pan przestaniesz kochać,

odeślesz mi pan te fijołki."

I on odsyłał je, tak niegrzecznie, bez listu, bez jednego słowa,
pewnego
poranku, fijołki tak dawne!
Więc jej już nie kochał!.. Czy tylko kochał ją kiedy?
I cóż go zmusiło, ażeby po roku, zjawić się w taki sposób w
życiu Noris, ażeby
zadać jej nowy cios, bluznać zdaleka tą przeszłością; bez
jednego słowa, bez
wyjaśnienia, bez niczego?
Dlaczego dziś a nie wczoraj? Dlaczego teraz? Dlaczego
dopiero po tym dniu, w
którym odepchnęła go, nie chcąc zostać jego żoną?
Straszny niepokój ogarnął serce Noris.
Wmawiała w siebie, że Rajmunda spotkało nieszczęście i że
może ten żołnierz,
który mówił o śmierci, umierając, myślał o niej po raz ostatni!
Umrzeć? Ferdys umarł?
Czuła zimny dreszcz przebiegający po jej ciele.
Porwała dzienniki, machinalnie, pragnąc się dowiedzieć,
badając jak wówczas, gdy
chciała napotkać splugawione imię swojego ojca, te szpalty z
napisami Nowiny
Zagraniczne, Kolonie, Tonkin, sama nie wiedziała gdzie
szukać.
Ale nagle wydała okrzyk, czytała przez chwilę, po? tem
zaczęła się śmiać
śmiechem złamanym i powoli wypuściła z rąk gazetę, która po
sukni jej
ześlizgnęła się na ziemię.
W jednej z kronik Gardanne'a, pod tytułem: Dwóch Kuzynów,
wydrukowanej na czele

Paryżanina, Noris wyczytała co następuje:

" Maja."

"Tak więc pożenili się! Pożenili się w dwa tygodnie.

jeden po drugim, ci dwaj galantuomi, o których tak wiele
mówiono w Paryżu i
Hanoi. Po księciu, markiz. Wszystko, co Paryż ma
najwytworniejszego, śmietanka
śmietanki, tłoczyła się przed niedawnym czasem, na bulwarze
Hausmann w salonach
pana Ahrenfelda, rozgłośnego bankiera i obchodziła
uroczystość zaręczyn Renégo
Beaumartel de Chantenay z panną Rebeką Ahrenfeldówną,
która w ten sposób koroną
księżnej ozdabia swoje miliony. Wczoraj zaś w Brest, cała
noblesa z Finistere i
cała marynarka od ulicy Siamu aż do Arsenалу, były obecne
na ślubie porucznika
Rajmunda de Ferdys, powracającego z Annamu, z córką pana
de Ploël.

"Panna de Ploël nie jest bogatą. Jest to jedyna córka po
kontradmirał de Ploël,
który przewodził naszej banderze na morzach Północy i od
którego wiele
zależało, przed trzynastu laty, ażeby wody Bałtyku były dla
nas bardziej
łaskawe, aniżeli ziemia Francji. Kontradmirał umarł w roku
zeszłym, bardzo
biedny. Dość będzie jednego rysu dla scharakteryzowania jego
małżonki, hrabiny

de Floël. W czasie wojny krymskiej, pan de Floël, był
zmuszony zbiegiem
okoliczności, objąć na czas pewien dowództwo statków
angielskich i francuskich,
udających się ku Bomarsund. Po śmierci pana de Floël, rząd
angielski, pomny, że
francuz dowodził, bodaj przez tydzień tylko, jego żołnierzami,
ofiarował pani
hrabinie de Floël pensję, jaką Wielka Brytania daje wdowom
po swoich admirałach,
po dowódcach swoich marynarzy. Pani de Floël
odpowiedziała, że jej mążnek był
admirałem francuskim, nie zaś angielskim, i odmówiła
wsparcia.
"Taką jest rodzina, do której wszedł porucznik de Fer-

dys, który — jak świadczą jego czyny wojskowe — rokuje
być także sławnym
francuskim marynarzem. Młoda sława że tak powiemy, łączy
się ze starą sławą!
"Panna Joanna de Floël jest osobą prześliczną. Nie ustawiono
tam wprawdzie na
straży jak przy ślubnych brylantach panny Ahrenfeld, dwóch
żołnierzy, wynajętych
na uroczystość zaręczyn — co świadczyło o wartości posagu
panny młodej, nie było
jednak zbyt pochlebne dla gości, ale za to młodzi
małżonkowie widocznie
otoczeni byli powszechną sympatyą i że tak powiem,
szacunkiem całego

zgromadzenia. Kontradmirał de Ploël, który był rodem z Brest, dotąd jeszcze używa popularności w starym porcie wojennym, a porucznik de Ferdysjest nie mniej wysoko cenionym zarówno w Admiralicyi jak i w całym towarzystwie bretońskim.

"Żałowano bardzo, że księżna wdowa de Chantenay, którą, zawsze oplakany stan zdrowia, zatrzymał w pałacu przy ulicy Van-Dycka, była nieobecna na ślubie.

Jednakże księżna pani musiała być niemniej zadowolona z tego skromnego maryażu, zawartego przez jej siostrzeńca, jak ze wspaniałego związku swego syna z dziedziczką niemieckiego banku. Stary markiz de Ferdys, zawsze żwawy i przystojny pomimo siwych włosów, promieniał szczęściem i mówił wesoło: "Zmieniam stanowisko, wkraczam w atrybucye dziadków! Na weselu dostrześliśmy wielu oficerów marynarki: admirała Pradier du Resnel, komendantów statków, stojących na kotwicach w Brest, komisarzy marynarki, hrabiego de Marsan, baronowę Niemann, w przejeździe bawiącą w Bretonii. Księcia Beaumartel de Chantenay nie było. Jak wiadomo, wytworny światowiec

wojażuje nad brzegami Dunaju ze swą młodą żoną. Król mody nie będzie w Paryżu

podczas uroczystości wielkiej nagrody w roku . Bardzo być może, że księżę i księżna de Chantenay odwiedzą na Węgrzech piękną hrabinę, która tak niedawno jeszcze zachwycała Paryż, wspaniałą, złotowłosą austriaczkę, noszącą jedno z wielkich imion Francji, Montépreux, a która jak gwiazda znikła z paryskiego nieba i żyje samotnie w okolicach Presburga, wychowując syna, w zamku, należącym do jej rodziny.

"Dlaczego wytworna postać księcia de Chantenay ukazuje nam się obok ogorzałej twarzy lejtenanta Rajmunda de Ferdys?.. Bo obaj są szczęśliwi, jeden przez majątek, drugi przez miłość. Oddajemy hołd jednocześnie milionom księżnej de Chantenay i koronie młodej margrabiny de Ferdys.

L. Gardanne"

Noris podniosła dziennik, odczytała raz jeszcze, szpilkowana przez każdy szczegół i marzyła.

Więc koniec. Życie zamknięte. Reszta nieśmiałej nadziei, która jej pozostała po tragicznym spełnieniu obowiązku, musi pierzchnąć! Niczego już nie może się spodziewać.

— Niczego!

Ale czyż spodziewała się czego?

Nie. Opłacała całym swoim życiem miłość, w którą uwierzyła kiedyś!

Prawdą było jedno tylko: René zaślubił bogactwo, Rajmund zaślubił sławę.

Rajmund dobrze uczynił. Uczciwa dziewczyna, z rodu
rycerskiego i biedna, była
właśnie taką żoną, jakiej potrzebował.
To nie była Noris. Rajmund dobrze uczynił.
Wdzięczna mu jednak była, że nie zapomniał o niej, o biednej
Noris, wobec
obowiązkowej radości.
Myślał więc o niej, ponieważ odesłał jej dawne relikwie,
myślał więc!
Wsunął zwiędłe fijołki w kopertę, jak w całun, ale gdy jej
dotykał, widział
zapewne, tak jak ona widziała, ten piękny dzień majowy, gdy
na słońcu w Wersalu
dzielili się temi kwiatkami.
A przytem napisał na adresie jej imię, nazwał ją jeszcze raz
Zuzanną!
Teraz nikt, nikt nie będzie jej nazywał inaczej, jak Noris.
Po chwili wstała zwolna i zbliżywszy się do szuflady,
odnalazła w portfelu
bukiet zeschniętych kwiatów. Przechodząc, rzuciła zażawionym
wzrokiem na portret
starego Férauda. Ujęła fijołki bez barwy, bez zapachu,
braciszków tych, które
jej Rajmund odesłał, i ucałowawszy je po raz ostatni — jedne
i drugie, i te,
które sama schowała,
i te, które on rzucił na pastwę zapomnienia — i złożyła je na
ogniu, który je
objął szybko i wesoło, wesoło, że może zamienić w popiół to,
co było miłością:

I stojąc w swej czarnej sukni, w żałobie po wszystkich fantazyach, Noris, chwając się, patrzyła na pożar jednorocznych fijołków! Jeden rok! Wiek cały! Łza stoczyła się po jej twarzy bladej jak marmur.

Teraz to, teraz córka Férauda mogła powtórzyć swoją dewizę: — Przeżyłam samą siebie! Nieruchoma, bezmyślna, Noris stała tak, patrząc na ogień, na węgle, na popiół, gdy w tem, znowu zastukano do drzwi. Nie słyszała na bruku ulicy turkotu powozu, zajeżdżającego przedpałac. Odwróciła głowę, podniosła czoło, poprawiła włosy i jakby budząc się ze snu, spytała: — Kto tam? We drzwiach stanął lokaj z głębokim ukłonem. — Jego Wysokość, proszę jaśnie pani! Jaka Wysokość? O kim to jej mówiono? Wysokość? — Ach! Wielki Książę!.. — Ozwała się głośno: — Sądziłam, że jest w Londynie! Lokaj stał na progu, czekając na rozkazy w postawie pełnej szacunku. Wtedy, w osamotnieniu kobiety upadłej, otoczona widmami tych szczęśliwców, którzy unieśli po świecie szczątki jej samej, jej nadziei, jej wiary; — opuszczona, skazana, nie mając innej życzliwości, oprócz przyjaźni z

przyzwyczajenia od tego magnata, którego nie kochała, ale
który litował się nad
nią i szanował ją, nie broniła się nawet, oddała na pastwę losu
wszystko, co jej
zostało z młodości bez zachwyków, i zrezygnowana,
zgnębiona, żywa nieboszczka,
Noris popatrzyła przez chwilę na lokaja i głosem przygasłym,
niechętnym,
znużonym rzekła:
— A no! Proś!...

Koniec.